



JACEK KOMUDA

ZAWISZA

ZŁAMANY PÓŁKSIĘŻYC




fabryka słów
WYDAWNICTWO



Podniósł się krzyk, kiedy ogromna biaława chorągiew z wizerunkiem Maryi zachwiała się, padła, bo runął na kolana jej wierny adorator admirał Jean de Vienne po ciosie w głowę zadany turecką szablą. Wstał, strząsając z siebie napastników, podniósł miecz i ciął rosłego Saracena w zawoju, na skos, przez pierś, obalił drugiego. I znowu padł, kiedy rzucili się na niego, wdeptywali w krew i proch, rąbali szablami.

Raz jeszcze podniósł się jak niewzruszony pomnik rycerskiej cnoty. Na chwilę chorągiew załopotiała dumnie nad umierającymi zastępami. I znowu się zniżyła, uderzyła w ziemię, okrywając jak płachtą porąbane, powykręcane w męce ciała.

An illustration in a dark, monochromatic style showing a battle scene. In the foreground, two soldiers in full plate armor are engaged in combat, one with a sword and the other with a spear. In the background, the silhouette of a castle with multiple towers and flags is visible against a lighter, hazy sky. The overall atmosphere is somber and historical.

Wstała tak jeszcze dwa, trzy razy, kiedy podnosił się admirał Francji. Lecz wreszcie zarąbali go, zasiekli. Gdy zwalił się ostatni raz i już nie poruszył, trzech wojowników, zdających się olbrzymami, schyliło się po święty znak. Byli bohaterami, janczarami, przybocznymi gwardzistami sułtana. A jednak pomimo całej siły nie mogli wyrwać drzewca chorągwi z zaciśniętych rąk Jeana de Vienne.

Opór już zanikał, nie miał sensu, zresztą zwycięzcy też byli zmęczeni, pobici, pocięci, złani potem i krwią, krwawe szramy znaczyły zawoje, długie szaty zapinane na rzędy lśniących guzów. Zatem krzyżowcy poczęli wbijać miecze w ziemię, klękać, modlić się.

Spis treści

Karta tytułowa

Rozdział I. Biję Grom

Rozdział II. Gniew tyrana

Rozdział III. Pal go sześć!

Rozdział IV. Poturczeniec

Rozdział V. Słowo Luksemburczyka

Rozdział VI. Pauper

Rozdział VII. Rycerski gniew

Rozdział VIII. Ja gorę!

Rozdział IX. Pohańbiony

Przypisy

Mapa

Karta redakcyjna

Okładka

JACEK KOMUDA

ZAWISZA

ZŁAMANY PÓŁKSIĘŻYC

Historia rycerska z XV wieku, tworzona wspólnie
z Maciejem Jurewiczem

DYLOGIA ZAWISZA CZARNY

⇒ CZARNE KRZYŻE ⇒

⇒ ZŁAMANY PÓŁKSIĘŻYC ⇒

fabryka słów®

LUBLIN – WARSZAWA



i, którzy nie są szlachtą z pochodzenia, stają się nią, wykonując zawód żołnierski, który jest szlachetny sam w sobie. I powiadam wam, że sam ryszczunek tyle ma w sobie szlachectwa, że z chwilą gdy wojak włoży hełm na głowę, staje się szlachcicem i godzien jest potykać się choćby z królem. Broń uszlachetnia człowieka, kimkolwiek jest...

Jean V de Bueil, „Le Jouvencel”

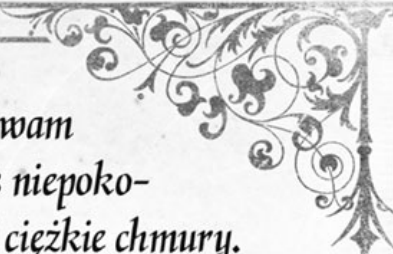




d chwili tej aż do końca świata w pamięci ludzkiej będziemy żyć: my, wybrańców garść, kompania braci. Kto dziś wespół ze mną krew przeleje, ten mi bratem!

Henryk V Lancaster, król Anglii,
niespełniony krzyżowiec





13. *On jest tym, który ukazuje wam błyskawice, aby natchnąć was niepoko-
jem i nadzieją, i to On podnosi ciężkie chmury.*

14. *I Grom wychwala go i podobnie czynią anio-
łowie ze strachu przed Nim. On zsyła pioruny
i razi nimi każdego, kogo zechce, a mimo to oni
dyskutują w kwestii Allacha, podczas gdy On jest
srogi w karaniu.*

Al-Qur'ān, Sura 13 Ar-Rad (Grom)

*Ponieważ tyran większą siłą włada,
Do mordowania liczny huf posiada,
Pali i grabi wszystko, co na drodze,
Przeto jest wielkim okrzyczany wodzem.*

Geoffrey Chaucer, „Opowieści kanterberyjskie”

*Wojna to rzecz wesola, człek słyszy i widzi tam dużo
dobrych rzeczy i uczy się wiele dobrego. Gdy toczy się
o dobrą sprawę, jest ona sprawiedliwością, obroną tego,
co słuszne. I tuszę, że Bóg kocha wielce tych, którzy
narażają swoje ciało, aby prowadzić wojnę i dać na-
uczkę niewdzięcznikom.*

Jean V de Bueil, „Le Jouvencel”



Rozdział I

Bije Grom

Gdyby miał w sobie siłę Merlina, zamieniłby cztery ciężkie kopyta kosmatego andaluzyjskiego konia na podmuchy gorących stepowych furii. Albo sam zmieniłby się w wiatr. Jednak spieniony wierzchowiec ledwie przebierał nogami; jedyne, do czego mógł go zmusić, to ociężały galop. Zmierzał tam, gdzie na krańcu wzgórza wznosił się zamek o szarych murach. Wyniosłe wieże nakryte były bulwiastymi kopułami, wysmukłe dzięki podtrzymującym je ostrym łukom z czarnego kamienia osadzone w ścianach fortecy. Zamek był tajemniczy i obcy dla przybysza

z kraju Franków, a poprzez wydrapane na wieżach zdobienia – przypominające z daleka płataninę węży – stawał się dziełem diabła, nie człowieka.

Na dwa strzelania z kuszy przed fortem rozciągał się obóz rycerski – chaos zielonych i błękitnych namiotów, pawilonów, a czasem zwykłych szałasów, nad którymi powiewały dumnie białe i niebieskie chorągwie z wizerunkiem Najświętszej Marii Panny. Posłaniec wjechał w to kłębowisko, koń potknął się o linkę spiczastego namiotu z zielonego welwetu i prawie padł, wyczerpany. Płaty piany odrywały się od sierści, spływały spod lekkiego błękitnego kropierza. Wytrenowany w spokojnym kłusie po twardych drogach Burgundii i Flandrii, nie radził sobie z wielkimi przestrzeniami naddunajskich stepów. Jeździec na próżno kłuł go żelaznymi grotami ostróg. Koń podrywał łeb, podskakiwał, ale szybciej biec nie mógł.

– Saraceni! Saraceni idą! Sułtan! Wojsko!

Posłaniec jechał przez obóz, wykrzykując wszem wobec złowróźbne wieści. Wszędzie zamierał ruch, rycerze podnosili głowy znad kielichów, pachołkowie przestawali czyścić zbroje, słudzy – obracać kamienie, na których ostrzono miecze i topory. Niosący wodę zatrzymywali się raptownie, aż z wiader tryskały zimne bryzgi, ladacznice i markietanki wytrzeszczały oczy, zatykały usta, by nie krzyczeć; trwoga cisnęła się do gardła i wyżej, coraz wyżej, na blade usta.

Jeździec osadził konia przed ogromnym, dwumasztowym pawilonem. Błękitnym, pokrytym złotymi cętkami jak niebo po zachodzie słońca. Na tarczy zawieszanej przed wejściem widniał pięciodzielny herb, mający w centralnej, sercowej części stojącego na tylnych łapach czarnego lwa w złotym polu. Przed namiotem ustawiony był stół, za nim ławy okryte błękitnym sukniem. Na nich zasiadał tłum panów i rycerzy w fantazyjnych kapturach, w czapach, giermkowie zaś z odkrytymi głowami, jedni podgoleni *en écuelle*, inni – z długimi, trefionymi włosami. W błękitnych, karmazynowych i zielonych szatach opadających niczym skrzydła

wielkich ptaków. Niektórzy tylko w obcisłych dubletach. Na stole jak hufiec rycerzy stały ogromne naczynia, talerze i nautilusy bez przerwy napełniane winem. Pod stołem gończe psy i charty ogryzały kości niczym chłopcy i ciury łupiący trupy na poboju.

Zeskoczył z konia z trudem i przyklęknął, zanim strażnicy skrzyżowali przed nim drzewca morderczych polaksów.

– Miłościwy książę! Panie, suwerenie... Saraceni!

Siedzący na honorowym miejscu Jean hrabia de Nevers, ubrany w szatę z liliami, tak błękitną, że wyglądała jak tkanina wycięta ze ściany namiotu, poruszył się za stołem. Pleczysty, niebieskooki, charakterystyczny dzięki długiemu i rozplaszczonemu nosowi, który przydawał mu brutalnego i awanturniczego charakteru. Gdyby był chłopcem, pewnie dorobiłby się złośliwego przydomka. Ponieważ zaś był panem i następcą księcia Burgundii, tenże nos był dla niewiast symbolem męskiej siły i witalności. Polotu i uroku dodawał mu kaptur ułożony na głowie na kształt koguciego grzebienia.

Hrabia otworzył usta, ale nie wykrztusił ani słowa. Ubiegł go inny z panów, chudy, z suchym obliczem, z ciemnymi, trefionymi włosami, sterany wojnami, a pewnie też rozpustą. Jego kosztowny aksamitny dublet powycinany był w półokrągłe ząbki. Filip d'Eu, hrabia d'Artois – najwyższy rangą kuzyn króla, konetabl Francji i co tam jeszcze można odczytać z pergaminów. Urodzona duma, blask władzy i honor. Nieprzyjemny, czego nie można było powiedzieć o jowialnym Jeanie de Nevers, zresztą dalekim krewniaku.

– Chciałoby się powiedzieć: wreszcie! – zakrzyknął, zrywając się od stołu. – Szlachetni książęta i parowie, za zwycięstwo! Za przychyłność Fortuny!

Jean de Nevers podchwycił toast, inni unieśli naczynia – wielcy panowie zdobione nautilusy, a giermkowie zwykłe puchary. Opuścili je jednak, wstrzymali się, kiedy siwy i stary, bo mający ponad pół wieku na karku Enguerrand VII de Coucy zwany Ingelramem po prostu odstawił swój kielich, obracając go do góry dnem.

– Mój hrabio – powiedział do Filipa d'Artois – Bachus jest najlepszym przyjacielem Głupoty, a ona sama galopuje na koniu

Szaleństwa. Chłopcze – zwrócił się do zgiętego w ukłonie posłańca – skąd idą? Czy jest z nimi sułtan? Kto w ogóle przekazał tę wiadomość?!

– Nie pytam ilu, lecz gdzie są?! – zahuczał pijany Jean II le Maingre, marszałek Francji, zwany wszem wobec: Boucicaut. Był on we wszystkim „naj”. Najwyższy, najsilniejszy i najbardziej zakuty łeb turniejowy. Najwyżej podcięty na donicę i najbardziej podpity spośród obecnych.

– Donieśli o tym węgierscy Kumani, panie. Kazano mi zawiadomić strażę.

– Sułtan?

– Choćby był, to się go nie boję! – zakrzyknął hrabia d’Artois. – O wa, wielki mi sułtan! Jak kiep! Miły kumie – trącił Jeana de Nevers – pamiętacie, co mówił ojciec, książę Burgundii? Abyście w walce zawsze domagali się pierwszego miejsca. A jeśli brak ci miejsca, chętnie ustąpię ci mojego, abyś mógł ruszyć jako pierwszy.

– Na honor – wykrztusił Jean de Nevers. – Nadeszła oto ta wiekopomna chwila. Czas gotować się do walki.

– Jeśli jest tutaj sułtan, jest i cała armia Osmanów. Inaczej może być to tylko podstęp, którego Saraceni są mistrzami.

– Na Boga, mości Ingelramie! – zawołał hrabia d’Artois. – Wydaliśmy góry złota, żeby pokazać tym barbarzyńskim krainom splendor i chwałę rycerstwa Francji. Zastawiliśmy ziemie, zamki i wieże, żeby nakryć konie kropierzem chwały! Czas już powetować te koszty na saraceńskich łupach!

– Nie wiemy, ilu jest wrogów. Ani gdzie są!

– Choćby się niebo zwaliło, jest nas tylu, że podtrzymamy je drzewcami kopii.

– Czekajcie, panowie! – Enguerrand wstał. – Nie chcemy tu drugiego Poitiers, prawda?

– Toteż właśnie Anglicy wsiadają na konie! – zakrzyknął Ludwik de Giac, pan na Chateaugay, jeden z czterech ewangelistów krucjaty. – Patrzcie tam, joannici zmieniają stroje. Będzie bitwa!

Obóz zaniósł się gwarem i chrzęstem jak suchy las płomieniami. Ożył głosem otwieranych skrzyń na zbroje, skrzypieniem siodeł zdejmowanych z wozów, mieczy podejmowanych ze stołów, tupotem i rzeniem ciężkich, bojowych koni podprowadzanych do rycerskich namiotów.

Jean de Beaufort, dowódca angielskich zaciężnych, był już w zbroi na koniu, a bracia zakonni Mowbray i Ingilby wkładali na żelazne płyty okrywające ciała czerwone tuniki z białym krzyżem, zmieniając skromną czerń na złowrogą barwę walki, rzezi i krwi.

Nikt już nie był w stanie utrzymać Burgundczyków i Francuzów. Pierwszy zerwał się Filip, dopadł do giermka, chwycił jego miecz, wyciągnął stopę w *poulaine* – trzewiku z modnym ostatnio długim noskiem. Jednym cięciem odciął i skrócił czubek buta, zawadzający przy jeździe konnej.

– *Montjoie Saint Denis!* – zakrzyknął. – Konia i zbroję! Na Saracenów!

– *Ic houd!* – grzmiał Jean de Nevers. – Za mną!

Chwycił miecz i ciął, skracając trzewik, z fantazją i rozmachem. Świsnęły ostrza, kolejni hrabiowie, baronowie, rycerze i giermkowie z rozmachem obcinali noski butów. Ze śmiechem, żartując ze śmierci, żądni chwały. Jean de Blaisy, Jean de Vienne – któremu incognito towarzyszył pan de Mauvilly – Ludwik de Giac i stary Bertrand de la Tremouille, głowa zaufanego rodu burgundzkiego. Ten był nie tylko o wiele starszy od Enguerranda de Coucy, ale również bardziej głuchy i prawie ślepy. Lecz teraz, rozdygotany i wściekły, toczył dokoła dzikim wzrokiem.

– Dajcie mi żywego Saracena, a przyniosę jego turban do katedry w Dijon! Ku chwale Pana, pięciu zetnę! Co mówię pięciu! Dwudziestu ich będzie!

– A dałby wam Pan Bóg koronę cierniową – powiedział podtrzymujący go giermek, młody Karol de Chatillon. – Czekaście, dokąd idziecie, ja wam pomogę!

Wstawali: Jean de Vienne, admirał Francji, człowiek małomówny, ze szlachetnym obliczem, jego syn, czterej krewni i grono przyjaciół.

– Na koń! Na koń! Dmijcie w rogi, w imię Pana!

I wszyscy biegiem, niektórzy grzmocąc po karkach pacholek, przepychając się, ruszyli do namiotów, gdzie wierni słudzy czekali już z wyciągniętymi mieczami, rozkładali przeszywanice, pasy, tuniki, podnosili hełmy, narzucali nagłówki na łby koni.

Podążali niczym rzeka kolorów; tylko jeden człowiek w gipponie sterczał na ich drodze jak głaz. Brodaty, ponury z natury, a blizna pod lewym okiem nadawała mu jeszcze bardziej smutny wygląd. Uchylił futrzanej czapy.

– Szlachetni panowie – łacina płynęła z jego ust jak strumień roztopionego miodu – czekajcie na słowa króla Węgier. Nie dajmy się podzielić. Inaczej gorze nam!

Mijali go jak powietrze. Żadnych spojrzeń, żadnej odpowiedzi. Nikt. Jedynie po chwili Filip hrabia d'Artois obrócił się do kompanów.

– Czy ja słyszałem kraczącego kruka?

– Prędzej koguta, który wyrwał się o poranku. Trzeba posłać po rzeźnika, żeby ostrzem nagroził jego ochotę.

– A cóż to za człowiek? – zapytał Jean de Nevers.

– Jakiś Polak, może Rusin – odezwał się Boucicaut. – Barbarzyńca z krzyżem. Jeden z tych, co służy bałwanowi Jogaile albo jego bratu Witołdowi, synowi litewskiego diabła.

Rycerze przeżegnali się nabożnie.

A tajemniczy barbarzyńca był już w drodze do królewskich namiotów.

*

Ruszyli z kopyta. Do obozowej bramy wzmocnionej przez palisady, potem skręcili na wschód, objeżdżając Nikopolis, bułgarski Nikopoł, szarą, piękną i niezdobytą turecką twierdzę na stromej górze nad wielką rzeką. Jeszcze rok temu bronił się tu ostatni car Bułgarów Iwan Szyszman, ścięty w Płowdiwie na rozkaz sułtana. Armia krzyżowców tkwiła tutaj od piętnastu dni, ostrzeliwując mury

z balist i kusz. Powodowało to równie wielkie zniszczenia, co rzucanie glinianymi kulkami o skałę.

Dwaj konni: rycerz i sługa, mijali szerokim łukiem miasto, pozycje niemieckiej piechoty i kuszników. Jechali do drugiego obozu, położonego w miejscu, gdzie ogromne płaskie wzgórze przechodziło w urwisty skalny stok opadający ku błękitnym wodom Dunaju.

Straże przepuściły ich bez pytania – brodaty rycerz był znany. Tak samo strażnicy czuwający przed okazałym namiotem z lnianego cwelichu tkanego w białe i czerwone pasy. Wojownik zsiadł z konia i wkroczył do środka przez wejście, nad którym podniesiono kotary. Wewnątrz płonęły świece i kadzidła.

Mężczyzna uklęknął, kładąc prawą dłoń na lewej piersi.

– Wasza Królewska Mość, Francuzi rwą się do walki. Siodłają konie i wyruszają bez rozkazu.

Człowiek, do którego mówił, był młody, szczupły, miał wypielęgnowaną rudawą brodę i głębokie, czujne oczy. Przechadzał się w błyszczącej włoskiej zbroi, której napierśnik dzielony był na pionowe pasy, a krawędzie zdobione bogato mosiądzem. Na zbroję narzucony miał gronostajowy płaszcz, a na długich, starannie trefionych włosach ciężką koronę. Bo też był to i władca, król Węgier Zygmunt Luksemburczyk. Za każdym jego ruchem podążał wzrok wielmożów stojących pod ścianą namiotu.

– Rwą się do boju – wybuchnął król – choć nie dawałem znaku do walki! Nic przecież nie wiemy o Turkach. Armia padyszacha z Bursy przeszła dwadzieścia pięć mil w cztery dni i trzy noce?! Jakim cudem, ja się pytam? Powiecie mi coś o tym czy nie?

Zbył machnięciem ręki klęczącego rycerza; ten jednak nie odszedł daleko – dołączył bowiem do strzegących królewskiego namiotu wojowników.

– Wasza Królewska Mość pozwoli, że objaśnię – odezwał się Węgier Leusták Jolsvai, wielki palatyn korony Świętego Stefana. – Turcy przebywają takie odległości w ciągu trzech albo czterech nocy. Nie mają bowiem taborów, setek wozów, skrzyń, kufrów i kurtyzan jak nasi rycerze i Frankowie.

Zygmunt zdawał się go nie słuchać. Usiadł i sięgnął po ogromny pozłocisty róg z winem, który podał mu przyboczny rycerz Karl von Ostritz. Kiedy władca pił, ręce miał zaciśnięte, aż bieleły palce.

– Radźcie! – rzucił do dworzan i dowódców. – Dalejże, niech wasze głosy zabrzmiały jak bitewne rogi – dodał, rozcierając dłonie, choć nie było zimno.

Wysoki, szczupły mężczyzna w kolczudze przeniósł wzrok na króla Węgier i wystąpił pół kroku do przodu.

– Mówcie, gospodarze – zachęcił Zygmunt. – Bliżej. Ja nie sułtan, nie zagryzę.

– Za pozwoleniem Waszej Wysokości – rzekł Mircza Stary, wbrew przydomkowi wcale jeszcze nie wiekowy gospodarz wołoski, za to suchy i chudy jak malowidło w cerkwi – nie wiemy, czy nadciągają główne siły wroga. Turcy lubią wojenne fortele, mogą się podzielić i kiedy ustawimy się naprzeciwko części sił, spadną nam na karki.

– Co proponujecie?

– Wezmę tysiąc najlepszych witeziów i drużynników. Sprawdzę, czy sułtan rzeczywiście wyruszył w pole, czy też Turcy chcą nas omamić.

– Jedź, gospodarze. Cóż jeszcze tu robisz?!

Mircza skłonił się i idąc tyłem, wyszedł z namiotu. Słyszeli, jak pokrzykuje na swoich w świszczącej wołoskiej mowie.

– Mamy dąć w rogi, stawiać na nogi rycerstwo, Wasza Królewska Mość? – zaszemrał palatyn Węgier.

– Wydajcie rozkaz... – Zygmunt wziął głęboki wdech, wiercił się na siedzisku wymoszczonym wilczymi skórąmi – wydajcie... – jakby nie mógł złapać tchu. – Powiedzcie, kaźcie...

Zdawać się mogło, że pomiędzy słowami króla mijały wieki.

– Zabijcie jeńców! – wykrztusił w końcu. I opadł na fotel, mokry i zdyszany.

Z trzaskiem otwarły się drewniane wrota zagrody, gdzie zgromadzono obdartych, obszarpanych Turków, wziętych w niewolę po kapitulacji Widynia i po upadku Orjachowa. Pobitych i ograbionych, a potem wydanych Zygmunтови przez Bułgarów, poddanych cara Iwana Stracimira. Obecnie ściśniętych jak owce lub kozy w ciasnym zamknięciu, bez wody i osłony przed deszczem.

Podniósł się wrzask, kiedy do zagrody wpadły z dwóch stron, obalając i tratując jeńców, konne zastępy dzikich Kumanów na małych, włochatych koniach. Z szablami i toporami w rękach, niektórzy szyjąc z bliska z łuków. Za nimi pędzili piesi knechci i pachołkowie z bronią.

Wrzask wybijanych ludzi sułtana uderzył w ściany namiotu jak grom. Przeszedł przez tkaninę, ścichł, poleciał dalej jak stepowy wiatr zagłady. Nie wzruszył jednak króla Zygmunta, wciągającego rękawice, poprawiającego brodę. A na koniec – przeglądającego się w srebrnej tafli zwierciadła, jakby szukał tam utraconej dawno odwagi.

*

Jean de Nevers, rozparty w siodle swojego ukochanego karego Papillona, bojowego dextrariusza, podjechał kłusem do hufca burgundzkiego rycerstwa, witany okrzykami i niesłabnącą wrzawą. Wcześniej długo i namiętnie zegnał się ze swoimi miłośnikami: Celine, Jacqueline i Antonietą; ta ostatnia bywała największą szelmutką. Miał ich o jedną więcej niż Filip hrabia d'Artois. Obdarowany przez gamratki szarfą, szkaplerzykiem i namiętymi pocałunkami, jechał wzdłuż szeregów konnego rycerstwa w pięknej, lśniącej zbroi z bruzdą pod szyją. Głowę osłaniał mu basinet z zasłoną, okolony czepcem kolczym powycinanym w zęby. Na piersi książę nosił zielonkawą tunikę z herbem Burgundii. Otaczało go sześciu zaufanych rycerzy, w tym Helion de Naillac, rodzony brat Filiberta, od niedawna wielkiego mistrza Zakonu Szpitalników Świętego Jana. A obok niego zakuty w żelazo Walter de Ruppens

z Flamandii, będący trzecim okiem i uchem hrabiego. Burgundzki oddział był w komplecie, prawie dziesięć tysięcy ludzi, rycerzy w hełmach jak garnce, z herbami na tarczach i tunikach, kolorowymi jak ukwiecona łąka. Stali ustawieni w płot, z giermkami i strzelcami za plecami. Francuska chorągiew już szykowała się do boju. Dalej na zachód piętnastu rycerzy i ponad siedemdziesięciu giermków we wszystkich kopiach, pod wodzą Boucicauta, dalej hufiec Henryka de Berry. Anglicy pod Jeanem de Beaufort, bękartem Jeana z Gandawy, księcia Lancasteru. Topory wisały przy siodłach, długie miecze spoczywały w pochwach, buzdygany kołysały się przy końskich bokach. Kopie wznosiły się ku górze, jaśniały pióra, błyszczały kapaliny zbrojnej służby.

Jean de Nevers dał znak i starszy chorąży Filip de Mussy rozwinął ogromną chorągiew z wizerunkiem Marii Panny. Zaraz po tym z łopotem podniosły się nad żelaznymi hufcami trzy białe i cztery niebieskie pomniejsze znaki rycerskie. Giermek hrabiego de Nevers wznosił proporzec z burgundzkim lwem. A kiedy hrabia Jean stanął na czele oddziału, jego rycerze zaczęli pokazywać na grupę konnych, która nadciągała od wschodu, wzniesając za sobą tumany pyłu.

Marszałek króla Zygmunta Henryk Ostenlemichalle pędził ku nim jak wiatr na siwym wierzchowcu. Przeszywany kropierz i kotwiczny krzyż na proporcu okrywał pył. Marszałek miał zmęczone, szare oblicze, pusty wzrok. Kierował się na Jeana de Nevers. Hrabia obrócił się, szukając niezawodnego Filipa. Konie prychały, opuszczały głowy, próbowały ocierać się łbami o nogi – zawadzały im żelazne naczółki i kropierze. Papillon grzebał nogą, gryzł wędzidło, opuszczał i podnosił łeb, niezadowolony z oczekiwania.

Henryk zwolnił, podjechał ciężkim kłusem do francuskich i burgundzkich wielmożów.

– Wielmożni i wielce nam mili panowie! – powiedział. – A przede wszystkim wy, mości hrabio de Nevers! Przywożę prośbę od króla Zygmunta, abyście raczyli wstrzymać się z waszą rycerską ochotą przynajmniej do południa. Aż ludzie wojewody wołoskiego przywiozą wieści o nieprzyjacielu.

– Konie są pełne ochoty do szarży, szlachetni rycerze pochylają kopie – odezwał się niepytany Filip hrabia d’Artois. – Nie będziemy czekać, aż król Zygmunt skończy odmawiać godzinki! Skończymy bitwę za niego.

– Nie przyjechaliśmy tu stać ani rokować – rzucił buńczucznie marszałek Boucicaut. – Jesteśmy ludźmi bohaterskimi, a nasi wasale srogo się zadłużyli, aby godnie bić się za chwałę Pana.

– Za pozwoleniem – rzekł Enguerrand de Coucy – pozwólcie, niech zdecyduje nasz drogi dowódca, hrabia de Nevers. Ja zaś odradzam, odradzam pośpiech.

– Możecie, kumie, iść z tyłu, ale nie zarzucajcie nam tchórzostwa!

– Jestem ostatnim, który cisnąłby wam w twarz takie słowa. Książę Burgundii kazał mi czuwać nad bezpieczeństwem wyprawy. Wierzymy w to, czego pragniemy, powiedział Cezar. Ale nie spodziewajmy się, że nasze uczucia dzielają wrogowie.

– Wietrzycie w tym podstęp, mości marszałku? – zapytał hrabia de Nevers.

– Doradzam pokorę i cierpliwość. To ona dała dwukrotnie zwycięstwo królowi Anglii w szrankach z Francją. Wydajcie, proszę, decyzję, ale, na miłosierdzie Maryi, niech będzie mądra!

Jean de Nevers zmarszczył brwi, spojrział dokoła, podniósł wzrok na słońce i osłonił oczy dłonią w rękawicy.

– Poczekamy...

Filip hrabia d’Artois prychnął zawiedziony.

– Ale nie dłużej niż czas, w którym słońce wejdzie na dwa palce w górę.

Uniósł ku niebu rękę i popatrzył w tarczę poprzez szczelinę między kciukiem a palcem wskazującym.

*

Krew wymordowanych Turków wsiąkała w piach, blade ciała znaczone cętkami ciemnej krwi zalegały pośrodku zagrody dla jeńców, zmiażdżone kopytami koni jak stare łachmany;

gdzieniegdzie leżał tylko nieruszony turban, blady jak chusta śmierci. Kumani i knechci skończyli robotę, teraz do środka wpadały obozowe ciury, w grupach po dwóch, po trzech, szybko przetrząsając ciała, szukając ukrytych kalet i sakw; niektórzy pruli nożem brzuchy, wywlekali flaki. Nie zniechęcali się. Zdarzało się, że Saraceni chciwie połykali monety i kosztowności, a zwracali je dopiero po śmierci.

Pole przed obozem Węgrów i Niemców zaczerniło się od jazdy wołoskiej. W luźnym szyku gnali ku Nikopolis pochyleni nad końskimi karkami jeźdźcy w prostych hełmach, futrzanych czapach z czubem, często w kolczugach okrytych skórą. Z głowami wołów i dzików na tarczach.

Mircza z obliczem suchym i zaciętym zsiadał z konia przed królewskim namiotem. Nic po sobie nie pokazał, nie otwierał ust. Dopiero w środku skłonił się nisko przed Zygmuntem i równie szybko wyprostował. Król patrzył gdzieś w przestrzeń.

– Gospodarze?

– Idzie na nas sułtan Bajazyd zwany Błyskawicą albo Gromem. Na czele armii. Wybaczcie, Wasza Królewska Mość, dotarliśmy zaledwie do Vubli, wszędzie na traktach, na polach i w lasach kręcą się niewolnicy Osmanów.

– Ilu?

– Dwieście tysięcy Turków i ich popleczników, Mongołów i innych ludów ze stepów.

Zygmunt osunął się głębiej w siedzisku, zgarbił. Wielki palatyn Węgier Leusták Jolsvai wypuścił z sykiem powietrze.

– Aż tylu?!

– Na pewno... dobrze policzyliście, gospodarze? – zapytał Zygmunt.

– Widzieliśmy dwadzieścia sandżaków, o władco. Każdy z nich to chorągiew, wokół której gromadzi się dziesięć tysięcy wojowników. Razem daje prawie dwieście tysięcy pieszego i konnego luda.

– Słucham was teraz, mądrze!

– To ogromna, niemożliwa wręcz do uwierzenia siła – przemówił marszałek Ostenlemichalle, który ledwo wrócił od krzyżowców. – Musimy wycofać się za Dunaj.

– To błąd – mruknął Mircza. – Nie ma czasu.

– Co wy nie powiecie? Los krucjaty, tylu rycerzy, tylu panów, ich honoru, dostojęstwa i zaszczytów, wszystko mamy postawić na ostrzu miecza?

– Niech mówi – uciął Zygmunt.

– Wygramy tę bitwę tylko zjednoczeni. – Głos Mirczy zdawał się wołaniem głuchego na puszczy. – Wojska sułtana są duże, ale większa część to na wpół uzbrojeni piesi i konni łucznicy. Nie wolno nam wysyłać przeciwko nim rycerskiej konnicy Franków, bo zadadzą jej straty. W pierwszym hufcu musi wyruszyć moja, wołoska i węgierska piechota. Kuszownicy z Genui i konni łucznicy odrzucają i wystrzelają lekkozbrojnych wroga. Dopiero potem zetrzemy się z głównymi siłami sułtana, spahisami, jego przyboczną gwardią i janczarami, z których każdy stanie za trzech naszych pachołków.

Zygmunt zmarszczył brwi, wyciągnął palec w górę. Nastąpiła cisza. Tak całkowita, że słycać było tylko bzyczenie jakiegoś samotnego owada, który zaplątał się pod tkaninę namiotu.

– Przychylił się do twojej rady – powiedział król Węgier. – Każ wyprowadzić w pole piechotę i czeladź z obozu. Trąbić na wymarsz, na co jeszcze czekacie! – wybuchnął. – A dla mnie... dla mnie... Podajcie mi wreszcie konia!

– Francuzi i Anglicy nie zechcą czekać, miłościwy panie.

– Sam do nich pojedę. – Zygmunt wstał. – Ruszamy! Wszyscy za hospodarem!

Szedł ku wejściu, pod drodze przyjął hełm z rąk swego przybocznego rycerza, brodatego Polaka z blizną pod okiem, Mikołaja z Garbowa pieczętującego się Sulimą. Skłonił się przed arcybiskupem, który nałożył na wysmukły królewski hełm złotą koronę zdobioną czerwonymi almandynami oraz perłami na wzór korony Świętego Stefana.

W obozie grzmiały trąby.

*

– Mylicie dziś nogi? – zapytał nieokrzesany Walter de Ruppens; tylko on był wystarczająco spoufalcony z hrabią de Nevers, aby pozwalać sobie na takie żarty w obecności postawionych wyżej od siebie. – Król będzie was po nich całował.

– Już ja dobrze wiem, czego chce – stwierdził Boucicaut. – Zatrzymać nas jak najdalej od złota Saracenów!

– Zagarnął łupy z Widynia i Orjachowa, teraz pożąda naszej rycerskiej sławy!

Zygmunt, król Węgier, jechał do nich sam, we własnej osobie. W pełnej zbroi, z koroną na hełmie i krzyżem Węgier na jace; z ramion spływał mu gronostajowy czerwono-błękitny płaszcz z liliami. Kropierz okrywający pancerz konia wyszywany był w cztery czerwone pasy, symbolizujące rzeki królestwa Węgier: Dunaj, Cisę, Drawę i Sawę.

Zatrzymał kiwnięciem ręki polską eskortę, wyjeżdżając samotnie naprzeciwko hrabiemu de Nevers. Spotkali się przed frontem hufca Franków, Anglów i Burgundów. Przed szeregami rycerstwa uszykowanymi niczym gigantyczny płot, z lasem kopii i proporców nad głowami.

– Wasza Królewska Mość! – skłonił się Jean de Nevers i podniósł rękę do głowy okrytej basinetem. – Witamy!

– Szlachetni panowie – odparł bez ogródek Zygmunt – przybyłem prosić, abyście wstrzymali się z atakiem, zanim nadejdzie moja armia. A kiedy potem wyruszymy, to tylko w szyku. Najpierw pójdą Wołosi i lekkobrojni Węgrzy. Potem ciężkobrojne rycerstwo. Nad całością sił czuwać będzie nasz drogi przyjaciel gospodar wołoski Mircza.

Jean de Nevers obejrzał się na pozostałych.

– Najpierw mówcie wy, szlachetni hrabiowie i parowie.

– Na Boga w Trójcy Świętej Jedyne! – zakrzyknął Boucicaut. – Ktoś mógłby pomyśleć, że Wasza Królewska Mość mówi do ciurów i giermków. Jesteśmy ludźmi rycerskimi! Wydaliśmy fortunę, aby stawić się tutaj, w obronie królestwa Węgier. A wy nas odsyłacie na tyły!

– Nie będziemy walczyć pod komendą hospodara – odezwał się Filip d’Artois, który jako jedyny był bez hełmu, prezentując gładko wygolone oblicze i trefione włosy. – Ja, konetabl Francji, nie pójdę pod rozkazy brodatego i włochatego barbarzyńcy, gdyż reprezentuję majestat króla Karola Szóstego!

Jean de Nevers spojrzał na Enguerranda VII de Coucy. Ten milczał długo, a gdy przemówił, każde jego słowo miało wagę ołowiu.

– Doradzam stać w miejscu i nie dać się podzielić. Tylko zjednoczeni zwyciężymy. Podzielonych rozdziobią kruki, a popędliwych rozszarpią psy sułtana.

– Jeśli będziemy czekać, Saracen przygotowuje się do walki jeszcze lepiej – przekonywał Boucicaut. – Czekanie oznacza klęskę. Lekka jazda Turków nigdy nie dotrzymała pola naszym rycerzom!

– Poza tym – powiedział Jean de Blaisy – zanim Węgrzy i Niemcy się zbiorą, będzie już wieczór.

Rzeczywiście, pancerna i żelazna rzeka jeźdźców i pieszych dopiero wylewała się z bram obozu, formując wielką linię na lewo od Anglików i Francuzów.

– Powtórzcie, co o tym myślicie. – Wzrok Jeana de Nevers spoczął znowu na Filipie, konetablu Francji.

– Moje zdanie jest krótkie: podajcie hełm!

Filip wcisnął na głowę łebkę i nagle wyjechał z grupy.

– Naprzód, w imię Boga i Świętego Jerzego! – zakrzyknął. – Naprzód, szlachetni panowie! Bić Saracenów! Dobrze bić! Srogo bić!

Podjechał do chorążego i wyjął z jego rąk biały gonfalon z wizerunkiem Maryi.

– Za mną! Dziś jeszcze przekonacie się, jakim jestem rycerzem!

Podniósł się krzyk, wielki, gromowy, dobywający się z tysięcy gardeł, potężniejszy jak pomruk burzy.

– Tam, gdzie nie słucha się prawdy, zwycięży arogancja – dopowiedział milcząco dotąd admirał Francji de Vienne.

– I pogaństwo – dodał Enguerrand de Coucy. – Ostrzegalem!

Obejrzał się na hrabiego de Nevers, ale ten zatrzasnął zasłoneg hełmu. I ruszył w ślad za konetablem Francji. Za nim przyboczni, potem pozostali.

Stary de Coucy podjechał do gospodarza Mirczy i skłonił się jak przed suwerenem.

– Przyjacielu, wybacz im, bo nie wiedzą, co czynią.

– Pan ich za to ukarze – odpowiedział gospodarz. – A Turcy po prostu... wybiją. Cóż mamy robić?

– Do banderii! – rozkazał Zygmunt rwącym się głosem. – Mości palatynie! Kto już stanął w szrankach? Jakie oddziały?

– Są Kumani i łucznicy wołoscy.

– Weź własną banderę i ich wszystkich. Jedź za Francuzami, wspomóż ich.

– Abyście tylko zdołali dognać – odezwał się Ścibor ze Ściborzyc, Polak, zaufany człowiek króla i dowódca przybocznej straży.

Zygmunt aż zadygotał, kiedy zagrały rogi. Jeden, drugi, trzeci, bo ich głos podnosiły kolejne, wzdłuż linii hufców krzyżowców. Szeregi żelaznych jeźdźców drgnęły, ruszyły z miejsca. Kopyta zaczęły wzbijać obłoczki kurzu z wyschniętego stepu, konie – opuszczać pyski, szarpać wędzidłami.

I iść – poczet za pocztem, szereg za szeregiem! Z uniesionymi kopiami i chorągwiami. Najpierw w rzadkim szeregu rycerze, potem giermkowie, wreszcie stłoczeni z tyłu strzelcy i pachołkowie. Szli jak ogromna fala, pancerna i okuta w blachy okryte materiałami. Panowie w kolorach kwiatów wojny – czerwień i biel, błękit i żółć, karmazyn i czerwień. Lecz wszystko, co wysuwało się spod jak i tunik, błyszczało żelazem. Kolcze kołnierze, szorce, naramienniki, zarękawia, zasłony hełmów niczym psie pyski, nieliczne haki na piersi. Konie szły w kolczych pancerzach okrytych kapami, w pikowanych kropierzach, jeźdźcy jechali jak na biesiadę,

z bezlikiem herbów na tarczach; jedne były jak pole szachowe, inne z gryfami, smokami, sokołami, wieżami, figurami.

– *Montjoie Saint Denis! Vive Saint George!*

Okrzyki były jak zapowiedź, odpowiadał im gromowy pogłos dobywający się spod zasłon hełmów rycerzy. Zawtórowało mu bicie w bębny, trąby, brzęk żelaza. Ławy rycerstwa ruszyły kłusem, coraz szybciej na południe, na stepy, gdzie za lekko pofalowanym terenem ukrywać się musiał sułtan wszystkich Saracenów, wódz i ojciec pogan najeżdżających chrześcijańskich władców Europy.

– Nie czyńcie głupot, szlachetny panie – ostrzegł gospodar Mircza. Jego głos trafił w pustkę. Enguerrand de Coucy opuścił zasłonę hełmu i ruszył za swoimi ziomkami, mając z boków dwóch giermków.

Ponad dziesięć tysięcy doborowego rycerstwa Zachodu ruszyło na wojska sułtana. Nawała żelazna, przerażająco silna w szarży i pierwszym starciu, słabnąca jednak, kiedy ktoś zajechał im tyły.

Poczet króla Zygmunta stał i patrzył; spoglądali Węgrzy, Niemcy i polscy rycerze, milczący, w blachach i pancerzach poznaczonych nacięciami licznych ciosów odniesionych w bitwach i turniejach.

– Wzięli i poszli – biadał Świętosław Szczenie herbu Łada. – W pierwszym szeregu. A człek rycerski zastawił młyny i dwie role Żydom z Kazimierza, żeby sprawić sobie krakowską zbroję. Całą połowę Starych Juch zastawiłem! A Święty Marcin i rozliczenie coraz bliżej.

Przeciągnął ręką w rękawicy po lewym zarękawiu, gdzie jak mu się zdawało, koło dolnej krawędzi nałokcicy zgromadził się brud i pył.

– Frankowie poniosą śmierć i zgubę. A wtedy jeszcze będziecie się cieszyć, że jesteście z dala – odezwał się Mikołaj z Garbowa.

– Szlachetnym panom z Burgundii – rzekł młodziutki Oswald von Wolkenstein, sługa i paż króla Zygmunta, trzymający królewski proporzec – zapewne nie brak rycerskich serc, które zaprowadziły w pogańskie puszcze Albrechta Niedźwiedzia i Henryka Lwa. Ich czyny będą opiewać pieśni nowego Turola albo Walthera von der

Vogelweide, a nasze... wyśmiewać gamratki w zaułkach Budy i Krakowa.

– Ciszej, król wraca – ostrzegł Tomasz Kalski herbu Róża.

Siedzieli na koniach w pełnych zbrojach. Za plecami giermkowie trzymali ich kopie. Świętosław Szczenię i Mikołaj z Garbowa, Kalski i Ścibor ze Ściborzyc, Przedpełk Ostrowski herbu Rawicz, kasztelan wyszogrodzki Sasin z synem Rolandem. Pan Bojko i pan Jurczak. Doborowa kompania turniejowych zabijaków. Najwierniejsza – bo obca, obca, bo polska – straż przyboczna Zygmunta Luksemburczyka, za dnia i każdej nocy obawiającego się zdrady.

Krzyżowcy już znikali za wzgórzem – chorągwie i proporce wzniosły się jeszcze jak w pożegnalnym salucie, a potem znikły za wypalonymi słońcem, suchymi zaroślami.

I wtedy, po długiej chwili, wiatr przyniósł do ich uszu odgłos dalekiej wrzawy, wichrów wojny, wśród których wznosił się kwik padających koni i brzęk żelaza. A potem ucichł, zanikł. Wtedy wyteżyli słuch. Na próżno. Grzmiały już kolejne trąby, a węgierskie banderie i niemieckie rotury ustawiały się w szyku na lewo od nich, na trawiastych polach pod Nikopolis.

Rytmiczny cichy pogłos przebił wszystkie inne dźwięki. Dochodził z południa, zza wzgórz, od strony zrujnowanej wioski Vubla.

Mikołaj z Garbowa rozpoznał go. Bęben janczarów sułtana, tak wielki, że prawie nie widać było zza niego człowieka. Wybijał sygnał do boju na pohybel giaurom i wszystkim innym wrogom jedynej słusznej wiary. Była wigilia święta męczenników Kosmy i Damiana, to znaczy dzień dwudziesty piąty września roku Pańskiego tysiąc trzysta dziewięćdziesiątego szóstego.

*

Odgłos bitwy ucichł, porwany przez gorący wiatr w stronę Nikopolis, a po nim zaczął naradzać się nowy. Najpierw szmer, potem szum; zdawać by się mogło, że to ptaki zerwały się do lotu z naddunajskich mokradeł i szuwarów.

A jednak to nie były ptaki. Nagle na szczytach wzgórz zarysowała się rosnąca szybko gromada kształtów, rozpadająca się na większe grupy, to zbierająca w rozmytą masę. Była to ława pędzących bezładnie prosto na zastępy węgierskie i niemieckie... koni!

Boże święty! Wracały całe tabuny spienionych, pokrwawionych wierzchowców, rannych, kulawych, zostawiających za sobą strugi krwi; co gorsza – okrutnie pokaleczonych, najeżonych strzałami i dłuższymi od nich dzi rytami. Kilka, które zostawały w tyle, ciągnęło za sobą na strzemionach bezwładne, objijające się o kamienie ciała...

Piękne i dumne rycerskie destriery. Konie normandzkie, nieco okrągłe i kosmate, ciężkie, potężne angielskie, niektóre z nogami obrośniętymi długim, niemal kobiecym włosiem. I lżejsze z Francji i Burgundii, kształtniejsze, znać było po nich dopływ wschodniej krwi z czasów dawnych krucjat i wypraw Ludwika Świętego. Najlepsze konie rycerskie, powstałe ze skrzyżowania paradierów andaluzyjskich z grubymi klaczami armorykańskimi Francji, Langwedocji, Burgundii i Germanii. A między nimi, rzadkie jak dziewica wśród plebsu – niczym hrabiowie wśród rycerzy – przepiękne i przebogato ubrane andaluzyjskie dzianety. Żaden koń nie dorównał im w rycerskich przymiotach; urody były wyniosłej, szyje nosiły dumne, majestatyczne, głowę miały szeroką, nogi silne i ścięgniaste, ruchy wyniosłe i świetne, siły niewyczerpane. Były to rączość i poświęcenie konia Wschodu połączone z urodą, łagodnością i cierpliwością wierzchowca Północy.

Pędziły bez ładu i składu, rycerskie, paradiery, zwykłe oparchy i wałachy pachółków i kuszników. Wspaniałe kropierze były poszarpane, splamione krwią, skórzane oladrowania boków, pokryte malunkami lwów i herbowych zwierząt, ciągnęły się za nimi w pyłe i kurzu, coraz to odrzucane kopytami. Rycerskie siodła podskakiwały w cwale, kapy i opony pokryte łacińskimi napisami były w strzępach, nagłówki podarte, porwane cugle powiewały w pędzie. A z siedzisk i zadów sterczały drzewca strzał,

przyczyniając zwierzętom cierpienia, gnając je w bólu i szale ku obozom i twierdzy.

Widząc nadciągającą nawałę, piechota węgierska zwarła szeregi, nastawiła włócznie i rohatyny. Zaczęła krzyczeć, machać rękoma i gwizdać, aby rozpędzić rozhukane stada; udało im się. Przerażone konie rozbiegły się w dwie strony – do obozu i w kierunku zarośniętych jarów schodzących ku Dunajowi, zwolniły biegu, zaczęły zatrzymywać się w pędzie. Niektóre nie miały już sił, stawały, zwieszając łby, inne wręcz zaczynały się kłaść, walić na ziemię, pokryte pianą, krwią i kurzem. Zdawać by się mogło, że razem z nimi kładła się w proch i pył chwała rycerstwa Zachodu.

Zygmunt Luksemburski spoglądał na to wszystko blady, drżący.

– Panie, doradzam trąbić do wymarszu! Musimy wesprzeć gości! – odezwał się Ścibor ze Ściborzyc. – Inaczej nasz dzielny hrabia nigdy nie zobaczy Burgundii.

– Musimy czekać – wszedł mu w słowo marszałek Henryk Ostenlemichalle. – Jeszcze nie wyszły wszystkie banderie.

Król miotał się na koniu, jego niemiecki destrier zaczął kręcić się w miejscu, wrywać do przodu, cofać i przysiadać na zadzie. Giermkowie skoczyli, by go przytrzymać, bo cugle prawie wysunęły się z rozdygotanej dłoni Zygmunta.

– Czekajmy – powiedział cicho. – Czekajmy, słyszycie! Popędzić rycerstwo! Wszyscy na koń! Na koń, powiedziałem! Nadchodzi Grom! Bajazyd Błyskawica.

Daleko za wzgórzami znów biły wielkie kotły sułtana.

*

Idąc do przodu, niemal jak w odmęty – wjeżdżając na wzgórze, rycerskie hufce Francji, Burgundii i Anglii zwolniły do kłusa. Pole widzenia rozszerzało się przed nimi, w miarę jak rycerskie rumaki, uderzając miarowo kopytami, oddychając ciężko i pochylając łby, wspinały się wyżej i wyżej. Przed nimi wyłaniała się pofałdowana równina, pocięta krętymi jarami, zarośniętymi chrustem i zielskiem,

schodzącymi się i razem opadającymi do Dunaju niczym gałęzie wyrastające z jednego pnia.

Wstrząs, szok, niedowierzenie! Nadzieja! Saraceni. Z południa, od wąwozów, nadciągała długa fala jeźdźców, chmara, nieprzeliczony tłum!

Jak ich opisać? Zwiewni, upstrzeni czerwonymi plamkami kaftanów, dziwnych wschodnich tunik zapinanych na kunsztowne guzy, obramowane niczym zawiasy przy wrotach. Nie było na nich błysku stali, żelaza w rękach, a nad karkami rozpędzonych koni białały w tumanach kurzu białe zawoje i turbany jeźdźców.

Podniósł się gromowy krzyk, ryk zwycięstwa. I nagle poszarpana fala zakutych w zbroje jeźdźców zaczęła toczyć się coraz szybciej i szybciej! Uporządkowany szyk chorągwi i hufców falował, rozpadał się na ostrza, w których szpicą był rycerz w zbroi i z kopią, bokami – giermkowie, nasadą zaś brązowe przeszywanice i brygantyny strzelców. W ostrym galopie trudno było utrzymać szyk chorągwi, nie mając szkolonych koni, nie dało się zaś uderzyć ławą, mając w szeregach rwące do przodu rycerstwo. Nagle kopie zaczęły opadać z łopotem proporców, a hrabia Jean de Nevers pochylił się w siodle.

– Na nich! – ryknął, opuszczając drzewce, jakby bał się, że wyprzedzą go Filip d’Eu, hrabia d’Artois, marszałek Boucicaut i cała reszta wesołej kompanii.

– *Montjoie Saint Denis! Saint George!*

– Bij na nich! Bij pogan! Za wiarę...

Żelazna fala kopii poczęła iść wyciągniętym galopem, z łoskotem, z brzękiem, z powiewem chorągwi, z matowym lśnieniem wypolerowanych, odbijających słońce kirysów. Naprzeciw niej szła druga, o wiele bardziej uporządkowana, luźniejsza, lecz sięgająca od krańca do krańca stepu. Szybsza, zwrotniejsza, lecąca na lekkich, ale zwinnych koniach, pięknych, jakby zrodził je świt po głębokiej, rozgwieżdżonej saraceńskiej nocy.

Szli z dwóch stron, napierali, ziemia uciekała spod kopyt, przestrzeń między krzyżowcami i Saracenami zmniejszała się

z każdą krótką chwilą pokoju. Już, już dopadną do siebie...

I nagle rozpedzona, rozwiana fala Turków zwolniła, zatrzymała się prawie w miejscu, jakby chciała przyjąć bez ruchu nawałę wroga. Niespodziewanie zaczęła uciekać, zerwała się niczym ptactwo do odlotu i popędziła tam, skąd przyszła, zostawiając za sobą ociążałych, zakutych w żelazo Fracuzów.

Uciekając, sypnęła strzałami! Na krzyżowców spadły ze świstem smukłe drzewca z przyciętymi krótko lotkami. Z grotami zdobionymi ornamentami, które dla rycerzy zdawały się szatańskimi wersetami. Ktoś zwałił się z konia, rżały, rzucały się ciężko ranne wierzchowce, zostawały z tyłu; jeden zrzucił z siodła jeźdźca, zderzyli się dwaj giermkowie.

Nie wszyscy Saraceni zdołali ujść spod żelaznej nawały. Część pocztów angielskich, lewe skrzydło hufca burgundzkiego, zderzyła się z wrogiem! Z trzaskiem poszły w drzazgi kopie, zrzucając z kulbak lekko odzianych, zastawiających się okrągłymi tarczami jeźdźców. Znowu świsnęły strzały, odbijając się od zbroi, wbijając w tarcze, znacząc końską krwią ladry i pancerze.

– Aaaaa! Jezuuu! – krzyczał giermek, a może pacholek, wyrwany z siodła przez arkan i wleczony na sznurze za uciekającym Turkiem z plecami osłoniętymi okrągłą miękką tarczą, różnobarwną jak arabski dywan.

Większa część rycerzy uderzyła w pustkę. Zamiast zetrzeć się jak równy z równym, zobaczyli przed sobą gromady pierzchających, końskie zady i kopyta wyrzucające w górę kurz i pył. Strzały leciały jak grad. Jean de Nevers poczuł dwa uderzenia – jedno w bok basinetu, drugie w pierś; nie wiedzieć, czy odbijały się groty, czy były to rykoszety. Ostrza niewiele szkodziły rycerzom w zbrojach, za to wbijały się w przeszywanice i kolczugi pacholeków, przebijały kapy i pikowane ladry końskie.

Szli jak w odmęty, z całych sił poganiając i tak już spienione rumaki. Jak w niesamowitym widowisku, teren zaczął stopniowo opadać w głąb kolejnego jaru. Nikt na to nie zważał, nikt nie patrzył.

Wpadali w matnię, zjeżdżając w dół, bo pochyłość, chociaż łagodna, ciągnęła się na przestrzeni ćwierć mili. Kto by tam zresztą zliczył kroki! Nagle, nim ktokolwiek zdołał się zaniepokoić, gromady uchodzących Saracenów rozpadły się na dwie wzorzyste chmury – które rozbiegły się na prawo i lewo, odsłaniając wznoszące się ku górze trawiaste i zarośnięte wysokimi chaszczami zbocze. Nie byłaby to żadna przeszkoda, gdyby nie stercząca na wzniesieniu równa i gęsta palisada. Za zaostrzonymi palami widać było turbany stłoczonych Saracenów... morderczo czujnych, ufnych w przewagę łuków.

– Stać! Stójcie! – zakrzyknął Enguerrand de Coucy i zaczął wstrzymywać konia. Nikt go nie słuchał, więc chwycił za róg i zagrał dwukrotnie. Trąby powtórzyły ten głos, ale... jak wołający na puszczy.

Rycerze wpadli na palisadę z kwikiem koni, z wrzaskiem, łoskotem. Zwierzęta poczęły walić się z nóg, nabite na zaostrzone kołki, wierzgać, zderzać się. A ludzie – krzyczeć, szarpać się, ściśnięci między napierającymi z tyłu kolejnymi szeregami zbrojnych a płotem z bali, boleśnie ograniczającym ich rozpęd. Konie padały, wierzchowce tratowały leżących...

Jęk zwalnianych cięciw, szum wylatujących strzał!

Tym razem dostali mocno. Wypuszczone z bliska groty wbijały się w ciała, w piersi, grzbiety, zady. Z tak niewielkiej odległości przebijały na wylot tarcze, pancerze, kirysy zbroi okryte watowanymi tunikami, wbijały się w hełmy, w wizury zasłon, rzucając rycerzy w dół, pomiędzy kopyta rozszalałych wierzchowców. Część koni, ta, co straciła jeźdźców, zaczęła wyrywać się ze ścisku, uciekać na północ.

– Jean?! – krzyczał hrabia Filip. – Co robić?! Wydaj rozkaz!

Saraceni strzelali, a pan de Nevers widział, jak ich dowódcy, w turbanach, z czarnymi, opadającymi wąsami, pokazywali strzelcom cele. Burgundczycy walili się z siodeł niczym snopy. Po szaleństwie szarży poczuł chłód, ucisk w gardle, nie był w stanie wypowiedzieć ani słowa.

– Odstępujemy! – krzyczał Enguerrand de Coucy. – To pułapka!

– Nie! – zakrzyknął rycerz z dwugłowym czerwonym orłem na piersi. Podniósł zasłonę, ukazując spocone, zakrwawione oblicze Boucicauta, marszałka Francji. – Nigdy! To zwykłe parobasy, plebs! Czeladź, przekłęci łucznicy! Z koni! Przerąbiemy się przez pniaki! Zabijemy ich! Albo oni nas wybiją! Nie uciekniemy! Wy-bi-ją!

– Z koni! – wtórował mu Jean de Vienne, admirał Francji. I odwracając się do swoich towarzyszy, zakrzyknął: – Z siodeł, synowie! Dajcie przykład!

Rycerze poczęli zeskakiwać z wierzchowców, przedzierać się przez trupy i rannych do palisady. Zabłyśły miecze i topory – rąbali skośne, zaostrzone, zakrwawione bale, zagładając w oczy różnobarwnej ciżbie Turków po drugiej stronie.

– Panie! – zakrzyknął giermek hrabiego de Nevers. – Panie, Węgrzy... Wołosi uciekli.

– Osłaniajcie mnie! – zakrzyknął Filip, konetabl Francji, zeskakując na ziemię. – Za mną, barankowie. Razem!

Z wściekłością rąbali ostrzami pniaki. Raz za razem, odłupując garście drzazg. Prosta linia pali zaczęła falować, padać.

– Zróbcie miejsce dla jazdy! – krzyczał hrabia de Nevers. – Zbierać się! Klinami! A ja... – zawahał się. – Ja na przedzie...

– I jakoś to będzie – dopowiedział Enguerrand de Coucy.

*

Jak nazwać tę walkę? Była jak starcie drwali z lasem, kosiarzy z łanem zboża. Tylko że żaden łan ani las nie będzie bronił się przed ludźmi, posyłając im prosto w twarz śmiertelne groty strzał. Z jednej strony rycerze w zbrojach, pochyleni, osłaniani tarczami przez giermków, zastawiający się pawężami. Głowy ukryte w hełmach, za kolczymi czepcami, oczy ślepiące krwawo przez szczeliny opuszczonych zasłon. Rąbiący toporami, mieczami przekłete bale, palisadę, za którą czaiła się śmierć. Byli jak niewzruszeni idole, groty odbijały się od ich hełmów i napierśników,

giermkowie i strzelcy cisnęli się za plecami, szukając schronienia przed morderczymi strzałami.

Za palisadą kłębił się różnobarwny tłum Saracenów, śniade, spalone słońcem oblicza wyzierające z coraz większą trwogą spod turbanów. Mdlejące ręce napinające łuki – dziwaczne, nigdy niewidziane, wygięte esowato na krańcach. Nałożenie strzały, naciągnięcie, zwolnienie cięciwy z zekiera, najpierw na komendę setników, potem już wedle woli. Świst jeden za drugim. Mdlejące od ciągłego napinania ramiona. Coraz bardziej przerażone spojrzenia rzucane na ogromnych, nieludzkich wprost, stalowych wojowników, prących do przodu niczym szejtany. I z każdym ciosem, z każdym krokiem kruszących mur dzielący ich od tureckich piechurów.

– *Allach akbar! Allach akbar!*

Palisada padała. Zaostrzone pale waliły się, podcięte u nasady, te mniejsze były wręcz wyrywane. Trzy, cztery wyłomy; wzniesione w górę miecze!

– Za mną! Za wiarę! Naprzód! – wykrzyknął Boucicaut.

A admirał Jean de Vienne pochwyił od chorążego ogromną, świętą dla wszystkich chorągiew z Matką Bożą. I wznosząc ją ponad głowami rycerstwa, pierwszy rzucił się w wyłom. Strzały mijały go, jakby odbite niewidzialną osłoną. Za nim runęła żelazna powódź rycerstwa. Najpierw przeciskając się przez przerwy w palisadzie, potem rozlewając w potoki.

Saraceni strzelili jeszcze raz, ostatni, prawie nie patrząc, i z krzykiem zaczęli pierzchać. Za późno!

Zagryzając zęby, aż krew poszła niektórym z dziąseł, krzycząc z wysiłku ponad ludzkie siły, Burgundczycy i Francuzi wpadli na lekkozbrojną piechotę sułtana. Starcia prawie nie było. Uzbrojeni w łuki, szable i włócznie azabowie podali tyły. Jean de Nevers zobaczył przed sobą pobielale z przerażenia oblicza śniadych przeciwników. Ciął z góry, na odlew, poprawił pchnięciem, obalając rąbiącego jataganem przeciwnika. Nie silił się nawet, aby odbić ciosy, wszystkie skończyły jako nacięcia na hełmie i lewym naręczaku. Nie miał sił, aby gonić wrogów, pozostał zakrwawiony,

z poszarpanym, poznaczonym nacięciami napierśniku, ze strzałą sterczącą z herbowej tuniki z burgundzkim lwem.

– Miejsce dla koni! – wołano zewsząd. – Konni!

Zabrzmiały rogi, ostatnie grupy zbrojnych i poczty rycerskie, które miały jeszcze wierzchowce, przeciskały się przez palisadę, wyrywały do przodu, gnając za uchodzącymi Saracenami.

– Sir! – krzyczał Helion de Naillac, przyboczny hrabiego, także bezkonny. – Panie, zwycięstwo!

– Za nimi! – rozległa się wrzawa. – *Montjoie!*

Ktoś przedzierał się do hrabiego... Boucicaut. Obryzgany krwią, w przeoranej strzałami tunice, z poszarpaną szorcą. Podniósł zasłonę włoskiego hełmu, ukazując czerwone, nabiegłe krwią oblicze.

– Panie hrabio, wybiliśmy pogan! Czas wycofać się... po konie, odpocząć.

– Mamy straty, prawie połowa została bez wierzchowców – zawtórował mu admirał Jean de Vienne, trzymając świętą chorągiew krucjaty.

Jean de Nevers zdjął hełm, potrząsnął głową z mokrymi, podgolonymi na skroniach włosami.

– Nie... Nie – powtórzył. – Dostyc się was nasłuchałem. Idziemy po łupy, idziemy po zwycięstwo! Tam, za wzgórzem, musi być obóz sułtana. Naprzód! *Montjoie!* Chodźmy i dobierzmy się do niego! Niech nasza chwała będzie wieczna!

Ochryply wrzask towarzyszył jego słowom, kiedy zaczął iść na południe, prosto, zdecydowanie, jak gdyby decyzja ta zdjęła z jego ramion cały powalający trud szarży i walki o palisadę. Admirał przeżegnał się, uchwycił mocniej drzewce chorągwi i począł iść za nim.

I nagle najpierw z kilku, a potem ze wszystkich gardeł poczęła wyrywać się pieśń, jak chóralny krzyk:

*Le Roy Louis a convoqué,
Tous ses barons et chevaliers.*

*Le Roy Louis a demandé,
Qui veut me suivre où que j'irai?*

*Les plus ardents se sont dressés,
Ont juré Foi, Fidélité.
Les plus prudents ont deviné,
Où le Roy voulait les mener!*

*

– Miłościwy panie – prawie krzyczał Zoltan Nagyi, komes Szegedynu – Frankowie pobici w zasadzce! Tylko myśmy się wyrabiali, o królu!

Zygmunt Luksemburski, bez hełmu, ale w koronie, zatoczył koło na paradnym aragońskim karoszu. Zacisnął zęby.

– Ach, ta ich... pycha! – zajęczał. – Ta duma, aby poniżyć nas, uczciwych Niemców. Bóg ich skarał, cóż, a przez to i nas dosięgnie klęska. Czemuż nie poczekali?!

– Być może ciągle walczą, panie – odezwał się Ścibor ze Ściborzyc. – Jeśli uderzymy, możemy zaskoczyć Turków wycinających niedobitki... hm... naszych drogich gości.

– Nie zrobimy tego – uciął Zygmunt. – Czekamy. Wyślijcie kolejnych zwiadowców, Wołochów. Niech sprawdzą, gdzie jest sułtan. I zbiorą, przyprowadzą mi niedobitków.

Oswald von Wolkenstein słuchał królewskich słów, czując, jak dusza kurczy się w nim niczym kwiat w ogniu. Krucjata nie wyglądała już jak rycerska wyprawa pełna chwały i pieśni. Zbyt wiele było krwi, a słowa, które wypowiadali możni, niewiele przypominały przemowy Karola Wielkiego i Ludwika Świętego. Młody paż i giermek po prostu dygotał.. Ściskając z całych sił drzewce proporca, jakby to miało być ostatnie jego oparcie.

– Stój spokojnie, odetchnij pełną piersią – odezwał się cicho Mikołaj z Garbowa. – Nie płońz konia. Czuje twój strach, a dobry

z niego mierzyn.

Oswald popatrzył na przybocznego rycerza pytającym wzrokiem, jakby sam chciał oskarżyć Polaka o niepokój.

– Nie trzeba wstydzić się strachu. To jest najlepsza broń Turków. Są jak dziki zwierz, co rozszarpie uciekającego tchórza, a tego, który dzielnie stanie mu na drodze, ominie szerokim łukiem.

– Powiedziałyby ktoś, że ich podziwiasz, panie.

– Szanowali mężnych. Przynajmniej do dzisiaj. Więc nie spraw nam zawodu. Stój i czekaj.

*

Nie odeszli daleko od porąbanej i pokrwawionej palisady, kiedy nagle płaski teren zakończony kolejnym jarem zaroił się i ożył. Z południa wracały konne hufce, na ledwie żywych, spienionych rumakach. Lecieli pędem, pokrwawieni, niektórzy bez hełmów i kolczych kapturów, z tarczami najeżonymi sterzcącymi strzałami.

– Saraceni! – krzyczeli. – Idą ku nam! Sam sułtan! Morze ludzi! Panie, bądź nam miłościw.

Jeszcze nie przebrzmiały te słowa, kiedy od strony wroga zabił wielki, przeogromny bęben; jeden, a może kilka, których głosy splatały się w potężne, podwójne i dodatkowo jeszcze sparowane uderzenia, od których mogło się wydawać, że zadrżała ziemia.

Ta-dam tam. Ta-dam tam, ta-dam tam, ta-dam tam...

– Równać! W linię! – krzyczał hrabia de Nevers, sekundowali mu dzielnie Jean de Vienne z chorągwią na przedzie i Boucicaut, na prawym skrzydle zaś Jean de Beaufort, wódz zaciężnych Anglików, dowódca krzyżowców z wyspy.

I nagle przed nimi jakby biała rzeka wystąpiła z brzegów. Z kolejnego jaru wylał się nieprzeliczony tłum białych postaci. W uszy uderzyła dzika muzyka fletów albo piszczałek, trąbek i bębnow. Nieprzeliczone zastępy wojowników, roślących, potężniejących w oczach.

Bębny biły cały czas: ta-dam tam, ta-dam tam...

– *Allach keriiiiim!* – zaintonowały cienkie, piszczące głosy.

– *Huuuuuuuuuu-on!* – odpowiedział tłum jednym, gromowym okrzykiem.

I ruszył. Jak rzeka, która przerywa tamę!

Jak ich opisać, jak odmalować? Zanim to zrobisz, krzywa szabla albo jatagan zetnie rękę z piórem. Ogromna masa wielkoludów w białych czapach przypominających odcięty rękaw koszuli giganta. Każdy ze sterczącym nad ramieniem zagiętym gryfem łuku, każdy z szablą albo wygiętym ostrzem jataganu w ręku, niektórzy z tarczami. W szaleńczym pędzie szarży powiewały im na plecach skóry lampartów. Z bliska nacierający zdawali się olbrzymami; wszystko przez białe kominy na głowach!

Ta-dam tam, ta-dam tam, ta-dam tam...

Z gwizdem i obłądnym, ogłuszającym zawodzeniem fletów Turcy wpadli na szeregi rycerstwa z takim impetem, że niektórzy przewalili się przez szeregi tarcz, spadając na głowy i ramiona stojących w drugim szeregu giermków. Tam zaraz przeszyły ich długie żądła mieczy. Zakotłowało się, żelazna ściana tarcz i zbroi zafalowała, ale nie ustąpiła. Zewsząd, zda się, napierało na krzyżowców mrowie dzikich, wąsatych twarzy, czasem wręcz wcale nie saraceńskich, ale jasnowłosych i błękitnookich. Atakowali z wrzaskiem, z krzykiem, z zawodzeniem, tnąc szerokimi zamachami. Podczas gdy zakuci w żelazo przeciwnicy ważyli każdy cios, zbijając błyski szabel tarczami, przyjmując chłaśnięcia na pawęże, basinety, naręczaki, kirysy; z rozmachem rozrąbując okryte luźnymi kaftanami ciała. Wszystko na nic – na miejsce każdego zabitego wyrastało trzech nowych, pchających się do walki, napierających na szeregi w dzikiej furii. Ranni podczołgiwali się na rękach, aby pchać handżarami od dołu nieosłonięte szorcą krocza chrześcijan, wbijać ostrza w słabiej opancerzone nogi, niespodziewanie obalać i podcinać nogi walczącym.

– Ta-dam tam, ta-dam tam, ta-dam tam...

Pozycja dałaby się jeszcze obronić, może nawet Jean de Nevers i jego towarzysze przerąbaliby się przez szeregi piechoty wroga,

gdyby ktoś osłaniał im tyły. Nagle bowiem z lewej i prawej doszedł do nich łoskot kopyt. Hrabia de Nevers odwrócił się na chwilę, osłaniany przez Heliona de Naillac i Waltera de Ruppens. Zobaczył nad linią żelaznych hełmów, wzniesionych mieczy, młotów i toporów – jak z boku wypada luźna gromada konnicy, zabiegając im tyły.

Z dzikim wrzaskiem, w takt bijących bębnow z obu boków spadli na nich jeźdźcy w pancerzach okrywających ciało i wierzchowca, w kulbakach z wyciągniętymi w górę, wysmukłymi łękami. Z blachami zbroi i wzorzystymi płytkami na piersi. Ich wysmukłe szyszaki zdobione były kitami z piór, kolcze czepce dochodziły aż pod okap hełmu, zakrywając twarze, pozostawiając tylko dwa czarne otwory szaleństwa.

Wpadli w szeregi Burgundczyków i Francuzów, tratując zbrojnych jak łan zboża, rąbiąc szablami, rzucając krótkimi dzirytami. Z tak bliskiej odległości ostrza włóczni przebijały pancerze i blachy na piersi, wbijały się w tarcze, wytrącając je z rąk, godziły w odsłonięte oblicza lub plecy. Za ciężkozbrojnymi jeźdźcami wdzierali się w szeregi krzyżowców czarni jak noc mamelucy z Egiptu i Afryki, w białych zawojach na głowach, pancerzach z płytek. Za nimi lekkozbrojni Turkmeni w zbrojach niczym zwierciadło. Z boków z przyłożenia szyli z łuków Mongołowie, w hełmach jak cztery klapy opadających na ramiona, z dzikimi, srogimi obliczami.

– Saraceny! Turbanyyyy! – zawył stary i ślepy Bertrand de la Tremouille. – Diabeł na nich! *Montjoie Saint George!*

Sam jeden rzucił się na konnicę wroga, wywijając bojowym młotem. Potknął się, jego giermek Karol de Chatillon chciał go podtrzymać, jednak stary był nie tylko głuchy i ślepy, ale i głupi. Zamiast bić Saracena, uderzył w giermka, zdzielił go w hełm, poprawił z lewej, w prawe ramię, w pierś, wywijał młotem na ślepo.

Karol de Chatillon padł ogłuszony, oślepiiony, zwałił się między ciała. A zaraz potem na polu obok zległ jego na wpół ślepy pan, bo bez pomocnej dłoni sługi potknął się na zakrwawionym, okrytym

pancerzem ciele pachółka. Już nie wstał. Nie dały mu tego uczynić podkute kopyta mameluckiego konia.

– Niemcy? Gdzie są Niemcy?! – rozdarł się Filip hrabia d'Artois, który dopiero teraz wychynął z odmętów bitwy. – Gdzie Luksemburczyk? Gdzie ten tchórz!

– Walczcie, głupcy! – krzyczał Enguerrand de Coucy. – Do końca! Amen!

– Każcie trąbić odwrót!

– Dokąd? Dokąd chcesz uciekać, marszałku? Nie ma gdzie!

Ta-dam tam, ta-dam tam, ta-dam tam...

Nie było gdzie uchodzić. Saraceni i ich niewolnicy otoczyli rycerstwo prawie ze wszystkich stron. Czasem tylko z koliska wydzierały się grupy pieszych i konnych, zmierzając w szaleńczym pędzie do Nikopolis, ku zbawczej wielkiej rzece. Pozostali rąbali z zaciekłością, odbijając ostrza, czasem nie mając sił, by krzyżeć.

Karol de Chatillon ostatkiem sił podźwignął się na nogi, stanął bez topora w ręku wśród rzezi. Zobaczył, jak piesi wojownicy sułtana w białych zawojach rozrywają szeregi rycerstwa, jak obalają zbrojnych, podrzynają im gardła, nie biorąc jeńców. Wszystko działo się jakby za ścianą, odgrodzone niewidzialnym murem od giermka. Prawdziwy był tylko ból głowy, mdłości w ustach i ból prawej strony ciała, prawie bezwładna prawica...

I jeszcze tylko uścisk na lewym ramieniu.

Ktoś zatrzymał tuż koło niego spienionego, szarpiącego się konia. Był bez hełmu, zakrwawiony, równie młody jak de Chatillon. Miał jednak segmentowy pas rycerski i ostrogi.

– Wsiadaj, chłopcze! – krzyczał. – Za mnie, łap się i trzymaj, a ocalejesz!

Karol sam nie wiedział, jak wskoczył na koński zad, uchwycił się wpół wybawiciela, a rumak dźgnięty ostrogami ruszył z kopyta, choć pod podwójnym ciężarem. Strzały świszczą koło uszu.

Wyrwał się z błędnego koła, przemknął obok tureckich wojowników, wyminął Mongołów, runął w step...

– Jak wy... komu zawdzięczam? – wycharczał Karol de Chatillon prosto do ucha zbawcy.

– Jean de Guido. Do usług, młody panie.

Podniósł się krzyk, kiedy ogromna biaława chorągiew z wizerunkiem Maryi zachwiała się, padła, bo runął na kolana jej wierny adorator admirał Jean de Vienne po ciosie w głowę zadany turecką szablą. Wstał, strząsając z siebie napastników, podniósł miecz i ciął rosnącego Saracena w zawoju, na skos, przez pierś, obalił drugiego. I znowu padł, kiedy rzucili się na niego, wdeptywali w krew i proch, rąbali szablami.

Raz jeszcze podniósł się jak niewzruszony pomnik rycerskiej cnoty. Na chwilę chorągiew załopotiała dumnie nad umierającymi zastępami. I znowu się zniżyła, uderzyła w ziemię, okrywając jak płachtą porąbane, powykręcane w męce ciała.

Wstała tak jeszcze dwa, trzy razy, kiedy podnosił się admirał Francji. Lecz wreszcie zarąbali go, zasiekli. Gdy zwałił się ostatni raz i już nie poruszył, trzech wojowników, zdających się olbrzymami, schyliło się po święty znak. Byli bohaterami, janczarami, przybocznymi gwardzistami sułtana. A jednak pomimo całej siły nie mogli wyrwać drzewca chorągwi z zaciśniętych rąk Jeana de Vienne.

Opór już zanikał, nie miał sensu, zresztą zwycięzcy też byli zmęczeni, pobici, pocięci, zlani potem i krwią, krwawe szramy znaczyły zawoje, długie szaty zapinane na rzędy lśniących guzów. Zatem krzyżowcy poczęli wbijać miecze w ziemię, klękać, modlić się.

– Poddajemy się! Sułtan okaże nam łaskę! – jęczał Filip hrabia d'Artois.


– Poddać się? Poganom? – odkrzyknął Jean de Nevers. – Jakże to?

– Wszystko stracone! Nie mamy siły – apelował Walter de Ruppens. – Hrabio, bądźże rozsądny. Ciebie oszczędzą. Okaż miłosierdzie tym, których nie uchronią godności.

Jean de Nevers, następca księcia Burgundii, zawahał się. Nie odłożyłby miecza, gdyby nie Enguerrand de Coucy, który po prostu wbił ostrze bastarda w ziemię.

Widząc to, odrzucił broń jako ostatni i pochylił głowę.

Bębny zabiły raz jeszcze. Ogromna fala postaci w turbanach i zawojach rzuciła się na krzyżowców. Pokryła ich jak mrowie mrówek powalonego lwa.

- 
1. *W imię Boga, Miłosiernego, Litościwego.*
 2. *Zaprawdę My daliśmy ci wyraźne zwycięstwo.*
 14. *A jeśli chodzi o tych, którzy nie wierzą w Al-lacha i Jego Posłańca, My niechybnie przygotowaliśmy dla nich ogień.*

Al-Qur'ān, Sura 48 Al-Fath (Zwycięstwo)



Jeśli zaprzestaną grzechu i uczynią odpowiednią pokutę, znajdą miłosierdzie i zdejmę wyroki z ich głów.

Święta Brygida Szwedzka, „Objawienia”





Rozdział II

Gniew tyrana

Najjaśniejszy panie i królu! – Głos Ścibora ze Ściborzyc był beznamiętny; jakby przemawiał kupiec albo patron w sądzie, wygłaszając sakramentalne: wóz albo przewóz. – Albo wyjdziemy w pole i przyjmiemy bitwę, albo czekamy. Wówczas sułtan na pewno nie zapomni o nas, kiedy rozprawi się z Francuzami i Burgundami!

Albo też uciekniecie i okryjecie się śmiertelną infamią...

Tych słów Ścibor już nie wypowiedział. Nie trzeba ich było mówić, były logicznym dopełnieniem wywodu, godziły w Luksemburczyka jak strzały w Świętego Sebastiana.

– Nie porzucimy, królu, z takim trudem zebranej krucjaty, wojsk i świętych mężów. Nie chciałbyś chyba dodać złych przydomków do imion nas wszystkich – odezwał się Mircza Stary.

Zygmunt podniósł rękę zaciśniętą w pięść.

– Grajcie do ataku. Dziej się wola Boża...

Odezwały się trąby, słabo, jakby pobrzmiwały w nich chwiejne wola i wiara króla. Dopiero po chwili zagrzmiały mocniej.

– Proszę, wy też się boicie – wyszeptał Wolkenstein, widząc, jak Mikołaj z Garbowa podnosi zasłonę basinetu i całuje krzyż. – A mnie strofowaliście...

Polak opuścił krzyżyk na folgi kołnierza zbroi.

– Tylko głupcy nie znają strachu. A zdrajcy boją się po dwakroć. Lękam się jak każdy, lecz najbardziej o moich synów. Zostawiłem w domu trzech. Jana Farureja starszego, Piotra najmłodszego i średniego. Średni to...

Wolkenstein nie słuchał.

– Średni to Zawisza. Chłopak jak złoto. Jednak... wolę tu zginąć, niż miałby się dowiedzieć, że jego ojciec był tchórzem.

Przebrzmiały trąby, podniosły się proporce. Ogromna fala jeźdźców najeżona ostrzami poczęła równo i wyniośle postępować w górę, pod wzgórze. Najpierw ruszyły węgierskie banderie lewego skrzydła, lżej uzbrojone niż Burgundowie. Tylko panowie, żupani i banowie byli w pełnych zbrojach, w basinetach ze spiczastymi zasłonami, niektórzy w przestarzałych krecich pyskach albo hełmach bez zasłony. Pozostali w płatach, w kolczugach, czeladź i giermkowie w osłonach ze skór, inni w kirysach na przeszywanicach. Ich konie były mniejsze, zwinniejsze, bez kropierzy i pancerzy; czasem w tłumie mignął nakarczek lub naczółek. Banderie prowadzili z obu skrzydeł Leusták Jolsvai, palatyn Węgier, i Miklós II Garai, ban Chorwacji i Dalmacji, obaj z pocztami wielkimi niczym całe chorągwie. Za nimi postępowały doborowe chorągwie niemieckiej jazdy zaciężnej, w pełnych zbrojach, wiedzione przez Filiberta de Naillac, mistrza joannitów z Rodos.

Oddalali się od Nikopolis, niezdobytej twierdzy, pozostawiając pod nią piechotę i kuszników; coraz wyraźniej zwiększał się odstęp pomiędzy ogromną czerwono-błękitno-brązową masą jazdy a szarobrązową ćmą pachołków. Wreszcie dowódcy kazali zagrać krótko i ława jeźdźców ruszyła szybciej, rysią. Równy dotąd szyk od razu zafalował, zaczął się rozłamywać; jedne banderie szły szybciej, inne wolniej, rycerze wyprzedzali giermków, ci doganiali ich galopem, w tumanach kurzu, z tyłu dreptały pochodowe konie strzelców i pachołków.

Podjeżdżając pod wzgórze, zalali je niczym wiosenna powódź, podeszli pod górę, aż wreszcie ukazała im się pofalowana równina opadająca w dół. Tam wrzała jeszcze bitwa, unosiły się kłęby pyłu, ledwie dostrzegalnie błyskała stal. I nagle, najpewniej na rozkaz sułtana lub jego wezyra, z kłębowiska zaczęły wyłaniać się gromady jeźdźców i formować długie linie konnych oddziałów.

– Na co czekacie? – krzyknął Zygmunta do swoich przybocznych i dowódców. – Oni wciąż walczą. Zróbcie coś! Od czego jesteście!

Jazda schodziła ze wzgórz, prosto na równinny teren przed jarami kończącymi się z prawej, zachodniej strony spaloną, zrujnowaną wioską. Szła siłą rozpędu na Turków i ich sprzymierzeńców, coraz bliżej...

Palatyn Węgier skinął głową na gońców, dał znać trębaczom, każąc się zatrzymać.

Opadły proporce, pochyliły się chorągwie, trąby zagrały długo. Idące kłusem rycerskie hufce poczęły stawać.

– Wyrównać szyk! – rozkazał Jolsvai Leusták. – Jedźcie!

Gońcy ruszyli wzdłuż banderii, okrzykując przedchorągiewnych rycerzy i chorążych. Zastępy poczęły falować, rwać szyk, by zaraz odtwarzać go na nowo; Węgrom szło sprawniej, bo szli po prostu w kilku szeregach, w formacji przypominającej prostokąt, ale Niemcy przez długą chwilę szarpali się z końmi, niektórzy wręcz wyrywali do przodu, aby zaraz potem zawrócić i wciskać się w swoje miejsce w kolumnie jeźdźców.

– Patrzcie! – zakrzyknął Ścibor ze Ściborzyc. – Wolkenstein, wyteż wzrok. Tam, koło wioski!

Za chwilę zobaczyli to już wszyscy – w nowych tumanach kurzu zza glinianych domostw i resztek płotów wynurzała się konnica... Zupełnie inna niż turecka. Wojownicy w zbrojach, nieraz piękniejszych niż pancerze węgierskich rycerzy. Błyszcząca stalą, żółcią i brązem.

To nie byli Turcy! Nie mogli nimi być!

– Co widzicie!? – zakrzyknął Ścibor do Wolkensteina. – Mówcie, zawieram waszym młodym oczom.

Królewski paź wyteżył wzrok, zmrużył błękitne oczy.

– Widzę chorągiew, piękny, krasny gonfanon. Nad nim złocisty ptak, dwugłowy orzeł z dwoma trąbami. Szlachetny władco, to Serbowie.

– Stefan Lazarević.

– Na Boga, idzie nam z pomocą!

– Nie – pokręcił głową Ścibor. – Przyszedł na naszą zgubę.

– Dwie głowy orła są jak smocze łby – powiedział ponuro Wolkenstein.

Serbowie rozpędzali się. Ogromna rzesza konnych rycerzy, zbrojnych nie gorzej niż wasale Zygmunta. Narastał łoskot kopyt i ryk, krzyk nacierających rycerzy, rozpaczliwy, smutny, jakby krzyczeli nie atakujący, ale zwyciężani.

– Trąbić do ataku! – wydał rozkaz palatyn Leusták.

Ryk trąb, rzenie wierzchowców, przez chwilę panował nieład. Pierwsze zaczęły zrywać się do szarży węgierskie banderie, lotne jak ptaki. Chwila i szli już mocnym, rozfalowanym galopem, kołysząc się w siodłach, pochyleni do przodu. Z łopotem proporców opadł w dół las kopii i wtedy jeźdźcy odpuścili wodze, dodając koniom pędu ostrogami.

Polscy rycerze przyboczni przyjęli ciężkie kopie od giermków; wysunęli się karnie do przodu, zasłaniając króla Zygmunta murem tarcz, kirysów i zbroi. Z tyłu trzymał się Wolkenstein z proporcem,

dalej giermkowie i służba. Ruszyli ciężkim kłusem, od razu weszli w galop, nabierając pędu...

Czasu nie było. Nagle ujrzeni na wprost siebie rozkołysaną linię żelaznych jeźdźców serbskich, ich pochylone głowy, ramiona i ręce trzymające wyciągnięte kopie! Mało miejsca na rozpęd. Za mało...

Jedno uderzenie, dwa, trzy ciosy, błysk; zderzyli się!

Nadeszła chwila, w której wszystko działo się za szybko, jak we śnie, jakby ludzki umysł nie nadążał za chwilą, w której dwie ławy ciężkozbrojnych rycerzy wpadły na siebie w pędzie, godząc kopiami w hełmy, piersi, tarcze! Moment, kiedy rycerski instynkt wyrobiony w ćwiczeniach, turniejach, walkach działa szybciej niż myśl, kiedy pamięć zakuta w ramionach, nogach, instynkt bojowego konia wartę są więcej niż rozsądek. Kiedy nie ma czasu niczego przemyśleć. Po prostu zawierucha, bój, śmierć!

Z trzaskiem pękających tarcz i zbroi zwalili się z siodeł rycerze, padły konie, czasem zrzucając i przygniatając jeźdźców. Inne zrywały się, kopiąc i wierzgając jak furie.

I wtedy spoza końskich pysków okrytych żelaznymi naczółkami, zza chaosu przewracających się zbrojnych wypadł rycerz w błyszczącej, niczym nieosłoniętej zbroi. Z nastawioną kopią, walił prosto na ogromną chorągiew króla Węgier, godząc grotem w sam środek okutej mosiądzem włoskiej płyty Zygmunta Luksemburczyka. Huk, tętent kopyt, wszystko jak we śnie!

I jak we śnie przed króla wysunął się rycerz w prostej, okrytej tuniką zbroi, z polską Sulimą na tarczy, z nastawioną, naszykowaną do uderzenia kopią. Uderzył krótko, w jednej chwili zmiotł z siodła szarżującego Serba, odrzucił ułomek drzewca i...

Dostał z boku, spadł, runął pod konia, ten jednak nie stratował go, wspiął się trochę, jednak wytrzymał bitewny szal i zamęt! Tuż obok bili się pozostali Polacy, zrucani z siodeł, rąbiący mieczami w koło, bo mrowie przeciwników zacieśniało krąg wokół nich, napierając końmi. Tnąc, kłując, rąbiąc, zwalając wrogów.

Wielka chorągiew Węgier dzielona w słup, z czerwono-białymi pasami na lewym i stojącym dęba gryfem Zygmunta na prawym

polu, zachwiała się, padła...

Trzask! – wyleciał z siodła królewski chorąży, łamiąc kopię, której drzewce wciąż tkwiło w jego ciele. Podniósł się wrzask, jęk bólu w zamęcie bitwy.

– Turcy! Turcyyy! – rozległy się krzyki.

I rzeczywiście, za Serbami nadlatywali już lotni, szybcy i zwinni osmańscy jeźdźcy, zamykając luki, obchodząc z boków Węgrów i Niemców, zamykając kolisko wokół krzyżowców, równie sprawnie jak wcześniej wokół Burgundczyków, Francuzów i Anglików.

– Panie, ratuj Węgry! Uchodzimy! – krzyczał nadworny rycerz Hermann Cilli. – To koniec! Koniec.

Zygmunt nie potrzebował nic dodać. Obrócił konia, oddając wodze w ręce Hermanna i Jana, burgrabiego Norymbergi, który dziwnym trafem znalazł się tuż obok. Skinął na Ścibora ze Ściborzyc.

– Opuszczam pole – wycharczał. – Prowadźcie w imię Boże...

Polacy poprowadzili go w tył, wyrąbując przejście, lecąc coraz szybciej i szybciej, pozostawiając walczącą, zakleszczoną armię, chlubę rycerstwa, rannych, walczących i konających. Rzucając precz rycerski honor i sławę, z takim trudem zwołaną i zgromadzoną krucjatę. Mijali maruderów, szaleńców uciekających z pola i nowe oddziały jazdy walące prosto w bój, niezatrzymujące się nawet na widok uciekającego króla.

Daleko za nimi w bitewnym szale Mikołaj z Garbowa poderwał się z ziemi, zroszonej krwią; miecz ciągle miał w pochwie, chwycił więc wiernego towarzysza. Bił się, rąbnął skosem, na odlew znad lewego ramienia, kiedy dojechał go serbski rycerz na kłusującym koniu, spychając w bok. Polak przyjął jego cios na prawy naramiennik, sam uderzył oburącz długim mieczem, przerąbał róg tarczy, trafił w hełm przeciwnika i poprawiając, uderzył w pierś głowicą trzonu, wrywając wroga z siodła, zrzucając w tył.

Nagle został sam pośród krzyżujących się mieczy, uderzeń, cięć i pchnięć jak iskry.

I wtedy pochylił się, wywlókł spośród kłębowiska pokrwawionych ciał i chorągwi Oswalda Wolkensteina, skulonego, bez hełmu,

w zbroi poznaczonej nacięciami. Samochwała oczy miał zamknięte, krew spływała z nosa.

– Mam syna jak ty, tak dzielny jak ty głupi. Moglibyście razem w świat ruszać! Wstawaj i uciekaj!

Niemal siłą podciągnął pazia na kulbakę serbskiego wierzchowca; chłopak otworzył wzrok, zamrugał oczyma, spoglądając na rycerza.

– Uciekaj, głupcze!

– Nie mogę.

– Nic tu nie działasz. Będiesz się jeszcze chwalił... bliznami. Uciekajcie! – wrzasnął do pozostałych, splątanych w walce.

– Ujjjj, moja zbroiczka – jęczał Świętosław Szczenię. – Jak ja ujdę żywy?! Jak?

– Za nimi – krzyknął Polak. – Ja was osłonię, mnie Zygmunt wykupi! I przekaż – krzyknął – przekaż moim synom w Garbowie, że...

Popchnął go w stronę, w którą uciekł król. A sam odwrócił się, unosząc miecz.

Serbowie i Turcy rzucili się na nich ze wszystkich stron. Odepchnął nacierającego wojownika w spiczastym szłomie, ciął rozpaczliwie, rozwalając tarczę. I poczuł uderzenia w plecy, jedno, drugie, trzecie przeszło przez zbroję. Obrócił się, aby stawić czoła napastnikom; jego giermek już nie żył, leżał nakryty częściowo wielką węgierską chorągwią królewską.

Więc Mikołaj z Garbowa podniósł miecz, bił się, dobywając ostatnich sił, przyjmując ciosy, jak przystało na pokornego *miles Christi*.

Złożył się i padł, powalony z tyłu, poczuł uderzenia na lewym naramienniku. Uklęknął, ale nie przewrócił się na brzuch. Odbił ostrze, zmierzając w stronę głowy, i wtedy go pochwycili.

To nieprawda, że w chwili śmierci całe życie przelatuje człowiekowi przez głowę. Nieprawdą jest, że trwa to wieczność. W rzeczywistości wszystko dzieje się tak szybko, że zanim zdążysz rozliczyć się z żywotem, już jego nic pęka przecięta żelazem.

Mikołaj wyszeptał tylko: „moi synowie, dzieteczki”... I już poderwano mu głowę w górę, zrywając hełm z czepcem; sztylet dotknął jego szyi.

Zamarł. Bo ostrze zatrzymał podchodzący mężczyzna w białej, nieosłoniętej tuniką zbroi, na której kopia Mikołaja wypisała żałobny tren w postaci szramy biegnącej od lewej płytowej szorcy aż do połowy kirysu.

– *Šta da radimo s njim, gospodaru?* – zapytał ochrypły głos gdzieś z góry.

– *Ostavi ga na miru. Poštedec ´u mu život. On je Poljak.*

Ostrze odsunęło się od gardła rycerza. Znikło niczym zły sen.

A wtedy możny pan zdjął hełm, uwalniając burzę pięknych kręconych złotych włosów. Wzrost miał jak anioł, ale oblicze pełne smutku i żalu, jakby zwycięstwo było niczym cierniowa korona na jego głowie.

– *Poštujem hrabrost. Pazi na niega.*

– *Bic ´e tako, gospodaru.*

I wszyscy zaczęli kłaniać się i schylać głowy przed despotą Serbii Stefanem Lazareviciem.

*

Uciekali jak rota szaleńców. Galopowali, niemal nie panując nad końmi, poddając się dzikiemu pędowi, przerywanemu skokami wierzchowców nad ciałami poległych, ich potykaniem się o drzewca kopii, chorągwi, proporców, o porzucone bębny, kusze, miecze, topory. Drogę otwierał Ścibor ze Ściborzyc, wałąc buławą na prawo i lewo, obalając uciekających knechtów i bezkonnych strzelców. Dalej Hermann Cilli i Jan, burgrabia Norymbergi, osłaniali boki uciekającego króla; wraz z nimi kilku Polaków. Jak w theatrum przewijał się obok nich ciąg obrazów, zostawał z tyłu, zniknął niczym widma.

Oto dopada do nich arcybiskup Ostrzyhomia, w zakrwawionej tunice na zbroi, po nim posępny mistrz joannitów Filibert de Naillac,

bez hełmu, z rozwianą brodą i białymi włosami posklejanymi pyłem i krwią niczym pokutnym popiołem na Wstępną Środę. Uciekający w pędzie Miklós Garai i jego brat János, giermkowie i ich suwereni, Węgrzy i Niemcy, joannicy i konni strzelcy. Pędzący pieszo, przebierający niezdarnie nogami i zostający z tyłu kusznicy w skórzanych czepcach i kapalinach. Pojawia się prawie na ich drodze, nieco z lewej, przetykany czerwono-błękitnymi plamami obóz Francuzów i Burgundczyków. A w nim – niespodzianka – Wołosi w futrzanych czapach i zbrojach ze skór, rzucający się na namioty, wozy i stoły. Pojawiający się w pędzie z lewej i prawej strony, ogarniający ich jak kierdel spłoszonych owiec konni tureccy zagońcownicy, akindzi...

Pędzili po porzuconych tarczach i proporcach zdobionych krzyżami, znakami lilii, lwami i gryfami, walających się w zakrwawionym błocie i końskich odchodach. I w końcu wpadli w wąską dolinę, obok niezdobytej, wznoszącej się stromymi murami na skarpach twierdzy Nikopolis.

Nagle zgęstniał tłum koni i uciekających, czepiających się strzemion i rzędów zbrojnych, nad tym wszystkim ścisk, gwar, kwik wierzchowców...

– Król! Miejsce dla króla! – darł się Ścibor, rozdając ciosy na lewo i prawo.

Sekundowali mu dzielnie Świętosław Szczenię, Hermann Cilli i królewski giermek. Bili, tratowali, obalali ludzi i konie, przebijając się w dół doliny, do miejsca, gdzie cumowały łodzie i tratwy zwożące do obozów zaopatrzenie.

– Do łodzi! Do łodzi! – krzyczał król Zygmunt. – Kazałem zostawić jedną dla nas. Na pewno tu jest.

Ogromna fala uciekinierów rzucała się do batów zacumowanych przy palach wbitych w dno Dunaju. Na oczach nadciągających uciekinierów rwał się szyk łodzi i galer. Widzieli, jak zawracały w miejscu, jak ich dzioby kierowały się na zachód i wschód, a potem – ku północnemu brzegowi. Jak z burt wysuwały się rzędy wiosła przebierających w wodzie...

– Przekleństwo na wasze głowy! – ryczał Zygmunt. – Stać, stać, jam król! Suweren, władca.

– Do mnie! – przez wrzawę przebił się jakiś głos. – Do mnie, panie miłoścy! Tu ocalenie!

To krzyczał Oswald von Wolkenstein, wychylony zza podwójnego szpaleru strzelców i piechurów, rąbiących mieczami napierający tłum. U ich stóp leżał już wał pokrwawionych, dygocących, jęczących i pełzających jak czerwone robaki ciała.

Zygmunt nawet nie wiedział, kiedy Ścibor ze Ściborzyc i giermek zsadzili go z konia, prowadzili, wlekli, prawie nieśli do łodzi. Potknął się o ciało kogoś, kto miał nieszczęście urodzić się na dole hierarchii. Widział, jak arcybiskup przewrócił się prosto do wody, skąpał w zbroi w Dunaju, gramolił się wolno, podnoszony przez knechtów. Za to Zygmunt podniósł głowę, przyglądał brodę. I... nie wszedł w wodę.

– Przenieść mnie! Zaraz! Ruszać się!

Nieśli ze Ściborem cholernie ciężkiego władcę Węgier, uginając się pod ciężarem jego zbroi, pychy i tytułów, króla Dalmacji, Chorwacji, Ramy, Serbii, Galicji, Lodomerii i Kumanii. Aż do burty, przekazując w ręce sług. Łódź, ozdobiona królewskim herbem, dwugłowym orłem w żółtym polu, była przeładowana, pełna uciekinierów. Zygmunt wręcz poczuł, jak pokład ugina się pod jego ciężarem; jakby był tym, który przeważał szalę.

– Odbijajcie! – zakrzyknął w dzikim szale. – Odbijajcie! Rąbać liny. Pozabijajcie ich!

Sam, własną ręką wyrwał miecz z pochwy i ciął gruby sznur biegnący od burty do wbitego w brzeg pała.

– Nasi ludzie! Powstrzymywali tam tłum! Łaski, panie!

– Do diabła z nimi! Zamówimy mszę za ich duszę! – krzyknął król Węgier, wystawiając za burtę wykrzywioną wściekłością twarz. – Potem! Po tym wszystkim.

Bił bęben, wiosła zanurzały się w wodzie, rytmicznie, raz za razem. Łódź odchodziła od brzegu, na którym działały się sceny przypominające początek biblijnego potopu. Z gromowym pluskiem,

z szumem wody nieprzeliczone tłumy rzucały się w rzekę, oblegając odpływające łodzie. Dziesiątki rąk wyciągały się ku burtom, chwytaly wiosła, przechylały statki i kolebały nimi. Baty odpływały obwieszane uciekinierami jak winogronami. Na ich zgubę.

Nagle bowiem rozległy się trzaski. Żeglarze i rycerze spychali uciekających do wody, odrąbywali ręce chwytające się burt, cięli po twardych głowach, siekli mieczami i toporami po ramionach, po plecach.

– Oj, na Boga, ratujcie!

– Turcy! Turcy! Saraceni! – grzmiał zbiorowy krzyk jak głos gromu.

Oswald von Wolkenstein krzyczał z rozpacz, biegnąc przez wodę do królewskiej łodzi. Wyciągnął ręce, podobnie jak dziesiątki, setki, tysiące innych uciekinierów, niedobitków z bitwy, którą zakończyła się pierwsza od ponad stu lat krucjata władców i rycerzy Europy. Chwycił się burty i rozpaczliwie, tracąc dno i oparcie pod stopami, podciągnął w górę.

– Panie, panie, to ja, twój sługa! – krzyczał rozpaczliwie.

Cios spadł z góry, jeden, drugi, trzeci – w głowę, w ramiona, jeszcze raz w głowę. Wolkenstein odpadł niezdarnie i rozpaczliwie jak żuk strącony ze ściany. Wpadł w wody Dunaju, krzycząc, łkając, a potem już tylko bezsilnie wygrażając pięścią swemu królowi.

– Turcy! – rozlegały się krzyki. – Idą! Idą! Idą!

Dziki, rozszalały tłum rzucił się w rzekę, tratując, potracając, wdeptując i topiąc tych, którzy mieli mniej szczęścia, potknęli się albo wpadli w zamuloną dziurę w dnie Dunaju.

A pośród szaleństwa, potracany przez kolejnych uciekających, popychany, uderzany, trwał na brzegu jak posąg Świętosław Szczenie herbu Łada. Modlił się, żegnał, przesuwiał po kirysie swojej pysznej krakowskiej zbroi, złość wykrzywiała mu oblicze.

– Przecie – wycharczał – nie dam cię pohańcom. Czterdzieści grzywien dałem, chroń mnie, Panie! Obojczyk trzydzieści groszy, szorca pięć, pawęż czterdzieści. Nie dam cię! – krzyknął, obejrzał się i widząc, jak z doliny wałęsa na przystań pierwsi jeźdźcy w turbanach,

przeżegnał się. A potem skoczył, jak pływak, nie zdejmując zbroi, prosto w fale Dunaju...

Daleko, bezpieczny na łodzi Zygmunt Luksemburczyk spoglądał na rzekę beznamiętnym wzrokiem. Coś szeptał, może modlił się i także żegnał pomąku.

Podniósł głowę, obrócił się, czując na sobie palący wzrok Filiberta de Naillac, wielkiego mistrza zakonu szpitalników z Rodos.

– Tak – powiedział – mój wielki bracie i mistrzu, tak oto straciliśmy ten dzień przez pychę i zarozumiałość Francuzów.

*

Wbrew przewisku, które nosił od czasu bitwy pod Konyą, sułtan i padyszach, słońce i księżyc islamu, pan Karamanii, Kastamonu, Hamidzi, sułtan Rumu, władca Anatolii i Rumelii, suweren Wołoszczyzny, Tyrnowa, Bułgarii i Serbii, Bajazyd ruszał się bardzo powoli. Ostrożnie zsiadł z siwego, pięknego konia zdobnego w buńczuki, kity i pióra i ciężko opadł w ramiona sług – solaków. Wysoki i postawny, prawie gruby. Miał rozdwojoną, wywiniętą do przodu brodę i oczy jak gwiazdy. Bez zbroi, z szablą przy boku, ubrany w karmazynowy kaftan tkany w zawiłe tureckie wzory, zapinany na kunsztowne, pozłociste guzy i odchodzące od nich szamerunki. Na to wszystko narzucony płaszcz bez rękawów – zdobiony półksiężycami i obramowany czarnym sobolim futrem – który dodawał mu potęgi, podczas gdy okrągły turban na głowie, biały niczym śnieg ze świętej góry Ararat, podwyższał całą postać tyrana.

Sułtan dał się prowadzić – z prawej strony przez średniego syna Mehmeda, z lewej wiódł go sam wezyr Ali Pasza razem z berlejbejem Rumelii Firuzem Begiem.

Bajazyd wstąpił ostrożnie do wnętrza królewskiego namiotu, tkanego w białe i czerwone pasy. Na najwyższym maszcie ciągle łopotał proporzec, a przed wejściem tkwiła tarcza z herbem Zygmunta Luksemburczyka: dwugłowym czarnym orłem z godłem

królestwa na piersi: gryfem stojącym dęba i czerwono-białymi pasami.

Sułtan oglądał porozrzucaną zastawę, złote rogi, misy, za zasłoną kosztowne łoża z jedwabnymi piernatami, skrzynie pełne wamsów, dubletów, kunsztownie przesywanych aknetonów, zwierciadła, misy i balwierskie brzytwy do pielęgnacji brody króla Węgier. Bajazyd wykrzywił usta; nie wiadomo, czy uśmiechał się okrutnie, czy był to napad wściekłości. Na koniec dał się zaprowadzić na dwór, gdzie już rozbito mały żółty namiot padyszacha, o ścianach zdobionych wersetami z Koranu, z tronem wielkim jak skrzynia – obitym czerwonym aksamitem.

Gdy sułtan usiadł, podniósł się gwar, potężniejący, przeradzający się w gromowy okrzyk:

– *Allach akbaaar! Allach kerim!* – krzyczeli derwisze przy oddziałach janczarów.

Władca skinął na nadwornego imama, a ten zaintonował wielką Fatihę. Twarde tureckie karki pochyliły się, kolana ugięły, głowy zaczęły bić pokłony w ziemię.

*Bi-ismi Allāhi Ar-Raḥmāni Ar-Raḥīm,
Al-hamdu lillāhi rabb il-‘ālamīn.*

– W imię Boga miłościwego i miłosiernego. Chwała niech będzie Bogu, panu dwóch światów, miłociwemu i miłosiernemu, władcy dnia sądu. Ciebie wielbimy i do Ciebie zwracamy się o pomoc. Prowadź nas prostą drogą tych, których błogosławisz, nie zaś tych, na których się gniewasz, ani też tych, co zbaczają z drogi...

Sułtan dał znak wielkiemu wezyrowi.

– Gdzie jest Zygmunt, król Węgier? Spotkalibyśmy się z nim i spytali: który Bóg jest większy? Allach czy ten chrześcijan?

– O wielki władco – odrzekł Ali Pasza – przybytku zwycięstwa i firmamencie potęgi, nie wiemy jeszcze, co z wodzem niewiernych. Być może uciekł, albo też leży pomiędzy pobitymi jak zwykły tchórz i niewolnik.

– Wielki sułtanie, kazałem sprowadzić jeńców znad przeprawy – odezwał się Firuz Beg. – Poświadczą prawdę albo padną rażeni waszą niełaską.

Przez tłum solaków, paziów i sług przebijała się prowadzona przez janczarów grupa jeńców. Jeszcze mokrzy, pewnie wyciągnięci z wody, nie do końca ograbieni, rozglądali się w oszołomieniu, wlepiając wzrok w karne szeregi zwycięzców, w oblicza janczarów – z powodu nakryć głowy zdających się olbrzymami – zdobione opadającymi, długimi i cienkimi wąsami, tak inne i złowrogie w porównaniu z chrześcijańskimi głowami, bo znamionujące brutalną siłę i posłuszną bezwzględność tureckiego Wschodu.

– Gdzie jest Zygmunt, król Węgier? – zapytał sułtan, a dragoman, czyli tłumacz, który wysunął się bezszelestnie zza jego pleców, powtórzył to samo po niemiecku, tak sprawnie, że rzekłbyś: słowa padyszacha tylko przepłynęły przez jego usta.

Pierwszy z jeńców przywleczony przed sułtański majestat zatrząsł się, ale nic nie powiedział, wpatrując się z przerażeniem i otwartymi ustami w szeregi zdobionych turbanami głów, w barwne, bogate stroje... A może też nie był Niemcem, ale Burgundem, i nic nie rozumiał.

Błysk żelaza. Chrząst przecinanej skóry, kości. Tryskająca krew z kikuta szyi.

Stary, wąsaty janczar ściął jeńca jednym ruchem szabli, aż głowa potoczyła się na rozpostarty przed Bajazydem dywan. Sułtański imam trącił ją podwiniętym noskiem buta.

– Oto spełniły się słowa świętego hadisu: islam jest ponad wszystko i nie ma nic wyższego nadeń. Z podobnych do pyłu giaurów złego rodu nie zostało ani śladu.

Sułtan wskazał kolejnego jeńca. Ten padł na kolana, złożył ręce do modlitwy.

– Gdzie jest twój król? Mów!

– *Ave Maria, gratia plena, Dominus tecum, benedicta tu in mulieribus* – zajęczał nieszczęśliwy rycerz, a może giermek, bez

zbroi, tuniki, tarczy trudno to było określić. – Nie wiem, prześwietny panie. Nic nie widziałem.

Niekanoniczna odpowiedź. Świst szabli, obcięta głowa dołączyła do pozostałych.

Niezwykle sprawny był ten stary janczar z wąsami rozchodzącymi się nad wargami na dwie grube kiście. Siekł z całą mocą okrzepłego w bojach ramienia, pewnie i pięknie. Co jednak stanie się z jego własnym czerepem, gdyby kiedyś chybił albo gdy wiek i choroba osłabią pewność jego ręki i precyzję palców?

– Giaurzy myślą – odezwał się sułtan – że głowa jest jak wierzbowy pień i odrośnie. Z pomocą Najwyższego i świętych słów Al-Quranu udowodnimy im, że tak nie jest. To, co podzielone, zrośnie się dopiero w niebie, za sprawą Allacha.

Janczarzy wywlekli z grupy trzeciego jeńca, obdartego aż do koszuli i nogawic. Jego trefione i kręcone włosy były teraz poskręcane, pokryte krwią i błotem, niczym runo owcy pędzonej przez wilki przez chaszczę i bagniska.

Był to Oswald von Wolkenstein. Sułtan dał znak, szabla uniosła się.

Lecz paż sam rzucił się na kolana przed Bajazydem, uderzył czołem. Solacy wrzasnęli i oto niemiecki rycerz znalazł się nagle przyciśnięty do ziemi, z ostrzem na karku, pod butami Turków pamiętających być może jeszcze śmierć ojca sułtana – Murada – na Kosowym Polu siedem lat wcześniej.

– Niezwyciężony sułtanie, pogromco Franków i Anglów – wyrzucił z siebie Wolkenstein – racz wstrzymać sługę, bo z mojej odciętej głowy będziesz miał mniej pożytku niż z żywej. Widziałem króla Zygmunta w łodzi, kiedy odpływał na drugi brzeg Dunaju. Żegnany raczej przekleństwami niż okrzykami chwały.

– Gdzie jest książę Burgundii? I wielki mistrz szpitalników, tych przeklętych kruków wojny?

– Nie byłem przy nich, o dostojny panie. Słyszałem jednak, że polegli leżą u twoich stóp.

– Poznasz ich?

– Jak słońce, kiedy wschodzi.

Sułtan przyglądał brodę. I skinął na wezyra. Ten wydał polecenie dowódcy janczarów.

I wtedy zaczął się drugi akt dramatu. Od strony pola szedł cały korowód janczarów i zwykłych Turków. Nieśli mary, płachty materiału, chorągwi, a na nich... zakrwawione martwe ciała, posklejane krwią, z ranami na głowach i tułowiach, z odciętymi rękami i palcami.

– Podnieście go! – rozkazał solakom wezyr Ali Pasza. – A ty, giaurze, mów. Dziś każde właściwe słowo sprawi, że twoje życie będzie trwać dłużej. Nieuważne zaś skróci je do jednej krótkiej chwili.

Znosili poległych przed oblicze Bajazyda – najmożniejszych, największych panów i książąt, dowódców, wojewodów, banów i palatynów. Tych, których dało się rozpoznać po pięknych szatach i błyszczących zbrojach. A Wolkenstein poznawał ich, chociaż bladł i dygotał. Kiedy nie wiedział, wyręczali go inni jeńcy. Na wyścigi, kłękając i oddając hołd nie tyle zmarłym, co ich zwycięzcy.

Ewangeliści krzyżowców – Jan de Blaisy i Ludwik de Giac, współnicy Filipa de Mézières, głównego organizatora krucjaty. Wilhelm i Filip de la Tremouille, krewni książąt Burgundii. A potem wnoszeni byli następni – porąbani, z poderżniętymi gardłami, z rozerżniętymi brzuchami, z odciętą prawicą i głową, z raną do głębi czaszki. Panowie de Berry, de Bordes, de Buxeul, de Damas, de Lugny, de Pontailier, aż trzech rycerzy z rodu de Roye, w tym jeden możny Renault, marszałek króla Francji.

– To sieur de Chartres, pan de Blaisy, ten zaś to de Chandos, tamten de Chasseron – mówił, a raczej recytował Wolkenstein. – Oto prześwietny Germigny, Ludwik de Haze, bastard hrabiego Flandrii, teścia władcy Burgundii, Jan Cazand, admirał Flandrii.

I wreszcie Niemcy i Węgrzy – ostatni niezbyt liczni. Linchart Reichhartinger, Werner Pintzenauer, Ulrich Kuchler i Klammerstein. Michał Csetneki, syn Ákosa, a dalej liczni rycerze, jednych

odnoszono, drugich przynoszono, a kadi zapisywał ich imiona na zwoju.

Nagle sułtan zatrząsł się na tronie. Gniew wykrzywił jego oblicze, prawa noga zadygotała, kiedy wyciągnął ją przed siebie. Ból i wściekłość wykrzywiały ciało, wzrok stał się głęboki i szklany. Paziowie i służba natychmiast rzucili się z pomocą, podtrzymując władcę, masując stopę i kolano. Najbardziej gorliwi chuchali wręcz, chcąc ogrzać padyszacha żarem wiary i posłuszeństwa. Cokolwiek by robili, Bajazyd nie docenił ich starań. Nagle machnął ręką, pozbywając się służby, podniósł głowę, pólleżąc na szerokim tronie. I powiedział złowieszczo, głosem, który wykrzywił wręcz atak podagry:

– Przeprowadźcie nam jeńców.

Janczarzy i solacy spełnili jego wolę w lot. Do namiotu pędzono wielką grupę więźniów – obdartych dosłownie do koszul i galotów, a czasem dosłownie do naga, zasłaniających się wstydliwie pokrwawionymi dłońmi. Bez wamsów, zbroi, mieczy, tylko podgolone głowy i długie, trefione włosy odróżniały ich od plebsu.

– Ty, gjaurze. – Palec sułtana spoczął na Wolkensteinie, pilnowanym przez dwóch rosłych solaków, z ostrzem handzaru przystawionym do szyi. – Wskaż mi księcia Burgundii.

Oswald zatrząsł się ze strachu, żalu, rozpacz. Bo już rozumiał, co się stało. Opuścił wzrok, przymknął oczy i powoli, bardzo powoli pokazał w tłumie jeńców niskiego, szerokiego w barach mężczyznę z długim nosem i cofniętym podbródkiem.

Sułtan przekręcił się na tronie, zacisnął zęby, jego noga dygotała z bólu. Spojrzał na Jeana de Nevers, ale ten nawet nie skulił się pod jego spojrzeniem.

– Książę – rzekł Bajazyd – na tobie pomszczę śmierć mojego ludu. Będziesz pierwszy.

– Wiem, sułtanie. – Hrabia de Nevers nie wyglądał na zmieszanego. Jedno musiał mieć z żelaza: albo odwagę, albo rozum, ciężki jak turniejowy hełm. – Pójdę na śmierć sam, bez trwogi! Mam

jednak prośbę, aby w zamian za to wasz majestat pozostawił przy życiu choć kilku moich ludzi. Tych, których wskażę.

Sułtan uśmiechnął się i kiwnął głową.

– Stefan Schmicher i Hannsen von Bodman – pokazał Jean de Nevers. – To moi przyjaciele.

– Mów dalej, książę.

Walter de Ruppens uśmiechnął się na chwilę, pewny swego. Hrabia wskazał i tego dziarskiego Flamanda, który wystąpił z szeregu z wyraźną ulgą.

I wtedy Bajazyd uśmiechnął się złowieszczo.

– Ten nie. – Odmachnął ręką. – Źle patrzy z oczu tego giaura.

Solacy chwycili Flamanda, choć krzyczał i wierzgał. Do tego stopnia, że nie dało się uciąć mu głowy tak gładko jak pozostałym. Leżąc w drgawkach, wykrwawiał się, charczał, kiedy posoka dusiła jego gardło.

– Dalej, książę.

Hrabia zbladł, dopiero teraz wyglądał, jakby opuściły go siły. Wskazywał kolejnych: Enguerranda de Coucy, Boucicauta, Jakuba II Bourbona, hrabiego de la Marche, Regniera Pota, Guya de la Tremouille, Guya i Jana de la Roye.

I wtedy sułtan pokazał: dość.

Nagle wystąpił jego syn Mehmed, młody, gładki, prawie bez zarostu. Ukląkł i pocałował skraj ojcowskiej szaty.

– Panie, daruj hrabiego mnie. I wszystkich jego ludzi. Zawsze byłem ci wierny.

Tyran przymknął oczy.

Skinął głową.

– Wskaż mi – to było do Wolkensteina – najmożniejszych z domów Francji i Burgundii, z Anglii i Niemiec. I z kraju twojego króla, z Węgier.

Wolkenstein śpiewał, jak mu zagrali. Konstabl Filip d'Eu, hrabia d'Artois, Jakub de Courtiambles, Jean de Hangest, Jean de Varsenaere, Tristan de Messem, trzech bękartów hrabiego Flandrii: Raul, Reynauld i Wiktor. Wreszcie Hans von Pottendorf.

– Tam jest Radu, syn Mirczy Starego. – Mehmed wskazał poturbowanego, ledwie żywego młodzieńca o rzadkiej brodzie. – Wojewoda zrobi dla nas wiele, aby żył!

– Weź go i na tym koniec! – uciął Bajazyd. – Dość nam tych giaurów. Przestań! Hrabio Burgundii, czy jak tam zwać twoje ziemie, powiedz mi: czy się nas boisz? – zapytał sułtan.

Jean de Nevers milczał, jakby nie wiedząc, co rzec.

– Odpowiadaj, hrabio – przemówił wielki wezyr. – Prawda pochodzi od samego Allacha.

– Już powiedziałem wszystko, co miałem do oznajmienia – mruknął Jean de Nevers. – Nie boję się!

– Dobrze, bo chcielibyśmy zabrać cię ze sobą. Pójdziemy razem do twojej Burgundii, gdzie nas ugościsz. Jak mówi sura: jeśli przyjdzie do ciebie obcy i poprosi, abyś go przyjął pod swój dach, ugość go, a znajdziesz łaskę w oczach Allacha. Wierzysz w te słowa, książę?

– My, chrześcijanie, mamy własne księgi. Ale w te słowa... tak, wierzę.

– Wiedziałem! – wycharczał Bajazyd. – Więc pójdziemy tam razem, zaprowadzisz mnie do Burgundii. Wasze domy staną się otwarte dla nas, wiernych, a wasze kobiety będą polem uprawnym. Chcesz, żebym uprawiał to pole z wojownikami Proroka?

Jean de Nevers milczał.

– Ale najpierw pošlę tam wysłanników. Wy, ty, ty i ty – wskazał trzech rycerzy – postąpcie tutaj.

Wskazani wystąpili, nie wiedząc, czy robią dobrze.

– Wybierz z nich posła do króla Francji i do księcia Burgundii.

– Niechaj to będzie sieur de Helly. – Hrabia wskazał chudego Francuza.

Sułtan pokiwał głową i dał znak. Posłańca odciągnięto na bok.

A pozostałych janczarzy rzucili na kolana, unieśli szable wśród krzyków.

– *Iesus Christ!*

– Daruuuuujcie!

Krew obryzgała Jeana de Nevers. Sułtan począł podnosić się z wolna, sam, bez pomocy, krzywiąc się z bólu, zgięty w pół.

– Każdy z wojowników ma zabić swojego jeńca – rozkazał. – A jeśli nie zechce tego zrobić, dać innego w jego miejsce. Zaprawdę gorsi od zwierząt u Allacha są ci, co odrzucili wiarę. Więc jak zwierzęta będą traktowani.

Dragoman nie przetłumaczył tych słów. Ale nawet najbardziej tępi z Burgundczyków zrozumieli, co się dzieje. Wszyscy słyszeli, jak rodził się krzyk, jęk, narzekanie, jak fala niehumanoidalnego, okrutnego wrzasku, szczęk broni i błagania o życie rozchodzi się od sułtańskiego namiotu po całym zdobytym obozie krzyżowców niczym ognisty podmuch po wybuchu beczki prochu. Do stóp sułtana ciągnęli, gnali, wlekli wrzeszczących, zrozpaczonych, a czasem pogodzonych z losem jeńców.

– Pamiętajcieeee – krzyczał Hansen Greiffen z Bawarii – jeśli naszą krew przeleją za wiarę, będziemy dziećmi Bożymi.

Krew bryzgała na obdartego do koszuli Jeana de Nevers, który stał błądy, wstrząśnięty, a sułtan patrzył na niego, jakby chciał rzec: hrabio – twoje dzieło.

I nadszedł ten moment, ta chwila, że przed oblicze sułtana ciśnięto Oswalda Wolkensteina. Złamano go w pół po raz drugi, a janczar wzniósł szablę.

I wówczas paż zawył, wycharczał nieswoim głosem:

– *La Illa-ha, illah, Muhammad rasullach!*

Powiedział to tak okropnym głosem, że przebił się nawet przez odgłosy rzezi. Zimnym, jak wypluwający hostię szatan. Turcy zaszemrali; sułtan nawet nie spojrział na gorliwca.

– To pacholę jest młode, może przyjąć prawdziwą wiarę Proroka i wiernie nam służyć – odezwał się dragoman.

– Nie widzimy przeszkód – mruknął sułtan – aby i tego ściąć. Służył królowi, niech teraz służy Allahowi po śmierci.

– Ale ja widzę przeszkody! – zajęczał Wolkenstein, który ujęty w łapska janczarów, rozglądał się po namiotach, po janczarach,

służbie, dostojnikach, jakby w tej ostatniej chwili życia chciał napatrzeć się wszystkiego.

Z tylnych rzędów wystąpił jakiś suchy Turek w czapce zwieńczonej czarnym pióropuszem corbaciego janczarów, pochylił się do ucha wielkiego wezyra. A ten po chwili pochylił się do ucha samego Bajazyda.

Ten milczał, myślał długo, jakby przetrawiał jakąś radę, wreszcie ledwie zauważalnie skinął głową.

A wielki wezyr podszedł do Wolkensteina, chwycił go za loki, podrzucił głowę w górę.

– Złe masz oko – powiedział – jak każdy Frank, niewierny. Rzuca uroki, ale dobrze widzi. Zatem niech patrzy dla chwały sułtana!

Na jego znak odciągnęli Wolkensteina na bok, jeszcze nie wierzącego w swoje szczęście i nie rozumiejącego, co naprawdę uczynił.

Do namiotu zbliżał się poczet – szedł człowiek we włoskiej zbroi, okrutnie wysoki, przewyższał nawet janczarów w ich czapach. Zanim podszedł, solacy zastąpili mu drogę. Wtedy odpiął pas z mieczem i oddał słudze. Wyciągnął ręce ku górze i zdjął hełm, który przekazał idącemu z boku młodzieńcowi o czarnych włosach. Padł na kolana i skłonił się. Na jego widok sułtan poruszył się.

– Przyprawdzam możnego jeńca wielkiemu sułtanowi – powiedział Stefan Lazarević, despota Serbii. – Dzielny rycerz, do końca bronił króla Zygmunta. Mnie zwał z konia, a kilku mężnych wyprawiał do piekła albo do raju. Mój bratanek Jerzy, syn Vuka Brankovicia, potwierdzi moje słowa. – Wskazał swego czarnowłosego giermka.

Pachołkowie przywlekli i rzucili na kolana potężnego, brodatego męża.

– Któż to? – zapytał dragoman.

– Polak. Mikołaj z Garbowa.

– Dzielny rycerz – zacmokał wezyr. – Jak dzielny, to może... przyjmie wiarę Proroka.

– Pomilujcie go, sułtanie – odezwał się Mehmed. – Dołączy do reszty.

– Nasza odpowiedź brzmi: nie. Rozzłóścisz mnie, a sam odwiedzę cię w pałacu w Amasyi. I zetnę głowy wszystkim pięknym niewolnicom...

Mikołaj złożył ręce do modlitwy. Przeżegnał się i przymknął oczy.

– Mikołaju Polaku – odezwał się dragoman – czy chcesz przyjąć prawdziwą wiarę? Chcesz uczynić jej wyznanie i oznajmić nam, że nie ma Boga nad Allacha, a Mahomet jest jego prorokiem? Uczyń to, a ocalisz głowę i spotka cię łaska!

Mikołaj Zawisza milczał, nic nie mówił, jakby niewiele go to wszystko obchodziło.

– To możny pan, da dobry okup, bo ze sławnego rodu – wstawiał się za więźniem Lazarević. – Król Zygmunt dobrze płaci za swoich przybocznych.

– Czy uczynisz wyznanie wiary?

– Ratuj się, mości Mikołaju! – zakrzyknął nagle Wolkenstein, jakby szukał współnika zbrodni. – To tylko słowa! Pomyśl o synach w Polsce! Powtarzaj za mną: *La Illa-ha, illah...*

Umilkł, przygnieciony podkutym butem solaka. Z tyłu Jerzy Branković patrzył znad ramienia stryja Lazarevicia, a w jego oczach błyszczały łzy. Usta poruszały się bezgłośnie, jakby chciał wstawić się za Mikołajem. Teraz gdy uniosła się turecka szabla, odwaga miała wagę złota. A nawet stawała się jeszcze droższa.

Mikołaj milczał, opuszczał głowę coraz niżej. Czy w tej ostatniej chwili myślał o synach? Czy żałował za grzechy? Nie wiadomo...

A może próbował się modlić?

Turek podniósł szablę. Wziął zamach.

Krzyk! Nagły, dziki, żaloszny. Tak ryczał Oswald von Wolkenstein...

*

Dum... Dum... Dum... Dum...

Bęben bił, ale znacznie ciszej niż na polu walki. Tym razem wybijał rytm dla wiosłarzy – obdartych i dygocących z zimna niewolników Republiki Weneckiej skulonych nad wiosłami osadzonymi na przebiegającej wzdłuż burt belce. Galera płynęła wartko z prądem, mijając Sylistrę, miasto położone na szerokich, płaskich polach nad rzeką. Wykuty w kształt lwiego łba taran mierzył w opary kłębiące się na wschodzie. Na głównym maszcie powiewała pasiasta chorągiew króla Węgier, dzielona w słup, z gryfem stojącym dęba, na drugim maszcie łopotał wolno Lew Świętego Marka.

Nagle, kiedy statek znalazł się blisko południowego, tureckiego brzegu, na polach wszczął się ruch. Pędzili tam tureccy jeźdźcy w turbanach, z włóczniami i dzirytami w dłoniach. Krzyczeli coś i wygrażali, trzymając w rękach dziwne okrągłe przedmioty.

To były głowy! Odrąbane szczątki panów, baronów i rycerzy poległych dziesięć dni temu w bitwie pod Nikopolis. Turcy podrzucali je w górę, prezentowali nabite na ostrza – martwe, szare, czasem z grymasem bólu i męki zastygłym na sinych obliczach.

– Giaury! Giaury! – darli się tureccy zagończycy. – Chodźcie tu! Weźcie swoich!

– Zygmuncie, fałszywy królu! To twój spowiednik, ojciec Wetulani! Całuj go, niewierny!

– Chodź tu i wykup jeńców. Czekaają na ciebie!

A potem był obraz jeszcze bardziej wstrząsający – na brzegu koczowały całe gromady obdartych, wynędzniałych więźniów. Pochylone karki, skołtunione głowy, czasem tylko podgolona dawno temu czupryna przypominała rycerską przeszłość właściciela. Widząc przepływającą galereę, zaczęli podnosić się, podrywać, machać rękoma, krzyczeć, podskakiwać; niektórzy płakali.

– Królu! Królu miłosierny! Ratuj nas!

– To ja, Palffy, wierny sługa Heinricha Klingera!

– Panie, panie, ratuj nas!

– Tylko sto grzywien, sto grzywien! Mam zapisane na wiosce u brata w Bawarii!

– Byłem waszym pokojowcem. Pamiętacie? István Lagesz... Panie, łaski!

– Wykupcie nas!

– Synu babilońskiej nierządniczy! – huczał jakiś głos. – Tchórze, ty wypierdku pohański! Uciekaj, uciekaj, bodajbyś przez wieki konał!

– Psi synu!

– Suczy chwoście! Dupodajcu diabelski!

– Bodajbyś świeże gówno brał w zęby! Żeby cię zły chędożył! Tyyy... paliszniku wyleniałej prukwy!

– Wylegańcu złej maciory!

– Tchórze, po wieki tchórze!

Król Zygmunt Luksemburski odwrócił się wolno od tego obrazu, poprawiając na ramionach płaszcz obszyty ciepłymi popielicami. I przyjął róg z winem i korzeniami, który podał mu uratowany cudem z bitwy paź i sługa... Oswald von Wolkenstein. Na obliczu ciągle miał ślady po bitwie, bo prawe jego oko było przesłonięte skośnym zwojem płóciennego bandaża. Skłonił się unieźlenie, przykląkł przed Zygmuntem, także udając, że nic nie widzi. Płynęli w mgłę.



dybyś się ze słońcem prawowała o urodę,
to sędziowie by orzekli, że jest urodzi-
wsza odeń. Były dziewczki, co przede mną cię
niecznie spotwarzały. Oby Bóg z ich policzków chciał
uczynić twe sandały.

„Księga tysiąca i jednej nocy”



Tajemnicza przyjaciółko, mieniąca się rybko, kochanko!
Sekretna powiernico, królowo piękności, sułtanko!
Cudnowłosa, pięknobrewa, luba, zalotna wybranko!
Jak żyć bez ciebie, tyś mi pomocą, moja chrześcijanko!
Serce me pełne bólu, płaczę, jam Muhibbi szczęśliwy!

Sultan Sulejman Wspaniały do Roksolany



Czy zabiłeś na wojnie na polecenie prawowitego wład-
cy, który prowadził wojnę, aby przywrócić pokój? Czy
zamordowałeś tyrana, który starał się zmącić pokój?
Jeśli tak, będziesz pościł przez trzy lata w przepisane
dni wielkiego postu.

Burchard z Wormacji, „Corrector sive medicus”



Rozdział III

Pal go sześć!

Wieźli go wokół ratusza krakowskiego i sukiennic, obok kościołów: Świętego Wojciecha i Świętej Barbary, Mariackiego, wzdłuż długiej linii kamienic. Jechał na otwartym wozie zaprzężonym w parę karych koni, chronionym przez miejskich cepaków. Na szerokiej platformie stał kat i ceklarze – pomocnicy. Obok maszerowali strażnicy z dobytymi mieczami. Na wozie przycupnął miejski herold we francuskim kapeluszu ozdobionym herbem miasta. Obok niego stał wyprostowany dumnie skazaniec. Młody, wysoki, z długimi, podgolonymi na skroniach

włosami. Z buntowniczym wzrokiem i pogardą wypisaną na wąskich ustach.

Radość z jego nadchodzącej kaźni była powszechna. Cały Kraków wyległ na rynek, tłumy skupiły się pod domami, okupowały otwarte na oścież okna strzelistych kamieniczek, tłoczyły się na ich schodkowych dachach ozdobionych sterczynami, balansując między kominami. Już dwa tygodnie temu, począwszy od święta Apostołów Filipa i Jakuba Młodszeo, wynajmowano okna z widokiem na kościół Marii Panny za dwa skojce. W dniach poprzedzających egzekucję ich cena doszła do pięciu, a nawet sześciu! Teraz pomiędzy kapeluszami i kapturami mieszczan tłoczyły się kunsztowne zawicia młodych dziewczek i czepce statecznych matron, wychylających się niebezpiecznie na ulicę, aby tylko dłużej podziwiać skazańca, którego uroda była powszechnie znana i komentowana.

Wóz toczył się na północ, w stronę rogu Sławkowskiej i Szczepanowskiej, pod kamienicę Świętego Krzysztofa, szeroką na pięć okien, z drewnianymi podcieniami i figurą świętego na fasadzie, nakrytą wielkim, opadającym stromo dachem. Tu się zatrzymał, aż zakołysali się pasażerowie.

– Wielmożni, szlachetni i sławetni zgromadzeni! – zakrzyknął herold. – *Duces, milites, presbiterii, laici et clerici, mercatores et scriptores!* Słuchajcie!

Tłum, wcześniej rozgadany i krzykliwy, teraz zaczął cichnąć.

– Dziś dzień sprawiedliwego sądu na urodzonego Gedeona Borkowica, syna Czambora, herbu Napiwoń, zwanego niegdyś Biesem. Tutaj, na rynku, będzie ścięty na kobiercu przed kościołem miejskim. A za cóż ten zacny młodzian da gardło, wiecie, sławetni mieszczanie?!

– Neeee. Nie! – podniosły się krzyki. – Nie wiemyyyy!

– Oto i lista występków. *Articuli iudicii castrensis*, to jest dla was, niegramotnych i przygłupich: dwa artykuły starościńskie. Umyślne mężobójstwo i zajazd na dom rycerski. Ten oto człowiek Gedeon Borkowic napadł podstępnie i nikczemnie na wieżę Zycha z Mogilna.

Wszedł, pobiwszy sługi, zbrodzień w towarzystwie takichże samych łotrów, judaszów i wisielców. Dotarł do komnaty, gdzie biedny Zych leżał zmożony chorobą, ściskając w ręku krzyż święty. I nie tylko nie przeraził się urodzony Gedeon mocy krucyfiksu, ale miecz wzięwszy, w łóżu chorego Zycha zarąbał, równie Nielitościwie jak oprawcy rzymscy, kiedy Pana naszego biczowali, katowali i wreszcie krzyżowali. Choć chory o łaskę błagał, prosił i rękę łotrów we łzach całował!

– Drugi raz też bym to zrobił! – zakrzyknął Gedeon.

Podniósł się wrzask, krzyk gniewu, głównie wśród pospólstwa. Z góry sypnęły się jak grad – wyzwiska i znacznie lżejsze od nich grudy ziemi, końskiego, krowiego łajna.

– Na pohybel Zychowi!

– Czyń, kacie, powinność!

– Za zdradzieckie najście na dom pana z Mogilna, jako wyjęty spod prawa, cechowany będzie na ręce, którą śmierć zadał...

Ceklarze chwycili skazańca, przytrzymali, trzeci uniósł kociołek z gorejącymi węglami, wyciągnął piętno, podając mistrzowi. A małodobry uniósł je, by wszyscy widzieli, i przytknął do prawego ramienia Gedeona.

Skazany zniósł to z godnością, zacisnął zęby, zadygotał, ale cały czas patrzył w oczy oprawcy.

Wóz potoczył się dalej, na południe, wzdłuż rozstawionych obok sukiennic, drewnianych i zadaszonych ław kupieckich. Prosto pod ratusz, zdobiony wysoką białą wieżą, odgradzony od placu rynkowego podłużną ścianą spichlerzy miejskich i przylegającym do niej domem panów rajców, gdzie mieściły się izby Pańska, Ławnicza i Kupiecka, a na samym dole ponure kabaty. Przejazdowi towarzyszył ścisk i krzyk. Ludzie, całe tłumy, rzucili się ku ulicy Wiślnej, powstał tłok, w którym w pocie czoła pracowały łokcie, kułaki, leciały nad głowami przekleństwa i deptano po nogach.

– Za bezbożne i bluźniercze *adulterium*, to jest cudzołóstwo, popełniane z Dorotą, żoną Zycha. Za to, że z niewiastą starszą od

siebie o całe lata bezbożnie i bez ślubu obcował! Cechowany będzie po raz wtóry na piersiach, tracąc poczciwość ludzką!

– Dalej, mistrzu! Nie będę sterczeć tu całego dnia! – zakrzyknął Gedeon.

Kat uniósł w górę cechę, przytknął do torsu mężczyzny, nieco poniżej serca, przytrzymał. Borkowic odrzucił głowę, przymknął oczy... Wytrzymał.

Jechali dalej, cepacy tłukli pałkami pospólstwo po łbach i ramionach, robiąc miejsce wśród tłuszczy. Przejechali pod bramą na ratuszowy dziedziniec, gdzie często ścinano i ćwiartowano kołem skazańców. Jednak te delicje oszczędzone były Gedeonowi, jako bądź co bądź szlachcicowi – miał być ścięty przed znacznie szerszym gremium: pod kościołem Mariackim, u wylotu ulicy Siennej.

Lecz jego droga przez mękę nie była jeszcze skończona. Wóz zatrzymał się pod kościołem Świętego Wojciecha przy Grodzkiej, małym, starym, o pobielonych ścianach, ogrodzonym drewnianym parkanem.

– Za trzykrotne obrażenie bluźnierstwem wielebnego biskupa krakowskiego, naszego dobrego pasterza...

– Pięciokrotnie go wyzywałem! – zawarczał Gedeon. – A jeśli wasza wola, mogę uczynić to po raz szósty i siódmy, tu i teraz. Cóż więcej bowiem możecie mi zrobić?

– ...cechowany będzie na plecach.

Tym razem jęknął cicho, zachwiał się, podtrzymywany przez ceklarzy, ale utrzymał się na nogach. Nie miał jednak przed sobą długiej podróży. Konie szarpnęły wóz, pociągnęły po bruku zasłanym grubą warstwą gnoju – na północ, ku ogromnej, ozdobionej dwiema wieżami fasadzie kościoła Mariackiego. To tutaj, u wylotu Siennej, obramowanej z lewej strony domem o nadbudowie z niemieckiego muru, a z prawej potężną, niedawno połączoną kamienicą o podwójnym, schodkowym dachu, stał szafot. Podwyższenie pokryte było czerwonym sukienym kobiercem. Z boku czekali dostojnicy z sądu – starosta krakowski, wiekowy i siwy Mikołaj Kurozwięcki zwany Białuchą. Sędzia – Marcin Kamler,

pisarz grodzki, ksiądz Kracik z kościoła rektoralnego i kilku ławników. Hutman krakowski stał za szafotem na karym koniu fryzyjskim, otoczony strażnikami w hełmach. Podwójny kordon utrzymywał w odległości plebejski, szarobrązowy tłum, szczerzący zęby, świdrujący oczyma, krzyczący i bluźniący skazańcowi. Okna i wykusze oblepione były pospółstwem jak dachy jaskółkami na jesieni.

Strażnicy chcieli powlec Gedeona na podwyższenie, ale poszedł sam, czasem tylko jego oblicze wykrzywiał skurcz bólu. Wstąpił po sześciu stopniach, skłonił się staroście, ale wobec innych pozostał hardy i zuchwały.

– Eeeee – wystękał stary, wiekowy, trzęsący się Szymon kaletnik, który od lat dwudziestu nie opuścił żadnej egzekucji – panie tam tego, kiedy ścinali Spytka z Dytrychowa, szelmę i złodzieja, lepsze były korowody. Wóz, panie tego, czarną karazją obity, koni sześć, trumna ze srebrnymi ćwiekami, księży dwóch i go zaraz powieźli do Świętego Szczepana, z asystą, z ubogimi płaczącymi za trumną, panie... Tak było.

– Za bluźniercze udzielanie schronienia husytom, heretykom i banitom wyjętym spod prawa – krzyczał herold – za jawne cudzołóstwo, zabójstwo, gwałt na domu szlacheckim mocą prawa dawnego królewskiego, z wyroku sądu grodzkiego w Krakowie urodzony Gedeon Borkowic herbu Napiwoń oddany zostaje pod miecz. Mistrzu Jakubie, czyn swoją powinność!

Kat uniósł głowę w kapturze, wyciągnął rękę i ze świstem dobył z pochwy długi, płasko zakończony miecz z trzema otworami przewierconymi na końcu. Wzniósł go pionowo, pozdrowił sąd, rajców i tłum, a potem obrócił ostrzem w dół.

– Synu, pojednaj się z Bogiem – odezwał się spowiednik skazańców, ksiądz Kracik, wychodząc do Borkowica z krzyżem w rękach.

– A jeśli chcesz coś rzec, mów teraz – mruknął starosta – bo potem będzie za późno!

Gedeon odrzucił do góry głowę i obrócił się do rajców.

– Umieram pojednany z Panem, ale chcę wam rzec: niczego nie żałuję! Gdybyście znali, gdybyście mieli w łożu panią Dorotę, wdowę po Zychu, to samo niebo zwalilibyście jej do stóp, panie Kamler. Słuchajcie mnie wszyscy! Nie było nigdy piękniejszej niewiasty, nigdy nie widzieliście tak cudnie świecących oczu, jak blask miesiąca na pogodnym niebie, jak mocne światło błyskawic. O wy, wszeteczni rajcy, biegający z każdą potrzebą do zamtuza, wybijający grzeszne myśli z głowy batożeniem i różańcem... Gdybyście odkryli jej łono, obaczyli piersi jak dwie sarny skaczące, jej oblicze nad sobą, kiedyśmy zażywali łaźni... I nie tylko w łożu. W stajni, w balii, pod drzewem, w łąkach zboża i pszenicy, pod wodospadem, we młynie. Na polowaniu... Dla tej niewiasty, dla tej pogańskiej, wyuzdanej Wenus, zabilibyście nie tylko starego pryka męża, ale zaparli się po trzykroć Pana jak Święty Piotr. I nie jednego, ale dziesięciu Zychów zarabali, aby słać pani Dorocie pod stopy róże i perły. Ciebie, panie starosto, to już nie dotyczy – ciągnął – bo stary z was grzyb. A ty, księżę Kraciku, nie wytrzymałbyś w sutannie, słysząc słowa zachęty mojej nadobnej pani, jej miłosne wyznania, jej krzyk, jęki, kiedyśmy połączyli się w stajni, na koniu, w polu, na sianie, w balii, na stosie futer...

Książd Kracik z wrażenia zatkał sobie uszy. Inni słuchali ze zgrozą.

– Dorota była dla mnie jak sama Wenera, kusiła niczym Afrodyta zatrutym jabłkiem. Święty Stanisław zemdlałby, słysząc z jej ust miłosne słowa, bogowie pogańscy zesłali chmury, aby nie widzieć gładkiego jak kość elefantowa ciała. To chcę wam powiedzieć, że zaznałem rozkoszy jak Wisław z Helgundą pod nieobecność Walgierza Wdalego. Niczym Tristan z Izoldą, Tannhäuser z Wenus, posiadałem nie niewiastę, ale cud świata, boginię kształną niczym posągi rzymskich mistrzów.

– Milcz, heretyku! – zakrzyknął ktoś z boku. – Na stos z nim! Miecza szkoda!

– Niczego nie żałuję, umieram, albowiem żyłem życiem, które nigdy nie było wam dane, wielmożni wielebni i przeklęci!

Skłonił się, ucałował krzyż, ksiądz Kracik wyszeptał nad rycerzem słowa modlitwy. Gedeon wszedł na sukienny kobierzec, przyklęknął, złożył ręce do modlitwy. Czekał, nie składając nawet głowy na przygotowanym pniaku.

Ceklarz przystąpił, chcąc przytrzymać jego głowę za włosy, ale skazaniec rzucił na niego złe spojrzenie.

– Precz, pacholku. Wytrzymam cios, nie uchylę się!

Mistrz małodobry stanął z boku, pod słońce. Podniósł miecz i wziął zamach.

– Czyń powinność! – powiedział starosta.

– Stójcie! Zabraniam! – krzyknął ktoś groźnie.

Z łoskotem stóp obutych w ciężkie trzewiki, z brzękiem rycerskich ostróg na szafot wszedł wysoki, potężny, posiwiały mężczyzna bez czapki. Był w karmazynowej jopuli przepasanej segmentowanym złotym pasem rycerskim. Na drugim miał miecz w pochwie. Czarne włosy podgalał z boków zgodnie z burgundzką modą. Obrócił się do sędziów, a tłum najpierw oniemiał, a potem zaniósł się krzykami.

– Zawisza! Zawisza z Garbowa!

– Wielebni i wielmożni panowie – ciągnął rycerz – wybaczcie, że przeszkadzam, ale przynoszę łaskę dla Gedeona, syna Czambora. Oto pismo z kancelarii, akt królewskiej restytucji.

Wysunął zza pasa zwinięty pergamin, rozwinął i przeczytał:

– My, z Bożej łaski król Polski, ziemi krakowskiej, sandomierskiej, sieradzkiej, łęczyckiej, Kujaw, pan i dziedzic Pomorza i Rusi Czerwonej et cetera, mocą przyrodzonego mi *ius agratiandi* chronię i wyjmuję spod jurysdykcji sądu krakowskiego i jego wyroków urodzonego Gedeona Borkowica herbu Napiwoń, wstrzymując ciężącą na nim karę gardła i miecza... Resztę doczytacie sami. – Zawisza wręczył pismo sędziemu Kamlerowi, ten jednak tylko rzucił okiem na łacińskie zawijasy i oddał go rycerzowi. Popatrzył na starostę i pokiwał głową.

– Mistrzu Jakubie, odłóż miecz. Łaska!

Kat pokiwał głową i... wziął jeszcze większy zamach!

– Łaska! Łaska! – poniosło się wśród gawiedzi, pacholków, krzyk podniesiony z ust do ust poszedł w tłum, odbił się echem od ścian kamienic, poszedł w głąb placu, potężniejszy i straszny. – Łaska! Łaska!!

– Nie może to być, panie! – wycharczał Szymon kaletnik. – To ja o lasce peregrynowałem, a tu... Nie daję gardła zbrodnie. Zdrada! – wrzasnął starczym, piskliwym głosem. – Zdrada! Dajcie nam zbrodnia! Po gardle go!

– Zdrada! – podchwycił tłum. – Po szyi go! Chcemy widowiska!

– Dajcie nam łotra!

– Wydać go!

Tłum zafalował, posypały się kamienie, między krzepkimi, odzianymi w jopule i skórzane kaftany czeladnikami wszczęła się zawierucha, przepychanka, bójka.

– Będziemy mieli bunt! – krzyknął hutman, podjeżdżając do szafotu. – Tłum się zbiesił.

– Mistrzu Jakubie, odłóżcie żelazo!

Kat pokręcił głową, obniżył miecz tylko po to, aby za chwilę podnieść go do góry.

– To jak? Mam ciąć? Wielgomożni panowie?

Strażnicy miejscy już tłukli pospólstwo i plebs, zwierali szyki, wałąc na prawo i lewo, sami obrywając tego kamieniami.

– Wydajcie im sodomitów! – wyrzucił starosta. – Tych dwóch, co siedzą w kabatach.

– Nie zdążymy. – Hutman zbladł. – A kiedy, panie wielmożny, stos zdołamy ułożyć?

– A powiedziane – wtrącił Kamler – gdzie by chłop z chłopem przeciw przyrodzeniu sprawę miał, według obyczaju mają być spaleni, bez wszelakiego zmiłowania i łaski...

– Kogo jeszcze tam macie w piwnicy, w żelazkach?

– Złodzieje – wypalił hutman. – Żeby tak zgrzeszył, są dwa, szelmy, wyrodki, zwodnicze porośle. Już po sądzie. Tych można nawet... mieczem.

– Jeszcze nie pojednani z Bogiem – zaprotestował ksiądz.

– Pojednasz ich na szafocie. Diabła tam oni warci, i tak będą wisieć, za jedno, czy dziś, czy pojutrze!

– To dawać ich!

– Zaraz posyłajcie! – machnął ręką starosta.

I wtedy przygłuchy kat, biorąc jego ruch za zgodę, niewiele rozumiejąc z całej sceny, ciął.

Brzęk, ostrza zderzyły się. Zawisza odbił własnym mieczem klingę katowskiego oręża.

Uderzył drugi raz, płazem, odtrącając mistrza. Chwycił za ramię bladego, nic nierozumiejącego Gedeona, szarpnął, podrywając go na nogi, pociągnął za sobą. Tamten szedł ciężko, oszołomiony, nawet nie schylał głowy przed lecącymi w powietrzu kamieniami, grudami ziemi i końskimi bobkami. Na szczęście przyskoczyli dwaj pachołkowie w brygantynach, chwycili go za ręce; wtedy krzyknął – sprawiali jeszcze większy ból przez poparzenia. Podnieśli go pod pachy, powlekli po schodach w dół, przez rozwścieczony, falujący, wrzący tłum.

Zawisza szarpał za rękę ledwie żywego Gedeona. Słudzy torowali im drogę przez rozwrzeszczany tłum.

– W Grodzką, na Boga, w Grodzką, szybciej!

Uciekali, biegli, płazowali tłuszcze. Na szczęście ponura, wyniosła postać rycerza budziła mir, zastanowił się dwa razy ten, kto zastąpił mu drogę. Depcąc po nogach, ciałach, trafiani kamieniami, obalając plebs, wpadli za róg, w szeroką ulicę biegnącą wprost ku zamkowemu wzgórzu.

I wtedy omal nie zderzyli się z dwoma rycerzami w kolczugach. Pierwszy starszy, z szeroką jak łopata brodą, nosił na tunice herb – srebrną strzałę Odyńca w błękitnym polu. Drugi młodszy, milczący. Obaj bardzo, ale to bardzo wzburzeni.

– Zawiszo! – wykrzyknął stary. – Stój.

– Kto pyta?

– Dobrogost Odyniec...

– Nie znam was.

– Ale my znamy, i to dobrze. Ja brat Zycha z Mogilna, a owego gaszka, którego raczyłeś uwolnić, pochwyciliśmy u boku bratowej.

– Słyszałem tę historię!

– Ona już u sióstr klarysek w Starym Sączu. A ten... Ja się pytam: gdzie ten gaszek?! Dokąd z nim i czemu nie na szafot?

Zawisza zatrzymał się.

– Gedeon jest w moim ręku, proszę waszmości. Mocna to dłoń i sprawiedliwa, zaufajcie.

– Powinien być w ręku kata! Mości Zawiszo, ja sam z synem pochwyciliśmy go, wyrąbaliśmy szelmowską kompanię i przywieźliśmy pod sąd.

– Cóż z tego?

– To, że go chronisz. Odstąp, oddaj nam!

– Król go ułaskawił. Chcecie zwady?

Wyszarpnął miecz z pochwy, wodził nim od jednego do drugiego zawalidrogi.

– Nie zapomnimy tego, czarny Sulimczyku! – wykrzyczał stary. – Możesz być graczem na miecze, faworytem dwóch królów, ale strzeż się!

– Przyjmuję za grzechy! – Zawisza położył dłoń na rękojeści miecza. – A teraz chcecie zwady? Tutaj?!

Wrzask tłumu to podnosił się, to rozpadał na poszczególne okrzyki, ciżba napierała na szafot.

Dobrogost splunął. I się cofnął. Na razie odpuścił. Nic nie wskazywało jednak na to, by miał darować Gedeonowi na stałe.

*

Ledwo cepy i okręcone sznurami nasieki strażników miejskich uspokoiły tłum i oczyściły ulice Krakowa z rozszalałego pospólstwa, które biło się między sobą, a przy okazji rabowało kramy, Zawisza wyciągnął ledwie żywego Gedeona z Domu Rycerskiego przy Kanoniczej. Poszli do Piwnicy Świdnickiej na opustoszałym rynku, w podziemiach pod spichlerzami miejskimi. Gdy zeszli skośnymi

schodami w dół, przywitała ich pustka. Było tu tylko kilku znużonych czeladników w kapturach i jakiś mieszczanin drzemiący z głową na stole. Na widok Zawiszy, chwytając w locie półgrosza z koroną króla Jagiełły, szynkarz kłaniał się unieźleniu. A rycerz wskazał izbę po lewo, z trzema oknami w głębokich niszach, wychodzącymi na poziom rynku, gdzie można było porozmawiać we względnie zaciszu, jeśli oczywiście zapomniano się o gwarze placu targowego pomiędzy ratuszem a sukiennicami pięć stóp wyżej.

Szynkarz oczyścił pomieszczenie w jedną chwilę. Po prostu wyciągnął solidną, okutą żelazem wekierę i wpadł między kilku zasiadających przy ławie mieszczanków.

– Poszedł precz, stary kurpiu i wiechciu! – zakrzyknął, wywijając bojowo łagą. – Dupojebcu, godnyś, żeby cię dać... Lucyferowi w dary!

W ten sam sposób odgonił starą niewiastę lekkiej profesji i ulicznych obyczajów.

– Won, kurewnico wierutna, zamtuzie wytarty! Obwisłym cystem karmić młode czarty! – dorzucił, dodając zamiast rymów kilka tęgich kopniaków.

Chwilę później przecierał stół i ławy, wołał pachółka, który natychmiast wysypał izbę zielskiem, macierzanką i rozchodnikiem dla uniknięcia fetoru i zapobieżenia złym urokom.

– Nisko prosimy – skłonił się – w nasze niegodne progi wielmożnych panów.

Zawisza cisnął mu jeszcze jednego półgrosza.

– Piwa. Chcemy być sami!

Zasiedli przy stole w snopach czerwonego światła zachodu, które wbijało do izby przez okna pod stropem. Karczmarz przyniósł cynowe kufle pełne bursztynowego trunku, piwo było zimne jak lód, dobrze gaszące pragnienie i obmywające rany cielesne i duchowe.

– Zawiodłem was po raz kolejny – odezwał się ponuro Gedeon. – Macie prawo być gniewni, łajać, bić, nawet zmusić do zrzucenia ostróg i pasa i zaszycia się w klasztorze. Jak uczyniono z moją Dorotą.

– Będzie jakiś pożytek z wilka zamkniętego wśród mnichów? Nie jestem Jezusem Chrystusem, aby sądzić. Nie mam też sił Świętego Szymona z Cyreny, aby nosić cudze krzyże.

– Mam u was dług, mości panie starosto kruszwicki. Duży, zważywszy, że nie spłaciłem jeszcze poprzednich, których jest cała góra.

– Nie u mnie masz dług, ale u Jego Królewskiej Mości. – Zawisza wy dobył ten sam pergamin, z którego na szafocie odczytywał ułaskawienie. – Nasz pan darował ci winę pod pewnymi warunkami.

– Pewnie ciężkimi.

– Najważniejszym jest, abyś udał się za granicę, służąc sprawie chrześcijaństwa orężem, którego dobywasz łatwiej niż słów pokory z gardła. Chcesz, czytaj sam.

– Nie muszę. Kto by nie wierzył Zawiszy z Garbowa.

– Teraz piszę się: z Rożnowa.

– Racja, zatem czeka mnie wygnanie, udział w wojnie albo jakiejś pogranicznej awanturze.

– Nie jesteś ucieszony? Chciałbyś po tym wszystkim... zażywać dostatku w domowym zaciszu? Nie będzie ci to dane.

– Wystarczająco zażywałem z Dorotą, dopóki nie wpadł do nas Dobrogost z połową rodu Odrowążów i drugą połową Nałęczów oraz procesją mnichów i inkwizytorów. Nawet w Malborku nie obroniłbym się przed tą tłuszcą, a co dopiero w parszywej wieży Zycha Odyńca z Mogilna.

– Którego zabiłeś w łożu jak łotr, a potem zniewoliłeś jego żonę...

– Za jej zgodą wszystko było. Więcej, sama brała w tym udział, a gdybyś wiedział, z jaką ochotą... Niczego nie żałuję. Miłowałem jak król, jak młody Bóg. Mogę z tą pamięcią iść choćby do piekła.

Drzwi do sali otwarły się na oścież. Stał w nich człowiek o trefionych włosach, wymykających się dwiema grubymi kiściami spod obszytej futrem czapki. Nosił włoską szatę – giornenę, to jest krótki kaftan obsyty gęsto futrem na rękawach, i różnobarwne nogawice – białą i brązową, obcisłe, podkreślające krój męskich

łydek, choć sam mężczyzna był już podstarzały, z obliczem pobrużdżonym i pokrytym dawnymi bliznami.

– Jest już nasz gość – powiedział Zawisza, wstając od stołu. – Sam wszystko ci powie, Gedeonie.

Nieznajomy wszedł do środka, rozkładając ręce, podczas gdy jego giermek i trzech pachołków zostali w głównej izbie. Gedeon zobaczył jeszcze tarczę, trzy białe zęby w czerwonym polu.

Przywitali się z Zawiszą jak dawni znajomi, kłaniając się, ściskając ręce. Gedeon pokłonił się tylko, jednak nieznajomy sam poufale ujął go za ramiona, spojrział w twarz i uściskał, jak gdyby byli co najmniej rodzonymi braćmi.

– Więc to jest ów sławny towarzysz waszej mości, szlachetny Gedeon. Cóż, przybyłem pomóc w jego kłopotach, szkoda bowiem, żeby dobra krew rycerska marnowała się pod mieczem kata, dla uciechy śmierdzącej gawiedzi.

– Czy my się znamy?

– Oto, Gedeonie, Oswald von Wolkenstein, rycerz zacnego niemieckiego rodu z południa, dworzanin króla Zygmunta Luksemburczyka, poeta, minnesinger, a przede wszystkim histrion i wojownik poszukujący prawdy. Rycerz Grobu Świętego i świętego Zakonu de la Jarra. Bohater spod Nikopolis, gdzie zginął mój ojciec Mikołaj.

Gedeon przyjrzał się nieznajomemu. Jedno, co dziwiło w jego postaci, to prawe oko – powieka opadała w dół, prawie przymknięta, jakby jej właściciel ustawicznie ją mrużył, oglądając świat przez wąską szparkę, w której świeciło coś błękitnawo.

– Ach, trochę się podróżowało po świecie. – Wolkenstein pociągnął Zawiszę i Gedeona do stołu. – Bywało się w zimnej Moscovii i w gorącej Tartarii, w Durch Barbarei, czyli w Arabii, Walachii i Transylwanii, także na Litwie i na Grunlandzie oraz w dalekiej Hibernii. Długo by o tym gadać. Teraz zaś mamy sprawę ważniejszą, niecierpiącą zwłoki, bo jak powiadają minnesingerzy: „Biada grzesznikom w tej godzinie! Chrześcijanie, poganie, Żydzi, każdy wojnę toczy, ale tylko nasza jest sprawiedliwa”.

– Z tych słów wnioskuję, że wasz pan, król węgierski Zygmunt, szykuje znowu awanturę.

– Krucjatę, to już postanowione. I co więcej, widzę ciebie, młodzieńcze, na czele tej wyprawy, podnoszącego dumnie głowę jako *miles Christi*, bijącego Turków i Saracenów i zmywającego z siebie wszelakie grzechy i hańbę.

– Więc Zygmunt ogłosił nową krucjatę na husytów – mruknął Gedeon. – Niepomny młocki, którą sprawił mu Żiżka, chce teraz porwać się na Prokopa Gołego, Jana Rohacza z Dube i Hynka Kruszynę? Może i ja ci coś zaśpiewam, mój szlachetny trubadurze: „Nie mów tego, kralu węgierski. A lepiej ci było w Konstancy słowiki prządaci niżli prażan mieczem dobywaci!”.

– Król węgierski pozostawił sprawę czeską legatowi Henry’emu de Beaufort, który organizuje osobną krucjatę niemiecką przeciwko głosicielom kłamstw Husa. Nie przeczę, bliżej są nam stąd Czechy niż pogranicza węgierskie, łatwiej tam o zbawienie. Sam zostałem zaliczony w poczet dworu króla Zygmunta, dopiero kiedy dobrze przysłużyłem się orężem w obronie władcy chrześcijańskiego, kiedy jego życie było zagrożone przez wyznawców Husa.

– O, to zacna nowina – rzekł Gedeon. – Rad posłucham. Gdzie to było?

– Pod Kutną Horą, koło twierdzy Tabor. Stałem tam wiernie jak mur, razem z innymi, broniąc królewskiego namiotu, kiedy charakternik Żiżka natarł na nas z ruchomym obozem. Odparliśmy ich atak, a w nagrodę nasz pan nie tylko obdarzył mnie godnością jego posła, ale i świętym Orderem Smoka. O, mój młodzieńcze, cóż tam się działo! Husyci wytoczyli na nas dujące ogniem smoki, armaty, ogromne wozy zbrojne w czeladź z hakami, pikami, cepami i innymi piekielnymi narzędziami diabła, które czynią bolesną krzywdę chrześcijanom. Żałuj, że cię nie było!

Gedeon uśmiechnął się, popatrzył na Zawiszę, potem w przestrzeń.

– Właśnie tam byłem. Ale jakośmy się nie spotkali.

– Śmiesz mi zarzucać kłamstwo? Powiedz mi to prosto w oczy, mości Gedeonie, a zamiast pod Kutną Horą spotkamy się w szrankach!

– Nie sierdźcie się, naprawdę walczyłem w tej bitwie.

– W której chorągwi? W zaciężnych ze Śląska?

– Pod Janem Żizką, w taborze.

Zapadła cisza, tylko z góry dochodził łoskot kopyt, pisk drewnianych osi wozów wracających z targu.

– Tedy jesteś husytą – wycedził Wolkenstein. – A ja tu siedzę i rozmawiam z... z...

– Z heretykiem, mówcie śmiało, nie obrażam się jak wy. Pod Kutną Horą przebijaliśmy się bez artylerii. Ja sam wraz z ochotnikami z Taboru zdobywałem namioty króla Zygmunta. Zapamiętałbym wasz zębaty herb, gdyby nam przyszło się zetrzeć. Pobiliśmy wtedy wojska owych chrześcijańskich rycerzy, jak mówisz dworską mową. Tych samych, którzy palili wsie, ćwiartowali dzieci na oczach matek, a niewiasty przybijali do płotów za piersi. Widziałem ciała wieśniaczek, które gwałcono aż do śmierci, i nie wiem, czy ich męka poszła na karb Husa, czy raczej króla, który wtedy był jak poganin.

– Walczyłem tam i nie lżę – uniósł się Wolkenstein. – Żizka musiał wycofać się spod miasta, bo zachowało wierność królowi Zygmontowi. Cóż, jeśli uważasz, że koloryzuję, może jeszcze zarzucisz mi, że nie byłem pod krwawym Nikopolis prawie trzydzieści lat temu, gdzie zginął ojciec naszego zacnego Zawiszy z Rożnowa?

– Słuchając ciebie, płonę z ciekawości, jak wyniosłeś głowę.

– Mikołaj z Garbowa z bitwy mnie uratował. A król Zygmunt przysłał łódź po swoje wierne sługi. W ostatniej chwili, bo trzystu pogan wywijających szablami i szczerzących zęby jak sam Lucyfer, Belzebub, Berith i Lauwiasz było już blisko. A jeśli nie wierzysz, może przekona cię rycerskie starcie.

Oswald położył dłoń na rękojeści miecza, ale Zawisza najpierw przeżegnał się, a potem wyciągnął dłoń, wstrzymując go.

– Król Zygmunt organizuje nową wyprawę na Turków, nie na husytów. I w tej właśnie sprawie, Gedeonie, możesz się przysłużyć.

– Mam jechać na Węgry, walczyć za Luksemburczyka? A nie ucieknę do tego czasu w domowe pielesze?

– Nasz pan Zygmunt powierzył twojemu przybranemu ojcu zwerbowanie chorągwi zaciężnego rycerstwa w Królestwie Polskim. Za aprobatą króla Jagiełły, który chce przysłużyć się chrześcijańskiej sprawie. Nasz wielmożny gospodarz, pan starosta kruszwicki i spiski, poprowadzi przez góry hufiec dzielnych wojowników.

– Liczę, że będziesz w szeregach moich ludzi – odezwał się Zawisza. – Ale może pomyliłem się co do ciebie?

– Tak zatem miałbym spłacić winy i odkupić karę? Uczynię to, ale nie dla mości Wolkensteina, ani tym bardziej tchórzliwego króla Zygmunta, który siedem razy uciekał z bitew i zwad. Uczynię to dla was – popatrzył na Zawiszę – bo jak wielu w Królestwie Polskim szanuję i was cenię, mimo zawodu, jaki wam sprawiłem całym moim życiem.

– Każdy odkupi dawne winy i grzechy na tej krucjacie – westchnął Zawisza.

– Jedynie zaś żar prawdziwej wiary sprawi, że spłynie na nas łaska Chrystusa – rzekł Wolkenstein. – Ja sam odkupię własne przewinienia, dlatego za moje ciężkie grzechy jeszcze z czasów Nikopolis przyjmuję twoje niegodziwe słowa, młodzieńcze.

– Będę potrzebował... – zaczął Gedeon – sami wiecie czego. Odyńce, sucze krwie, ograbili mnie do ostatniej koszuli. Resztę wydałem... na wino w lochu. Żeby się nie nudziło czekać do egzekucji.

– Poręczę za ciebie pożyczki u krakowskich kupców. Na konia, zbroję, poczet, może liche, ale własny. Ruszajmy zatem ku przygodzie, a najpierw do Rożnowa, gdzie kazałem zgromadzić się pierwszym zaciężnym. Przyjadą starzy przyjaciele, jeszcze z dawnych, żmudzkich czasów. Pamiętasz?

– Pamiętam.

Wstawali powoli, Zawisza niespodziewanie odpiął pas z mieczem w czarnej pochwie, z wizerunkiem herbu Sulima na płazie, położył go na stole.

– Jest pohańbiony, dziś skrzyżowałem broń z katowskim ostrzem – wyjaśnił na pytające spojrzenie Gedeona. – Nie będę nim walczył w słusznej sprawie.

I wtedy ich dłonie spotkały się na broni.

– Ja go wezmę – zdecydował Borkowic – sam byłem w ręku małodobrego mistrza, więc jestem tak samo pohańbiony i przeklęty. Ciekawość, co jeszcze gorszego może mnie spotkać.

– Ta broń jest wyklęta! Nie wolno używać jej przeciwko chrześcijańskim rycerzom...

– Ale na Turków – Gedeon spojrzał w oczy Wolkensteina – na pohańców będzie w sam raz, zaprzeczycie?

Trubadur milczał. Tylko kiedy odchodzili od stołu, podśpiewywał sobie:

*Álrerst lébe ich mir werde,
sît mîn sündic ouge siht
daz here lant und ouch die erde,
der man sô vil eren giht.
Ez ist geschehen, des ich ie bat:
ích bin komen an die stat,
dâ got menischlîchen trat.*

*

Droga z Rożnowa do zamku położonego między ramionami płynącego wartko Dunajca przegrodzona była krzywą kobylicą najeżoną świeżo zastruganymi kołami, za którą stało dwóch pachołków. Strużka dymu unosiła się w powietrze znad zagłębienia w skalistym gruncie po prawej stronie. Stało tam kilka szarych, prostych namiotów, szałaszy sklecone z chrustu, byle jak, jakby lada

podmuchał wiatru miał je rozwalić. W obozowisku kręcili się brodaci, kosmaci mężczyźni w futrzanych czapach; rzadko który w prostej, okrytej tuniką kolczudze, nieliczni w brygantynach i skórzanych pancerzach powiązanych rzemieniami.

– Panie, zamek oblegają! – zakrzyknął giermek. Zawisza podniósł rękę, zatrzymując cały poczet, swój i Wolkensteina, obu giermków, strzelców. I pachołków w kapturach prowadzących zaprzężony w dwa konie, nakryty płócienną pałubą wóz, na którym leżał wyczerpany i gorączkujący Gedeon.

Rycerz wpatrywał się w postrzępione, spłowiałe proporce. Jeden z herbem Śreniawa z dwoma krzyżami, inne zadziwiające, choć znajome. W krasnym polu podwójny, rozdarty krzyż. W błękitnym polu, pod złotym krzyżem półksiężyc z sześciopromienną gwiazdą między rogami. Kolumna z krzywym bułatem. I jakby tego jeszcze było mało – na innym mogiła z trzema krzyżami, z kłamrą srebrną z krzyżem i kwiatem poniżej.

– Czekać tu! – Zawisza uniósł głowę. – Nie ruszać się.

Dźgnął ostrogami rycerskiego konia i podjechał wolnym, rozkołysanym galopem pod barierę; na jego widok strażnicy skulili się, wystawiając ostrza w stronę nadjeżdżającego.

– Hej, Ursyn, Wizgird! – zakrzyknął Zawisza. – Cóż to, witacie mnie sulicami w moim własnym domu? Hej, bywajcie tu!

W obozie coś się poruszyło. Kosmate, dzikie postacie zaczęły wstawać, rozglądać się, coraz więcej zarośniętych aż pod oczy głów zwracało się w stronę rycerza.

– Toż to pan nasz! – zakrzyknął ktoś. – Rycerz Zawisza!

– We własnej osobie!

Wokół kobylicy zaroilo się od ludzi zbrojnych w topory, kiścienie i obuchy. Spojrzenia skrzyżowały się na postaci rycerza i... ostrza opadły do ziemi w pokornym geście poddania. A kto nie opuścił, ten dostał pięścią po łbie i po boku od krępego, zarośniętego mężczyzny w skórzni, tak rozrośniętego w barach, że gdyby był wyższy, można byłoby śmiało wziąć go za niedźwiedzia.

– Wizgird – rzekł Zawisza – już zapomniałeś, jak w Żmudzkiej puszczy dałem ci lekcję rycerskiego obyczaju?

– Panie! – zakrzyknął drugi, młodszy, wyższy, jasnowłosy, w ruskim juszmanie. – Wzywałeś, więc przybyliśmy.

– Ursyn – powiedział do niego Zawisza – prosiłem was w gościnę, a wy przyjechaliście jak zbóje, bo chyba oglądę i dworność pozostawiliście w dymnych chatach na Żmudzi! Na Boga żywego, co to wszystko ma znaczyć? – Pokazał ręką kobylice, strażników i wojowników kryjących się za skałami i krzakami przed zamkiem.

– Przybyliśmy w pokoju, jak kazałeś – odezwał się Ursyn – ale to wasza połowica, pani Barbara Lubstowska, potraktowała nas jak Krzyżaków. Nie wpuściła do zamku, chociaż byliśmy wcześniej w gościnie u jej krewnej, pani Małochy. Wasza żona zawarła wrota, a zamiast powitania wypuściła parę bełtów, ku przestrodze.

– Tak i my ją oblegli! – zakrzyknął inny, zdjął futrzaną czapę i skłonił się nisko Zawiszy.

– Nie łapcie za broń – rycerz odwrócił się do swoich ludzi – to moi przyjaciele.

– Widzę – rzekł Wolkenstein, nieco zdziwiony. – Poddani Attyli, Tatarzy czy może dawni Scytowie?

– Coś jakby. To Żmudzini. Przybyli na moje wezwanie.

Kilka silnych, stwardniałych od broni rąk podniosło i odrzuciło kobylicę. Zawisza ruszył do przodu, jechał pod zamek z jasnego kamienia, wznoszący się na szczycie wzgórza, podłużny, zwieńczony zębatymi blankami. Aby podjechać do wrót, musiał okrążyć go z lewej. Zatrzymał konia, uniósł głowę.

– Dmijcie w rogi!

Wolkenstein podniósł swój do ust, wydając długi, przeciągły, niski, nieco wibrujący ryk.

Na górze na bramie zamajaczyły kapaliny strażników. Ktoś coś krzyczał, inny zbiegał po schodach. Nic więcej się nie stało. Zawisza poczuł chłód na karku i nieprzyjemne uczucie, że może nie zostanie wpuszczony do własnego zamku. Już by Wolkenstein ułożył o tym odpowiednią balladę! Obejrzał się na Żmudzinów; wzrok wszystkich

skupiony był na nim, na ustach minnesingera błąkał się jeden z jego wielu szyderczych uśmieszków. Ta chwila się przeciągała...

– Wojciech jest tam, między wami? – zakrzyknął w górę. – Mam tam do was wejść? – zapytał, ukrywając w głosie bezradność. – Już zapomnieliście, kto jest panem Roźnowa? Otwierać albo wszyscy pójdziecie na gościniec ze śladami nahaja na grzbiecie!

Rozległ się szcęk żelaza, jeden, drugi, kiedy opadały wrzeciądze i kuny. Potem brzęk łańcucha, wreszcie we wrotach zarysowała się z każdą chwilą rozszerzająca się szczelina, otwierając drogę do zamku.

Dziedziniec był szczególny, bo długi, między wysokim murem z prawej a ciągiem murowanych budynków z lewej strony. Zamek był położony na samym szczycie wzgórza, na wąskiej skalnej grzędzie.

Żmudzini kręcili kosmatymi głowami, spoglądając na wozy zgromadzone pod murem, wysoką wieżę i basztę nad bramą. Na zadaszone ganki jak gniazda przyklejone do ścian domu wielkiego i innych zabudowań. Na opadające z nich drewniane schody.

Po których schodziła ku nim Barbara; właściwie lepsze byłyby słowa: spływała, zniżała się. Niewysoka i misterna, w wysokim, wypchanym poduszkami czepcu rozdwojonym niczym diabelskie rogi. Pod nim włosy miała splecione i tak mocno ściągnięte do tyłu, że aż jej oczy zdawały się skośnawe. Skraj długiej francuskiej sukni unosił chłopiec. Na sukni zaś miała zapięty zdobiony złotem pasek: popularny demiceint z sakiewką i – co od razu zauważył Zawisza – kluczami od skarbczyka i piwniczki.

Małżonka czekała na schodach, nie schodząc w błoto dziedzińca, choć na trzewiki miała założone wysokie drewniane patynki.

– Moja Barbaro – odezwał się z wyrzutem – czy mam cię oblegać w moim własnym zamku, abyś raczyła nas wpuścić? Oto – wskazał Ursyna i Wizgirda – moi przyjaciele ze Żmudzi, o których opowiadałem ci wielokrotnie.

– Nie miej żalu, panie mężu, że wiernie strzegę dóbr, na które ciężko pracowali mój ojciec Maciej i dziad Maczuda. Jako bezbronna

niewiasta lękałam się obcych. Niechaj mój mąż przeprosi was za ten afront, którego nie sposób było uniknąć w tak ciężkich i niebezpiecznych czasach.

Zawisza zsiadał z wierzchowca, służba wyprzęgała konie od wozu, czeladź Żmudzinów wprowadzała na dziedziniec małe koniki dźwigające ciężkie juki.

Podszedł do żony, objął ją i chciał ucałować, ale umknęła z głową na bok.

– Twój syn... Pierworodny Mikołaj porzucił szkołę i uciekł do brata... Do Farureja w Krakowie – wydyszała. – Pomimo wszystkich łask, jakie mu wyświadczam, i tego, że nie zwracam uwagi na jego... pochodzenie.

– Kajam się z żalu i zawiadamiam, że otrzyma stosowną karę.

– Dobrze, że nasze – podkreśliła to słowo skrzywieniem pięknych usteczek – chłopięta pilnie się uczą.

– Przyjaciele, poznajcie moją żonę Barbarę.

– My już wcześniej poznaliśmy dobrodziejkę przed wami – ozwał się Wizgird. – Strach, jak dobrze poznaliśmy. No, śmiech najlepsze lekarstwo.

– *Žemajtis, kukutis*[1] – mruknął ktoś z tyłu.

Żmudzini schylali głowy.

– Witam was na zamku w Rożnowie i zapraszam do stołu, służba rozkulbaczy konie i wskaże kwatery. Dziś bądźcie moimi gośćmi, jak ja lata temu na Żmudzi.

Kosmaci goście podchodzili po kolei, kłaniając się przed panią; niektórzy wręcz walili plackiem w błoto. Inni, zamiast schylać się dwornie i całować w dłoń, próbowali obłapiać.

Wolkenstein roztrącił ich bezceremonialnie, skłonił się, zdejmując obszytą futrem czapkę, ukląkł.

– Piękna pani, jestem Oswald von Wolkenstein, dworzanin Zygmunta Luksemburskiego, władcy Czech, króla Węgier, cesarza całej Rzeszy, pan na Seis am Schlern, kawaler Zakonu Smoka, zakonu de Jarra, rycerz Grobu Bożego w Jerozolimie. Pod twoje stopy składam moją lutnię i miecz, dwie nierozłączne ozdoby

każdego prawego rycerza. Albowiem podobnie jak *prudentia* i honor to dwie strony tego samego orderu.

Barbara aż podskoczyła, podając mu dwornie trzy palce do ucałowania. A potem wspięła się na palce i zakrzyknęła, pokazując na wóz i służbę kręcącą się wokół niego:

– Kogo tam wnoszą Junosza i Wojciech?

– Gedeon Borkowic, nieszczęsny mój wychowaniec – powiedział Zawisza. – Opowiadałem ci dzieje jego miłości. Niestety, nie jest w stanie sam oddać ci honorów, gdyż jego rany wymagają opieki medyka.

– Niech go ułożą w najlepszej komorze. Udały jest. – Zajrzała w oczy mężowi. Poniżej zaś Gedeon, niesiony na płócienną płachcie, podniósł głowę i skinął nią pani z Roźnowa.

– Mości panowie, przyjaciele – zagrzmiął Zawisza – prosimy do stołu! Służba wnet nakryje. Niech piwo nas rozweseli i ułagodzi obyczaje!

– Medyk zabronił mi pić wina – roześmiał się Wolkenstein – ale o piwie i węgrzynie nie wspominał!

Zawisza stał przy schodach, jakby licząc wszystkich przekraczających progi domu. Zatrzymał na chwilę Olgierda.

– Znikisi? Nie widzę ich.

– Bóg ani rządy Vytautasa nie były dla nich łaskawe. Tylko dwóch przyjechało z nami. Nie sromotajcie się, siły im starczy za dwudziestu.

*

Żmudzini wzbudzili popłoch wśród służby, domowników i dożywotników zamkowych. Przyszli gromadą, tak dzicy, jakby byli w puszczy. Weseli i szczerzy, lecz nieobyczajni. Zamiast obmyć ręce w wodzie podanej w srebrnych misach przez służbę, pili ją, myśląc, że to pierwszy toast. Ręczniki podane do wytarcia rąk rozebrali jak swoje, wzbudzając grymas Barbary, która w jednej chwili z pobożnej stała się moźną. Potem zaś było jeszcze weselej.

Litewscy goście przyszedli w pancerzach, w skórzniach, jak do zdobytego grodu. Rzucali na stół okute żelazem rękawice, wbijali w drewno i kosztowny obrus noże. A kiedy przyniesiono piwo i wielkie misy z pieczonymi wołowymi pręgami, udźcami, z kawałami świńskiej tłuszcziny, przepychali się do nich, nie czekając na krajczego i sięgając brudnymi rękoma po kawały mięsa. Do misy wypluwali resztki, wkładali do ust to, co z nich wypadło. A kiedy podano polewki – dworskim obyczajem po jednej misce na dwóch biesiadników – możniejsi Wizgird, Ursyn i jego brat Olgierd pozabierali je dla siebie, zmuszając biedniejszych i posadzonych na końcu stołu braci do tłoczenia się po trzech do jednego naczynia.

Barbara wyłamywała piękne palce ozdobione pierścieniami, kręciła głową, jakby chciała rzec kawałek znanego wiersza:

*A mnogi idzie za stoł,
Siędzie za nim jako woł,
Jakoby w ziemię wetknął koł.*

*Sięga w misę prze drugiego,
Szukaję kęsa lubego,
Niedostojen nics dobrego.*

*Ukrawaj często, a mało,
A jedz, byleć się jedno chciało.*

Żmudzini nie przejmowali się konwenansami, pili słodowe piwo, którego beczki wytaczano z piwnic, wołowe i wieprzowe ćwierci znikwały w ich żołądkach jak w otchłani. Czasami rzucali kości z kęsami mięsa sługom, którzy w kucki kulili się pod ścianami. Największą uciechę miał z tego Wolkenstein; czasem sam oddawał swoje najlepsze kęsy patrzącym na niego chciwie Żmudzinom, pił ich zdrowie i kazał dolewać do kufli.

– Mili panowie i boży barankowie – powiedział wreszcie do Ursyna – zwiedziłem spory kawał świata, byłem prawie tam, gdzie widać już kulistość ziemi i kolejne sfery niebieskie otaczające ląd. Zwiedziłem Wielką i Małą Germanię, Livonię, Moscovię, Tartarię, Hibernię, Walachię i Arabię, widziałem prawie Antypody, od których oddziela nas strefa ognistego upału na równiku. Lecz tak dzielnych wojowników jak wy dotąd nie spotkałem.

– Jesteśmy ze Żmudzi, Krzyżaku – odparł Ursyn. – Z wolnej, niezależnej nawet od książąt litewskich Żmudzi. Nie czołgamy się przed Witoldem i królem polskim Jogajlą, który odmienił święte obyczaje naszych ojców na koronę z Krakowa.

– Ze Żmudzi? – zmrużył oczy rycerz. – Zatem znacie pewnie sławnego żmudzkiego wodzą Attylę? Czyż nie?

– Chadzaliśmy pod nim na Niemców i Mazurów – uśmiechnął się Olgierd. – Dawno to było, ale pamiętam jak dziś.

– Zatem – Wolkenstein aż klasnął w ręce – słyszeliście, a może nawet widzieliście jego sławny skarb, który sławny rycerz domu niemieckiego Walther i Hildegunda porwali, kiedy uciekali do domu?

– Mój świakier Dowmont zakopał cosik z niego pod Wodokszą – gadał z pełną gębą Wizgird. – O dwa strzały z kuszy od świronka na podgrodziu. Jednak nie wiemy gdzie, bo miejsce już dawno zarosło.

– Będziecie musieli opowiedzieć mi o tym.

– Znajdziemy czas.

– Będzie go nadto, sami zobaczycie.

Na salę przyozdobioną kobiercami, z wielkim kamiennym paleniskiem, gdzie dymiły wielkie szczapy, weszli słudzy, wnosząc dzbany z winem, misy z jabłkami, gruszki smażone w miodzie, śliwki w powidłach i ciasta zawijane z serem.

Zawisza wstał, uniósł kielich z klaretem. Gwar zaczął cichnąć.

– Mili goście, szlachetni rycerze z dalekich stron! Witam was całym sercem i rad jestem, mogąc was ujrzeć w skromnych progach.

– To zaszczyt dla nas! – podniosły się głowy. – Niech żyje Zawisza! Pan nasz!

– Z wami choćby do piekła!

– Cieszy mnie wasza ochota i gotowość. Bo jak kazałem wam przekazać, potrzebuję silnych, dzielnych i zręcznych ludzi. Do rycerskiej powinności. – Zawisza położył dłoń na ramieniu Wolkensteina. – Bądź tak dobry i przeczytaj, co pisze do nas cesarz.

Niemiec skinął głową, wydobył złożony papier ze skrzynki podsunętej przez giermka, wstał, rozwinął.

– My, z Bożej łaski cesarz rzymski August, król dziedziczny Węgier, Czech, Dalmacji, Chorwacji, Ramy, Serbii, Galicji, Lodomerii, Kumanii i Bułgarii, zwracamy się z prośbą do mego brata miłego Władysława, z Bożej łaski króla Polski, pana ziemi krakowskiej, sandomierskiej, sieradzkiej, łęczyckiej, Kujaw, pana i dziedzica Pomorza i Rusi Czerwonej, księcia Litwy. Wiedząc bowiem, iż Turcy i ich sprzymierzeńcy następują na granice nasze, prosimy układnie, aby zezwolił zaciągnąć w królestwie hufiec dobrych i służących rycerzy, których użyjemy dla odwojowania Tyrnowa, Serbii, Walachii i innych ziem pogranicznych pozostających pod panowaniem pogańskim. Życzymy sobie też, aby przewodził im Zawisza z Rożnowa, starosta kruszwicki i spiski, dworzanin nasz, dobrze nam znajomy, którego na czas wyprawy mianujemy wodzem krucjaty chrześcijańskiej i obiecujemy dalsze łaski, jeśli zgodzi się wspierać nasze dążenia. Banderię zebrać polecamy nie później niż do Świętych Apostołów Piotra i Pawła, przyprowadzić zaś na Węgry, do Budy, pod nasze rozkazy do Dnia Podniesienia Krzyża roku Pańskiego tysiąc czterysta dwudziestego siódmego. Płacę naznaczamy naszym ludziom po sześć grzywien dla kopijnika, a cztery dla strzelca... Oto bulla cesarza rzymskiego! – zakrzyknął Wolkenstein. – Słuchajcie dalej, co odczytam: oto ogłaszam świętą wyprawę na Turka, aby wyzwolić ludy chrześcijańskie cierpiące w srogiej niewoli. A jej przywódcą, godnym następcą Henryka Lwa, cesarza Barbarossy (oby jego broda rosła jeszcze sto lat) i Ludwika Świętego, jest... Niech żyje nam Zawisza! Król to ogłosił!

– Niech żyje! – ryknęli Żmudzini.

– Sześć grzywien ładny grosz – wymamrotał Wizgird i choć lepiej szermował toporem niż piórem, szybko zaczął przeliczać na palcach półgrosze na coraz rzadziej spotykane praskie grosze, te z kolei na kwartniki, czyli ternary...

– Cieszy mnie wasza ochota – podjął Zawisza. – Chcę zaś ogłosić radosną nowinę, że nasz król Władysław udzielił zgody na zaciąg i nasz marsz na Węgry. Witajcie pod moją chorągwią!

Stukali się kielichami, potem Żmudzini przychodzili zgięci napić się z panem zamku. Wino płynęło z dzbanów do kubków i nautilusów, trzeszczały drewniane pomosty, po których z piwnic wtaczano na dziedziniec beczki. I tylko jedna osoba przy stole nie podzielała powszechnej wesołości. Barbara siedziała nieruchomo, wyłamując palce. Wolkenstein spostrzegł to od razu.

– Wasza miłość raczy się weselić. Mąż znów wkroczy na ścieżkę chwały. Jak sławny Roland i Oliwier, bijący Saracenów w Hispanii.

Brząkając w struny lutni, zaśpiewał cicho:

*I Oliwier jedzie przez ciźbę wojenną.
Drzewce mu się skrzywiło, został tylko ułomek.
Zamierzył się na poganina Malona.
Strzaskał mu tarczę całą w złociste kwiaty,
wysadził mu ślepią z głowy i mózg spływa mu aż do stóp.
Pośród innych, którzy leżą kupami, kładzie go trupem.
Potem zabił Turgisa i Esturgala.
Ale ułomek pękł i rozszczepił mu się w dłoni.
Aż Roland powiada: Towarzyszu, co czynisz?
W takiej bitwie nie zda się patyk.
Jeno żelazo jest coś warte, i stal.
Gdzie twój miecz, zwany Hauteclair?
Nie mogłem go wydobyć, odparł Oliwier, tyle miałem do roboty!*

– Możecie śpiewać dzień i noc pod moim gankiem, a ja i tak wiem swoje – powiedziała Barbara. – Przyjechaliście wciągać męża w kolejną awanturę. Ile to razy nadstawiał karku za cesarza? Pod

Niemieckim Brodem, w Perpignan na turnieju i wcześniej, pod Dobojem w Bośni. Czy król Węgier złożył w wasze ręce jakieś sumy lub weksle, za które można by powetować sobie przyszłe straty?

– Szlachetna pani, honor to najlepsza broń każdego szlachetnego wojownika.

– Zatem pan mąż znowu będzie musiał poręczyć duże sumy na moim Rożnowie? Który ciężką pracą wykupił od Kurowskich, wydając mój posag i własną krwawicę, bo Garbów i inne włości oddał braciom. A kiedy go zaślubiłam, jak zwykle był bez grosza.

– Król Węgier gwarantuje własnym honorem zwrot kosztów.

– Luksemburczyk? Przecież on całe życie siedzi w długach po uszy. Nie! – Zacisnęła dłonie w pięści. – Nie zgadzam się! Nie pozwolę na tę eskapadę!

– Obawiam się, że twoja zgoda lub jej brak niewiele znaczą – odezwał się szeptem Zawisza. – Już przyjąłem list przypowiedni. Za późno. Cóż ty na to, moja żono?

– Poskarżę się!

– Komu? Ojcu?

– Stryjowi, biskupowi poznańskiemu!

– Pędź co koń wyskoczy! Ciekaw, co on mi powie o moich rycerskich powinnościach. Za pomyślność wyprawy!

– Na szczęście! Za zwycięstwo! Bij Turka!

Kiedy wypili, wzrok Zawiszy skierował się ku jego prawicy. Ozdobne, rozkładane krzesło z poręczami, które zajmowała jego żona, było puste.

– Zniewieścili panowie polscy – wycharczał jeden ze Żmudzinów do ucha Ursyna. – Ja bym taką do komory i – plasnął dłonią w dłoń – lejcamy po dobroci pogłaskał...

Zawisza nic nie mówił. Czuł się tak, jakby właśnie wszyscy krewni jego żony, Lubstowscy z Lubstowa, to jest ojciec Maciej herbu Laska, stryj Wysz, biskup, Świętopełk z Radoliny i Mikołaj, kasztelan kruszwicki, kiwali nad nim ze złością głowami. A razem z nimi przyglądało się z niechęcią całe dwadzieścia pokoleń Lubstowskich ze sławnym Maczudą na czele.

*

Zawisza odbił się od drzwi do komnaty na piętrze jak sprzymierzone wojska polskie i litewskie od murów Malborka. Barbara zamknęła je na cztery spusty, a na warcie postawiła siostrę Raclawę, którą po cichu rycerz zwał Scholastyką. Benedyktynka była rozmiarów zamkowej hufnicy, ale o jeszcze donośniejszym głosie, sprowadzona z dalekich Staniątek pod Krakowem. Jak oznajmiła, pani domu do rana poświęcała się modłom z okazji zbliżającego się święta Biskupa Stanisława. Cóż, Zawisza przepity, po licznych toastach wychyłanych ze Żmudzinami, którzy zalegli w komnacie, zmieniając ją w bitewne pobojuwisko, nie miał sił do awantur.

Cóż zatem mógł zrobić mężczyzna odpędzony sromotnie z łoża niewiasty? Znaleźć sobie kompanów, najlepiej dwóch albo trzech, z których pierwszym w rejestrze jest obowiązkowo dzban dobrego wina.

Zszedł zatem na dół, odszukał kamienną salę, w której leżał zmożony gorączką Gedeon. Wszedł z dzbanem wina i kagankiem w rękę, ale jego dawny wychowanek nie spał. Leżał na boku, bo inaczej paliły go żywym ogniem niezagojone rany. Widząc Zawiszę, sięgnął z trudem po gliniany kubek.

– Piję zdrowie nowego przywódcy krucjaty. Wodzu, prowadź nas na Konstantynopol albo jeszcze dalej, na Jerozolimę!

– Nie błaznuj. To poważna sprawa.

– Musi być poważna, skoro przychodzisz do wywołańca i banity, zamiast cieszyć się spokojem u boku małżonki.

– Nie jestem dziś w jej łaskach.

– Cóż, ja na razie mogę usłużyć ci tylko wsparciem moralnym. Myślę jednak, że Ursyn albo Wizgird poradziliby ci lepiej, co robić z niewiastami w takiej sytuacji i jak pokazać na nich męską *vis vitalis*, którą przecież tak lubią.

– Barbara nie przepada za moim synem, który porzucił łaskę, jaką mu ofiarowała, i odjechał do Krakowa, do brata. Stąd cała awantura.

– Łaskę? Synowi? Mów bardziej zrozumiale. Który to z twoich czterech?

– Pierwszy... z pięciu. Mam potomka z... nieprawego łoża.

– Mikołaja? – Gedeon aż podniósł się na łokciu, wykrzywiony bólem. – Nigdy nie mówiłeś... Cóż, to taka sprawa. Zaraz! Miałeś go ze Żmudzinką. Z Birutą, z bojarynią Wodokszy, w czasie kiedy wspierałeś powstanie przeciwko Krzyżakom? Aaaa, już się wszystkiego domyślałam.

– Mój grzech. – Zawisza polał wina. Siadł na trójkątnym, twardym zydlu.

– Nie wiedziałem... Cóż, przytrafia się i najświętszym, a ty nie jesteś męczennikiem, tylko rycerzem. Mąż musi czasem... przytulić niewiastę, nie bacząc na nieuchronne skutki.

– Ale nie zabijać innego męża w łożu, chorego.

– Za pokutę jestem tu z tobą. Masz mój miecz, konia i moją tarczę.

– Na które pożyczyłem pieniądze u Żydów z Kazimierza... Nie spodziewałem się, że ona będzie brzemienna...

– Cóż, piękna historia, godna słów i pieśni naszego drogiego Wolkensteina. Powinieneś mu ją opowiedzieć, byłbyś Lancelotem, a twój Mikołaj Galahadem. Może i on kiedyś odnajdzie... swojego Graala. Ech, wszystko to bajki i bajędy, pierdoły gładkich kochasiów z Francji i Turyngii. Podobnie jak słowa waszego króla Zygmunta, który zawsze rzuca je na wiatr. Myślicie, że naprawdę uczyni was wodzem krucjaty? Przeciwko komu? Wystawi was do walki i sam ucieknie, jak pod Niemieckim Brodem, jak pod Witkowem i Pragą.

– Nie służę Zygmuntowi, ale chrześcijaństwu.

– I nie dość się nasłużyliście? Macie zamek, wszyscy was poważają, zapraszają, polegają na słowie. Poza tym mijacie się z prawdą, wasza małżonka nie tyle zła jest za Mikołaja, co za fakt, że znowu wkręcają was w zagraniczne wojaze i bijatyki.

– Nie przyjąłem tej godności dla pięknych słów Zygmunta, dla pieniędzy czy sławy, ale... dla królestwa.

Gedeon upił trochę wina.

– A czy nie dość już chwały przysporzyliście sobie pod Grunwaldem, w Konstancji, broniąc Husa, na turniejach, w Czechach?

– Mówiłem: nie robię tego dla Luksemburczyka, ale dla naszego pana, króla Władysława.

– Niby co za korzyść dla Królestwa Polskiego pakować się w tak wielką awanturę, i to z Turkami, do których nic nie mamy, a nawet z nimi nie graniczymy?

– Król by ci to objaśnił lepiej, gdybyś nie był wygnańcem i banitą. Sprawa jest prosta: cztery lata temu na Spiszu nasz pan podpisał traktat z władcą Węgier i cesarzem. Luksemburczyk nie będzie już popierał wielkiego mistrza pruskiego, w zamian za to my wycofaliśmy się z pomocy dla husytów. Ale to za mało. Po Europie krążą pisma krzyżackie, jeżdżą ich wysłannicy. Pamiętasz sprawę Falkenberga? Jego „Satirę contra hereses et cetera nephanda Polonorum”?

– Pamiętam, że dzięki wam musiał odszczekać ją spod ławy jak pies albo... podkomorzy Gniewosz, co spotwarzył królową Jadwigę.

– Zapewniam cię, że Falkenberg nie był pierwszy ani jedyny. Takich oszczerców jest więcej, a tylko siła i poświęcenie zamkną ich plugawe usta. To dobry czas, Gedeonie, dla takich jak ty, czas pokuty. Czas, żeby pokazać, że my, rycerze polscy, nie myślimy tylko o naszych wioskach i zaściankach, ale o sprawach większych niż granice wioski, ziemi i królestwa. O poświęceniu za wiarę. O obronie chrześcijaństwa.

Zawisza pił, Gedeon milczał. Cicho trzeszczał knot kaganka, z daleka dochodziło stłumione szczekanie psów.

– Któż więc ma ruszyć na krucjatę wzorem księcia Henryka z Sandomierza, jeśli nie ja, którego Luksemburczyk miłuje i obsypuje łaskami?

– A ja ciągle nie mogę się nawet domyślić, jaka jest przyczyna jego afektu. Król Zygmunt to tchórz, nie wygrał żadnej bitwy...

– Jednak nie można odmówić mu zręczności w dyplomacji.

– Prawda. Całe życie knuł intrygi i spiski, na szczęście jest zbyt niestały, aby doprowadzić do końca którykolwiek z nich.

– Ma gładką mowę i przyrodzony dowcip.

– Cudzołożnik, jego żona Barbara Cylejska, jak Messalina albo raczej babilońska nierządnica, utrzymuje harem gachów.

– Co mówi człowiek sam będący gachem.

– O nie! – Gedeon poderwał się z posłania i jęknął z bólu. – Ja naprawdę miłuję panią Dorotę. Ją i żadnej innej!

– Władcy mają własne prawa i przywileje. Nie nam się z nimi równać.

– Coraz bardziej dostrzegam, że Zygmunt wielbi was za te cechy, których jemu samemu brakuje. Podstępny pan, otacza się polskimi rycerzami, a knuje przeciwko nam.

– Bo my nie zdradzamy. Już zapomniałeś?

– Bo my jesteśmy zwyczajnie głupi i byle kiep będzie wysyłał nas na Turków, obiecując chwałę. Oby potem nie śmiał się z nas za plecami.

– Obleciał cię strach? Nie chcesz wyruszać?

– Obiecałem i dotrzymam słowa. Ale nie przysięgałem, że nie będę waszym głosem sumienia, bo nie podoba mi się ta wyprawa. Na Krzyżaków, na Tatarów, na Moskwę poszedłbym choćby w ogień. Dla naszego miłościwego pana. Ale nie dla Zygmunta, cudzołożnika i krzywoprzysięzcy.

– Pokaż mi księcia, który nie złamał słowa. Zresztą mam jeszcze jeden cel w tej wyprawie.

– Świątobliwie polec w walce?

– Odnaleźć miejsce, gdzie zginął mój ojciec. Choćby żeby postawić mu nagrobek tam, pod Nikopolis. Niechby był nawet cenotaf, bo ciała nie znaleziono. Ja nawet czasem łudzę się, że może przeżył... Jakimś cudem.

– Wolkenstein nie był przy nim do końca?

– Nie widział jego śmierci. Obiecał mi pomoc.

– Wolkenstein kłamie. Nie był pod Kutną Horą. Nie wierzę mu. No, może trochę mniej niż Zbysiovi Oleśnickiemu, naszemu drogiemu

biskupowi, pogromcy rannych Niemców. Ale nie wzbudza mojego zaufania.

– Wskaż mi minstrela, który nie chełpi się tysiącami rycerskich i miłosnych podbojów. Oswald... ja tam mu wierzę. W końcu ojciec uratował mu życie.

– Ja jednak będę miał na niego oko.

– Lepiej dbaj o zdrowie, Gedeonie. Musimy przyśpieszyć zaciąg. Liczę, że pomożesz przyprowadzić mi zacny hufiec rycerzy, nawet takich, którzy chcą odkupić na krucjacie swoje własne błędy.

– Będę twoimi ustami i zbrojnym ramieniem... Jak tylko wstanę z łoża.

*

– Nie wolno niewiernych przymuszać do przyjmowania wiary chrześcijańskiej zbrojnie lub groźbą siły, gdyż jest to krzywda dla bliźnich. Nie należy wszak czynić rzeczy złych w celu osiągnięcia dobrych. Wiara bowiem nie może wynikać z przymusu, a wymuszone batem modlitwy nie są miłe Panu...

Głos archidiakona krakowskiego Jana z Pniowa, proboszcza parafii w Wojniczu, niósł się daleko i wysoko pod jeszcze nie ukończonym sklepieniem kościoła Świętego Wawrzyńca, pozbawionym malowideł, a przez to pustym jak niebo bez aniołów.

– Tak właśnie postępowaliśmy zawsze my, rycerstwo i stan duchowny Królestwa Polskiego, kiedy braliśmy pod opiekę Litwę i Żmudź, zawierając z nią unię, zespalając i jednocząc nasze domy, pokolenia, rody, herby i klejnoty herbowe z wszystką szlachtą i bojarstwem litewskich ziem. Cóż jednak ma począć rycerz katolicki, kiedy niewierni, których nigdy nie przymuszaliśmy do przyjmowania wiary, sami ten gwałt zadają chrześcijanom? Co mamy uczynić my, rycerstwo Królestwa Polskiego i Niebieskiego, kiedy Turcy zajmują Widyń, księstwa Bałkanów, podchodząc coraz bliżej do granic Węgier i Walachii? Kiedy przelewają krew

chrześcijańską, zmuszając liczne ludy do przyjmowania sprośnej wiary w Mahometa? Jak niegdyś Krzyżacy w Litwie i na Żmudzi?

Zawisza podniósł wzrok. Kościół pełen był ludzi, szlachta i rycerstwo z przodu, tłum czeladzi i chłopów w szarych świtach, w guńkach jak worki tłoczyli się z tyłu, pod drzwiami i na zewnątrz świątyni.

– Powiem wam, co winniście uczynić! Oto tu stoi nasz sąsiad, znany w całym królestwie rycerz Zawisza Czarny z Rożnowa. Oto pod jego chorągwią gromadzą się ludzie czystej wiary, którzy ruszyć mają na Węgry z nową krucjatą, wyprawą krzyżową, szlakiem księcia Henryka z Sandomierza, aby zatrzymać złowrogich Turków z dala od naszych granic. Dołączajcie do jego zaciągu, kujcie zbroje, siodłajcie konie! Świat cały chrześcijański oczekuje, by dziś miecz, który poraził Krzyżaków, walczył w obronie wiary. Albowiem sprawiedliwość wywyższa naród, a grzech zaniechania czyni ludy nędznymi. Amen!

*

– Święte słowa, księżu proboszczu, święte i co powiem więcej, słuszne i mądre – giął się w ukłonach przed Janem z Pniowa Jan z Ossolina. – Całym moim sercem jestem po stronie wyprawy, dziś na kolanach będę odprawiał modły za szczęśliwy powrót naszych rycerzy z Węgier.

– Sam dam pół grzywny twemu proboszczowi – powiedział Zawisza. – Aby się modlił zamiast ciebie. Ty zaś będziesz miał czas, aby wspomóc wyprawę swoim własnym mieczem.

– Rad bym podążyć z tobą. Cóż, kiedy obowiązki. – Jan z Ossolina ujął Zawiszę za rękaw i przytrzymał. – Jego Królewska Mość zamierza mianować mnie starostą ruskim. Odprawię rycerską powinność z Tatarami i Rusią, nie z Luksemburczykiem, który jest równie zdradliwy jak wąż, który ukąsił w piętę Chrystusa.

*

– Biję się w piersi, mości Zawiszo, ale nie mogę. – Długosz z Niedzielska błądził wzrokiem po ścianach kościoła. – Gdyby jakikolwiek inny, choćby Konrad, książę oleśnicki, albo Trojden z Mazowsza, był patronem tej wyprawy, oddałbym na twoje usługi nie tylko miecz i tarczę, ale nawet serce i duszę. Ale dla Zygmunta Luksemburczyka, zełganego królika, który stoi po stronie Krzyżaków, nie kiwnę nawet palcem... u nogi.

– Przecież król Węgier wyrzekł się popierania wielkiego mistrza już cztery lata temu, podczas zjazdu spiskiego.

– Wyrzekł się jak apostata diabła albo husyta kielicha. Właśnie, husytów tu coraz więcej, jak kąkol w zbożu plenią się w Małej Polsce. Na nich bym raczej uważał, gdzie tam mi myśleć o Turkach. Turcy daleko, za górami, za lasami. A Spytko Melsztyński blisko. Ale wiesz co, miły panie, mam dwóch panoszków, pošlę ci ich do roty, niech służą, zamiast swadźbić dworskie dziewczki.

*

– Ochota jest, a jakże, wielka. Turków prać to zaszczyt i zbawienie dla duszy. – Jan Kmita zwany Tępy drapał się po kosmatej głowie. – Ale, mości panie starosto, okowy mnie trzymają jako drzwi na zawiasach. Powinienem mianowicie być w wieży w Nowym Sączu, gdzie mam do odpokutowania jeszcze pół roku wyroku za tamtą starą sprawę... No, za wróżdę ze Słaboszami. Teraz też tylko przez chwilę cieszę się wolnością, bo brat za mnie odsiaduje.

*

– J-j-już pędzę, Zawiszo kochany. Jakże mnie mogłoby zabraknąć w szeregach t-t-tak znamienitego wodza. I przez pamięć dawnych czynów, wszak razemśmy pod Tannenbergiem wielkiego mistrza

powalili. Już, konie siodłać każę i jadę oczywiście, pod takim magistrem można i przygód zażyć i na-na-nauki wojenne wynieść. Kmieci, dawajże zbroję! A oczyszczona dobrze?

– Hola, hola, a mnie pytaliście, panie mężu? – wtrąciła się Elżbieta, chwytając za trzęsącą się rękę Gniewosza z Dalewic. – A moja zgoda? Przecież ślubowaliście co wieczór za mną modły odprawiać, pielgrzymkę co najrychlej odprawić do Ludźmierza.

– O-o-o-dprawię, da Bóg, do narodzin Jana Chrzciciela... Aaale najpierw k-k-k-rucjata.

– A obiecaliście obejść kościoły krakowskie, poczynając od Świętej Katarzyny u augustianów, skończywszy na Świętym Szczepanie? A rycerskie słowo daliście, zapomnieliście już...

– E-e-e-e... – Roztrzęsiony starzec nie wiedział, co rzec, a Elżbieta skłoniła się dwornie przed Zawiszą.

– Szlachetny panie nasz, mości starosto kruszwicki, sam widzisz, że mojego małżonka trzymają w domu inne obowiązki.

– Ale ja... ja... ja...

– A chodźże już! – Chwyła za rękę Gniewosza i pociągnęła za sobą.

Zawiszy pozostało tylko dwornie się jej odkłonić.

*

W karczmie Piekło przy gościńcu wychodzącym na Wojnicz spod Melsztyna bawiono się z wrzaskiem, rechotem i piskiem ladacznic. Wykrzykiwane z głównej izby słowa były tak grubiańskie, że Święty Stanisław zemdlaliby od nich na wieki, a Święta Kinga zapadłaby się pod ziemię, przez co może nie wygasłby ród Bolesława księcia krakowskiego. Gedeon długo i namiętnie przysłuchiwał im się pod drzwiami, nim pchnął je i zajrzał do izby.

– Jego wielebności biskupowi krakowskiemu cześć i sława! – wrzasnął. – Wiwat Oleśnicki, fundator, donator i *defensor patriae*!

I zaraz schował się do sieni, zamykając ciężką furtę.

Dobrze zrobił, bo z drugiej strony jak grad poleciały: noże, gliniane kubki i dzbany, przekleństwa, kawały pieczonej rzepy i kości z dorodnego wieprza. Za nimi w drewno wbijały się: puginały, mizerykordie, na koniec furczące w powietrzu topory i czekany. Gedeon słuchał tego wszystkiego z uśmiechem, skulony, wtuliwszy głowę między ramiona. I wreszcie, kiedy nawałnica ucichła, wyprostował się, uchylił ostrożnie drzwi po raz drugi.

– Dobrze trafiłem! Sami swoi! Mości panowie bracia, oto ja, Gedeon Borkowic!

*

– Zaciągnąć się, pod sławnym Zawiszą służyć dobra rzecz – gadał suchy i twardy jak rzemień Pietrzyk ze Skorzewa. – Ale czy łupy brać można na takiej krucjacie? Bo ja ślubowałem już dawno ojcom od Świętego Benedykta w Tyńcu, że skarbiec cały sułtański zdobędę i wrócę z klejnotami, perłami, pasami, rzędami pozłocistymi, a pohańskimi półksiężycami przyozdobię fasadę klasztoru.

– Łupy brać można wedle rycerskiej powinności. Jednak wara wam od uczciwych chrześcijan uciśnionych przez Turków.

– Wszelako Żydów, schizmatyków i heretyków obłupić będzie wolno, bo to antychrysty, niemile Panu Bogu?!

– Pewnie, że wolno – rzucił z drugiego rzędu pleczysty jak krakowski gmach Ciołek z Naborowa, obcięty na donicę, z gębą ozdobioną parą zwisających wąsów. – Nie inaczej bywało za poprzednich krucjat, za Godfryda Bulona i Waltera bez Mienia, prawda, panie Borkowicu?

– Możecie wziąć broń i zbroję każdego ubitego Turka, a także jego namiot i rynsztunek.

– To ja pomyślę – zamruczał Pietrzyk. – Dajcie krzyneń czasu.

– A ja się zapisuję! – Ciołek uderzył pięścią w stół. – Trzeba mi dobrej zapłaty, chociaż paru grzywien, bo moją kiesę przetrzepał burgrabia lwowski, a chasę przetrzebili Mazurzy księcia płockiego.

– A z jakiegoż to powodu?

– Zabrałem skarbczyk wuja, kanonika płockiego. Ale w prawie byłem, bo ojców to było. – Ciołek znów grzotnął pięścią, aż odezwały się gliniane kufle i cynowe dzbany.

– Pewnie jednak starosta okazał się innego zdania? – mruknął Gedeon.

– Dlatego się zaciągam. Z całą kompanią, z chłwą! Co mi tam.

– Zaciągacie się sami z poczem. Inaczej nasz rotmagister powiesi waszą czeladź, gdy tylko zjedziecie do obozu. Jak wybieracie?

– Jadę!

Pietrzyk ze Skorzewa splunął.

– To i ja jestem z wami. Za sławę! I szczęście!

Do stołu przepychał się wielki chłop w żelaznych naramiennikach i ruskiej misiurce na łbie.

– A harem sułtana będziemy brać, panowie bracia? Bo ja też ślubowałem mojemu proboszczowi... Więc się zaciągnę, ale wszystkie nałożnice psiego syna mają być moje. Ja Turkom z pięciu świętych przyczynię! Stój, co mówię pięciu! Dwunastu co najmniej! Tak mówię, słuchajcie uważnie!

– Jeśli w was taka ochota, panie... wybaczcie, ale was nie znam.

– Jestem Wydźga z Ciepiewowa, ale druhowie mówią na mnie... Gamratnik Drab.

– Witajcie w naszej rocie.

Uścisnęli sobie dłonie. Do stołu podszedł jeszcze jeden człowiek – z wyglądu przypominał bardziej żaka lub pisarza prowentowego niż rycerza. Bystry wzrok Gedeona otaksował jego postać uważniej niż wzrok poborcy myta wóz wyładowany towarami. Zobaczył przy pasie prosty kord i szeroki sztylet zwany cinquedeą. Długie włosy wymykające się spod francuskiej kapuzy z tak szerokim kołnierzem, że można było podciągnąć go na szczękę, zakrywając część twarzy.

– Jan Baptysta Junoszy, poznajcie. – Nieznajomy nawet nie wyciągnął ręki. Uśmiech miał blady, jak grymas. – Znam, znam sławnego Zawiszę. Pojadę z wami, jeśli mnie przyjmiecie.

Gedeon przeliczył w myślach i na palcach poczty rycerskie, które udało im się zaciągnąć, i wyciągnął rękę.

– Witamy w kompanii, na służbie Zygmunta, króla Węgier. Oby pomyślnej.

– O ty już wspólnie zadbamy, mości panie Borkowicu – powiedział miękkiem głosem Junoszcyc.

*

– Kogoś ty pozaciągał?! – Zawisza uczynił gest, jakby chciał rwać włosy z podgolonego łba. – Drapichrustów, kryptohusytów, wywołańców, banitów wyciągniętych spod miecza, łotrów i brygantów. Jeden z rodu, co zabili Świętego Stanisława...

– Toż właśnie ślubował odpokutować.

– Ten cały Junoszcyc słał wianki i uderzał w konkury do córki starego Siemowita na Mazowszu, aż księżę wyszczuł go psami, bo za wysokie drewniane, mazowieckie progi dla takich baptystów spod strzechy i gliny. Pisma za nim wysłał obelżywe na sejmiki i do grodów.

– Sami mieliście błota i piachy w Garbowie, dobrze pamiętam. A kiedy pan Junoszcyc weźmie sułtański skarbiec, zaraz gniew Siemowita uśmierzy.

– Gamratnik Drab miał być oddany katu za gwałt na mieszczce sandomierskiej!

– Jaki tam gwałt. Trochę się może bronila, ale chciała. Zresztą pal go sześć, zrobi tak jeszcze raz, sam go zetnę. Najważniejsze, że Turków będzie dobrze prał!

– Nie wiem w ogóle, czy Junoszcyc jest pasowany. Widywałem takich w ciemnych zaułkach Paryża i Budy, cenili ludzki żywot na cztery dukaty węgierskie. To w ogóle jest herbowy szlachcic? Bo mi się widzi bękartem jakiegoś proboszcza, no dobra, niech będzie prepozyta albo opata.

– Ja tam w łożnicę jego matki nie zaglądałem, ale widać, że wprowadzony do walki. Poganie walczą podstępem, niegodnym szlachetnego człowieka, wysyłają do boju szaleńców, nic przecież

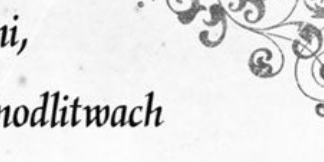
nie przeszkodzi prawemu rycerzowi skorzystać z takich samych ludzi.

– Ciołek z kolei zrabował skarbiec stryja, aby spłacić długi. Próbował porwać siostrzenicę biskupa poznańskiego. Ale pogromili go księżęcy, a sąd grodzki jeszcze doprawił wyrokiem. Nie dziwne, że mu ciasno. I ciepło...


– A wy jakich to bohaterów zaciągnęliście?! – wypalił Gedeon. – Lancelota z Jeziora? Rycerskiego Rolanda? Walgierza Wdałego, Waligórę i Wyrwidęba? Samych Żmudzinów, prawie pogan. I paru starych chryków. Trzeba się modlić, żeby zdołali żywi dojechać na Węgry, żeby nie pomarli w drodze od podagry. Jednego jestem pewien: ci moi będą się bić jak lwy. Mam ich odprawić z podziękowaniem za służbę, która się jeszcze nie zaczęła?

– Sam im podziękuję. Jeśli tylko zawiodą moje oczekiwania.

◁ 1 ▷ Żmudz. Żmudzinie, śpiewaj – tak określano na Litwie tych, którzy ukrywali swoje prawdziwe myśli.


- 
2. *Zaprawdę, szczęśliwi są wierni,*
 3. *Którzy są pokorni w swych modlitwach*
 4. *I którzy stronią od tego wszystkiego, co jest próżne,*
 5. *I którzy są punktualni i regularni w płaceniu Zakat.*

Al-Qur'ān, Sura 23 Al-Muminun (Wierni)



*Mahomet jest Allachem, zaś la ilaha Alla znaczy
Gloria Patris et Filio!*

Jan Corralci z Krakowa,
polski renegat, na przesłuchaniu
przez Inkwizycję



*Hej! szlachta, znacie Bieleckiego Jana?
Dawniej w niewoli gnął u bisurmana,
A dziś się z pany w jednym stawi rzędzie,
Jak król udzielny w darowanej grzędzie.*

Juliusz Słowacki, „Jan Bielecki.
Powieść narodowa polska oparta
na podaniu historycznym”



Rozdział IV

Poturczeniec

Wbrew wszystkim obawom Zawiszy popis świeżo zaciągniętej rotty, który odbył się w wigilię święta Apostołów Piotra i Pawła, wypadł całkiem dobrze. Zawisza wyznaczył przedchorągiewnych – siebie, Gedeona, Mikołaja z Nowosielec, Ciołka z Naborowa, Gamratnika i trzech rycerzy małopolskich, którzy zgłosili się z pocztami prawie w ostatniej chwili: panowie Chareziński z Charezic, Zaręba, Michał z Koncewicz i Cimer. Wyznaczył starego sługę i pewnego ubogiego giermka na trębaczy. Z reszty rycerstwa uczynił boczne szeregi bojowego klina, jak ostrze

miecza, które wykuwa się z twardej stali, chroniącej miękką ość. W środku ustawił Żmudzinów z łukami i czeladź z kuszami. Uformował kolumnę, przeprowadził w jedną, w drugą stronę. Zamarkował szarżę, potem odwrót – zarówno w porządku, jak i w luźnym szyku, formowanie się na nowo pod chorągwią, którą otrzymać mieli dopiero w Budzie, na dworze króla Zygmunta.

Ruszyli dwa dni później spod Nowego Korczyna. Najpierw wyjeżdżonymi, pełnymi wozów drogami do Wisły, przez przeprawę i dalej – do Wojnicza, a potem na południe. Tabor mieli niewielki, Zawisza zakazał brać więcej niż trzy wozy na jedną kopię. Sam wystawił dziesięć, ale z bojowymi zapasami, wyładowanych beczkami z krupami i solonym mięsem, z dobrze znaną każdemu wojakowi siekaną kapustą i sucharami. Zbroję i cały poczet wysłał już na wiosnę na Węgry.

Szli szybko przez Zakliczyn, Gródek – ku górcom, które wyciągały do nich zielone ramiona pogórzy, podnoszące się z wolna, pocięte wijącymi się jarami rzek i strumieni. Do Rożnowa wpadli jedynie na pół dnia. O dziwo, Barbara wyszła na ganek, jednak całe pożegnanie z mężem odbyło się w komnatach, przy zamkniętych drzwiach. Gamratnik Drab i Ciołek podśmiewali się w kułak, bo cała historia z zagniewaną małżonką starosty zdążyła już wyjść poza mury Rożnowa i była znana nie tylko w powiecie, ale pewnie nawet w Krakowie, Paczanie i Sandomierzu.

Szli szybko, robiąc dziennie nawet po trzy mile. Najpierw Zawisza i Gedeon z trębaczami oznajmiałymi przejazd wojska, potem luźna czeladź robiła przejście, rozpędzając pospólstwo, a nierzadko spychając w przepaść chłopską telegę albo kolasę, która zastawiła przejazd. Za nimi szli rycerze i giermkowie w jakach, przeszywanicach, lekkich pancerzach albo płatach, gdyż pełne zbroje leżały w skrzyniach i skórzanych worach na kolebkach okrytych pałubami ze skór, ciągnących się z tyłu ze skrzypieniem i trzaskiem batów jak mały tabor. Na końcu jechali strzelcy i pacholki z kuszami, osłaniający przemarsz z tyłu. Dlatego od wsi do wsi szła wieść, że idzie wojsko na Węgry, że szykowana jest

wojna na pograniczu, a nawet sam król ruszył z Krakowa. Zawisza nie zaprzeczał.

W górę, ciągle w górę. Drogi wznosiły się stopniowo, znikając w lasach, znad których były ku niebu smugi dymu z karczowisk i wkopanych w ziemię mielerzy, gdzie wypalano węgiel, smołę i dziegieć. Przy Dunajcu mijali bindugi, na które spuszczano z gór dorodne pnie dębów, jodeł i sosen, zbijane potem w tratwy, spławiane przez flisaków w dół pogórzy, do Wisły. Potem, na samym końcu, połykały to wszystko krzyżackie Prusy i wiecznie nienasycone: Toruń, Gdańsk, Elbing i inne nadmorskie miasta.

Zawisza odwracał się plecami do Żmudzi i Prus. To był zamknięty rozdział jego życia. Teraz prowadził rotę w drugą stronę – na południe od Karpat, skąd nadciągało zagrożenie groźniejsze być może niż brodacze z Malborka i całe pruskie stany.

Zaskoczył wszystkich, bo zaraz za Starym Sączem skręcił na zachód, na Tylmanową, własność klarysek, gdzie rozlany szeroko Dunajec pienił się wśród skał i kamieni. Pozieleniałe od lasów góry wznosiły się wokół nich jak olbrzymy, na razie jeszcze skulone i okryte kapturami, przygięte do ziemi. Z każdym jednak krokiem, z każdym stajaniem i zakrętem Dunaju prostowały się i unosiły, aż wreszcie za Kroszczenkiem poczęły zrzucać okrycia głów, ukazując szaro-brązową barwę nagich skał. Wówczas przycichła nawet kompania Gedeona, popatrując z niepokojem na wyniosłe szczyty, pomiędzy którymi, jak wierzono powszechnie, gnieździli się grzesznicy, smoki, diabły i pokutujące duchy.

Zawisza podążał pierwszy, śmiało, jakby objeżdżał własne włości. Gedeon jechał skulony i milczący. Nie odezwał się, kiedy zatrzymali się na nocleg w małej dolince obok strumienia. Czeladź rzuciła się, by rozstawić namioty, woźnice odprowadzali konie do wody, kilku pacholków rozpałało ogień, przy którym zaraz zeszli się panowie, poczęły krążyć bukłaki z winem i ciężkie gadki oraz anegdoty z gościńca i karczmy.

Borkowica nie było wśród nich. Wsiadł na zmęczonego podjezdka i ruszył dalej gościńcem, stromo pod górę, do rozstajów dróg, sam

jeden. Wyjechał nagle na ogromną polanę; poczuł zapach ziemi, dymu i świeżej żywicy z kłód. Przed nim roztoczył się groźny widok dalekich skalnych Tatr, wyniesionych jak błękitnawo-szara wyspa ponad zielone pasma hal i kosodrzewiny. Szarawych jak niebo albo tajemnicza kraina wyniesiona ponad chmury.

Widok przejął go dreszczem, skręcił więc w lewo, podjechał wolno, stępa i kłusem, pod górę, w wąwóz, między dwa stykające się zbocza gór. Niespodziewanie wyjechał na skalny szczyt, z tej strony jeszcze dostępny dla konia, zjeżony zębatymi skałami. Koń aż podskoczył, kiedy spod kopyt zerwało się stado ptactwa. Dobrze się stało, ostrzegło go, że skały opadały z tej strony w przepaść, a nisko w dole wił się Dunajec, opuszczający granice Górnych Węgier i zmierzający do Królestwa Polskiego. Gedeon skręcił w wąską drogę, dojechał do kolejnej łąki, potem zobaczył skały i wzniesione na nich poszczerbione mury, nad którymi górował szary kamienny donżon.

Zamek był w ruinie. Borkowic podjechał do bramy, ale zwodzony most okazał się przegniły, wszędzie ziało pustką, głóg, tarnina i dzikie róże pleniły się bujnie wokół murów, dachy przegniły i się zapadły. Na środku zniszczenia poczuł się samotny, bardzo brakowało mu Doroty, zamkniętej w celi, z ogoloną głową, pokutującej za ich niezmierną, niezwyčajną miłość. Boże jedyny, chyba mieli się już nigdy nie spotkać...

Kiedy zsiadał z konia, usłyszał parsknięcie. Do młodego dębczaka przywiązany był kary rycerski dextrarius. Gedeon znał tego konia, zostawił zatem swojego obok.

A potem wszedł na dawny dziedziniec, czując, jak gałęzie kolczastych gąszczy rwą przeszywanicę i opończę, wczepiając się kolcami w sukno. Przedarł się i wtedy zobaczył coś, co go zaskoczyło. Klęczącą czarną postać pod wieżą. To był Zawisza z Rożnowa, pogrążony w modlitwie. Oparty o wyciągnięty z pochwy bastard.

Powoli, po cichu Gedeon podchodził od tyłu. Sam nie wiedział, kiedy jego ręka spoczęła na rękojeści miecza, splugawionego na

szafocie w Krakowie. Godnego takiego wywołańca i banity jak on sam. I spragnionego krwi.

Nie wyjął broni. Poczekał, aż Zawisza przeżegna się, wstanie ciężko, dopiero wówczas obszedł go ostrożnie, z prawej, zajrzał w oblicze.

– Nie spodziewałem się zastać was tutaj – powiedział.

– Stare wspomnienia szarpią jak kruki.

– Tu – Gedeon wskazał donżon – zabiliście mojego ojca Czambora więcej niż dwadzieścia lat temu.

– Twój ojciec zginął jak łotr. Modliłem się przed chwilą o jego duszę.

– Nie myśl, że będę wam wdzięczny. I że zapomniałem.

– Chcesz się zemścić?

– Nie musieliście go zabijać. Mógł... jak ja odpokutować grzechy w walce. Zresztą cóż znaczy żywot paru plebejów, klechów i najmitów...

– Staralem się go zastąpić. Prosił mnie przed śmiercią o opiekę. Sam wiesz. Pokazałem ci kawałek świata. Polskę, Litwę, Żmudź, Prusy, Bohemię, Rzeszę, dwory, książąt...

– Jednak go nie zastąpiliście. Dlatego zawiodłem was tyle razy.

– Pociesz się, że nie tylko ty, Gedeonie. Mój pierworodny syn bardziej... Biorę jego grzechy na siebie. Pokutuję. A ja... też nie miałem ojca. Zginął pod Nikopolis, w poprzedniej krucjacie, ponad trzydzieści lat temu. I też powierzył mnie opiece swojego suwerena, króla Zygmunta. Ale ja sumiennie wykonuję moje obowiązki.

– I jedziecie na Węgry, żeby skończyć jak Mikołaj z Garbowa?

– Jestem mu winny chociaż symboliczny nagrobek. Bo nie łudzę się, że odnajdę jakiś ślad, jakiś szczątek, coś dawnego, co mógłbym złożyć w kościele.

– A ja? – Głos Gedeona zabrzmiał rozpaczliwie. – Zostawiliście mi coś po Czamborze? Zwłoki rozgrabiono, porzucono gdzieś bez pogrzebu. Nie mam niczego z mojego dziedzictwa. Wsie zajęli stryjna i krewni, bodaj ich jasny szlag! Darowałem im i... tyle mam z twojej opieki, mości Zawiszo. A teraz jeszcze nadstawiam za was

karku w wyprawie, która jest potrzebna Koronie Polskiej jak piąte koło u wozu.

Zawisza nie powiedział nic. Po prostu odszedł powoli, zostawiając Gedeona pomiędzy zarośniętymi zielskimi skałami zamku Pieniny.

*

Wracając do rozwidlenia dróg, Zawisza prowadził w rękę swego karego dextrariusza. W gąszczu tworzonym przez młode, ledwie co odrosłe od ziemi dęby i smukłe pnie buków o gładkiej korze zobaczył szereg migoczących światełek. Błędne ogniki? W górach?

Przywiązał konia do drzewka i postąpił do przodu. Nie wiedział, że robi wielki błąd, i gdy później wspominał to zdarzenie, żałował ciekawości. Niestety, jak każdy – dopiero po szkodzie...

Liściaste sklepienie zamknęło się nad jego głową. Wyłonił się z mroku, wychodząc na polanę zasłaną suchymi liśćmi, spod których wyłaniała się młoda trawa. To miejsce było jak z bająn, z pradawnych opowieści o królach i poganach. W wykrotach pod drzewami, w rozwidleniach pni zobaczył niezdarnie wyrzeźbione, pokraczne idole pogańskich bóstw, płonące przed nimi kaganki i lampki. Na chwilę przymknął oczy, świat zawirował, kiedy nadeszło wspomnienie świętego gaju, który oglądał w dalekiej krainie, w ogromnym lesie na wybrzeżu wielkiego, słonego Mare Balticum.

...figurki zaczęły rosnać, jakby wyrastały z nich drzewa. Pierwszy, najgrubszy konar przechodził w postać starca, zrazu topornie wyrąbaną z drzewa, potem misternie wygładzoną. W rękę starzec trzymał pioruny. Bo też był to Perkunas, żmudzki bóg burzy.

Kolejnym konarem był Poklus – chudy, brodaty, straszny, mściwy bóg Nawii. Wisiały przed nim trzy czaszki: ludzka, wołowa i końska. Lewy konar kończył się postacią młodzieńca – Atrimposa, boga morza. I rzeczywiście stał pod nim duży kocioł z wodą, nakryty snopem pszenicy.

Ziemia pod drzewem pełna była ludzkich i zwierzęcych kości, splątanych kolczug, poczerniałych kawałków zbroi, tarcz, skórzni, mieczy i toporów. Kolejne wota wisiały na drzewie. Od samego gruntu aż po posągi bóstw dęb pokryty był darami. Były tam złote i srebrne łańcuchy, rycerskie pasy, ostrogi, napierśniki, zarękawia, przyłbice, szłomy i dawne wielkie hełmy z wizurami na oczy – niektóre zwieńczone klejnotami rycerskimi, inne z czaszkami ukrytymi w środku. Do chropawej, suchej kory przybito miecze w pochwach, zdobione topory, łuki i strzały. W rozgałęzieniach konarów lśniły kielichy, pateny, krzyże z kościołów, złote i srebrne monety, zausznicie, naszyjniki i diademy. Poczerniały od dymu z ognia, który płonął u stóp drzewa.

Korowód pogrzebowy pokłonił się bogom, a potem ruszył dalej. Doszedł do żgliska – szerokiej, wypalanej polany. Drzewa na jej krańcach, powykrzywiane od żaru i dymu, skręcały się niczym węże, jak gdyby gładkie pnie jesionów i olch uciekały od miejsca, w którym składano zmarłych, skąd odchodziły ich dusze, przenosząc się do lepszego świata albo rozpoczynając wiekuistą tułaczkę po gorszym...

Zawisza zdusił w sobie ten obraz wraz z wizerunkiem niewiasty, którą znał lata temu. Znów stał na leśnej polanie, a umieszczone pod drzewami i w dziuplach figury były tylko żalonymi maskaronami, posążkami nieudolnie naśladowującymi tamtych wspaniałych bogów oglądanych w czasie ognia i żelaza na Żmudzi.

Lecz wokół nich stali ludzie. Zaciężni spod jego chorągwi! Ursyn, Wizgird, Olgierd, dwaj Znikisi, ci wszyscy, którzy przyjechali z pocztami do zamku w Rożnowie, Żmudzini. Chadzali razem na Krzyżaków w czasach odległych jak przewrócone stronicie dawnych kronik. Towarzysze w walce. To, co robili, nie spodobało się Zawiszy. Skrzywił się, widząc trzepoczące, machające skrzydłami kaczkę z poderżniętym gardłem, rzucającą się pod posążkami.

– Co wy tu... – słowa nie przechodziły przez spieczone gardło – wyprawiacie?!

Wizgird wyprostował się jak niedźwiedź nakryty przy dobieraniu się do barci.

– Modlimy się za powodzenie naszej wyprawy.

– Tak się modlicie?! To ma być modlitwa?!

– Poznałeś nas przecież dobrze, Zawiszo – wycharczał jeden ze Znikisów. – Zmieniliśmy ojcowiznę, ale nie obyczaję. Ciągłe wierzymy w Starych Bogów.

– Jesteście poganami. Witold nie uczynił z was chrześcijan, chociaż odzyskał Żmudź dla Litwy.

– Posłuchaj, mości panie – odezwał się Wizgird. – Kiedy wybiliśmy Krzyżaków, a ludzie wielkiego księcia przejęli Żmudź, myśleliśmy, że wszystko będzie po staremu. Nie było! Padł Baublis, nasz święty dąb, sam byłeś przy tym. Zniknął gaj i żgliska, a do nas zaczęli przybywać księża. Jogajła założył biskupstwo miednickie, zaczęło nas krzcić, obalać ostatnie święte drzewa. Jak kiedyś pod Wilnem, jak u was za dawnych książąt... Jak u Teutonów, przeklętych Krzyżaków. Musieliśmy uchodzić.

– Nie wierzę, że was potraktowali ogniem i żelazem!

– Nie, bo po prawdzie... Mów, Lokisie!

– A powiem! Powiem wszystko. Podmówił nas Świdrygiełło. Wypędziliśmy kapłanów, a chramy płonęły niczym smolne szczapy. Wizgird splunął.

– Świdrygiełło godny jest przyjaźni z Krzyżakiem. Nie pomógł nam, nie podesłał zbrojnych. Wtedy Witoldowy starosta, którego nam przysłał, Kieżgajło Wolimuntowicz, pobił nas ze szczętem. Połapał bojarów i ściął ponad sześćdziesięciu naszych. – Głos Wizgirda przechodził w charczenie, jakby się dusił.

– Musieliśmy uchodzić – dokończył za niego Ursyn. – Poza tym cesarz Zygmunt przyznał znowu Żmudź brodaczo z Prus, więc poszliśmy na tułaczkę. Na wyprawę pod Psków, służyć waszym panom z Korony. A potem nadarzyła się okazja z wami. Usłyszeliśmy, że zbieracie miecze i kopie. I oto – rozłożył ręce – jesteśmy.

– Nie, tak nie będzie! – wyrzucił Zawisza. – Nie zabiorę na Węgry, do króla Zygmunta... pogan! Bo zaczną się krzyk, hańba, rozniesie się po całej Rzeszy, po Polsce, Węgrzech, po Europie! Zakazuję takich praktyk! Co uchodziło na Żmudzi, nie ujdzie w Budzie, na królewskim dworze.

– Przecież my umiemy klepać modły po waszemu – ozwał się Wizgird. – *Credo in unum Deum, patrem omnitem, faktor caeli i terra, visibium i nievisibium. Unum Deum Jezus Chrystus...* Czego więcej chcecie?!

– Wszystko się poplątało – powiedział Ursyn. – Pod Tannenbergiem było jasne: my, Litwini i Polacy przeciwko krzyżackim juchom. Dziś nic nie jest już takie proste.

Złożona w ofierze kaczka załopotowała skrzydłami po raz ostatni.

– Pozwólcie zatem – rzekł Zawisza – że ja wszystko wyprostuję!

Nagle uderzył ręką, zwalając posążki na ziemię, pogasił światła, bijąc otwartą dłonią w płomyki, wywrócił lampki oliwne, obalił idole, kopnął złożone w ofierze kaczki i kury.

– Nie rób tego! – krzyknął z rozpaczą Ursyn.

A Lokis nic nie powiedział. Po prostu rzucił się na rycerza.

Tego Zawisza się nie spodziewał. Żmudzin zaprawił go kosmatym łbem w żołądek, jak szarżujący cap. Sulimczyk poleciał w tył, uderzył boleśnie o rozdwojony pień buka. Szarpnął za miecz – nieskutecznie! Nim zdążył go wydobyć, drugi Znikis spadł na niego jak wilk. Rzucili go drugi raz plecami na drzewo, wśród wrzawy i krzyków, przytrzymali.

– Ośmielacie się?! Mistrza roty?!

Szarpał się, lecz albo siłę miał już uszczuploną przez wiek, albo też Znikisowie trzymali go z ponurą wściekłością. Ursyn szarpnął za kord, chciał zaprotestować, ale Wizgird w jednej chwili chwycił go za gardło, tłumiąc dech i wołanie.

Znikis zaświecił ostrzem puginału w oczy Zawiszy!

– Przelejmy jego krew! Dla Perkunasa, na cześć Poklusowi!

Starosta kruszwicki szarpnął się, uderzał głową o drzewo, miotał się bezsilnie.

– Gedeon! – wycharczał, nim silne, zimne dłonie stłumiły wołanie i pomoc. – Ged...
Gdzie on był?

*

– Co żeście się tak wysztafirowali jak Matka Boska na Zielone Świątki? – zapytał Ciołek z Naborowa, widząc podchodzącego Jana Baptystę Junoszyca w nowym, wywatowanym wamsie, ciżmach z długimi noskami i obcisłych, jasnozielonych nogawicach.

Siedzieli przy ogniu przed poszarpanym namiotem Ciołka, pochłaniając zapasy dwójniaka w takim tempie, iż zdawało się, że kiedy go zabraknie, to za Popradem uschną z pragnienia jak członek Świętego Aleksego.

– Maci Bożej do tego nie mieszaj – zaskrzypiał Pietrzyk ze Skorzewa. – Wygląda jak ładacznicza babilońska na schadzce.

Gamratnik Drab poderwał się, obkoczył Junoszyca, marszcząc brwi i pociągając nosem.

– Kąpiele brał, żeby dupkę wymoczyć.

– He, *amatus*, siedzenie masz całe po odwiedzinach u Siemowita? A może masłem natrzeć?

– Jeśli się wam moje towarzystwo nie wydaje przyjemnym – mruknął Junoszyc – to już sobie idę.

– Siadaj, siadaj, gość w dom, Bóg w dom. – Gamratnik Drab podsunął mu rozkładane krzesło, ale Jan Baptysta nie skorzystał.

– Tak sobie siedzimy i myślimy – wycharczał Ciołek – że może za mało dawałeś Siemowitowi za tę księżniczkę Marię? Bo co znaczy zagon błota? Dwa kapłony? Nie wiesz, że wśród szaraków Mazurów mężczyzna zaczyna się od czterech wasali?

– I trzeba było rzycią gołą dopłacić!

– A ślady masz jeszcze?

– Moja sprawa – odparł ponuro Junoszyc.

– Pokaż, he, he. Wstydlivy jak młoda panna przed ołtarzem.

– A charty to były czy zwykłe legawce? Te, co goniły, znaczy?

– Zaraz zobaczymy! – Gamratnik Drab złapał bezceremonialnie za nogawice poniżej wiązadeł, którymi były przywiązane do dubletu.

I w tej samej chwili dostał w skroń cinquedeą Junoszyca. Nie ostrzem, ale zakończoną kulą rękojęścią! Ciołek przechwycił uzbrojoną rękę i zaraz dostał kopa w rzyć, aż podskoczył i stęknął.

– Fajdanisie! Dupniku! Floku kapuściany!

Zakotłowało się wokół ognia; ciosy spadały na Junoszyca jak kije samobije, ten wywijał się zwinnie, rąbnął w szczękę Gamratnika, sam dostał w gębę prawicą w rycerskiej rękawicy. Zaraz po tym Pietrzyk ze Skorzewa wykręcił mu rękę, wyrrywając z niej sztylet, skulony Ciołek chwycił za nogi, przewrócił; już, już wydawało się, że zdepczą go ciężkimi skórzanymi trzewikami i butami do konnej jazdy.

Zamiast tego spadł na nich grad uderzeń. Gedeon! Gedeon wpadł z boku, nie bawiąc się w żadne ostrzeżenia, z dębową lagą w ręku. Sięgnął nią najpierw Pietrzyka, poprawił skulonego Ciołka. Z pomocą następował mu z tyłu stary pacholek Wojciech ze złamanym nosem. Gamratnik cofnął się przed furią Borkowica, zasłaniając się podniesionymi do twarzy rękoma.

– Jak żacy, szelmy, dziady na gościńcu! – krzyczał Gedeon. – Jak baby na targu! To mają być rycerze?!

– Głupiś jak koń Pana Jezusa! – warknął Pietrzyk. – Takiś sam... gach nieczysty!

– Odstąp od niego! Za bijatykę pójdziecie pod sąd magistra.

– Ja pójdę, bo ty... będziesz leżał!

Podskoczył do Gedeona; ten zamachnął się lagą, ale Gamratnik po prostu chwycił ją lewą ręką. Prawą, zwiniętą w kułak, rąbnął Borkowica w pierś, w to samo miejsce, do którego jeszcze miesiąc temu kat przykładał rozpalone piętno.

Rycerz zawył, kiedy szarpnął nim nagły gorący ból; podły, bo odbierający siły, wykrzywiający palce...

Wpadł na niego Pietrzyk. Dostał wprawdzie pchnięcie od Wojciecha, aż zadudniło pod kabatem, padł na wstającego, poobijanego Junoszyca. Z pomocą leciał już Ciołek...

– Za zwadę... powieszą – jęknął Gedeon.

Kolejno: cios Gamratnika, jego złe, szydercze oczy, pięść Pietrzyka. Padł na kolana, kij wypadł mu z ręki.

Zawisza... Gdzie był Zawisza?!

*

Zawisza nie wierzył, że Znikis może go zabić... Sztylet zniżał się; jak zwykle w chwili zagrożenia myśli poczynąły biec jak oszalałe konie. Poczł woń spalenizny i lasu – błota, mchu i mokrej paproci, zupełnie jakby poganin tarzał się w runie pomiędzy splątanymi korzeniami drzew.

– Oszaleliście! – wycharczał rycerz. – Mnie, rotmistrza, chcecie zabijać?! Dacie gardła za zamach, przekłęci poganie!

Jednak to właśnie Znikis przyłożył żelazo do gardła rycerza; starczyło, by pociągnął, a krew starosty kruszwickiego splamiłaby drzewo i liście. Wszystko było tak niespodziewane, tak... nie do uwierzenia. Oni – jego! Za co?

– Chcę się pomodlić.

Obłęd, Żmudzini, dyszący, wściekli, otaczają Zawiszę kołem. Tuzin ramion przyciska go do ogromnego buka, brodate oblicza przywodzące na myśl bestie, a nie ludzi, są wszędzie, dygocą w upojeniu... To się nie mogło tak skończyć!

– I się nie skończy!

Spokojny, piękny głos. Szczęk zwalnianego orzecha kuszy. Ledwie słyszalny świst bełtu, który odrzucił ciężar z piersi Zawiszy. Ten, co mu groził, padł ciężko na ziemię. Nagle zelzały uściski na ramionach i nogach. Rycerz poderwał się, kord sam wpadł mu w rękę.

– Każdy, kto tknie starostę, zginie! – powiedział spokojny głos.

Lokis wrzasnął, zawył, zaryczał, jakby próbował naśladować niedźwiedzia. Skoczył i rzucił się na człowieka, który strzelił. A wtedy w oczy zaświeciły mu dwa bełty złożone w rowkach kusz trzymany przez pachołków.

Lokis nie przestał biec. Zmienił tylko kierunek – rzucił się w bok i wpadł jak pocisk z bombardy w gęstwinę młodych dębów. Z trzaskiem połamał gałęzie; słyszeli oddalający się łoskot jego stóp, jak gdyby pędził ranny łoś, świszczący oddech zamarł, rozmył się.

Trzask, chrzęst liści – ktoś jeszcze umykał w mrok przed wzrokiem Zawiszy, który stał przy drzewie z mieczem w ręku, rozglądając się po kiedyś znajomych, teraz obcych obliczach.

– Ktoś jeszcze coś do mnie? Wizgird? Olgierd? A może ty, Ursyn?

Znikali w mroku, rozchodzili się chyłkiem.

Dopiero teraz obejrzał się na wybawcę. Nie widział prawie nic, oczy miał posklejane, wzrok zamglony. Podniósł glinianą lampkę, wbił kord w ziemię, aby drugą osłonić oczy od blasku, i wtedy zobaczył pobrużdżone oblicze, długi, toporny nos niczym u gnoma z żakowskiego teatrzyku. Kosztowną szatę i zmrużone oko. Wolkenstein.

A za nim trzech pacholków w tunikach z wyszytymi ciemnozłotymi zębami, z kuszami w rękach. Wręcz czuł siłę naciągu dobrych, genueńskich cięciw.

– Mości panie starosto – odezwał się Niemiec – wygląda na to, że pierwszy raz masz u kogoś prawdziwy dług. Do tej pory Fortuna ci sprzyjała, ale jak widać, to kapryśna pani.

– Zawsze spłacam długi, panie Oswaldzie. Po prostu dziękuję.

– Więc nie będę was nudził, przypominając ten najnowszy.

– Wracamy do obozu! – Zawisza wyrwał kord z ziemi. – Gdzie jest Gedeon?

*

Wyszli prosto na scenę żywcem wyjętą z jasełek. Przed namiotem Ciołka, przy dogasającym ognisku, Gamratnik Drab podduszał, obejmując ramieniem szyję, wrywającego się i szarpiącego Gedeona, podczas gdy Junoszcyc przykładał ostrze cinquedei do gardła spokojniatego Pietrzyka. W tym czasie zaś rozplaszczony na

ziemi Ciołek z Naborowa gryzł go w nogę. Jego z kolei okładał z rozmachem dębowym kijem pacholek Wojciech.

Kiedy Zawisza wstąpił w krąg czerwonego światła, wrzawa ucichła jak ucięta nożem. Scena zamarła, nagle rozpadła się na pojedyncze postacie, stając się zwykłym zbiegowiskiem.

– Co wy wyprawiacie, mości panowie?! – zagrział Zawisza. Zniżył pochodnię, zmuszając rycerzy do zmrużenia oczu, wymachiwał nią, aż cofali się przed światłem jak czarty.

– Nic wielkiego, mości starosto – rzekł stropiony Gedeon. – Ćwiczymy...

– Cóż takiego ćwiczycie?

– Walkę z poganami – ozwał się Gamratnik Drab.

– Na kije i pięści?

– Niezbadane są wyroki Opatrzności i losy żołnierskie – rzekł Ciołek. – Turkom brakuje rycerskiego ducha, imają się podstępów, więc walczą nie tylko żelazem, ale i używając kończyn oraz... *arma plebeia*.

– I wy ćwiczycie?

– Nocny pozorowany atak Saracenów – dorzucił Pietrzyk. – Wybaczcie zamieszanie, mości magistrze...

– A ty to potwierdzasz, Gedeonie?

– Tak jest – wymamrotał zmaltretowany młodzieniec. – Nie było nijakiej zwady. Choć przyznam, że wyglądało na bijatykę.

Wyciągnął rękę i podźwignął Ciołka, Junoszyca schował ostrze do pochwy i wzruszył ramionami. Zawisza patrzył na nich, bo oczywiście nie uwierzył.

– Wasza rycerska ochota zaiste mnie zadziwia. Skoro nie brakuje wam animuszu, staniecie na straży ze swoimi pacholkami. Najpierw jego mość Wydźga, za nim szlachetny pan Ciołek. Przed świtem panowie Junoszyca i Borkowic.

Odwrócił się i ruszył do namiotu. Wojciech podążył za nim.

Wolkenstein spoglądał drwiąco na rycerzy, uśmiechał się i kiwał głową.

*

Rankiem rota ruszyła w zmniejszonym składzie. Brakowało Olgierda i jego ludzi. Nie było Lokisa, którego brat zginął, ubyło strzelców. Pozostał za to Wizgird, Ursyn i kilku pomniejszych Żmudzinów. Gorzki początek służby.

Zawisza wysłał ludzi, aby odnaleźli i pogrzebali ciało Znikisa. Nic nie znaleźli poza zakrwawionym kożuchem leżącym na dywanie z liści. Wolkenstein, który przyłączył się do pachołków, padł na kolana i przeżegnał się.

– Czary – wymamrotał. – Czary pogańskie, jak na dworze chana Temura z Wielkiej Ordy całego Kipczaku. Też tam znikali ludzie za sprawą szamana wszystkich stepów.

Zawisza nic nie mówił. Gedeon i Polacy patrzyli z lękiem na las, który nagle stał się im wrogi.

Coraz bliżej były Górne Węgry, Felvidék, Wysoki Kraj, majątki Berzeviczych. Na razie jednak to był jeszcze Zastaw Spiski. Minęli Czerwony Klasztor, nocowali w ostatniej dobrej karczmie po polskiej stronie, zwanej Krzywy Zakątek, potem zeszli w dolinę Dunajca, idąc na Białą Spiską poprzez górzyste przekładaniec wsi i miasteczek: polskich i węgierskich. Mijało piętnaście lat, od kiedy król Węgier pożyczył od Jagiełły pieniądze na wojnę z Wenecją, dając w zamian Lubowlę, Podoliniec, Poprad i Lubice, zaludnione przez Niemców i Słowian, mówiących językiem bardzo podobnym do polskiej mowy.

Ciągnęli doliną Popradu na południe, wśród wzgórz, aż do Kieżmarku, gdzie jeszcze cztery lata wcześniej spotkali się królowie Zygmunt i Jagiełło. Miasta rozłożonego na prawym brzegu rzeki, porządnie murowanego, pełnego białych domów skupionych przy Starym Targu, ulicy odchodzącej od samych wrót szerokiego zamku z niskimi basztami. Gród pełen był ludzi, ciężkie skarbane wozy i kolasy stały w uliczkach i pod ścianami domów, karczmy zajezdne i prywatne domy pełne były gości, jakby zwałił się tutaj cały łajdacki i rozwrzeszczany dwór króla Zygmunta.

Zawisza obawiał się awantur z kompanią Gedeona, kazał więc rozbić obóz pod miastem, za rzeką, z dobrym dostępem do wody, ku której zaraz pachołkowie pognali tabun koni. Namioty rozstawiono bez ładu i składu na pagórku, skąd w przedwieczornych blaskach słońca rozpościerał się widok na ogromne Tatry. Jak na skalną wyspę w morzu mgieł unoszących się po upalnym dniu z łąk i mokradeł.

Zawisza zasiadł w namiocie, przy stole, na rozkładanym krześle, które wymościł dla niego skórąmi stary Wojciech. Ledwie sięgnął po kielich z winem, do namiotu wszedł Gedeon, skłonił się i wskazał ręką za siebie.

– Słuchajcie, mości rotmistrzu, przyszedł do was jakiś człowiek. Dziwny, pyta o dowódcę albo znacznego rycerza.

– Co za człowiek i dlaczego mówisz, że dziwny?

– Bo wygląda jak Turek, ale mówi... po polsku. Dowiedział się, że są tu Polacy. Pytał o cyrulika, krzyże go bołą haniebnie.

– Turek? Mówi po polsku? Proś go, szybko!

Gedeon odchylił płachtę i zawołał kogoś. Do namiotu wsunął się szybko i cicho wysoki człowiek w karmazynowym kaftanie obszywanym futrem, choć było gorąco. Na głowie miał śnieżnobiały turban, twarz pokrytą kroplami potu.

Pokłonił się nisko przed Zawiszą i Gedeonem.

– Chwała Allachowi Najwyższemu. Chwała i sława nieskończona Temu, którego istnienie jest konieczne, szczodremu rozdawcy łask, który posoką ściekającą z sycącego się krwią miecza niezachwianych w swej wierze sułtanów ugasił i stłumił płomień nienawiści i mściwości nieprzyjaciół, wyznawców złych zasad. Pogodził potomków padyszacha, posłanników jego wiary i gniewu, sprawił, że znowu zjednoczyli się jak ptaki pod władzą jedyne go pana niewolników Mehmeda i jego syna, wielkiego przywódcy wiernych Murada Drugiego. Szachinszacha, króla królów, pana niewolników bożych, nieba wzniosłości i słońca tronu, niemającego sobie równego wśród królów.

On to powiedział jednym tchem, jak modlitwę. Niesamowite!

– Jesteście Polakiem? Niemcem? Turkiem? – zapytał Zawisza.

Nieznajomy skłonił się jeszcze niżej.

– Jam Ibrahim Beg. Z łaski Wszechmocnego, którego celny zamysł wznieca popłoch w szeregach nieprzyjaciół religii, którego szabla i strzała wytacza krew z wnętrzości giaurów, towarzyszę poselstwu Hagi Ali agi, jakie nasz prześwietny padyszach wysłał do Krakowa, do króla Jagiełły.

– Mówisz jak my.

– Jestem dragomanem, to jest tłumaczem. Urodziłem się w królestwie. Kiedyś zwałem się Jan Kierdej. Jako pacholę służyłem panu staroście podolskiemu Andrzejowi Tęczyńskiemu. Kiedy posłano mnie z listami do Mołdawii, wzięli mnie w jasyr Tatarzy, sprzedali w niewolę.

– Patrząc na twoje szaty i godność – odezwał się Gedeon – wnioskuję, że jesteś też bisurmaninem, renegatem. Kiedyś spowiadałeś się i przyjmowałeś świętą komunię, teraz zaś zapomniałeś o nieśmiertelnej duszy.

– Za pozwoleniem, jestem wiernym muzułmaninem, ale wy, giaurzy, mówicie na nas zwykle: „poturczeńcy”. Przyjąłem wiarę Proroka. Wasz Święty Piotr także samo zaparł się Jezusa, nie sądzcie mnie zatem surowo, szlachetni panowie, bo gdybym tego nie uczynił, nie stałbym tu teraz przed wami.

– Słyszałem – ciągnął Gedeon – bodajże od Żydów w Krakowie, słowa powtarzane przez bisurmanów: ktokolwiek był złym giaurem, nie będzie nigdy dobrym muzułmaninem.

– Daj mu mówić – uciął Zawisza. – Cóż cię do nas sprowadza?

– Usłyszałem polską mowę, więc przyszedłem, gdyż może macie na służbie cyrulika, który mógłby poradzić na mój ból krzyża.

– Mamy, jest dobry Niemiec przy boku pana Wolkensteina.

– Mów lepiej prawdę – prychnął Gedeon. – Przyszedłeś, bo chcesz uciec z pogańskiej niewoli. Możemy ci pomóc i ukryć w namiotach, jeśli dowiemy się więcej o tobie.

– Oby Łaskawy i Najwyższy uchował mnie od takich myśli. Z woli Boga i dzięki błogosławieństwom z modlitw do Pana, dzięki surom

świętego Furkanu i wersełom wspaniałego Al-Qur'ānu jestem nędznym niewolnikiem Proroka i jego wielkiego sługi sułtana. A przecież łaska padyszacha zgotowała mi los o wiele lepszy, niż gdybym ciągle był synem wójta z Komarna w kraju giaurów.

– Nie chcesz wrócić? – Zawisza był co najmniej zaskoczony. – Uciec z niewoli u pogan? A nie zakuli cię w kajdany? Nie chłostali? Nie męczyli?

– Tatarzy sprzedali mnie na bezestanie w Adrianopolu. Gdy jednak wypatrzył mnie tam pewien możny eunuch z dworu sułtana, z woli Allacha, który muzułmanów godnością pokory zaszczycił, kajdany opadły.

– Niemożliwe!

– Trafiłem do chorągwi *iç oğlan*, paziów dworskich, gdyż byłem gładki. Tam czternaście lat uczyłem się pod okiem eunuchów języka Proroka, a przez pierwsze sześć religii, czytania i pisania. A ponadto jazdy na koniu i walki szablą. To w pierwszej i drugiej klasie, później zaś poznałem sztukę haftowania i gry na flecie zwanym *ney* i na baglamie, która przypomina waszą lutnię, mandorę.

– A może jeszcze miałeś lekcje męskiego chędożenia? – spytał Gedeon i splunął.

– Daj mu mówić! – uciał Zawisza. – Słucham dalej, przyjacielu.

– Kiedy już ukończyłem naukę, z woli Allacha zostałem wybrany do *enderun*, to jest na dwór sułtański, gdzie dano mi godność pazia, a potem dragomana, gdyż nie zapomniałem mojego dawnego języka. Innych kierowano do dworskich konnych *spahisów* i *adżemi oğlan*, to znaczy do sułtańskich janczarów.

– Może jeszcze i żonę ci dali? – prychnął Borkowic.

– Co chwila zanosilem błaganie do Stworzyciela Pana o zdrowie cielesne i o szczęście rodzinne, a także o znalezienie wybranki odpowiedniej mojej godności. Niestety, dano mi leciwą niewiastę, ale... Mówiąc po polsku, pół żony, pół murwy.

– Może chociaż równie bogatą w majątności, co w lata.

– O to nie muszę się kłopotać. Prześwietny padyszach, którego dobrotliwe ręce pachną piżmem i rozkwitłą różą, a gdym całował

jego błogosławioną dłoń, to ta święta ręka była niby puch kwiatu bawełny, niech go Allach umiłuje sobie, przyznał mi w sandzaku kiustendilskim timar, to jest majątek przynoszący dziewięć tysięcy asprów rocznego dochodu. Ponieważ jest to duża majątność, wystawiam z niej dwóch jeźdźców, gdyż sam nie służę.

– Widzę, żeś poturczony ze szczętem, do kości. Nie została ci w sercu ani kropla miłości do naszego królestwa, które nie na darmo panowie szlachta zwą Republiką.

– Jak mógłbym porzucić służbę u króla królów, prześwietnego padyszacha, który wywodzi się z rodu Proroka? Oto, posłuchajcie, prześwietni panowie, wywód jedynowładnego rodu sułtana. Najpierwszy był Ertugruł, wojownik szlachtetnego rodu, który na czele jeźdźców przemierzał stepy Ar-Rumu. Natknął się na bitwę, w której przegrywali jeźdźcy Alaudina Kaikobada, sułtana Seldżuków Rumu. W zamian za pomoc nadał mu tytuł Pana na Pograniczu. Nasz Ertugruł dał srogą szkołę niewiernym z Bizancjum. Po nim władzę przejął Otman, którego nazywacie czasem Osmanem, ten stworzył imperium, które miało przetrwać ponad dwieście lat. Jego syn Orchan przyjął tytuł sułtana i stworzył armię wojowników, służących konno za darowaną ziemię, a zewsząd ściągaly do niego zastępy ghazich i junaków. Ten pokonał i upokorzył pyszny Bizantion, a jego następca Bajazyd wkroczył do Europy, widząc, jak bardzo jest podzielona, jak cesarz i jego poddani nienawidzą reszty swoich współbraci i jak wielkie miasta z Italii chcą przejąć szlaki i bogactwa Drugiego Rzymu.

– Nie przesadzaj, aż tak potężni nie jesteście. Timur Kulawy sprął rzyć waszemu sułtanowi jak wyleniałemu lisowi.

– Lecz jego następca zjednoczył wszystkich wiernych i wypowiedział wojnę cesarstwu. Piękny to widok, gdy ze słowami: *Bismillah!* zastępy wojowników jak sokoły wyruszają na północ. Chwała wzniosłemu państwu, siedzibie wiary.

– A także siedzibie tyrana i samowładcy.

– Cóż, wy, niewierni, nie pojmujecie, że geniusz sułtana wyraża się w boskim zespoleniu trzech rzeczy: urzędników, świętych praw

islamowi oraz wiernej i bitnej armii. Wszak padyszach to spadkobierca Mahometa. I nie jest, jak mówicie, tyranem. Wszak każdy sułtan ma wielkiego muftiego, który musi zaaprobować jego decyzje. Cała Porta Otomańska składa się z posłusznych niewolników sułtana, każdy jest nim od urodzenia lub staje się na skutek oświecenia kryniczną prawdą wiary mahometańskiej.

– Podobnie jak każdy Polak wolnym – wtrącił Gedeon.

– A wasi chłopcy są równie wolni jak panowie? – uśmiechnął się poturczeniec. – Mój ojciec, jak pamiętam, musiał kłaniać się, ba, żeby tylko, ale nawet padać plackiem przed każdym z możnych panów polskich: starostą, rycerzem, klechą, pisarczykiem. W opoce wiernych wyznawców Allacha składałem hołd tylko padyszachowi, oby Allah obdarzył go dobrym zdrowiem i mądrością.

– Łziesz, jak każdy poturczeniec. Przyznaj, przyszedłeś namawiać nas na swoją wiarę?

– Nie muszę, szlachetny giaurze. Sam przekonałem się, że nie jest tak ciężka niewola pod Turczyńcem jako w waszej farbowanej wolności. Oddawszy haracz i pokłon sułtanowi, jestem już wolny i bezpieczny.

– A jakie są prawidła waszej wiary? Przecież nie Biblia?

– Wyznaję święte przekonanie, że nie ma Boga prócz Allacha, a Muhammad jest jego prorokiem. A przy tym spełniam praktyki: odmawiam pięć modlitw w ciągu dnia, daję jałmużnę, przestrzegam postu w ramadanie. I czeka mnie kiedyś pielgrzymka do Mekki.

– Są gdzieś spisane prawidła tureckiej wiary?

– Święta księga Al-Qur'ān wraz ze zbiorami hadisów, czyli komentarzy. Opoką wiary jest każdy meczet, nieważne, mały mesdżid czy wielki dżami. Tam pośrodku jednej ze ścian jest mihrab, nisza, która wskazuje kierunek do Mekki. Po jej prawej stronie zaś minber, czyli kazalnica.

– Widziałem takie w Bośni – rzekł Zawisza. – Opowiadali mi o waszych praktykach posłowie Jakub Skarbek z Góry i Grzegorz Ormianin. Jednak mnie ciekawi inna rzecz. Czy ty, żyjąc

w królestwie sułtanów, spotykałeś kiedyś innych chrześcijan wziętych w niewolę, a przede wszystkim ciekawi mnie los Polaków.

– Jest tam wielu jeńców z różnych nacji i krain. Włosi, Węgrzy, Niemcy, Bułgarzy i Serbowie. Są i nasi krajanie. Ci, którzy oświeceni mądrością przyjmą wiarę Proroka, mają los godny, ci, którzy odmawiają, jako niewolnicy są kierowani do najniższych posług.

– Krwią i potem przesiąknięci harują aż do śmierci w pogańskiej niewoli.

– Ja zaś mam pytanie – rzekł lekko drżącym głosem Zawisza. – Czy spotkałeś kiedyś człowieka, który zwał się Mikołaj z Garbowa, rycerz króla Węgier Zygmunta.

– Wy jesteście Zawisza z Garbowa. Czy to...

– To był mój ojciec.

Poturczeniec namyślał się przez chwilę.

– Nie, panie. Mój prosty umysł nie spamięta wszystkich niewolników padyszacha. Jednak wśród tych służących na dworze nie było nikogo o takim lub podobnym imieniu.

Zawisza pokiwał głową.

– Idź z Bogiem, naszym czy swoim. Mój sługa zaprowadzi cię do medyka.

– Ja to zrobię – mruknął Gedeon. – Chodźże, nie turbuj już naszego magistra.

– *Ilalika ikariban*. Po polsku: bądźcie zdrowi – skłonił głowę Ibrahim Beg.

*

Milczący Gedeon poprowadził Ibrahima, w którego duszy nie było już miejsca na dawnego Janka Kierdeja, do namiotu Anserinusa Gąsiorka, poczciwego cyrulika, utrzymywanego przy rycerskim poczcie Oswalda Wolkensteina. Nie wrócił po tym do siebie. W obozowisku płonęły ognie, przy których z dzbanów do kubków i kufli przelewały się miód i piwo, trafiając w otchłań rycerskich gardzieli. Śmiech i wrzawa szły aż pod niebo – rozjaśnione wąskim

sierpem księżycy, jasne blaskiem letniej, krótkiej nocy. Patrzył na ogromne góry, w których zostało jego dzieciństwo, dławił wspomnienia o ojcu i jego hultajskiej kompanii na zamku w Pieninach. A kiedy usłyszał z namiotów pisk i śmiech niewiasty, może ladacznicy, jego myśli pobiegły zaraz za góry, ku dalekiemu klasztorowi sióstr klarysek w Starym Sączu, gdzie osadzono jego Dorotę.

– Uwolnię cię – wyszeptał, jakby zwierzał się księżycowi, wiatrowi, przestrzeni. – Za krucjatę wymażą mi winy, a wtedy powrócę. Zabiorę cię...

Nagle zatrzymał się, bo spojrzał na namiot Gamratnika Draba i... zobaczył scenę, której się nie spodziewał. Oto bowiem na ławie przy ogniu spoczywał, a właściwie osuwał się cyrulik, nie bez powodu nazywany Gąsiorkiem. Anserinus bowiem pociągał jak stary gąsior, a Wydźga i Pietrzyk ze Skorzewa podnosili go właśnie na nogi.

Skoro był przy ogniu, nie mógł być przy poturczeńcu, tym bardziej nie mógł podać mu driakwi ani wcierać jej w miejsce, gdzie nogi kończą swą szlachetną nazwę.

Gedeon wrócił pod namiot Anserinusa i jednym ruchem odrzucił prawy bok płótna przesłaniającego wejście.

Zobaczył na wpół leżącego Ibrahima i... Oswalda Wolkensteina, który pochylał się i jakby szeptał mu coś do ucha. To wystarczyło. Gedeon odwrócił się i odszedł, a po chwili z wnętrza namiotu dobiegł łoskot, potem usłyszał zbliżające się kroki. Wreszcie ktoś uchwycił go za ramię. Wolkenstein, trubadur, dyszał głośno, zgrzany, jakby wyszedł z łaźni.

– Jak ja lubię – jego oddech owionął prawe ucho Gedeona – jak ja lubię tak niegrzecznych giermków. Tak podejrzliwych młodzianów.

– Jestem pasowanym rycerzem.

– Taki młody? A kto miał honor?

– Mój król. Pod Grunwaldem.

– Mój miły Gedeonie, nie gniewaj się na mnie, starego. – Wolkenstein był blisko, bardzo blisko, położył czule drugą rękę na

plecach Polaka. – I nie dawaj pożreć się podejrzeniom, które są niczym innym jak zwykłą zazdrością.

– Gawędziłeś z poturczeńcem jak ze starym znajomym.

– Bo jestem ciekawy świata. I nic ponadto. Wiesz, kiedyś peregrynowałem z moim panem na dwór księcia Moskwy Wasyla, opowiadano tam historię o Czyngisie, wielkim chanie, i księdzu Janie, władcy wielkiego państwa chrześcijan na Wschodzie. Czyngis wysłał posłów, chcąc pojąć jego córkę. A Jan odmówił: „chan prosi o rękę mojej córki, wiedząc, że jest mi sługą!”. Oburzony tym Czyngis zebrał wielkie wojsko i wtargnął do krainy księdza. Rozłożył się na równinie Tenduk i przez posłów zażądał, aby spotkali się w pokoju i rozstrzygnęli tę kwestię. Był to jednak tylko podstęp. Mongoł zgodnie ze swoją chytrą wojenną zastawił pułapkę na Jana. A był w obozie księdza pewien możny graf, który znał mowę wroga. Znosił się więc z jeńcami, udawał ich stronnika i tak dowiedział się prawdy. Ale nie dane mu było powiedzieć o tym Janowi. Pewien popędliwy młodzieniec, który sam marzył o córce króla, oskarżył go o zdradę. I kapłan przepędził, wygnał starego, rozważnego grafa, nakłaniając ucha do podszeptów młodego. I zginął Jan, a państwo dostało się w ręce zwycięzcy. Czyngis zaś uczynił z jego córki nałożnicę, a głowę młodzieńca kazał zatknąć na pal. A jak zwała się owa niewiasta?

– Choćbym zgadł, i tak powiesz mi inne imię.

– Była to Eris, córka niezgody.

– Zbyt krótka i bez morału przypowieść.

– Uważaj, Gedeonie, bo nie opowiedziałem nawet połowy tego, co widziałem.

– Powinieneś zatem spisać te historie, a wtedy każdy mógłby zdecydować, czy powierzyć papier ogniovi, czy też umieścić go na półce w bibliotece. A może użyć do zakończenia tylnej czynności, której nazwy nie śmiem nawet wymówić.

– I tak cię lubię – wydyszał Wolkenstein wprost do ucha Gedeona.

– Jeszcze uczynię z ciebie godnego mężczyznę, który będzie nosił blask i chwałę na dworach Europy.

– Wolę nasze polskie karczmy. Tam przynajmniej szczere towarzystwo.

Wolkenstein klepnął go w plecy i odszedł, właściwie roztopił się w ciemności, z której wyszedł. Jak Rübezahl, złośliwy niemiecki gnom, który wszystko, czego tknął, zamieniał w zgniłą rzepę.

I chyba znał jakieś nieczyste sztuczki, bo kiedy Gedeon dotarł wreszcie do kwatery starosty kruszwickiego, trubadur już tam siedział pogrążony w rozmowie. Zawisza wyglądał zaś na poruszonego. Krążył po namiocie, potrącając wiszącą lampę, chwytając się za głowę.

– Jedziemy na zamek Murań – powiedział, widząc Gedeona. – My sami, rota niech idzie do Budy, dogonimy ją po drodze.

– A cóż tam jest?

– Nie co, ale kto – odezwał się Wolkenstein. – Od Ibrahima dowiedziałem się, że siedzi tam niejaki Karl von Ostritz, ukarany jeszcze za czasów wojny z margrabią Prokopem.

– Chcecie zaciągnąć do naszej rotacji kolejnego wywołańca?

– Nie kpij. Ten rycerz wie coś o moim ojcu. Mikołaju.

Wolkenstein spuścił wzrok, Gedeon ważył słowa, ale nie znajdował właściwych.



2. *Biada każdemu oszczercy, potwarczy,*
3. *Który gromadzi bogactwo i ciągle je przelicza.*
4. *On sądzi, że jego bogactwo uczyni go nieśmiertelnym.*
5. *Nie! On niechybnie zostanie wrzucony w miazdzącą mękę.*
6. *A skąd masz wiedzieć, czym jest miazdząca męka?*
7. *Jest nią rozpalony przez Allacha ogień.*

Al-Qur'ân, Sura 104 Al-Humazah (Oszczerca)



ról Zygmunt bowiem miał usposobienie pełne podstępnej przebiegłości i co innego czuł w sercu, a co innego miał na języku. Do tego stopnia schlebiał przy robieniu obietnic, że można było być pewnym, iż spełni rzeczywiście to, co obiecywał w pełnych łagodności i słodczy słowach, i że jego obietnice nie kryją żadnego podstępu. Miał on jednak wiele sprytu, ale mniej serca.

Jan Długosz, „Roczniki”



Rozdział V

Słowo Luksemburczyka

Pierwszą oznaką, że zbliżali się do wioski Murań i wznoszącego się nad nią zamku, był trzask gałęzi w gęstwinie leśnej po prawej stronie traktu. Pomyśleli, iż to jelenie albo dziki, ale niespodziewanie usłyszeli cienkie głosiki i nawoływania. Dzieci...

Gromada chudych, umorusanych i zabłoconych postaci kręciła się w chrustach i pod drzewami, zbierając gałęzie i kawałki opału. Starsi, silniejsi łamali je na kawałki długości około łokcia, podczas gdy pomniejsi wyciągali ramiona; biegali tam i z powrotem – w gąszcz po drugiej stronie gościńca.

– *Herr Gott* – wykrzyknął Wolkenstein – myślałem, że to koboldy lub źmudzkie schratty, jakie spotkałem w czasie rejzy do Prus, w lasach pod Kownem. A to są dzieci!

Maluchy wcale nie patrzyły na rycerzy, zajęte gromadzeniem opału i noszeniem go w tajemnicze, skryte przed wzrokiem rycerzy miejsce. Jak wszystkie dzieci wiejskie, były bose, brudne, odziane w kuse, czarne od brudu, postrzępione koszule, tylko niektóre miały nogawice. Ganiały, czasem wycierając smarki rękawem, zdyszane, spocone i pochłonięte zabawą.

– Jakże piękny widok – rozwodził się minnesinger. – Biedne maleństwa znoszą pewnie chrust dla chorych rodziców. Byłoby rzeczą rycerską kazać czeladzi im pomóc.

– Zobaczmy najpierw, dokąd naprawdę te gałęzie noszą – mruknął Gedeon. – Coś mi się widzi, że to niedaleko. Za mną!

Ruszyli kłusem, przedzierając się przez rzadkie krzaki i zarośla. Teren podnosił się, przechodząc w niewielką łączkę, pagórek, na którym zgromadził się tłum pospólstwa. Chłopi w szarych siermięgach jak ziemne czyraki, rzadko który w zgrzebnej, szarej tunice, z kaletą na pasku. Zwarty, wściekły tłum w czepcach i słomianych kapeluszach, otaczający miejsce, skąd zawiewało okropnym słodkawym smrodem spalonego mięsa. Płonący stos drew, na którym tańczyły dwie skute łańcuchami postacie, jak kukły, niepodobne już do człowieka. Bo to nie były kukły, ale skazańcy. Pospólstwo rzucało w nich kamieniami i bryłami ziemi, krzyczało, wygrażało pięściami.

Zaaferowane dzieci, pewne, że dobrze spełniają obowiązek, pędziły z drewnem do stosu, dorzucając coraz to nowe kawałki chrustu. Co nie miało wiele sensu, bo ceremonia miała się ku końcowi – skazańcy już nie krzyczeli, nie szarpali się, a ich spalone, poczerniałe resztki zwisały smętnie z łańcuchów, przepalane płomieniami, czasami okrywane bukowym dymem, kiedy wiatr przyduszał ogień do stosu. Ceremonią kierował zwawy, suchy zakonnik w księżym habicie i kapie, w birecie na głowie.

– Dalej, dalej, moje miłe dziecieczki – zachęcał maluchy, pokazując, gdzie ogień spopielił już kłody i szczapy smolne. – Spełniacie dziś święty obowiązek. Jezusek będzie z was dumny. Hans, taki duży kawał drewna! Dziś odkupiłeś niedzielne pijaństwo ojca. Livuska, jak ty się męczysz, biedactwo moje! Pan za to jest z ciebie bardzo zadowolony!

– Hej, księżu, co tu się dzieje? – Gedeon podjechał na koniu do stosu. Jego bojowy rumak boczył się, chrapał, podnosił głowę na widok płomieni albo czując smród palonego ludzkiego ścierwa.

– Jakże to, nie widzicie, szlachetny panie?! Sodomitów palimy!

– Cóż uczynili?

– Błuznierstwo okrutne, obrazili Pana przynajmniej trzykrotnie. Ten oto Matiasz Karenbach, którego o, ledwie można poznać, obcował cielesnie z Klosem z Briesen, kazawszy mu babskie suknie włożyć i niewiastę udawać.

– Tfu! – splunął Wolkenstein. – Obraza boska!

– A nie można było łagodniej? Wyświecić plugawców z miasta? – zapytał Gedeon.

– Prawo jest prawem, szlachetny panie. Gdzie by kto takowy znaleziony był, żeby albo z bydłkiem, albo chłop z chłopem przeciw przyrodzeniu sprawę miał, takowi mają być na gardle karani, a wedle obyczaju ogniem mają być spaleni, bez wszelakiego zmiłowania i łaski, ponieważ to haniebny i sromotny grzech jest.

Płomienie przygasaly, wiatr szarpał ciężką smugą dymu, podsycal gorejące głownie, czasem wrywał z nich iskry. Przez kłęby oparów widzieli trójkę dzieci taszczących z trudem do ognia ogromny smolny pniak. Ksiądz pobłogosławił ich znakiem krzyża.

– Nie mamy już tutaj nic do zrobienia – mruknął Zawisza. – Za mną. Na Murań.

Odjeżdżali kłusem, potem galopem, prosto na drogę wznoszącą się na ostry skalny grzbiet.

Murań stał na ogromnej górze, ciężkiej i twardej jak upór jego burgrabiego Jánoša Szálasiego, ponurego Węgra o wąsach tak długich, że mógłby zakładać je za uszy. Siedział w zielonym dołomanie, gmerał upierścienionymi paluchami w misie pełnej suszonych śliw i piętrzył trudności jak głązy. Tak, to prawda, wpuszczono ich do zamku, otwierając bramy na głos trąby Wolkensteina, a służba gięła się przed Zawiszą, wnosząc wina i suszone owoce. Ale dalej niż do komnaty burgrabiego w kamienicy wzniesionej nad skalną ścianą nie zdołali dotrzeć.

– Jesteśmy zaszczyceni odwiedzinami tak znamienitego gościa – gadał burgrabia, choć wcale nie wyglądał, jakby był rad – jednak nie mogę, stanowczo nie mogę zezwolić na rozmowę!

– Mówicie, jakby wasz skazaniec był ze złota, że trzymacie go w skarbcu.

– Szlachetny Karl von Ostritz to więzień króla. Tylko rozkaz naszego wielkiego *király* Zygmunta może mnie zmusić do otwarcia jego celi. Nie miałem dyspozycji, aby zezwalać na żadne pogwarki. Nawet z jego dworskim powiernikiem Zawiszą i turniejowym zwycięzcą. Kłaniam się nisko przed waszą mością.

Przerwał i począł przyglądać błyszczące, długie wąsy.

– Jaka jest wina Ostritza? – zapytał Gedeon. – Skazany na więź do końca życia... gnijący w ciemnicy po kres dni? Cóż za zbrodnię uczynił?

– To także królewska tajemnica. Cóż ja mogę, ziemny robak naszego pana? Tak więc nie będę mógł spełnić prośby waszych szlachetności.

– Wiem, o co chodzi. – Zawisza pochylił się nad stołem, wpatrzony w oczy Szálasiego, wyciągnął rękę i pokiwał palcem, jak gdyby go przyzywał.

Burgrabia uśmiechnął się i również pochylił, zbliżając głowę do oblicza rycerza.

A wtedy Zawisza uczynił coś, o co nie podejrzewałby go nikt z obecnych – Gedeon, Wolkenstein, a nawet, gdyby tu byli, Gamratnik Drab, Ciołek z Naborowa czy dziki Żmudzin Znikis. Ci

ostatni pewnie zacmokaliby z zachwytu. Sulimczyk złapał bowiem lewą ręką za długie jak postronki wąsy burgrabiego, szarpnął, przyciskając mu głowę do stołu. A prawą ręką uchwycił za kark, poderwał, grzmotnął o deski, raz, drugi, trzeci!

– *Baaaszoom!* – zawył Węgier. – *A fene vigye el!*

– Milczeć! Kiedy Zawisza mówi, Szalasy trzyma gębę na kłódkę! Wiem dobrze, że Ostritz był skarbnikiem margrabiego Prokopa i król ciągle łudzi się, że może wydusi zeń wieści o kosztownościach! O skarbie z zamku Szowstein. Zatem mogę wam od razu wyjawić, że nigdy nie istniał. Sam byłem kiedyś na służbie Prokopa.

Gedeon i Wolkenstein spoglądali zdumieni.

– Tak oto – szepnął Niemiec – cnota poniżyła pychę. Prudentia zajęła miejsce przed furorem.

A Zawisza ciągnął dalej:

– Słuchaj mnie, ty kozi bękarcie, csikosie z głuchej puszczy! Wiesz równie dobrze jak ja, że mogę posłać do Zygmunta, a za dziesięć dni przybędzie tu posłaniec z pismem od króla. Pismem, które otworzy wszystkie lochy i skarbce w twoim kurniku. A przez ten czas będziemy zażywać tu gościny, sprowadzę na zamek moich ludzi, Gamratnika Draba, Ciołka, Junoszyca i pogan ze Żmudzi. Rozgoszczą się na dłużej, a ty nie ośmielisz się podnieść ręki na mnie, królewskiego rycerza dworu. Możemy jednak uniknąć zniszczenia i ograbienia zamku: zaprowadzisz mnie do Ostritza, będziesz świadkiem jednej rozmowy. I wzbogacisz się o dwadzieścia florenów.

– Trzydzieści... – wycharczał Szalasi – węgierskich, dobrych. Nieeee...oberżniętych.

– Prowadź.

– *Largitas*, hojność – mówił po drodze Wolkenstein – leczy rany skuteczniej niż jakakolwiek driakiew i korzeń ginsengu zwany żeńszeniem z dalekiego Kitaju.

Burgrabia prowadził ich przez kamienne korytarze i drewniane hurdyce do donżonu, stanowiącego chyba najstarszą część zamku. Zawisza zastanawiał się, do jakich to podziemi i ciemnic zstępować

będą na podobieństwo Dantego, ale niespodziewanie przewodnik zatrzymał się w górnej części budowli, gdzie było jasno i sucho. Wyciągnął kółko z kluczami zawieszony u pasa, wybrał jeden z nich i podszedł do niskich, nadpróchniałych drzwi.

Otworzył z chrzęstem stary zamek i pchnął. Zawisza zdumiał się, bo w środku był... Mur z cegieł, źle wypalanych, płaskich, niektóre przypominały źle upieczone placki. Ściana za drzwiami? O co chodziło? Na szczęście było w niej okienko. A w nim krata – solidna, żelazna, kuta. Dalej była ciemność, w środku dnia, jakby pomieszczenie nie miało okien.

– Mówiłem waszym szlachetnościom, że ten człek jest... niebezpieczny.

Szálasi niepewnie zajrzał w mrok za żelazną przegrodą, a potem, unosząc klucz, zastukał w jeden z prętów. Cisza, nic. Żadnego dźwięku, nawet szelestu.

– Kpisz sobie czy o drogę pytasz?

Buch! Nagle coś rzuciło się na pręty, napadło z takim impetem, że krata, nie dość solidnie wmurowana w ścianę, zatrzęsa się. Po jej ciemnej stronie Zawisza zobaczył oblicze starca z dwojgiem wytrzeszczonych bladych oczu, zarośniętego, z długą białą brodą, w całkiem porządnym kubraku. Dziadyga wczepił się kościstymi rękoma w kratę, szarpał ją, szczerząc zęby.

– Karlu von Ostritz? Słyszycie mnie?!

Jęk, charkot dobył się z gardła więźnia. Wyblakłe oczy wpatrywały się w rycerzy zupełnie beznamiętnie; to był wzrok śniętej ryby albo topielca.

– *Diu zit fīnt wūneklich fwāne aberelle gegē dē meien alfe wūnekliche strebet so hebt zefroidē fīch* – bełkotał w jakiejś dziwnej mowie i kiwał głową, jakby domagał się odpowiedzi. – *Erde und luft dar zu fīch zweiē fwaz get flufet oder fwebet muz ih iemer eine fīn...*

– Panie von Ostritz – powiedział starosta spiski – jestem Zawisza Czarny z Rożnowa, mam pytania, na które odpowiedzi mogą odmienić wasz los tutaj. Na honor, daję słowo...

– *Diu zit fint wūneklich fwāne aberelle gegē dē meien...* – wrzeszczał więzień. – *Alfe wūnekliche strebet so hebt...*

– Co on gada?! – prychnął Gedeon. – Niby niemiecka mowa, ale nie sposób zrozumieć. Hej, dziadu, mów: soczewica, koło, miele młyn!

– Uprzedzałem – skulił się burgrabia – że nie ma po co tu przychodzić. Ufam – przycisnął rękoma wąsy do policzków, jakby obawiając się o ich trwałość – że dostanę moje floreny. Wszak w Budzie i w Krakowie mówią to samo: polegaj jak na Zawiszy.

– Od dawna on tak?

– Odkąd pamiętam. Czasem zdarza się, że mówi do rzeczy. Jednak coraz rzadziej.

– Panie Ostritz, słyszycie mnie? – zaczął Wolkenstein. Mógłby mówić do ściany.

Po nim próbował Gedeon.

– Pięty mu przypiec świecami łożowymi, zaraz zaczęłyby śpiewać po naszymu.

– Was już podpiekli i nie widać po tym poprawy łaciny.

– Nie grzesz, przecież to szlachcic.

– *Der winter ist zergangen daz prüeve ich uf der heide. Aldar kam ich gegangen guot wart min ougenweide...* – wykrzykiwał szaleniec.

– Nic z tego nie będzie – mruknął Gedeon. – Może innym razem.

– Nie będzie innego razu. Hej, panie Ostritz, znałeś może Mikołaja z Garbowa? Mojego ojca.

– *Der winter ist zergangen...*

– Idziemy.

Zawisza odwrócił się, za nim Gedeon, potem Wolkenstein, ciągle obracający w ustach niemieckie słowa.

– *Der winter ist zergangen... Der winter ist zergangen. Der winter ist zergangen!* Stój!

Odwrócił się, chwycił burgrabiego zamykającego drzwi i otworzył je.

– *Der winter ist zergangen daz prüeve ich uf der heide. Aldar kam ich gegangen guot wart min ougenweide* – bełkotał śpiewnie uwięziony.

– *Von den bluomen wolgetan wer sach ie so schoenen plan. Der brach ich zeinem kranze den truoc ich mit tschoie zuo den frouwen an dem tanze. Well ieman werden hochgemuot der hebe sich uf die schanze!* – zanucił Wolkenstein.

– *Da stet viol unde kle sumerlaten gamandre die werden zitelosen...*

– *Ostergloien vant ich da die lilien und die rosen!* – dokończył minnesinger. – Mam, to Tannhäuser! Poemat rycerski, pieśń tego samego trubadura, który siedem lat zażywał rozkoszy z samą Wenus pod górą Holserberg, byłem tam. Aż papież nie chciał dać mu rozgrzeszenia i musiał udać się na rejsę do Prus, gdzie dziękował mu sam wielki mistrz!

– Ja ciebie znam – zaskrzypiał Ostritz, wskazując paluchem na Wolkensteina. – To jesteś jednak ty. Widzieliśmy się...

– Na dworze króla Zygmunta, natenczas elektora, bo jego jestem sługą – dokończył minnesinger.

– Nie... w Adrianopolu, dobrze pamiętam. A tych – wskazał Zawiszę i Gedeona – nie.

– To przyjaciele. Chcą wam pomóc.

– Mnie już nic nie pomoże. Nic. Ja pokutuję.

– Za co? – wypalił Gedeon. – Nie lepiej zmyć grzechy na wojennej wyprawie?

– Nie. Nie wierzę ci.

– Drogi Karlu – rzekł Wolkenstein – ten oto znamienity rycerz Zawisza z Garbowa przyszedł prosić cię o pomoc.

– *Wibliche werdekeit got hat vor aller creatúre...*

– *...dich gemachet alfe wert fwes muot zemīnē steit dē ift din name alfo gehúre!*

– I mogę poprawić twój los – wtrącił Sulimczyk. – Król Zygmunt mnie ceni, więc mogę wyjednać ci łaskę.

Starzec zaśmiał się charkotliwie, świszcząco. Zakaszłał.

– Człowieku małej wiary, jestem tu, bo tego chcę. Sam się kazałem tu zamurować, żeby nigdy już mnie nie dręczyli. Ci, co się ze mną w Bośni diabelsko bawili.

– Byłeś pod Nikopolis, na krucjacie?

– Może i byłem. Może i nie.

– Na pewno byłeś. Pamiętam – mruknął Wolkenstein.

– Jak ja ciebie z Adrianopola!

– Wtedy peregrynowałem po wielkich i górzystych przestrzeniach Walachii i Montanii, ratując z opresji hospodara Mirczę Starego, aż mnie mianował za to drużynnikiem. Niedługo tam jednak popasałem. Ty zaś może pamiętasz Nikolasa de Garbow, rycerza przybocznego króla Zygmunta, Polaka?

– Pod Nikopolis było wielu rycerzy.

– Miał herb żółty, pół orła czarnego nad murem, na którym trzy kamienie...

Cisza, cisza, długa cisza. Wreszcie charkot.

– Widziałem go po bitwie. Wśród jeńców. Był żywy.

– Cały, zdrowy? W łańcuchach? Wzięli go w niewolę?! – Zawisza sam przypadł do krat, a wtedy więzień usunął się w mrok, po prostu znikł.

– Na Boga, odpowiadaj, błagam cię!

Ciemność i cisza. Żadnego dźwięku. Rycerz obejrzał kratę; żadnego zamka, wmurowana w ścianę. Co za diabelskie miejsce!

Krzyczał, szarpał, prosił. Nadaremnie. A kiedy chciał odejść, nagle poczuł, jak koścista dłoń zaciska się na jego rękę.

– Jeśli twojego ojca widziałem wtedy – wycharczał starzec – módl się, żeby nie żył! Mów: *miserere nobis* każdego dnia!

Szybko i cicho, jak wąż, jego ręka wysliznęła się z uścisku i znikła. Nic nie było widać.

Zawisza odszedł, odsunął się, bardziej zaintrygowany niż zły. Burgrabia zamknął drzwi, przekręcił klucz.

– Za co on tu siedzi?

– Nie wiem. – Węgier unikał jego wzroku. – Był od zawsze. Król kazał go nie wypuszczać, ale on i tak nie wyjdzie. Postradał zmysły od jakiejś zbrodni. A może... grzechu. Kto to wie. Czy wasza łaskawość pamięta...

– Masz pieniądze. I idź z nimi do piekła.

*

Roty, która powolnym, ale ciągłym marszem szła na południe, do Budy, i była już gdzieś w okolicach Rimaszobát, to jest Rymawskiej Soboty, nie dogonili szybko. Od razu, kiedy wyruszyli z Murania na południe, zatrzymała ich rozlana rzeka Ipola i przeprawa jak na końcu świata; zerwany most, grzebiące w wodzie, wśród bali, chłopskie postacie. Murowana z kamienia karczma z błotnistym podwórzem ogrodzonym omszałymi żerdziami. Kiedy zajechali przed jej kamienny próg, najpierw ze środka z kwikiem i łoskotem wypadły dwa wypędzone miotłą szczeciniaste prosiaki, za nimi czterech kmieci w kubrakach i koszulinach, na koniec wypadł gospodarz, wylewając szerokimi ciemnymi strugami piwo z odebranych plebejom kuflí.

Zawisza ruszył do izby. Gospodarz padł na kolana.

– Słodki Jezu! – wykrzyknął. – Herr Zawisch Schwartz, pan starosta kruszwicki, w moich progach. Prosimy, gorąco prosimy do izby. Co tylko wasza wielmożność pomyśli...

Cała rodzina, bo miał też dwóch synów dobrej urody, może nawet nadawaliby się na służbę, uklękła przed rycerzami, spuszczać głowy. Zawisza zajrzał do wnętrza karczmy, w nozdrza uderzył go dym i kwaśny swąd kapustnicy w kotle wiszącym nad ogniem, który bardziej dymił, niż grzał.

– Pożądamy dobrego dwójniaka. Oporządźcie konie.

– Nie tylko konie, wasza wielmożność. Broń możemy poczyścić, zbroje i rynsztunek. Moje chłopaki – karczmarz giął się w ukłonach – wezmą za zaszczyt, jeśli będą mogły usłużyć waszej miłości równie dobrze jak... najlepszy giermek. Szykuję ich zresztą do służby u naszego pana Miklósa Peczeja.

– Dobrze, niech się wprawiają.

– Mój miecz jest równie chropowaty jak język – odezwał się Wolkenstein. – Nie każ nam czekać wieczności z wyschniętymi gardłami.

– Każ wystawić stół i ławę przed karczmę. Nie będziemy dusić się w środku!

Na znak karczmarza pacholek z chłopakami wytaszczyli ze środka ciężki dębowy stół i ławę. Karczmarz dryfował ku nim z dzbanem i kubkami, lał do każdego miód ciężki jak złoto. Synowie czekali zgięci w ukłonach, usłudni, jak najlepsi giermkowie. Zawisza wyprostował się, pozwolił, aby odpięli mu pas z mieczem, Wolkenstein oddał swój i tarczę.

– A dobrze naostrzcie!

– Ten zostaw. Był w ręku kata – powiedział Gedeon, widząc, jak młodszy syn karczmarza sięga po opartą o stół broń. – Pohańbi cię jak dotyk trędowatego.

– Mili goście i panowie – rzekł Zawisza, wznosząc kubek – za naszą peregrynację do Budy. Za przyszłą krucjatę, sławę i łupy.

– I za odkupienie grzechów – rzekł minnesinger.

– Które ciągle popełniasz, panie – uśmiechnął się Gedeon.

Wypili, miód był mało słodki, ale gęsty, pozłocisty. Rozchodził się po gardle miłym ciepłem.

– Do czego pijesz, mości Gedeonie? – zapytał Wolkenstein. – Znów wystawiasz na próbę moją wrodzoną skromność rycerską?

– Jestem ciekawy, co opowiesz nam o swojej wyprawie do Adrianopola.

– Nie zaspokoję twojej ciekawości, bo mnie tam nie było. Ten głupiec Ostritz pomylił miasto sułtana z Konstantynopolem, gdzie przebywałem w poselstwie od króla Zygmunta. Nie powiem ci zatem nic o wspaniałościach starego meczetu ani o nowym seraju sułtana. Za to więcej o cesarzu Manuelu, który powierzył mi ważną misję.

– Ciekawość jednak mnie zżera jaką.

– Udałem się z nim w podróż po krajach Europy prosić o pomoc królów i książąt. To było bardzo pouczające i przykre widzieć basileusa zebrzącego o łaskę u króla Anglii Henryka albo w Mediolanie kłaniającego się diukowi Viscontiemu. Niedobrze, że skończył się prześwietny ród cesarzy, który panował już wtedy, gdy

nad waszą Vistulą grasowały centaury, gryfy i psiogłowi czciciele pogańskich bałwanów.

– A prawda to, że żona jego syna, obecnego Jana Paleologa, była tak szpetna jak strzyga? Nie wierzę, że człowiek tak obyty w świecie jak wy nie widział jej i nie opisał w jakiejś balladzie.

Wyższy i starszy syn karczmarza z uśmiechem zabierał ze stołu pusty dzban po miodzie i jego wesołość wydawała się dziwnie fałszywa. Lewą rękę wyciągał w stronę miecza Gedeona. Ten już coś przeczuł, odtrącił dłoń chłopaka, złapał za rękę...

Mroczne cienie przemknęły za karczmą; nagle zaroilo się w obejściu. Jak spod ziemi, zupełnie niespodziewanie, zza węgłów budowli, zza pochyłego płotu z żerdzi wypadli zbrojni pacholki z kuszami, w kolczugach, kapalinach, biorąc na cel Zawiszę i jego kompanów. Z krótkim tętentem nadciągało dwóch rycerzy i dwóch giermków. Wszyscy w płatach i czepcach kolczych, jeden bez hełmu.

– Odyńcy! – jęknął Gedeon, poznając srebrną strzałę w błękitnym polu na tarczy zgarbionego w siodle brodacza. – Psy przeklęte, ta sama zła krew, co u Zycha z Mogiły! Przywlekli się za nami z Krakowa po moją głowę!

Zawisza sięgnął do lewego boku, ale wyczuł pustkę. Miecz oddał jednemu z synów karczmarza, który z usługowego giermka zmienił się nagle w złośliwego szwabskiego gnoma.

Konni stali na wprost nich, strzelcy mierzyli z kusz. Opancerzeni, okryci blachami zbroic. A Zawisza i jego ludzie wybrali się do Murania jak na niedzielne kazanie, w samych wamsach i jakach.

– Mości panie starosto spiski! – zawołał Dobrogost Odyniec, starszy z jeźdźców, ten sam, z którym spotkali się już w Krakowie. – Dałeś się waść zaprowadzić na manowce jak ślepa owca! Czołem i pozdrawiam. My nie chcemy zwady, waśni ani bitki. Bezorężnie planujemy całą rzecz załatwić. Bo któż by się porywał na takiego znamienitego rycerza jak wy!

– Zgaduję, czego chcecie!

– A i co tu zgadywać. Wydasz marcowego gaszka, co podlatywał do jątrewi[2] naszej, a my mu dębowymi kijami skrzydełka opalim.

Ta i co więcej?! A potem wypijemy razem za zgodę i szczęśliwą podróż.

– Uczynisz to? – jęknął Gedeon.

– Ów gaszek jest pod moją opieką, panie Dobrogoście. Chroni go glejt królewski, który pozwala odkupić winy na wyprawie i w mojej rocie. Każcie opuścić broń czeladzi i odjedźcie, a wypijemy za coś innego: za pokój między chrześcijanami.

Zbylut, syn Dobrogosta, roześmiał się i splunął, a stary pokręcił głową.

– Nie jesteśmy tu na turnieju, panie starosto. To nie wasza sprawa o świnie czy podorany zagon, ale o honorowe kwestie. Nie wydacie Gedeona, poczęstujemy bełtami. Nie nasz grzech!

– Jesteście zbóje i łotry bez czci i honoru, jeśli nie oddacie mi miecza. Wychodź, panie Dobrogost, na walkę, na ostrza albo na topory. Położysz mnie, odjedziesz wolno. Chcesz zdać się na sąd Boży, niechaj twój syn stanie na ubitej ziemi z panem Borkowicem.

Pokręcili głowami.

– Jeden i drugi z was gracz na miecze, mocarz na topory. A my prosta i uczciwa szlachta. Nie trzeba było mi brata w łożnicy mordować, panie Gedeon. Wychodź do nas bez broni albo cię jak capa na powrozie wyciągniemy!

Zawisza podniósł rękę do góry.

– Nie chcę tu przelewać krwi. Nie mamy szans – powiedział. – Zatem bierzcie go!

Gedeon jęknął. Podskoczył, wlepił błędne oczy w swego preceptora i obrońcę.

– Jak to?!

Zawisza schylił się.

– Bierzcie, jeśli potraficie. Stół brać, kryć się!

Jednym ruchem chwycił dębowy blat i poderwał; kuląc się za nim, uchwycił Gedeona za ramię i przygiął w dół.

– Kryć się!

– Brać ich! – rozdarł się starszy Odyniec. – Bigosować!

Nie dosłyszeli nawet brzęku cięciw. Zawisza, schylony za przewróconym blatem, poczuł ciężkie uderzenia bełtów o drewniane bale.

– Łapać stół i do drzwi, do środka! – zakrzyknął.

Wolkenstein i jego pachołek chwycili za nogi, cofnęli się.

Świst zlewający się z uderzeniem, które mało nie obaliło ich ze stołem. Zduszony krzyk pachołka, schylona głowa Gedeona. Cofali się, potykając, osłaniając przed strzelcami, aż do progu karczmy. Wtedy Zawisza pchnął Borkowica na drzwi, ten uderzył ramieniem jak taran; na szczęście nie były zamknięte.

– Do środka! Tam się obronimy.

Wpadali jeden po drugim do izby. Ale czasu już nie było. Usłyszeli trzask drewna na tyłach budynku, chrzęst i brzęk żelaza przy oknach. Zawisza odwrócił się, nie było żadnych zasuw ani kun przy drzwiach, kurwi syn karczmarz zabrał je wszystkie! Mogli tylko czekać, aż po nich przyjdą. Czekać – rozbrojeni!

– Pod ściany! Rożny brać! – krzyknął ze złością Zawisza.

Sam chwycił długi, ciężki szpikulec i zastawił się nim. Do izby wpadali jeden po drugim zbrojni z nastawionymi mieczami. Za nimi z łoskotem, w rytmie wybijanym przez opancerzone trzewiki pędzili rycerze.

Szybko... wszystko rozegrało się w kilku chwilach! Zawisza widział tylko rozmazane sylwetki, kątem oka łowił kolejne fazy walki kompanów. Chwila... Gedeon kopie w wiszący nad ogniem gar, obryzgując przeciwnika gorącą kapustnicą, skacze, mijając go i wyłapując ostrze na ostrze, podcina prawą nogą, aż rozpędzony pachołek wali się prosto w gorejące główne, uderzając głową o gar. A potem z rykiem, bo poparzony, próbuje zerwać się na nogi i z góry zostaje przygwożdżony raz i drugi krótkim pionowym pchnięciem miecza. Wolkenstein odpiera wściekle cięcia pachołków zwykłym zydlem, a potem, kiedy stołek pęka na kawałki, łapie kopyść i okłada przeciwników po łbach i ramionach...

Zawisza zwarł się z roslym, pleczystym strzelcem w przekrzywionym kapalinie. Zastawił się desperacko rożnem, odbił

cios z góry, z lewej, z prawej, na krzyż. I wtedy jego ciało, wyćwiczone przez lata walk i turniejów, zagrało samo. Przesunął rożen, aby ostrze wroga zjechało w dół, niebezpiecznie blisko palców. A potem lewą ręką, obchodząc ramię przeciwnika, chwycił za rękojeść jego miecza. Szarpnął i obrotowym ruchem, szast-prast! wyrwał broń z ręki strzelca, robiąc jednocześnie krok w tył. Miał teraz ostrze w lewym ręku, niezwyczajnie, zatem bez namysłu chlasnął od dołu, skosem przez watowaną tunikę na piersi, aż odrzucił pacholka precz.

Rękojeść miecza sama wskoczyła do prawej dłoni! Przeciągając uderzenie, poprawił z zamachu, rąbnął w kapalin z takim impetem, że wgniótł cienką blachę w czaszkę, rzucił wroga na glinianą polepę, między skorupy porozbijanych dzbanów i kufli, dymiące węgle z paleniska i kawałki drewna.

Dobrogost! Miał go przed sobą.

– Odrzyyyyj! – zakrzyczał stary, idąc jak do szarży, bez tarczy, z wyciągniętym mieczem, trzymając go oburącz.

Zawisza był szybszy, ciął z góry gniewnym uderzeniem i wyprowadził pchnięcie prosto w twarz przeciwnika. Stary rycerz zbił je, uchylając się, ale Sulimczyk nie bawił się w turniejowe gierki. Po prostu kopnął tamtego w rzyć, skoczył, napierając kolanem. Miecz zwinął mu się w rękach, gdy rzucił Odyńca na kamienną ścianę, przycisnął ostrze trzymane oburącz do gardła, doprawił kolanem w brzuch. Dobrogost szamotał się, charczał śliną i rzucał się, aż rozkrwawił szyję.

– Co zrobisz, aby żyć?! – wydyszał Zawisza.

Rycerz szarpnął się, odpychając przeciwnika. Wypuścił z ręki miecz, sięgnął do pasa po puginał. Sulimczyk wyczuł to od razu, przechwycił uzbrojoną dłoń, nim ostrze dotknęło ciała. Jak na swój wiek, Dobrogost napierał z siłą tura! A jednak nie dawał rady młodszemu. Zawisza zmiażdżył mu dłoń w uścisku, wykręcił ramię, prawie łamiąc, i zmusił do ukłęknięcia. Przycisnął plecy kolanem, dobył własnego sztyletu, przyłożył do obnażonego karku.

– Wolisz żyć czy zdychać?!

– Pchaj! Do pieeee...kła cię zabiorę!

Tego się Zawisza trochę nie spodziewał. Ale zobaczył Wolkensteina i jego pachołka trzymających rozbrojonego i pozbawionego hełmu Zbyluta. Strach był w oczach młodego Odyńca, ręce mu drżały.

– Co zatem zrobisz, żeby on żył? – Szarpnął starego za włosy, aby popatrzył na syna. – Poddasz się czy mamy z nim skończyć?

To było zwykłe kłamstwo i przez chwilę Sulimczyk myślał już, że stary oszalał i poświęci siebie i syna. Lecz przecież Zawisza nie mógł ich tak po prostu zamordować i obawiał się, że chytry Odyniec przejrzy jego grę. Miał ich pozabijać? A może odebrać broń i wypłazować? Proste, ale najlepsze rozwiązanie, bo wiedział, że stary będzie się bił do końca.

Na szczęście Dobrogost bez słowa pokiwał głową.

– Zapłacicie cenę za ten zbójcecki napad – powiedział Zawisza. – W Koronie dalibyście gardła u mistrza małodobrego. Ale ja jestem litościwy. Dołączycie do mojej roty i odkupicie grzechy, bijąc Turków. Czy to jest dla was jasne?

Dobrogost pomалу obrócił głowę, spojrzął na Zawiszę ze zdumieniem. Potem popatrzył na młodego, jeszcze raz na Sulimczyka, wreszcie przymknął oczy; rozważał, liczył szanse...

Dla podniesienia powagi sytuacji rycerz podsunął mu ostrze sztyletu pod gardło.

– Zrobimy, jak chcecie – wycharczał stary. – To mój jedyny syn. Nie zakończy się na nim cały ród. Dla jego życia będę walczył z Turkiem, z czartem, z kimkolwiek jeszcze trzeba.

– I zaprzysięgniecie? Teraz, zaraz?

– Na moją rycerską cześć i honor.

Zawisza podsunął mu pod brodę jego własny krzyżyk.

– Przysięgajcie.

– Klękajże! – rzucił stary do młodego. – A i wy, Niemcze, poluzujcie uściski. Jesteśmy rycerskiego rodu czy nie?

– Nie, nie. Niiieeeeeee!

To krzyczał Gedeon, darł się roztrzęsiony. I wreszcie uczynił coś, co nie przynosiło mu chwały. Nagle pchnął mieczem w brzuch Zbyluta. Jednym szybkim ruchem, jak żmija!

Wolkenstein to przewidział. Odbił sztych ostrzem broni Odyńca; jego pacholek chwycił Borkowica, przytrzymał.

A wtedy stary i młody Odyńcy uklękli i zaczęli przysięgać: na mękę i gniew Pana.

*

– Oszaleliście, po prostu oszaleliście! – darł się Gedeon. – Odyńcy... Odrzywasy ze mną w jednej rocie?! Brat Zycha, którego usiekłem?! Jego rodzony syn, osiłek, przygłup, prędzej rąbie, niż myśli. Zarezają mnie pierwszej nocy, pchną w plecy, jak będę srał w krzakach albo na chwilę spuszczę ich z oczu. Tego chcecie? Tego?!

– Milcz. Po prostu się ucisz. Nasze sprawy mają się źle. Prowadzę mniej zaciężnych, niż myślałem znaleźć w Polsce. Nie stanę przed Luksemburczykiem z lichym poczem. On liczy się tylko z silnymi, a my musimy pokazać, że królestwo popiera walkę z Turkami, jak cały rycerski świat.

– Poświęćcie moje życie i zdrowie... w imię rojeń o krucjacie. Życie Borkowica mniej warte niż dowodzenie wojskami króla Zygmunta, pieczeniara i tchórza. Nie poznaję dawnego Zawiszy!

– Ta waśń z Odyńcami musi się kiedyś skończyć.

– Zyskaliście dwa nowe rycerskie poczty pod chorągiew. Ale mnie straciliście! Za to powinienem was... nawet was nie jak ojca! Jak... wroga.

Gedeon uczynił ruch, jakby chciał chwycić za miecz, ale opuścił rękę, tarł ją, pocierał lewą, jakby nagle zdrętwiała albo uschła. A potem wypadł na zewnątrz.

Zawisza wyszedł chwilę po nim. Spojrzał na ponurych Odyńców.

– Każcie przynieść mój miecz – rozkazał. – A ten chłystek, który go wziął... Oba chłystki, a ich ojciec szelma. Każcie ich złapać i pokażcie, jak polskie rycerstwo traktuje takich łotrów. Każdemu wypalcie

dziurę na czole, jak krzywoprzysięzcy. Niech ich wnuki nas pamiętają...

*

Od Esztergomu, w którym przeprawili się przez Dunaj, zaczynało się piekło. Zeszli z gór na pofalowany, pagórkowaty obszar pokryty winnicami i ukrytymi w jarach wioskami o drewnianych domach. Za dnia gorąco było tak wielkie, że konie odparzały sobie grzbiety pod siodłami, obcierały skórę pod zaciągniętymi mocno pasami popręgów. Szli więc nocami, aby uchronić się od upałów i gzów, które dawały się we znaki zwierzętom, obsiadając gęsto na postojach zady i szyje.

I wreszcie pewnego dnia zobaczyli przed sobą wesołą równinę pokrytą polami i winnicami, podchodzącymi aż pod wzgórze, na którym wznosił się strzelisty i ufortyfikowany zamek królewski, podobny nieco do krakowskiego. Od wschodu ku rzece opuszczały się z niego dwa ramiona murów, zabezpieczając brzeg i przystań. Z daleka widzieli wyniosłą graniastą wieżę Świętego Stefana, pałac króla Zygmunta i wyniosłe gmachy otaczające środkowy dziedziniec. Piękny, o bielonych murach, jawił się zamek równie niedostępnym i zwodniczym, co jego pan – Zygmunt Luksemburski, król Węgier i Chorwacji *iure uxoris*, władca Germanii i Czech, Dalmacji, Ramy, Serbii, Galicji, Lodomerii, Kumanii i Bułgarii.

Nikt nie wyznaczył im kwater, wspaniała, murowana Buda, jak i położony na wschodnim brzegu Dunaju drewniany i słomiany Peszt nie wyglądały jak miejsce, do którego zmierzać mieli krzyżowcy z całego świata. Znów, tak jak na początku wyprawy, rozbili obóz pod miastem, na błoniach pod wyniosłym wzgórzem koło zamku. Zawisza i Wolkenstein od razu zapowiedzieli się na dworze z prośbą o posłuchanie u króla. Dostali odpowiedź prawie natychmiast przez posłańca. Za dwa dni, późnym wieczorem.

Wyjechali jeszcze przed zamknięciem bram, przebijając się przez wąskie, zatłoczone uliczki miejskie, wijące się aż do kościoła Marii

Panny z ogromną wieżą, na którą prowadziło ponoć sto pięćdziesiąt jeden schodów. Do zamku dostali się przez zwodzony most i północną wieżę, tu dołączyli do nich królewscy słudzy w długich jakach, w misternych czapkach na głowach. Kolejne bramy otwierały się przed nimi i zamykały za plecami. Wreszcie pałac Zygmunta, dziedziniec królewski, gdzie kolejni pachołkowie – w wamsach powycinanych w ząbki – przytrzymali ich konie. Stąd pieszo, przez wieżę csonka, która odkąd Zawisza pamiętał, ciągle była w budowie, przeprowadzono ich furtką do ogrodu po zachodniej stronie murów. Teren opadał stromo, ujęty ludzką pracą w formę kolejnych łąw darniowych obmurowanych cegłami i obłożonych deskami, ogrodzonych plecionkami z wikliny. Rosły tu kwiaty i rzadkie rośliny; niektórych nie bywało w Polsce z powodu zbyt surowego klimatu. Fiołki były symbolem pokory, róże – krwi przelanej za wiarę, a lilie – czystości intencji odwiedzających Zygmunta ludzi. Ogromne, zielone, przystrzyżone głowy bukszpanów zapewnić miały władcy nieśmiertelność, goździki zaś stanowiły kwiat bogów. Ogród podzielony był na cztery części, przypominając o czterech rzekach Raju. Stały tam też cztery posągi głównych ewangelistów.

Król Zygmunt czekał na nich w chłodniku oplecionym winobluszczem. Zapadał zmrok, więc czeladź stawiała właśnie na stołach i wieszala na słupach oliwne lampki dające migotliwe światło.

W ich blasku ujrzeli władcę. Zygmunt Luksemburski dobiegał sześćdziesięciu wiosen i wiek ten wyłaził spod szat, aksamitnej roby, długiej, farbowanej brody i trefionych, kręconych włosów jak próchno spod aksamitnego obicia łąwy. Król był człowiekiem wielu twarzy, niezwyklej ciekawości świata, wesołości i humoru. Przez całe życie podejmował się wyzwania godnych antycznych władców, zdobywców Jerozolimy i pogromców Maurów: krucjat, niszczenia husytów, scalania królestw i księstw w jedną uniwersalną monarchię. Byłby gigantem, gdyby nie brakło mu rycerskiego serca. Ta jedna wada sprawiała, że stał się zaledwie karłem; dziś, zgięty

przez wiek, sprawiał wrażenie podstępnego, przygarbionego starca zerkającego podejrzliwie spod długiej szopy nastroszonych włosów.

Siedział i obierał złotym nożem jabłko, symbol grzechu. Przy tym samym stole zasiadał węgierski urzędnik w dołomanie z kosztownym szamerunkiem na piersi. Węgier jak Węgier – czarne, długie włosy, oblicze przekreślone parą sumiastych, podkręconych wąsów. Za nim stali niemieccy przybocznicy rycerze i panowie w aksamitach i jedwabiach. Natomiast pod żywopłotem przycupnął chudy człek w czerwonej czapce z dzwoneczkami – Skorzeń, królewski błazen, podnoszący sprośnymi żartami humor króla.

– Zygmusiu! Zygmusiu! – wołał. – Gości masz dostojnych. Nie zapomnij maksymy, abyś małych, a wielkich duchem poniżał, wielkich zaś, z małym umysłem wywyższał. Kiedy bowiem staniesz na ich ramionach, staniesz się większy od twojego największego wroga Jogajły!

Zygmunt Luksemburski ze złością cisnął w błazna obierkami. Tamten zwinął się w kłębek, niby przestraszony, wypiął siedzenie i... pierdnął donośnie.

– A, ho, ho, ho!

– A, ha, ha, ha, ha, ha! – zaśmiali się niemieccy panowie.

Zygmunt Luksemburski dopiero teraz spostrzegł polskiego rycerza. Wyciągnął rękę do ucałowania. A kiedy Sulimczyk przyklęknął i oddał hołd, poklepał go po ramieniu. Na Wolkensteina nie zwrócił uwagi.

– Dobrze, że jesteś – powiedział. – Jakie nowiny przywozisz z Polski, od mojego brata króla Władysława?

– Wypełniłem polecenie Waszej Królewskiej Mości. Przybywam z rotą zaciężnych rycerzy liczącą ponad sto koni. Wszyscy pałają żądzą walki z Turkami i pozostają na usługi Waszej Królewskiej Mości.

– Chciałbym czcić twoją siłę i wigor! Dobrze cię mieć po swojej stronie. Co, pewnie jeszcze dzisiaj ruszyłyś na Turków, jak to mówicie: na pohańców?!

– Wedle rozkazów waszej miłości.

– Siadaj z nami. – Król klasnął w dłonie i dwaj słudzy przystawili do stołu krzesło z oparciem i poręczami, jak tron, o wiele bogatsze niż to, na którym siedział Zygmunt. Jeden znak palcem i postawili przed gościem nabijany turkusami złoty nautilus. – Nalejcie mu reńskiego, nie! najlepszego, dobrze wyleżakowanego klaretu.

Rubinowy płyn był jak krew. Zawisza usiadł i przyjął puchar. Tuż obok Wolkenstein sterczał jak ostatni kołek w płocie. Jemu nie zaproponowano żadnego krzesła.

– Zdrowie najwierniejszego i najcnotliwszego rycerza. Poddanego dwóch królów! – Zygmunt uniósł kielich, nie wstając.

Starosta kruszwicki powstał, wypił do dna, odstawił naczynie, łowiąc uważne spojrzenie Węgra.

– Mości Zawiszo, a teraz wypijmy za zdrowie mojego najcnotliwszego i najwierniejszego doradcy. Oto komes Nitry István Szatmár. Siadajcie, a wy, mój drogi Istvianie, powiedzcie naszemu gościowi, co wymyśliliście i jak zmieniły się nasze plany.

– Mości starosto kruszwicki, zapewne zdziwi was to, ale postanowiliśmy wstrzymać krucjatę i wyprawę, którą ogłosiliśmy jesienią zeszłego roku. Oczywiście tylko na jakiś czas. Z woli Bożej kiedyś wrócimy do tej sprawy, a wasze poświęcenie jest jak najbardziej godne pochwały.

Zawisza słuchał z kamiennym obliczem.

– Za pozwoleniem waszej dostojności, trudno będzie wstrzymać raz poruszoną machinę wojenną. W drodze na Węgry są już kolejne roty: Jana Nieziorowskiego, Wody, Erazma Ciołkosza, Kuroszy i Jagielskiego.

– Z życzliwością powitamy polskich rycerzy. I znajdziemy dla nich odpowiednie zajęcie. Na razie jednak nasza decyzja brzmi: żadnych krucjat.

– Niestety – zauważył Zygmunt – rycerstwo Rzeszy, Frankonii, Szwabii, Saksonii i Burgundii oddaliło z serca miłość ku wierze i poświęceniu. Jedynie wy, Polacy, stawiliście się jak zwykle tłumnie pod sztandary Chrystusa Króla.

– Moi ludzie nie będą zadowoleni. Spodziewali się łupów. W dodatku zaczęła im się służba.

– Bylibyśmy co najmniej nierozsądni, gdybyśmy nie byli pewni, że taki mąż jak wy bez trudu poradzi sobie z rotą zaciężnych. Zresztą, jak mówiliśmy, znajdziemy dla nich godziwe zajęcie.

– Już za kilka dni wyprawiam wielki turniej rycerski przy świetle pochodni – odezwał się Zygmunt. – Krucjata krucjata, ale dwór i polityka muszą się toczyć swoim zwykłym rytmem, a tjest, który urządzam, będzie oczywiście dobrym tłem dla knowań, o których nie masz bladego pojęcia. Z radością powitam wśród uczestników zwycięzcę z Perpignan, rycerza, który kiedyś w Krakowie zmierzył się z samym królem Węgier.

– I został przez niego powalony – dopowiedział Szatmár z uśmiechem, który wydał się Zawiszy dziwnie złowieszczy.

– Mój sługa zgłosi się do waszego skarbnika względem zapłaty dla mojej roty. A poza tym, cóż, jestem najemnikiem i czekam na rozkazy. Co zaś do turnieju, to przykro rozczaruję Waszą Królewską Mość...

– No nie wystąpisz? Dlaczego?

– Jako magister chorągwi, mam obowiązki, które nie pozwalają mi wystawiać się na szwank.

– Niedobry! Może jednak zmienisz zdanie, kiedy ci powiem, że małżonka, królowa Barbara, wprost zamęczała mnie pytaniami o twój powrót. A kiedy ujrzałaby cię w turnieju, rozkwitłaby niczym róża...

– Jeśli będę mógł złożyć jej wyrazy szacunku, dodam do nich listę obowiązków wobec Waszej Królewskiej Mości.

– Skoro je wolisz zamiast naszego towarzystwa, odejdz w pokoju. Wezwiemy cię, kiedy będziesz potrzebny. Ciesz się i baw naszą stolicą, bo gdy nadejdzie czas wojny, przez okrągły rok będziesz oglądał tylko turbany i wielbłądy.

– Wola Waszej Królewskiej Mości. – Zawisza wstał i pokłonił się.

Sługa odsunął krzesło, wskazał drogę. Posłuchanie było skończone.

Rycerz odszedł w mrok, razem z nim oddalił się Wolkenstein, kłaniający się doprawdy za długo. Zygmunt w milczeniu tarł swoją brodę.

– Cóż o nim myślisz?

– Za pozwoleniem – rzekł komes Nitry – niezwykle hardy człowiek. Nawet jak na Polaka.

– Ale szczerzy i wierny. Nie przekupisz go złotem, dostojenstwami ani wdziękami sprzedajnych dziewczek. Gdybym go nie znał, powiedziałbym, że właśnie odkrył którąś z moich licznych intryg... – Król zaśmiał się i popił wina. – Tylko doprawdy nie wiem już którą!

– Ja wiem, Zygmusiu! – zakrzyknął błazen. – Przecież ja jestem królem, nie ty!

Luksemburczyk poderwał się nagle i doskoczył do Skorznia.

– Ho, widzę, że to dopiero przelewki! – jęczał sługa.

– Jakim królem jesteś? Jakim? Węgier? Niemiec?

– Jestem królem Polski! – wycharczał błazen. – Jestem Jagiellon. A królowi należy się gościna!

Zygmunt wymierzył mu kopniaka, jednego, drugiego, trzeciego... Bił go i katował, aż się zdyszał.

– Widzisz, co robię z królem Jagiełłą. Uciekaj, ty litewski tchórze! Ty... Ty...

Błazen uciekał, osłaniając się od ciosów.

– Widzę! – pisał. – To dopiero przelewki! Ja, król Jagiełło.

– Masz, masz jeszcze! – wył wściekły Zygmunt.

– Czekaj, bracie królewski. Bo się spocisz! Bo się spocisz, Zygmusiu!

Błazen wpelzł wreszcie za kłujący krzak róży, gdzie nie mogły go dosięgnąć ciężkie ciżmy króla. Wycierał krew z nosa i ust, jęczał. A Luksemburczyk stał oparty o stół i dyszał, dyszał jak po bitwie. Niestety, było to jedyne zwycięstwo, jakie mógł osiągnąć nad królem i wielkim księciem Litwy Władysławem.

– Tak oto wypadłem z łask królewskich, przyjacielu – powiedział ponuro Oswald von Wolkenstein, kiedy wracali przez krużganki. – Przeklęty Węgier z Szatmaru musi być nielichą personą, skoro został komesem i zgarnął włości, które kiedyś należały do Ścibora ze Ściborzyc.

– Też chyba narażam się na gniew królewski, zwłaszcza jeśli okaże się, że skrzynia Luksemburczyka jak zwykle ma dziurawe dno. Nie pierwszy gniew, nie ostatni, przeżyłem już podobne humory króla Władysława, byłem banitą na Żmudzi.

– Zawsze możesz wrócić, żeglując między Scyllą i Charybdą królewskich niechęci a szerokim łóżem królowej. – Wolkenstein ściszył głos. – Jeśli nawet nie jesteś mistrzem w *spintriae*, zawsze możesz zostać pod nią koniem Hektora.

– Nie będę capem w stadzie Priapa. Milcz.

– Muszę wiedzieć, czy opisać cię jako Gawaina, który trzy dni odrzucał awanse żony Zielonego Rycerza, czy jako Lancelota, który bez wahania szturmował łóżnicę królowej?

– Jako Zawiszę z Rożnowa. Pijanego. Bo wcześniej przyjdź do mojego namiotu z baryłką dobrego wina. Muszę się napić.

– Zatem dotrzymam ci towarzystwa.

*

Kiedy rankiem wyszedł z namiotu, czekali na niego wszyscy rycerze z rot. W zbrojach, z mieczami, pieszo otaczając półkolem namiot. Z tyłu giermkowie i pachółkowie trzymali okulbaczone konie.

Zawisza szedł wzdłuż szeregu i patrzył w kolejne oblicza. Suchy i poznaczony bliznami Pietrzyk ze Skorze. Ogromny, ciężki Ciołek z Naborowa z obliczem ozdobionym parą zwisających wąsów. Gamratnik Drab, w ramionach jak niedźwiedź. Jan Baptysta Junoszyca w lekkiej, włoskiej zbroi, bez tarczy, z długim koncerzem przy boku. Gedeon w starym pancerzu, dalej Odyńcy – Dobrogost i Zbylut, za pan brat ze Żmudzinami – Ursynem i Wizgirdem

w kolczugach i lamelkowanych skórzniach sprzed stuleci. Ponure, poważne gęby, spojrzenia mroczne jak zimowy świt.

– Co to za zgromadzenie? Sejmik jakiś czy co?

– Pozwoliliśmy sobie, mości rotmistrzu, zwołać koło chorągiewne – ozwał się Ciołek z Naborowa – aby wyrazić obawy i subiekcje, które gryzą nas jak robactwo pod zbrojami.

– Mówcie prosto z mostu, o co chodzi.

– Gniewno nam, że nie ma wyprawy na Turków. Obiecano krucjatę! I jak to? Gdzie pohańcy? Gdzie łupy?

– Gdzie sułtański skarbiec? Gdzie odaliski?! – wykrzyknął Gamratnik Drab.

– Z czym ja do benedyktynów w Tyńcu wrócę? Za co odkupię dawne łotrostwa? – grzmiał Pietrzyk ze Skorzewa.

– Siedzimy tu już dwie niedziele, lato mija, czas ucieka. Nie ma co żryć! A przekupnie na targu i kmiecie nie dają nic darmo!

– O, co tu dużo mówić – zawołał Gedeon – żołąd do nas nie doszedł! Za darmo mamy służyć? I to komu? Luksemburczykowi, co pławi się w bogactwach i rozpuście?!

– Diabła z taką służbą! Wracamy do Polski!

I nagle wszyscy zaczęli wykrzykiwać, wygrażać pięściami, niektórzy kłócić się między sobą. Pietrzyk wręcz ostentacyjnie odwrócił się do konia i zaczął poprawiać coś przy siodle, złapał za strzemień, jakby szykując się do wsiadania.

Zawisza podniósł rękę, chciał przemówić, ale nikt go nie słuchał. Nikt nie czekał na słowa największego, jak twierdził król Węgier, rycerza na dworze.

Sytuację uratował Dobrogost z Odyńców. Nagle podniósł róg i zadął krótko, tak głośno, że stojącym najbliżej rycerzom mało nie popękały uszy.

– Ta, ciszej tam, wiara i chęć! – krzyknął. – Pan rotmistrz mówi, niechajcie sporów, dajcie mu głos!

– Cisza! Milczeć! – ryczał Wizgird i dla poparcia swoich słów zaczął okładać niesfornych kułakiem po ramionach i rękach. – Dajcie głos panu!

– Wszyscy jak jeden mąż zgodziliście się na służbę u króla Węgier, którego ja tylko jestem sługą – powiedział Zawisza. – Wszyscy przysięgaliście i podpisaliście się na kontrakcie! Waszą rzeczą jest służyć, a moją przekazywać wolę miłościwego króla! Każdy, kto wystąpi przeciwko dyscyplinie, zostanie przykładowie ukarany, a jeśli wykroczy przeciwko rycerskiemu honorowi, nawet haniebnie powieszony!

Nagle poczuł, że krew napływa mu do głowy, świat wiruje dokoła w obłądnym tańcu. Zatoczył się i mało nie upadł. O dziwo, przyskoczył i podtrzymał go Zbylut, a zaraz po nim – jeszcze większe zdziwienie – Wizgird.

– Żaden z was nie będzie mógł liczyć na moją łaskę! A jeśli... – wyprostował się rozdygotany – jeśli ktoś ma jakąś sprawę do mnie, to zapraszam w szranki. Za dwa dni król urządza turniej. Moja tarcza będzie wywieszona razem z innymi, więc jeśli żywicie urazy, to proszę, daję wam pole w walce. A teraz rozejść się!

– Co z żołdem? – zapytał Gedeon. – Też mamy go szukać na turnieju? A może wygrać w kości?

– Żołd dojdzie jeszcze dzisiaj. Po sześć grzywien na kopię. Zatem szykujcie konie i zbroje do popisu!

Wyrwał się podtrzymującym go rycerzom i ruszył do namiotu, przed którym czekał już kłaniający się dwornie Mojżesz Bruna, najstarszy lichwiarz z Pesztu, i Natan Minc, wekslarz. Na ławie w środku rozłożył szkła, wagę, jubilerskie kamienie i odważniki, zwykłe przybory do liczenia pieniędzy.

Zawisza odwrócił się do Zbyluta.

– Bądźcie tak mili i wyślijcie pachołka do króla herbowego Hermanna von Manna, niech zgłosi, że Zawisza z Rożnowa sam osobiście brać będzie udział w gonitwie na ostre!

*

Byli już po mszy i potwierdzeniu szlachectwa, ceremonii, na której wskazywano czasem wojowników niegodnych uczestnictwa

w turnieju – synów mieszczan lub fałszywych szlachciców, którzy usiłowali wśliznąć się między herbowe rycerstwo. W Polsce nie podchodzono do tego tak surowo jak na dworze Zygmunta, gdzie trzeba było mieć jedenastu przodków, by zostać dopuszczonym przed oblicze monarchy i brać udział w walkach.

Rycerską godność sprawdzano po plebejsku, bardziej ufając papierom niż świadkom, słowom honoru i bitewnym czynom jak w Polsce. Sprawdzano wszystkich, tylko nie Zawiszę. Był znany, od dwóch dni pachółkowie i heroldowie wykrzykiwali jego imię i zawołanie na ulicach Budy. Po południu sędziowie w kunsztownie zawiniętych kapturach i kapeluszach sprawdzali uzbrojenie, oglądali miecze, kopie, korbacze, topory i buzdygany bojowe, próbując, czy nie są ostre, nie mają zdradliwych, dodatkowych sztuczek, jak sztylet ukryty w rękojeści albo zamaskowana szczelina do pochwycenia i złamania ostrza przeciwnika. Wystarczył jeden ruch towarzyszącej sędziom damy, zrzuć hełm wystawionego razem z bronią, aby posłać turniejowego śmiałka w otchłań pohańbienia. Łatwiej było zmazać gwałt, najazd na klasztor lub wychędożenie księdza niż złamanie prawideł rycerskiej walki w szrankach.

Następnego dnia odbyli uroczystą mszę i wreszcie wieczorem, o zachodzie słońca, w Dzień Świętego Jakuba Apostoła wyjechali konno, bez broni na turniejowe szranki zbudowane pod zamkiem, za murem opasującym ogrody po zachodniej stronie wzgórza.

Pochód do placu jak zwykle był okazją do parady. Rycerze jechali ustrojeni piórami, futrami, materiami. Konie okrywały kunsztowne kapy, ale to Węgrzy zbierali zachwyty dam i uwagę plebsu. Jechali na koniach okrytych skórami lwów i lampartów, przepyszne pióra ozdabiały ich hełmy i tarcze. Niemcy z kolei błyszczeli orężem, ciężkim, nowym; wzrok Zawiszy z łatwością wychwytywał nowe usprawnienia mistrzów z Pragi, Wrocławia i Norymbergi. Prawie wszystkie zbroje białe, nieosłonięte tunikami, nieobszyte materiałem. Tarcze już prawie znikwały, ale w turniejach ciągle były używane. Na głowach poza zwykłymi basinetami zjawiały się już

podobne do kapeluszy kapaliny, wcześniej używane przez piechotę i strzelców. Te najnowsze, z opuszczonymi rondami, z wizurami na oczy, nadawały obliczom złowrogi wygląd. Nieliczni mieli też pierwsze salady, potężne hełmy z szerokimi jak okapy nakarczkami z tyłu.

Przybysze z Włoch, Chorwacji i Wenecji błyszczeli lekkimi, kształtnymi blachami dopasowanymi do ciała, dodatkową zbroją chroniącą brzuch i taszkami doczepionymi tuż przy udach. Ogromne naramienniki przydawały ich właścicielom pozoru niezdarnie odlanych z żelaza golemów. Często bywały asymetryczne – lewe, narażone w czasie turnieju na ciosy i pchnięcia kopią, bywały grubsze, większe i ożebrowane.

Jak Węgrzy wzbudzali zdumienie futrami, tak Włosi mieli końskie kapy i czapraki z wzorzystych kilimów, z jedwabiu, przesywanice kunsztownie wyszywane we wzory. Towarzyszyli im giermkowie z trąbami i proporcami. Z przodu pochod otwierali trębacze i muzykanci. A na samym początku jechał na gniadym tureckim wierzchowcu komes István Szatmár, obejmując ręką dziewczynkę, prawie dziecko o wymalowanej barwiczką twarzy. Kawalkada postępowała pod zamek, tłocząc się, gubiąc pawie i czaple pióra w wąskich uliczkach Budy.

Kiedy wyjeżdżali po kolei na wielki dziedziniec, przedzielony na pół drewnianą barierą, Zawisza czuł tylko lekki niepokój pod zbroją. Dla niego turniej był codziennością; od czasu pamiętnego zmagania w Krakowie, prawie trzydzieści lat temu, kiedy jako młodzik i giermek stawał w szranki z samym Zygmuntem Luksemburskim, bił i sam był bity, celowo nadstawiał karku i pozwalał wysadzić się z siodła – w imię wyższych celów. W imię polityki, podłości, małostkowości, tchórzostwa oraz żądzy władzy i bogactwa, które niczym robaki toczyły umysły możnych ziemskiego świata.

Nie było czasu na myślenie, wjeżdżali na plac turniejowy oświetlony czerwonym blaskiem pochodni, lamp. A przede wszystkim ogromnych, gorejących stosów drewna, do których pachołkowie podrzucali ogromne smolne karpy i szczapy. Zdawało

się, że powietrze płonie – drewniane szranki i trybuna pełna gości, gdzie na podwyższeniu zasiadał król Węgier i Niemiec Zygmunt Luksemburski, obramowane były szkarłatem.

Zabrzmiały ogłuszające trąby. Wszystko zmieniało się jak kolory w szybkiej partii tryszaka. Kolejni rycerze podjeżdżali pod ogromną trybunę zdobioną proporcami, chorągwiami, z herbami wszystkich ziem Zygmunta: luksemburski lew, niemiecki dwugłowy orzeł, biały krzyż i pasy węgierskie, czerwony orzeł brandenburski.

Król herbowy turnieju Hermann von Mann stał pod trybuną, prezentując zawodników.

– Oto Kuntz von Sulzbach, zwycięzca turniejów w Wiedniu, Pradze i zeszłorocznego w Budzie.

Podjechał rycerz w saladzie, na tarczy miał czarnego wilka stojącego dęba.

Kolejni wyjeżdżali galopem z szeregu, prezentowani przez króla, witani owacją i okrzykami. Ich imiona odkrzykiwali dalej perserwanci, to jest pomniejsi heroldowie nazywani od krajów, których nacje reprezentowali.

– Heinrich von Eschenbach! Powitajmy go okrzykami!

– Ferenc Balázs!

Wyjechał potężny Węgier w łebce i włoskiej zbroi, na tarczy miał łeb byka w złotym polu, podobny do polskiej Wieniawy.

– Tannhäuser! Rycerz zasłoniętego oblicza! Ślubował trwać pod przybranym imieniem, dopóki nie wygra z rzędu pięciu turniejów. Pozdrawiamy go!

Podniosła się wrzawa, kiedy na karym, potężnym ogierze wyjechał rycerz we włoskiej zbroi turniejowej i armecie, hełmie okrywającym szczelnie głowę; bez przyłbicy, ale z bocznymi płatami otulającymi głowę tak, że jak w saraceńskim zawoju pozostawał tylko okrągły otwór, przez który widać było błyszczące, czujne oczy.

– Pál Szécsenyi! – Wyjechał kolejny Węgier z czerwonym smokiem w złotym polu.

– László Báthory de Somlyó!

– Zawisza z Rożnowa herbu Sulima, rotmistrz królewski, starosta kruszwicki i spiski! Któż go tu nie zna! – zawołał herold zwany Pollandem, bo był ogłaszającym i opiekującym się przybyłymi na turniej Polakami.

Zawisza uderzył konia ostrogami, wyjechał ostrym galopem. Zrobił rundę honorową, zakręcając koniem jak na paradzie; wrócił na miejsce. Mało uwagi poświęcił gościom, nawet nie spojrzął na Zygmunta, wpatrywał się w innych towarzyszy, szukając znajomych sylwetek. Z Polaków byli Jakub z Kobylan, Jan Goły ze Strzałkowa, pan Szeląg, pan Sowul i Kolanowski z Kolanowa. Bracia Jan i Prokop Baliccy herbu Topór, synowie Andrzeja, dworzanina króla Zygmunta, poległego w bitwie z husytami pod Wyszehradem. Mający wstęp na pokoje królewskie, codziennymi intrygami zarabiali na przyszłe godności i zaszczyty.

Tylko oni? Było tak, jak przypuszczał. Żaden z łotrów spod jego roty nie ośmielił się rzucić mu wyzwania. Gdyby to wiedział, udział w turnieju mógłby sobie odpuścić. Ale... siedzieć wśród gości, słuchać gadek i zachwytów rozdętych własną pychą wielmożów, boleśnie odczuwać porażki i potknięcia walczących; i tak by nie wytrzymał.

– Z woli Boga w Trójcy Świętej Jedynego i naszego miłościwego pana króla Węgier i Niemiec Zygmunta – zagrzmiał król herbowy – zgromadziliśmy się tu dla rycerskiego ćwiczenia i widowiska. Przystępujecie, o drodzy goście, do walki pogodzeni i pełni chrześcijańskiej pokory. Tak tedy proszeni jesteście o odpuszczenie przyszłych ran i ciosów, gdyż nie zostaną zadane z gniewu i grzesznej pychy, ale dla chwały rycerstwa Bożego.

– Odpuszczamy! – Podniosły się do góry ręce w żelaznych, rozszerzających się jak klepsydra rękawicach.

– Odpuszczam! – Zawisza czuł na sobie czyjś wzrok. Tannhäuser. Patrzył na niego, jakby rzucał mu wyzwanie. Cóż, może być ciekawie...

– Królowie i książęta! Dostojni, szlachetni i wy, zwykli mieszczanie! Oto nadchodzi czas wyzwania. Oto ujrzymy zaraz, kto

z naszych wielkich gości zewrze się w rycerskim boju o sławę i chwałę. A teraz nagroda!

Giermkowie Zygmunta wprowadzili na plac pięknego dextrariusza, uszlachetnionego turecką krwią. Nakrytego kosztownym rzędem. Koń był spokojny, nie rzucał głową, nie szarpał się. Jeden z pachołków podniósł przednią nogę i coś błysnęło w świetle pochodni.

– Piękny i mądry rycerski rumak bojowy, koń kopijniczy warty pięćdziesiąt grzywien! Podkuty złotymi podkowami!

Podniósł się krzyk, ryk oszalałego tłumu. To była królewska nagroda. Nawet jeśli, zwyczajem podstępnego Luksemburczyka, koniec końców miał być przekazany bez rządu.

– A teraz – grzmiał z kulbaki Hermann von Mann – zacznijmy wyzwania. Oto są tarcze uczestników. Kto z kim się zmierzy, zaraz nasi goście dobiorą się w pary.

Na końcu placu na płocie wisiały tarcze herbowe wszystkich uczestników. Heroldowie podchodzili do nich kolejno i oznajmiali imiona.

– Kuntz von Sulzbach z Moraw. Kto zmierzy się z zeszłorocznym zwycięzcą turnieju w Budzie, w tym właśnie miejscu?! – zakrzyknął German, herold niemieckich gości.

Musieli być chyba umówieni wcześniej, bo z szeregu wyjechał od razu Heinrich von Eschenbach i w kłusie trącił tarczę tyłcem kopii.

– Oto szlachetny Kuntz von Sulzbach zmierzy się w gonitwie na tępe kopie ze szlachetnym Heinrichem von Eschenbach z Bawarii! Sława im!

Podniósł się krzyk, nawet królewscy goście na podwyższeniu poczęli wstawać, bić brawo, wymachiwać rękoma i krzyczeć, pozdrawiając czempiona.

– Pál Szécsenyi!

Panowie węgierscy, Niemcy i Polacy ruszyli hurmem. Pierwszy był młodszy z braci Balickich.

– Na tępe kopie! Drugi pojedynek. Wznieśmy okrzyk na cześć naszych bohaterów!

– Szlachetny Zawisza z Roźnowa herbu Sulima. Wszyscy go znacie! Kto się z nim zmierzy?

Rycerze ruszyli tłumnie, Polacy, Niemcy, Węgrzy. László Báthory de Somlyó był pierwszy, już, już wysuwał się na prowadzenie, godząc tęym końcem kopii w pół czarnego orła w herbie Sulimczyka...

Wyprzedził go z rozmachem Tannhäuser. Wpadł galopem między wojowników, rozepchnął ich i uderzył – ostrzem kopii w tarczę. Grot wbił się w drewno tak mocno, że rycerz uniósł herbowy znak, zdejmując go z płotu, przeniósł na koniu, podjeżdżając do herbowego króla, gdzie złożył mu go do rąk własnych.

– Tannhäuser, rycerz zasłoniętego oblicza, zmierzy się na ostre z Zawiszą Czarnym z Roźnowa!

Wrzask, krzyki, prawie szal, za barierami plebs tratował się, bił i przepychał, chcąc być bliżej.

Tannhäuser obrócił się i patrzył w oblicze Sulimczyka. Długo, groźnie wręcz, aż Zawisza poczuł się zniecierpliwiony. Chciał ruszyć koniem, podjechać do natręta, ale było zbyt ciasno. I herold właśnie ogłosił pierwszy pojedynek.

Jednym szybkim najazdem Kuntz von Sulzbach wyrzucił z siodła Eschenbacha, potwierdzając, że ciągle jest championem królewskiego turnieju. Bawarczyk wstał, ale pokręcił głową, kiedy podawano mu miecz.

Gwizdy, śmiech tłumów, nie tego się spodziewano! Rozwścieczony zbyt szybkim końcem walki Sulzbach, pędzący po placu, jakby rozglądał się za nowym przeciwnikiem. Wreszcie zeskoczył, ruszył z mieczem na ustępującego z pola rywala; na szczęście zasłonili go heroldowie.

Druga walka – Szécsenyi i Prokop Balicki wysadzili się wspólnie z sioseł. Potem rąbali mieczami, aż szły iskry. Zwyciężył Polak. Zawisza był w uniesieniu. Prokop mógłby wręcz stać się jego następcą. Gdyby tylko miał więcej czasu na ćwiczenia...

– Zawisza z Roźnowa kontra Tannhäuser! Prosimy szlachetnych panów do króla!

Podjeżdżał pod trybunę wolno, z namysłem, kłusem. Wcześniej giermek podał mu długą kopię z czarno-żółtym proporcem.

Zawisza stanął przed najwyższymi gośćmi, skłonił się dwornie. Zobaczył rozweselonego króla Zygmunta, który zakładał się z jakimś brzuchatym i brodatym Niemcem o wynik starcia. Król podniósł rękę, pozdrowił go. Nic nowego.

Był ktoś bardziej zwodniczy od niego. Królowa Barbara Cylejska, w błękitnej sukni odsłaniającej ramiona, z warkoczami upiętymi wokół głowy jak korona, z girlandą z pawich piór, wyglądała jak bóstwo. Zwodnicza Wenus, Messalina, miała piękne błękitne oczy, niebezpieczne; jej intrygi Zawisza przyjmował z pokorą zawodowego wojownika i polskiego rycerza-szlachcica, mało robiącego sobie z dworskich godności i niedogodności.

Lecz teraz sięgnęła do misy trzymanej przez służebną, wyjęła wianek i nagle... niespodziewanie wstała – wyciągając go w stronę rycerza!

Zawisza pierwszy raz na turnieju poczuł chłód. Wyciągał ostrze kopii ku królowej powoli, bardzo powoli, jak we śnie...

Ubiegł go Tannhäuser! Nagle podjechał z boku, podniósł kopię i wręcz wyjął, wyszarpnął wieniec z rąk królowej.

Śmiechy, wyzwiska plebsu, gwizdy!

Zygmunt, król Węgier, uśmiechał się pobłaźliwie, ale to mogło być ostrzeżenie. Pomału ujął małżonkę pod ramię i usadził na krześle okrytym skórą.

– Szlachetni rycerze Zawisza i Tannhäuser proszeni o zajęcie miejsc! – komenderował herold.

Trąby grały, bardzo długo.

A wtedy Tannhäuser sięgnął – niewygodnie, bo lewą ręką, w której trzymał wodze – do prawej strony głowy. Wyciągnął sworzeń spajający obie dolne połówki armetu. Odślonił przed Zawiszą oblicze.

Rycerz drgnął, zatrząsł się w siodle.

Gedeon!

Nie było już na nic czasu – tłum szalał, krzyczał, gwizdał! Z placu ściągano właśnie poprzedniego wojownika, który nie był w stanie iść o własnych siłach. Wielmożni i plebs żądali krwi. Ostrego starcia, połamanych kopii, iskier z hełmów po trafieniu mieczem lub buławą!

Zniecierpliwieni heroldowie i giermkowie ujęli ich konie za wodze, podprowadzając na stanowiska po obu stronach szranków. Obrócili ku sobie rycerskie wierzchowce, aż zawodnicy stanęli twarzą w twarz; każda strona przegrody wyznaczała inną drogę życia. Kary dextrarius Zawiszy stał spokojnie, za to koń Gedeona niecierpliwił się, grzebał nogą, szarpał głową, choć trzymany przez giermka i herolda.

Przyjęli do rąk kopie; nie były to tępe, turniejowe odmiany zaopatrzone w okrągłe tarczki chroniące dłoń. Te miały ciężkie kule na chwyt i nieco grubszy tył, odciążający długie drzewce zaopatrzone w żelazny, kuty grot. Gomitwa na ostre...

– Szlachetni gotowi? – Głos herolda mieszał się z grzmotem trąb. – Gotowi do boju?

Zawisza podniósł do góry kopię, Gedeon miał kłopot z opanowaniem niespokojnego konia, który okręcił się wokół własnej osi, przysiadł na tylnych nogach, bił przednimi kopytami w piach. Grzebał ze złości lewą nogą.

– Gotowi? Bij!

Zawisza uderzył dextrariusza ostrogami i ruszył, bezbłędnie, bez wahania, jak nadchodzący posłaniec śmierci. Gedeonowi dopiero teraz przemknęło przez głowę, komu naprawdę rzucił wyzwanie...

Nie było czasu! Czas leciał wodospadem, uciekał w tył z każdym skokiem konia. Chwilę, okamgnienie trwało opóźnienie Borkowica. Pacholek obrócił mu konia w stronę przeciwnika, a wtedy Gedeon przycisnął łydki do końskich boków, dodał ostróg, wyprowadził na prostą!

Rumak zagryzł munsztuk i poszedł, zniżywszy głowę, łagodnie podrzucając jeźdźca w siodle. Przez chwilę rywale gnali naprzeciwko siebie; jednocześnie opuścili kopie, pochylając się

w ciężkim, rytmicznym galopie. Tłum zawył, król Zygmunt poderwał się z krzesła, Barbara przygryzła wargi i uśmiechnęła się szyderczo. István Szatmár uchwycił swoją dziewczynkę za piersi, jakby szukał w niej uchodzących z niego wraz z wiekiem esencji młodości.

Rozkołysany łoskot kopyt, szaleńczy rajd po obu stronach szranków! Wpadli na siebie, godząc kopiami w piersi, częściowo osłonięte naramiennikami, chronione przez tarcze i blachy kirysu zbroi. Kopie poszły w drzazgi – obie w jednej chwili, zbyt szybkiej, by ją uchwycić wzrokiem. Gedeona rozleciała się na deszcz drzazg; Zawiszy pękła, obracający się, wirujący jak wiatrak kawałek przeleciał przez przegrodę i spadł za zadem galopującego konia Gedeona.

Obaj zachwiali się w siodłach, ale wytrzymali. Emocje sięgnęły zenitu. Zarówno królewscy goście w wamsach, dubletach i węgierskich dołomanach, jak i plebs wstawali, pchali się do barierek, drąc się wniebogłosy, wiwatując, machając rękoma.

Zawisza wyćwiczonym ruchem zatrzymał konia w miejscu, obrócił na zadzie, wziął z rąk giermka kolejną kopię. Nowy półobrót konia, kopyta żłobią piach... Zwrócił się przodem do Gedeona. Ten znów miał kłopot z wierzchowcem, koń cofnął się, opuszczając głowę, uspokoił się dopiero przytrzymany przez pacholka, a wtedy giermek podał rycerzowi świeże drzewce.

Sulimczyk już ruszył, zdecydowany, pochylony w siodle. Nikt nie podejrzewał, co kryło się za opuszczoną zasłoną basinetu. Jakie myśli, a może ich brak, podrywały rycerza do szarży. Zawisza szedł jak śmierć!

Gedeon dał koniowi ostróg, zbliżał się w miękkich, ciężkich, szybkich podskokach, na które człowiek pędzący w gonitwie nie zwraca uwagi, bo musi pochylić się w siodle, aby utrzymać równą pozycję, aby zniwelować podskoki galopu, jechać jak po linii i precyzyjnie uderzyć kopią w słabiznę przeciwnika...

Gedeon mknął, a obrazy przelatowały mu przez głowę. Zawisza zabija jego ojca Czambora w Pieninach, zabiera go jako giermka na

Żmudź. Pożoga i zabójcza młócka z Krzyżakami... Pasowanie. Na koniec piękne ramiona Doroty, obiecujący uśmiech, obietnica...

Na chwilę, mgnienie oka przed starciem koń Zawiszy potknął się, rzucił łbem, opadł w dół. Gedeon wyczuł swoją szansę, nastawił kopię tam, gdzie opadająca razem z lewym ramieniem tarcza odsłaniała naramiennik i miękkie miejsce chronione tylko kolczugą, a nie blachą...

Zawisza, jego ojciec, jego pan!

W ostatniej chwili Gedeon nie uczynił tego, co zamierzał. Choć uderzenie wyrwałoby rywalowi ramię, obalając go na ziemię, a może i wyłączając na długo z walki, uniósł drzewce, podniósł je, aby trafiło w pustkę.

Zawisza tego nie zrobił!

Uderzył w sam splot słoneczny Gedeona. Tam, gdzie rozbudowany naramiennik kończył się, odsłaniając blachę napierśnika. Przy tępej kopii byłby to tylko udar, lecz ostrze wbiło się w stal i zanim pękło... Borkowic wyleciał z siodła w deszczu drzazg, gubiąc własną, wcale nie uszkodzoną, nie połamaną broń.

Upadł, ale fatalnie, wcale nie na prawy bok, na piach. Lewy trzewik ugrzązł w strzemieniu i pędzący koń pociągnął go na szranki. Gedeon z jękiem uderzył bokiem w barierę, pojechał po niej chwilę, rozbił na drzazgi ciężarem swoim i zbroi, a potem zwałił się na ziemię. Rumak spłoszył się, powlókł go na strzemieniu, ścinając ciałem rycerza słupki, wierzgnął, kopiąc raz, drugi, trzeci.

Krzyk, jeden wielki ryk pospólstwa i szlachetnych...

Koń wlókł rycerza do końca placu, skręcił, kopnął jeszcze raz i jeszcze, waląc podkowami po zbroi, wgniatając hełm. Obrócił się, kiedy skoczyli ku niemu pacholki i giermek, stanął dęba, ostatni kopniak zerwał sprzączkę lewego puśliska, szerokiego prawie na dłoń. Rycerz odpadł, potoczył się na plecy. Od razu doskoczyli słudzy, biegł medyk, pędził król herbowy i jego heroldowie.

Zawisza podjechał kłusem. Jednym ruchem wyciągnął miecz z pochwy. Stanął ponury, jak góra nad połamanym, pokrzywionym Borkowicem i podniósł zasłonę, odsłaniając mokre od potu oblicze.

Herold popatrzył mu w oczy i pokręcił głową. Nie będzie walki na ziemi. A wtedy lekarz, który sprawdzał oddech i puls, dobierając się do ciała, które rozbierali ze zbroi pacholankowie, uśmiechnął się słabo.

– Będzie żył.

Zawisza obrócił się w stronę tłumu. Wyłuskał z niego postaci Odyńców, Wizgirda, Gamratnika Draba, dalej kolejnych kopijników z jego rotty: Sobolewskiego, Klimka i Janika. Podjechał bliżej, a oni spuścili głowy jak brytany zbite nahajem.

*

– Ręce i brzuch całe, gorzej ze spiną, bo oberwaliście dobrze po krzyżu i wyżej. Zawisza dobrze nadłamał wam żeber, będą boleć, zawiąłem mocno, ale nie powinniście cierpieć długo...

Nadworny medyk króla Zygmunta opuścił koszulę i nakrył poranionego, obwiązanego szarpami Gedeona puchową, obszytą króliczym futrem kołdrą. Doktor był Niemcem, nazywał się Schulmbacher, ale kazał się zwać z arabska Awicenną. Gedeon spotkał w swoim życiu przynajmniej kilku konowałów, którzy przybierali miano legendarnego saraceńskiego alchemika. Ich umiejętności bynajmniej od tego nie wzrastały.

– Nie próbuj wstawiać ani nadwyreżać nóg, bo boję się, że staniesz się bezwładny, niczym wór mięsa i kości. W żadnym wypadku nie chodź, do potrzeb wzywaj sługę. Leż i cierp, a za miesiąc, może dwa wrócą ci siły.

Gedeon leżał i cierpiał bez słów. Z głową przewiazaną płótnem, kolejne zwoje opasywały jego brzuch i boki, usztywniały, czuł te więzy przy każdym oddechu.

– Na rany nie musisz zważać. Nie wypalałem, zamiast tego przesmarowałem maścią z oleju różanego i żółtek. Poruszaj nogami. Możesz, panie? Jeśli stracisz w nich władzę, zaczną gnić, wtedy będę musiał je odjąć. A cóż będzie z ciebie za pożytek? Tyle, co z powalonego wołu.

Gedeon pokiwał głową. Miał szczęście? Chyba, może?

– Zawisza? – wystękał. – Gdzie jest? Pytał o mnie?

Medyk pokręcił głową i wstał z zydła, bo nagle drzwi do komnaty w zamkowej infirmerii otwały się, wszczął się chaos, zgiełk. Mnóstwo ludzi wkraczało do małego pomieszczenia, mężczyźni, smukli i pachnący różnymi wodami. Rozstępowali się, tworząc przejście dla wysokiej niewiasty, która wparowała tu jak władczyni; bo też i nią była. Wysoka, jak na twór uczyniony z żebra Adama, w rogatym czepcu *templette* wypchanym po bokach poduszkami. Błękitna suknia obcisła, z wycięciem na piersi, także – jak Gedeon nie omieszkał dostrzec – wypchana w tym miejscu wełną. Z ramion opadały jej skrzydła powycinane z materiału. Wielkie błękitne oczy sprawiały niepokojące wrażenie. Nie sposób było tej niewiasty ominąć wzrokiem, nie sposób przeoczyć. Borkowic wiedział, kto to. I przeraził się bardziej niż ostrej kopii w rękach swego przybranego ojca.

Barbara Cylejska, Messalina, Wenus, Afrodyta, królowa Węgier. Wspólnie z Zygmuntem Luksemburskim tworzyli parę, o której obyczajach szeptano w zamkach, dworach i kmiecych chatkach. A w Polsce dziwowano się i wyśmiewano po karczmach.

– Jakże się czuje mój bohater? – spytała bez ogródek. Chwyciła róg kołdry i bezceremonialnie zdarła ją z poranionego Gedeona. – Przynajmniej jesteś w jednym kawałku! Czyżby mój wieniec nie przyniósł ci szczęścia?

– Nie byłem godny twoich względów, miłościwa pani. Nie jestem też żadnym bohaterem. Przegrałem, wygrał lepszy.

– Lecz czy odważniejszy? – Jej zęby, choć pewnie czyszczone kredą z rana, jednak nie były śnieżnobiałe. – Ze wszystkich mężczyzn ty jeden miałeś śmiałość wyzwać na ostre takiego turniejowego gracza jak Zawisch Schwartz. Prawda, efebowie? Wy nie bylibyście aż tak śmiali!

Otoczający królową orszak zafalował. A otaczali ją sami tylko mężczyźni. Pieszczoszki zwane efebami, cały męski harem gachów. Gedeon podziwiał ich z bliska – pięknie ubrani, w ciżmach z długimi noskami, aż by się chciało przydeptać je i... kułakiem w gębę.

Szczuplutcy i gładko ogoleni jak chłopcy. Ubrani w krótkie roby, odsłaniające nogi w obcisłych i wciąganych na mokro nogawicach uwydatniających łydki. Na głowach mieli fikuśne burgundzkie kapelusiki, spilśnione czapki zwane *la barette* i kaptury uformowane na kształt koguciego grzebienia. Wszystkie teraz oczywiście pościągali, odsłaniając trefione włosy, długie jak u fryzyskiego konia, farbowane tak, że jakiś poczciwy drab z pieszej roty po kilku miesiącach wojny mógłby wziąć ich za kobiety.

Kłaniali się, śmiali, ale żaden się nie odzywał.

Barbara sięgnęła ręką, chwyciła za tunikę i wyciągnęła z szeregu pierwszego galanta, poklepała go po policzku.

– Mości Gedeonie, poznaj orszak Afrodyty. Oto Eros – bezceremonialnie wyciągała i wskazywała kolejnych piękniśków – Potos, Antebos, Eroles i... Amorek.

Zgodnie z imieniem Amorek był nikczemnego wzrostu, ale rozrośnięty w barach, a pewnie i jurny, jak to zwykle karły bywają.

– A ty jakie imię sobie wybierasz?

– Jestem Gedeon z Borkowiców, herbu Napiwoń, syn Czambora, wnuk Maćka, który poskromił złą władzę króla Kazimierza.

– Mógłbyś zostać Adoniszem, gdybyś był choć w połowie tak nadobny jak nasz Amorek – zaśmiała się Barbara, a grono jej pieścioszków zarechotało w odpowiedzi.

– Z całym szacunkiem, królowo, gdybym miał stanąć przy twoim boku, pani, wolałbym być znany jako... Odys.

– Dlaczego akurat on?

– Bo stojąc przy twoim boku, tylko ja miałbym odwagę walczyć w twojej obronie. I rozpędzić zalotników strzałami z łuku.

Grono wielbicieli Barbary Cylejskiej zafalowało.

– Powtórz to, jak wyzdrowiejesz! – rzucił ktoś z tyłu, inni napparli, jeden chciał doskoczyć do łóżka, ale królowa chwyciła go za ramię.

– Słyszałam o twojej miłosnej historii, panie Borkowicu. Dwórki szeptały... prawda, że masz ukochaną zamkniętą w klasztorze w Polsce?

– Ta prawda znacznie mnie wyprzedza, miłościwa pani. Zabijałem i rozbijałem dla miłości mojego życia, albowiem miłowanie jest pierwszą z nieśmiertelnych rzeczy, jak powiedział jakiś sławny poeta, wszakże nie wiem jaki.

– Dlatego przybrałeś miano Tannhäusera. A ta... Dorota była piękniejsza ode mnie?

– O tak. Jak misterny blask jutrzeńki na wzburzonym niebie.

– Masz gębę równie hardą jak twoja brzydota.

– Ale jestem szczery.

– Cóż, ośmieliłeś się przeciwstawić Zawiszy w prawdziwie męskiej walce. Temu Zawiszy, któremu nazbyt ufa mój królewski mąż. Pomimo hardego języka warte to nagrody. Nie minie cię. Czekaj i kuruj się.

Skinęła głową, wyszła, a za nią cały rząd piękniśiów. Gedeon był ciekaw, czy i Zygmunt ma taki sam harem miłośnic.

*

Nie mógł spać, ciało uwierało go dobrze znajomym, tępym bólem obejmującym plecy, krzyże, nie takim może jak płynący z otwartych ran, ale dokuczliwym, bo niepozwalającym spać albo zmieniającym płytki sen w korowód majaczeń i koszmarów. Noc była gorąca, parna, jak w środku lata. Leżał i dyszał, dopóki nie usłyszał chrzęstu otwieranych drzwi i nie poczuł ożywczego strumyka powietrza.

Zaniepokoił się, bo nie miał miecza ani sztyletu. Potem się przeraził, bo zobaczył ogromną mroczną postać z głową ozdobioną dwoma wielkimi zgrubieniami, jak toporne rogi. Strach rósł w nim, nawet kiedy usłyszał szelest płótna, może sukna, zrzucanej odzieży. Sylweta rosła, potężniała jak czart wywoływany z kręgu, którego widział kiedyś na sabacie na starej, pogańskiej górze w Polsce. I w świętym gaju na Żmudzi. Nagle wstąpiła w smugę księżycowego blasku przeświecającą przez mętne szybki, wtedy aż jęknął. W srebrnym blasku w podwójnym, rozgałęziającym się czepcu na głowie stała przy łóżku naga Dorota.

Nie, nie ona, chyba... Barbara. Wszystko już mieszało mu się w głowie. Widział jej gładkie, białe ciało, jak u niebiańskiej gołębiczy. Lekko wypukły brzuch, ogromne piersi, smukłe ramiona, oczy – przez naciągniętą przez ściśnięty mocno czepiec skórę – jakby skośnawe.

– Doro...

– Ciiii... – Nagle zrobiła coś, czego się nie spodziewał. Podniosła nogę i stopę oparła mu na ustach, tłumiąc wołanie, szepczące pytanie, które cisnęło się do głowy. Nie mógł uczynić nic, tylko leżeć, z sercem tłukącym się pod zwojami szarpi i płóciennych zwojów.

A wówczas ona wygięła się w łuk, odrzuciła kołdrę i rozpoczęła z nim dzikie, wyuzdane pieszczoty. Nawet gdy zdjęła stopę z warg, nie mógł nic mówić, drżał z podniecenia, nie wiedział nawet, że ranny będzie jeszcze mógł sprostać męskiemu dziełu. A jednak...

Gedeon jęknął, kiedy znalazła się na nim, poczuł jej oddech przesycony zapachem wina. Splątała ich żądza, dzika, niesyta, pierwotna. Gedeon chciałby ją oddać pięknymi i górnołotnymi słowami, jak te, że dała sianka jego konikowi, że była niby łania, ale nie przechodziły mu przez gardło. Czuł się jak na pogańskich bachanaliach, jak na Świętego Jana z wiejskimi bezwstydnicami. Pędziła na nim, czuł jej ogromne piersi przy ustach, miłość zdawała się prostacka i dzika. Przeszywał go ból, krew sączyła się z rozerwanych ran, ale dzika żądza porywała; chciał jeszcze i jeszcze. Kołysali się, uderzali, na koniec obrócili i teraz on robił z nią to, co brutalny cep ze snopem niebiańskiej pszenicy. Nie zważał na nic, na ból, coraz większy, nie patrzył na to, że jej długie, ostre paznokcie na upierścienionych rękach zdzierają opatrunki. Nic nie liczyło się wobec tego cielesnego pędu.

Na koniec objęła go, ścisnęła nogami, udami, pokornie, jak młode dziewczę, jęła garnąć go do siebie. Gedeon spełnił się w niej kolejny raz, a wtedy prawie oszalała, ścisnęła go, zgmiotła, tracił dech w piersiach, omdlewał prawie. Czuł ból, ale jakiś taki inny niż zwykle. Nagle przeszył go jak ostrze; a może to ona zatopiła mu sztylet w plecach? I wtedy świat zgasł w rozbłysku, Gedeon opadł

bez sił, we krwi. Poczuł, jak ciało miłośnicy wysuwa się spod niego, gładkie, obłudne jak wąż. Leżał i czekał, bez sił. Zapadła cisza, trzasnęły drzwi.

Świt już się sącył przez okna, rozświetlał komin w komnacie, ścianę z turecką makatą, zydle, skrzynię... I ciało, które nie słuchało głowy. Gedeon nagle poczuł, że jest zdrętwiały od stóp. Nogami nie mógł ruszyć, najwyżej podnieść się na rękach, pełzać jak na wpół rozdeptany robak. Okrutne przeczucie kiełkowało w duszy, że stało się to, przed czym ostrzegał medyk. Na pół martwy i przerażony, począł więc jęczeć, potem krzyczeć, wzywać pomocy i łaski.

Zmiłowania...

*

– Coś ty porobił? – Awicenna prawie krzyczał. – Rany porozrywane, żebra poprzestawiane. I grzbiet, i spina! Jezu Chryste...

Przeżegnał się, wolno, nieśpiesznie.

– Rusz nogą, teraz drugą. Czujesz, jak dotykam? Czujesz?

Gedeon pokręcił głową. Z oczu leciały łzy.

– Zmora męczyła, medyku, doktorze Awicenno... ratujcie.

– Sam Bóg może ci pomóc. Módl się i ufaj, bo twoje życie się skończyło. Niewładny, nogami nie ruszysz. Będzieszgnił w łóżu, na barłogu. Aż umrzesz. Oby Pan szybko cię zabrał.

Gedeon płakał jak dziecko. Nie czuł nóg. Naprawdę!

5. *A kiedy miną zakazane miesiące, zabijajcie batwochwalców, kiedy ich tylko znajdziecie, i bierzcie ich do niewoli, oblegajcie ich oraz leżcie, oczekując ich w każdej zasadzce. Jeśli jednak okażą skruchę i będą przestrzegać modlitwy, i płacić Zakat, wówczas pozostawcie ich drogę wolną. Zaiste Allah jest Najbardziej Przebaczący, Litościwy.*

Al-Qur'ān, Sura 9 Al-Taubah (Skrucha)



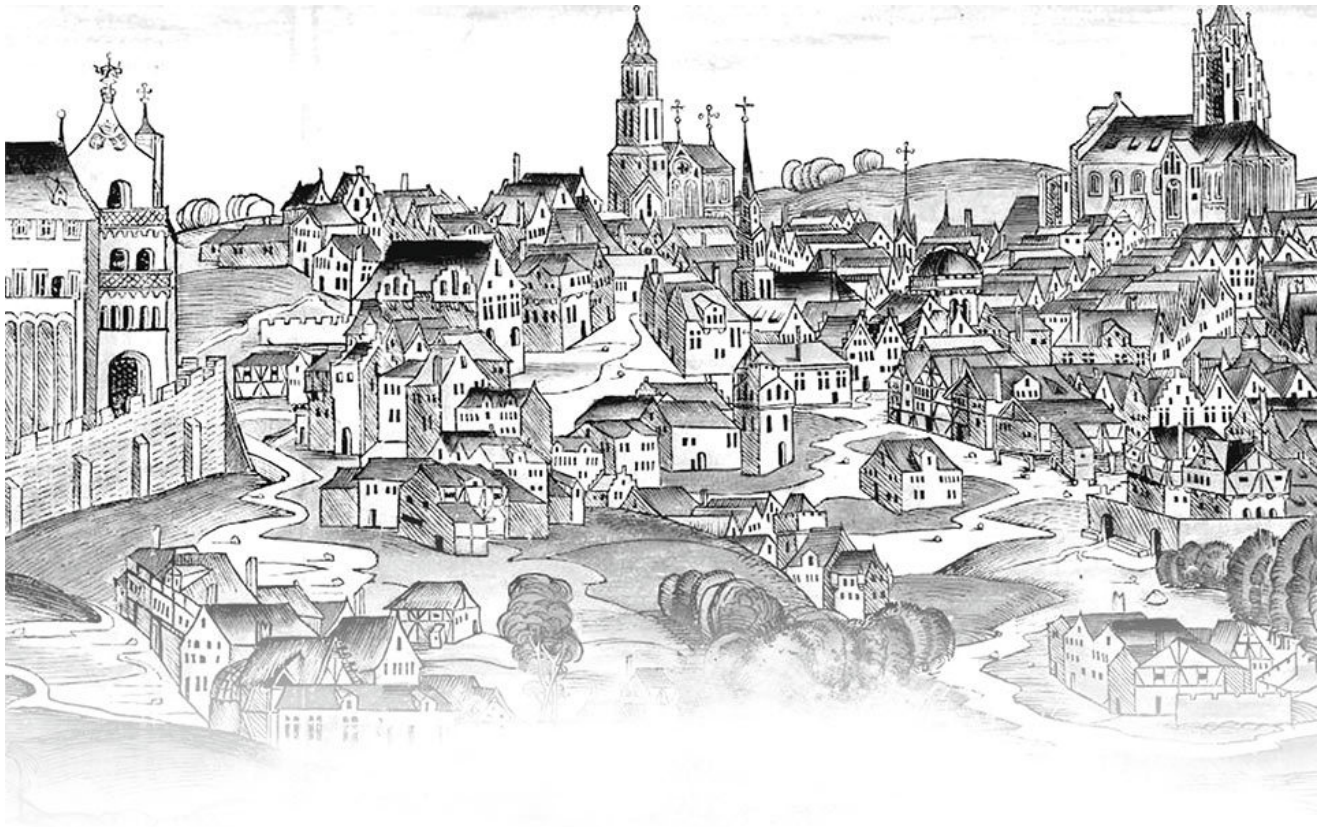
Nie wolno niewiernym, choćby nawet nie uznawali cesarstwa rzymskiego, zabierać państw ich, posiadłości lub przywilejów, ponieważ bez grzechu za sprawą Boga je posiadają, który to wszystko bez różnicy stworzył dla człowieka, którego ukształtował na swój obraz.

Paweł Włodkowiec z Brudzenia, pisarz, poseł,
rektor Uniwersytetu w Krakowie



W sprawach niedozwolonych nie należy słuchać doczesnych panów, tak więc rycerze, jeśli czują, że wojna jest niesprawiedliwa, nie powinni iść w ślad za sztandarami księcia.

Robert de Courson



Rozdział VI

Pauper

Na spotkanie z królem Zawisza przybrał maskę obojętnego na wszystko najemnika. Nauczył się tego – nawet on! – przez lata przebywania na dworze Luksemburczyka, jak rak, który wraz z upływem lat obrasta w coraz to nowe skorupy. Na zewnątrz pokazywał obojętność, ale w środku gotował się w nim gniew.

Na szczęście był słowny i posłuszny. I już tymi dwoma cechami odróżniał się od tłumu dworzan, doradców, sług i królewskich przydupasów różnej maści, płci i autoramentu.

Zygmunt przyjął go w swoim pałacu na wzgórzu w Budzie – jeszcze nie wykończonym; ciąg budowli zamykał królewską siedzibę jak mur od strony północnej, od wjazdu do zamku. Władca siedział w komnacie na skórzanym krześle, karmiąc z ręki potężnego czarnego brytana. Pies wzbudzał szacunek, którego nie mogli zapewnić Zygmuntowi kosztowna jopula zapinana na pętlice i spiczasty kapelusz z podniesionym z przodu rondem. Król dawał psu kawałki białego chleba maczane w słodkim mleku. Połowa plebsu w Budzie nie widziała takich specjałów nigdy w życiu.

Po drugiej stronie stołu przysiadł – jak czarny pająk warujący w sieci – cichy, zgięty wpół komes Nitry István Szatmár. Zawisza nawet na niego nie spojrzał; doradcy i pupile Zygmunta zmieniali się jak pionki i pomniejsze figury w szachach, a on trwał jak potężna, wierna i ostatnia wieża. Zygmunt podał mu nawet rękę do ucałowania. Zawisza oddał hołd i wyprostował się.

– Mości panie rotmagistrze – odezwał się król – postanowiliśmy mianować was wodzem. Cóż ty na to?

– Pokornie czekam na spełnienie obietnicy Waszej Królewskiej Mości. – Zawisza ożywił się. – Obietnicy poprowadzenia wyprawy na Turków. Przy czym będę godnie dzierżył wasz królewski proporzec.

– Chciałbyś mieć jego odwagę, co? – Zygmunt odwrócił się do Szatmára. – To powiedz mu, co tam wymyśliłeś, jakie są moje najnowsze plany.

– Z całym szacunkiem, mości Zawiszko. Nasz pan mianuje cię wodzem wyprawy do Wołoszczyzny, wiesz przecież, gdzie to, małe, zbójckie księstwo rozciągnięte u granic Siedmiogrodu. Dwóch gospodarów, braci stryjecznych, wzięło się tam za łby, a my musimy rozegrać to starcie, aby wypadło po naszej korzyści. Dan stracił władzę na rzecz Radu zwanego Praznaglawa. Poparlibyśmy silniejszego, gdyby nie fakt, że ten drugi, ten pustogłowy, poturczył się i złożył hołd sułtanowi. Dzięki jego pomocy odzyskał tron w Argesz, a brat wycofał się w góry, gdzie oczekuje naszej pomocy.

Zawisza powoli, pomału zacisnął dłoń w pięść.

– Pozwolę sobie zauważyć, że krucjata już się zaczęła. Nie wiem, jak posiłki z Węgier i krajów niemieckich, ale w drodze z Polski są rotty Jana Nieziorowskiego i Piotra Wody. Za nimi pójdą zapewne następne, jak i ochotnicy pragnący zmyć grzechy we krwi pogan. Jeśli Wasza Królewska Mość skieruje wyprawę na chrześcijan, uznają to za dyshonor, dojdzie do podobnego rozprężenia jak lata temu w Bośni. Czy mam mówić dalej?

– Nie uderzymy na Turków, mając pod bokiem Wołoszczyznę rządzoną przez poturczeńca! – obruszył się Szatmár. – Zadadzą nam cios z boku albo przyłączą się do wroga! Król wysłał was jako przednią straż, dodamy wam poza waszą chorągwią także dwie rotty strzelców *Herr* Brambacha i łuczników z Węgier. Kiedy zgromadzą się wszystkie siły, główna armia wyruszy waszym śladem nad Dunaj, na Argesz, Cimpulung i Targowiszte. Obiecujemy dobre łupy i rycerską wyprawę w walce z... pastuchami, którzy uciekną na sam widok zbrojnych. Jakiż więc tu dyshonor. Masz oczekiwać ludzi Dana pod Ulpia Traiana, dawniej Sarmizegetusą. Przyjmą cię jak bohatera.

– Dość. – Luksemburczyk wstał. – Wszyscy precz! Zostajemy ja i Zawisza.

Słudzy wyszli z komnaty, jako ostatni opuścił ją tyłem kłaniający się István Szatmár. Zawisza czekał na gniew albo utyskiwania króla. Na jego długie, wykrętne tłumaczenie się. I doczekał się.

– Pamiętam dobrze, że obiecałem uczynić cię wodzem krucjaty, jeśli zwerbujesz mi w Polsce hufiec zabijaków. Ale, mój drogi Zawiszo, muszę wysłuchać rad naszego komesa Nitry. Wiem i widzę, że się nie lubicie. – Uciął protest rycerza podniesioną drgającą ręką. – Ale mam was dwóch. Istvána od polityki, a ciebie od wojskowych i dyskretnych, honorowych spraw. Szatmár wykonał obowiązek, jak ty, ufam, spełnisz swój na Wołoszczyźnie.

Zawisza powoli skinął głową.

– Są chwile, wiesz, kiedy władcy muszą oprzeć się na wiernych wojownikach. Potrzebują ich siły i odwagi. Ja właśnie potrzebuję twojej, zanim rzucę się na sułtana. Muszę poczuć twoją siłę, zanim

dojdzie do powtórki zmagania, które przegrałem przed laty, pod Nikopolis. Płacąc krwią waszego ojca... nie tylko jego. Idź więc, okaż siłę i moc, pokonaj Radu, wprowadź na stolec hospodarski przychylnego nam Dana, a ja w tym czasie zbiorę wyprawę, którą ty poprowadzisz później na Turków. Idź, co tu jeszcze stoisz?!

Zawisza pokłonił się drugi raz, bo w głosie władcy czaiła się groźba.

– Daję ci uroczyście słowo, że jeśli pokonasz poturczeńca Radu, a jego brat z wdzięczności poprze naszą sprawę, obejmiesz, jak to pierwotnie było w planach, przywództwo nad krucjatą, którą cały czas zwołuję, a jakże! Przecież nie ustaję w rozsyłaniu listów do książąt i władców, w ogłaszaniu zaciągów do wojska.

– Wasza Królewska Mość życzy sobie, żeby... skłonił Dana do złożenia wam hołdu lennego? Mam go zmusić do posłuszeństwa?

– Tylko do zawarcia przymierza. Nic więcej. Tak masz mu mówić: przysługa za przysługę. Ty popędzisz z Argesz Radu Pustą Głowę, a w zamian Dan pójdzie z nami na sułtana. Zresztą pobij poturczeńca, to starczy. Reszty ja sam już dokonam, bo rychło w czas ruszę ci z pomocą, twoim śladem.

Rycerz milczał.

– Zrozum, mój wierny sługo – jęczał Zygmunt – na razie nie mamy żadnych sprzymierzeńców, nikt nie stanie po naszej stronie. Twój król Władysław pozwolił na zaciągi, jednak sam nie pokwapił się, żeby wyruszyć nas wspomóc.

– Za pozwoleniem Waszej Królewskiej Mości, rok temu Jagiełło czekał nad Dunajem na czele dzielnego hufca rycerzy, ale nie doczekał się waszego przybycia. Sam byłem jednym z nich.

– Drogi zalały deszcze, trapiły nas zarazy i pomór bydła. Nie mogłem w takiej sytuacji rzucać kośćmi o królestwo. Rozumiesz, Zawiszo? To wszystko.

– Polityka. Kiedy mam ruszać?

– Zaraz. Jak najszybciej. Już kazałem wydać rozkazy. Wolkenstein wie wszystko.

*

Kiedy Zawisza pojawił się w drzwiach komnaty, czarny, posępny jak kruk, Gedeon szarpnął się na łożu, przekręcał głowę z boku na bok, uderzył w końcu rękoma o skóry, którymi był okryty. Nic nie mógł zrobić, był jak na wpół rozgnieciony robak. I takim właśnie zapewne widział go rycerski Sulimczyk.

– Przyszliście ze mnie szydzić? A może wygłaszać uczone lekcje pokory? Cóż, zobaczcie, co mi zrobiliście.

– Przyszedłem się pożegnać. Rota idzie na Multany. Już na początku września mamy się spotkać z ludźmi hospodara Dana, aby przywrócić go na tron. Zabieram twój poczet, bo każdy miecz mi się przyda.

– Zatem pchnijcie.

– Co ty, do diabła, mówisz?

– Pchnijcie. Dokończcie. Szkoda, że wtedy... w szrankach... Po co mi żyć?! – wybuchnął Gedeon.

– Po coś mnie wyzywał na ostre?! Teraz leż i uspokój się. Widziałem mężów, którzy nawet po roku stawali na nogi i wsiadali na koń bez strzemienia.

– Nie ja... Ja jestem przeklęty. Oto płacę za grzechy i przewinienia. Już nawet na pokutę się nie nadaję, na pielgrzymkę. Więc nie będę życzył wam szczęścia na wyprawie.

– A ja tobie tak. Przyniosłem twój miecz. Wojciechu!

Wszedł pacholek, niosąc starą broń Gedeona. Chciał ją podać Zawiszy, ale ten pokręcił głową.

– Jest pohańbiony. Połóż go przy łożu. Tak, dobrze.

– Ciągłe pamiętacie tę walkę z katem w Krakowie?

– Ostrze nie przyniosło ci szczęścia. Niech więc zostanie razem z właścicielem... do końca.

– Jego czy broni?

– Wybaczam ci wszystko – powiedział Zawisza, kładąc rękę na piersi. – Nie mam żalu do ciebie, bo nie mnie być prorokiem i Bogiem plotącym losy ludzi. Odpuszczam ci przeszłe winy

i grzechy, Gedeonie. Wyruszam na wyprawę, ale opuszczam cię i nie będę chronił. Ty zaś czyn, co chcesz.

– Ja zaś – wydyszał Borkowic – życzę wam... abyście przestali gonić za cieniem swojego ojca, jakbyście zazdrościli mu sławy. W imię tych poszukiwań poświęćcie innych. I myślicie, że znajdziecie jego grób w Wołoszy albo w Oltenii?

– Słyszałeś, co mówił Ostritz. Mikołaj przeżył Nikopolis. Pewnego dnia... Sam zobaczysz. Jeszcze zobaczysz!

Nie skończył, uklonił się i wyszedł, pozostawiając Borkowica półżywego. Ale bynajmniej nie samego.

Minęła bowiem chwila, długa jak zdrowaśka, a drzwi rozwarły się znowu. Do komnaty wpadło dwóch ludzi, starszy z szeroką brodą, młody z natłuszczonym wąsem podkreconym do góry, z błyszczącym obliczem i policzkami nadętymi jak u złego psa. Obaj w tunikach ze srebrną strzałą... Odyńcy! Odrzywąsy!

Rozpaczliwie sięgnął pod łożę, chwycił miecz, podciągnął, udało mu się wyciągnąć zaledwie połowę.

Broniłby się rozpaczliwie, do śmierci, której sobie życzył, gdyby... gdyby...

Gdyby jego woli walki nie zabił rehot wrogów!

– Odlóżcie miecz, Borkowicu – rzekł Dobrogost. – Nie przyszliśmy zarębać cię w łożu. Ani mścić się. Bo, co tu dużo gadać, poniechaliśmy wróżdy.

– Po co się mścić na dogorywającym zewłoku – zagadał Zbylut. – Żadna to przyczyna dla honoru i sławy.

– I tak już po was. A najważniejsze, że nie zaznacie już niewiasty!

Znienacka Zbylut odrzucił skóry okrywające nędzne, wychudzone ciało Gedeona. I świsnął przez zęby.

– Nie będzie potomstwa! Cóż pokażesz Dorocie? Nawet zakładając, że kiedyś się spotkacie? Kapucyna uschniętego jak konar? Koniec z wami i tak. Powiem więcej, sam Najwyższy nas pomścił. My już nie będziemy dochodzić krzywdy. Opuuszczamy. Leż tu i gnij.

– Dogadaliśmy z burgrabią – zasyczał prawie w ucho z drugiej strony Zbylut – aby miał o was staranie. Zapewnił godną opiekę.

I taaaakie doooooobre traktowanie!

Gedeon wyszarpnął miecz z pochwy do końca.

– Precz! – krzyczał, wywijając nim nieporadnie. – Precz! Gęby wam powy gryzam!

– Nie będzie trzeba – uciął stary. – Już się nie spotkamy. Bywajcie!

Wyszedł z komnaty, a za nim podążył jego syn, pozostawiając Gedeona uwięzionego we własnym ciele.

*

Szli w dzicz. Płaską jak stół równiną węgierską, na wschód, przez puszy, na których pasły się stada siwego bydła z rozłożystymi rogami. Mijali wioski z długimi drewnianymi chatami o bielonych ścianach, krytymi spiczastymi strzechami. Inne lepiące gliną na szkielecie z bali, przywodzące na myśl konstrukcje, jakie Zawisza oglądał w dalekich krzyżackich Prusach. Poczerniały ze starości dzwonnice i obronne wieże przy wiejskich kościółkach. Długi wąż jeźdźców posuwał się szybko. Za nim szedł cały tabor – ciężkie wozy o wystających osiach, nakryte płóciennymi pałubami, odkryte kolasy z beczkami i małe kolebki, misternie okryte skórą, ich boczne części dawały się podnosić, odsłaniając wnętrze. Koła skrzypiały, pischczały, konie prychały, łomotały kopytami; orszak bardziej sunął, niż szedł. Z tyłu, depcząc po końskich bobkach i przeklinając z tego powodu pod nosem, dreptali piesi knechci króla, w kapalinach, węgierskich szłomach, z kuszami. Pawęże, hakownice i piki leżały na wozach. Była tam też wywindowana wspólnymi siłami i zaklinowana lufa hufnicy, dwie długie taraśnice, zdjęte z obsady dla łatwiejszego transportu po wyboistych węgierskich drogach.

Rycerze szli na wschód, ku góróm. Za sobą pozostawiali karczmiane, kościane i żydowskie długie, pamięć o burdach, przetrącone nosy, gęby oraz pokrzywdzone dziewczki. Jedne szlochające z powodu hańby, inne zaś – z żalu za odjeżdżającymi, a raczej ich sakiewkami, odchudzionymi znacznie przez służebnice Erosa. Pozostawiali za sobą grzechy i występki, przed nimi był

Siedmiogród, strzeliste szczyty karpackich Alp, strachy, upiory i brukolaki.

– Dobrze, że czas był ruszać – gadał do kompanów Gamratnik Drab. – Za tę Węgierkę, com ją przycisnął w bramie, byłby w Budzie może nawet szafot, a tak tylko potępienie. O pierwszym burgrabia zapomniał, drugie zmyję na krucjacie, krwią niewiernych Wołochów.

– Przecie to chrześcijanie – prychnął Jan Baptysta Junoszyc.

– Schizmatycy gorsi jak poganie – rzekł Bruno Braubach, dowódca rotty pieszej, która dołączyła do nich w Budzie – bo urodzili się w dobrej wierze i złośliwie trwają w błędach. Moje ptaszki dobrze potrafią ich nawrócić. Za poprzedniego razu, jak popasaliśmy koło Piteszti, cała wieś przyszła do ojca Ulmbacha składać wyznanie naszej wiary. Dobrali się moi piechurzy do ich gładkich kóz i owieczek.

Za Temeszwarem albo Temeschburgiem, jak mówili Niemcy, góry wysuwały się na ich spotkanie jak poczet gigantów i smoków. Z dali szarawe, gdy się zbliżali, stawały się ciemne, okryte żółknącymi na początku jesieni bukowymi lasami. Tereny przy granicy Siedmiogrodu z Wołoszczyzną były zdziczałe i niedostępne. Pod górami pasły się stada owiec, drogi zbaczały do przepaści, wozy łamały na nich koła, osie. A szczyty spoglądały na to dzikim skalnym wzrokiem.

Lud zmienił się; nie byli to już dostatni chłopcy węgierscy z zawadiacko podkreconymi wąsami, lecz górscy pastusi – smagli, odziani w skóry i brunatne świty, w futrzanych czapach, o obliczach pomarszczonych na podobieństwo posiekanych przez wiatr i deszcz górskich głazów. Spoglądali podejrzliwie albo uciekali, widząc ciągnących zbrojnych. Na próżno Zawisza kazał obwieszczać i trąbić, że idzie wojsko króla Węgier, prawowitego władcy tego kraju. Nikt go nie słuchał, we wsiach witały ich psy i beczenie pozostawionych w pośpiechu owiec. Z czego ptaszki Braubacha i czeladź byli bardzo radzi.

Zawisza nie skierował się do niedalekiego zameczku w Vajdahunjad. Wyruszył wprost do Ulpia Traiana, położonej na równinie wśród gór, które nagle rozchodziły się na północ i południe. Wysokie szczyty i ich ramiona okryte były pierwszą w tym roku bielą śniegu. Poniżej lasy zmieniały się w żółć jesieni, która tu, na końcu świata, nadchodziła szybko. Idąc przez karłowate chrusty i zarośla, dostrzegli wreszcie pasterską wioskę składającą się z chruścianych chat, szałasów i kilku kamiennych domów. Mieszkańcy, jak wszędzie tutaj, uciekli, zabierając zwierzęta, pozostawiając pozapalane ognie i sprzęty w izbach. Nie to jednak zdumiało polskich rycerzy. Na wschód od osady ujrzeli resztki miasta albo fortecy. Stosy regularnie obrobionych kamieni, potrzaskane kolumny, resztki attyk i łuków. Wyraźnie wytyczone place i drogi wybrukowane kamieniem. Strzaskane, porośnięte mchem posągi. Nieco na północ wznosiły się poszczerbione mury jakiejś ogromnej budowli, którą miejscowa, wołoska ludność traktowała jak kamieniołom i zagrodę dla zwierząt. Wszystko zrujnowane, zarośnięte, a jednak budzące zdumienie wielkością i majestatem.

– Oto jest – powiedział Wolkenstein – Ulpia Traiana, czyli Sarmizegetusa. Dawna stolica Daków. Tu mieszkał i żył legendarny Decebalus, wielki wódz, którego pokonał cesarz Trajan. I zdobył legendarne skarby barbarzyńców. Nie wszystkie wszakże, trochę ich zostało. Dzieje tych zmagania oglądałem w Rzymie, gdzie byłem z moim królem, na kolumnie Trajana, tam pokazane są wszystkie sceny, aż do śmierci Decebalusa i tryumfu Rzymian.

– Też byłem w Rzymie – odezwał się Jan Baptysta Junoszyca – widzę tu kolumny rzymskie, jak na Forum Romanum. A wy gadacie, że to było siedlisko barbarzyńców.

– Bo oto przed nami forum. Rzymianie na gruzach Sarmizegetusy wzniesli swoją własną stolicę tych ziem, nazwali ją Colonia Ulpia Traiana. Zwiedziłem nie tylko te miejsca, jak kiedyś przysłużyłem się gospodarowi Mirczy Staremu.

– Czym niby? – burknął Braubach. – Też byłem długo na Wołoszczyźnie, nie widziałem was, szybko widać pięliście się w służbie hospodara.

– Znalazłem skarb Decebalusa i oddałem Mirczy. Za co nagrodił mnie tytułem spartara, to jest miecznika, i zaprosił do dywanu hospodarskiego.

– Znaleźliście skarb, a jużci! Może jeszcze Świętego Graala i depozyty francuskich templariuszy? Ukryte w jaskini Walachii.

Wolkenstein nic nie powiedział. Po prostu sięgnął do sakiewki i wydobył małą srebrną monetę. Podał ją Junoszcycowi.

– Czytaj, niewierny Tomaszu. Zobacz denar cesarza Trajana.

Rycerz podniósł monetę do oczu i powoli przesyłabizował:

IMP CAES NERVA TRAIAN AVG GERM

– Rzeczywiście. I cesarz jest tu w wieńcu, a na drugiej stronie panna.

– Sami widzicie. A Graala także widziałem – dodał ciszej. – W katedrze w Walencji. Bo ten z Glastonbury zdaje mi się nędznym falsyfikatem.

Zawisza nie słuchał tego wszystkiego. Rozglądał się, objeżdżał ruiny razem z giermkim. Wreszcie podjechał do rycerzy.

– Rozbijemy obóz, ale nie w wiosce. To może być zasadzka. Proszę ustawić wozy i tabor tutaj. – Wskazał resztki forum, tworzące znacznych rozmiarów czworobok otoczony murami o wysokości nawet do trzech łokci. – Wozy ustawić wzdłuż ścian, spać na sposób husycki. Przy wejściu postawić barierę z kolas, tarcznice i hufnice do rogów. Namioty na środek, ścieśnić, żeby pozostał majdan dla jazdy. Konie trzymać przy wozach. A czeladź niech usypie z ziemi i kamienia podjazd, żeby dało się przejechać przez mur, w tamtej stronie. Nie widzę nigdzie ludzi ani posłańców Dana. Zaczekamy na niego. Wszak to jeszcze Siedmiogród, ale trzeba być uważnym – dodał, patrząc na Wolkensteina.

– W wiosce zaś byłoby wygodniej niż pod otwartym niebem. Idzie jesień. Będzie się lało na głowy – zaprotestował minnesinger.

– Nie ma mowy. To rozkaz. Mości Zbylucie!

– Tak jest, panie magistrze!

– Weźmiecie swój poczet i kilku łuczników, ruszycie na zwiad. Objedzicie okolicę i sprawdzicie, czy nie ma gdzieś wołoskich witezów. Gdybyście spotkali ludzi Dana, dajcie znać, gdzie jesteście, albo sprowadźcie ich tutaj. Tak jak chcieli, przybywamy na spotkanie. Ruszajcie, szkoda czasu.

Wozy wjeżdżały ze skrzypieniem do starego forum, do miejsca otoczonego przez rozebrane częściowo murki, symbolu dawnej chwały Rzymu, z którego po tysiącu lat została tylko garść kamieni i moneta w ręku niemieckiego samochwały.

*

Dla Gedeona zaczął się powolny upadek na dno. Najpierw czterech krzepkich pachołków przeniosło go z komnaty w zachodnim skrzydle do zamkowej infirmerii koło kaplicy. Wlekli bezwładne ciało, uchwyciwszy za rogi materaca, a na miejscu, w ponurym, zimnym pomieszczeniu podzielonym kotarami na kilka małych komórek, położyli na słomianym sienniku. Zamiast skór dali do okrycia zwykły pled. Na szczęście Gedeon niewiele już czuł, pozwalał rzucać się i przenosić z miejsca na miejsce jak toból.

Potem oglądał go oczywiście magister, miejscowy medyk, dał jakieś zioła, obmacał grzbiet, obróciwszy Gedeona na plecy, i cmokał, kręcił głową; rycerz nie musiał go o nic pytać – było niedobrze.

Przez cały czas ścisnął miecz, ostatnią pamiątkę dawnych czasów, która mu jeszcze została. Potem dali mu jeść, polewkę, rozcieńczonego wina, jeszcze nie tak źle. Bo podejrzewał już, że jeśli nie pokaże oznak zdrowienia, będzie z nim coraz gorzej. Porzucony, sam, bez czeladzi w obcym mieście, próbował zginać kolana, ruszać nogami. Pogryzł do krwi wargi z rozpacz. Nic nie wychodziło!

Dolna połowa ciała była jak pień, jak luźny wór pełen końskiego łajna i nieszczęścia. Kaleka... to słowo jeszcze nie chciało przejść mu przez gardło. Próbował wstawać, ale nie mógł, kilka razy bezwładnie przewalał się przez siennik na podłogę. Wzywani krzykiem pachółkowie przestali być mili. Tyle razy wrzucali go na posłanie, więc ze złości, że odrywał ich od gry w kości i omawiania wdzięków zamkowych służek tudzież najnowszych wyczynów królowej Barbary, traktowali go jak starego łacha. Zarobił od nich kuksańca, raz w ucho, innym razem w bok. Znosił to z pokorą, jak pokutę.

I nagle zdarzył się dzień, kiedy do posłania przystąpił wysoki, chudy mężczyzna. W szerokiej robie, ozdobionej ogromnymi jak worki, obszytymi futrem rękawami wyglądał trochę jak wysuszony szkielet wydobyty po latach z krypty. Oczy miał uważne i spokojne.

– Wybaczcie, panie, że niepokoję, ale szukam rycerza i szlachcica Gedeona Borkowica z Polski.

– Ja sam tu leżę. Trafiliście w samo sedno.

– Jestem Wartanian, najstarszy lichwiarz grecki z Pesztu.

– Rad witam. Czemu zawdzięczam wizytę?

– Nie domyślcie się, panie? Przysyłają mnie krakowscy kupcy Marcin Aksamitko i Wojciech Pokora względem tych trzydziestu i dwóch grzywien, które pożyczyci wam przed świętem Macieja Apostoła i których termin zwrotu zbliża się nieuchronnie.

– Święty Marcin jeszcze daleko.

– Wszakże proszono mnie przez umyślnego, aby sprawdzić, jak idzie wam rycerskie zajęcie. Macie łupy, żołąd?

– Na razie, jak widać, wszystko nie idzie, ale leży. W sakiewce nie mam ani szeląga, nie mogę dosiąść konia, nie wiem, czy w ogóle wstanę. A dług, cóż, Zawisza za mnie poręczył, a na nim, właśnie! polegaj jak na Zawiszy.

– A nie udajecie czasem? Niegodne to byłoby rycerza, chorego, aby unikać walki z Turkami.

Ormianin przystąpił bliżej, podniósł pled, którym okryty był Gedeon, poderwał w górę, oglądał jego chude, bezwładne nogi.

Dotykał, cmokał, podnosił, kręcił głową.

– Napatrzyliście się? To won! Przekażcie przyjaciołom, żem niemocen i grzywny, które na mnie wyłożyli, muszą włożyć w straty. Przełożyć z jednej rubryki do drugiej! To przecież takie proste!

Ormianin kiwał głową, skubał brodę i oddalał się, ale inni napływali. Dzień w dzień, natrętni jak gzy, jak muchy. Węgrzy, Niemcy, Żydzi. Za niezapłacone wino w oberży. Za biesiadę. Za oczyszczenie konia, za nocleg w karczmie. Za sukno i trzewiki w miejsce zdartych na węgierskich drogach. Cyrulik od golenia brody, konował od wierzchowców, złotnik za nausznice dla pewnej dziewczki, szynkarka względem pięciu groszy praskich...

– Mogę wam zagrać na grzebieniu – odpowiadał Gedeon – albo odgwizdać „Bogurodzicę”, gdyż grosza żadnego nie posiadam!

I wreszcie jeden z odtwórców lamentu nad umarłym kredytem Borkowica nie wytrzymał, kiedy usłyszał, że rycerz nie ma na spłatę dwóch dukatów węgierskich. Złapał za miecz, który ten trzymał przy piersi. Wówczas w półmartwym ciele zbudził się rycerski duch. Borkowic wyrwał broń z rąk natręta, wyciągnął ostrze z pochwy i zaczął rozpaczliwie oganiać się od wierzycieli.

– Precz, sobaki! Precz stąd! Zostawcie mnie, bo się krew poleje! Won, ściierwa, diabelskie godmisze, capie kpy! Won!

Zrobiło się wokół niego pusto i przez cały następny dzień miał spokój.

A kiedy oprzytomniał, przytulony do miecza, jakiś czas potem, zobaczył wpatrzone w niego błękitne oczy królowej Barbary. Stała nad nim, jakby napawając się widokiem. Nad jej ramieniem ślepiły oczy dwórek i służebnic w czepcach. Pełne współczucia, które Gedeon brał za szyderstwo.

– Mój Tannhäuser. Adonis... – Królowa wyciągnęła dłoń w jego stronę. – Jak się czujesz?

– Jestem Gedeon Borkowic, szlachcic polski. Choćby półmartwy, pozagryzam wrogów.

Podeszła bliżej, oglądała z prawej, z lewej, wreszcie wyciągnęła upierścienioną dłoń i pogładziła go po policzku. Odsunął się jak

zбитý pies, jak znarowiony koń albo inny zwierzak, który dostał zbyt dużo batów od człowieka.

– Doprawdy powinnam przekląć Zawiszę, który ci to uczynił. Cóż, to są jednak wasze, męskie sprawy. Wiedziałeś, czym ryzykujesz.

– Wiedziałem, królowo. Niczego nie żałuję.

– Słyszałam, że porwałeś w Polsce niewiastę, miłośnicę z wysokiego rodu. Opowiedz mi o tym.

– Miłowaliśmy się oboje, miła pani. Nie było w tym niczego zdrożnego, gdyby nie to, że była żoną innego rycerza... którego zabiłem chorego w łóżu. Uważaj zatem, królowo, dotykając mnie, bo jestem przeklęty za życia. Płonę, poparzysz się!

– Jesteś zimny jak trup, mości Gedeonie. Nic mi po zwiędłym konarze i po mężu bez witalnej siły. Miłowałybyście takiego?! Mówcie! – Obróciła się do dworek.

Te zaśmiały się, zachichotały z pogardą.

– Przyślę ci mojego medyka. A jeśli Bóg sprawi, że ozdrowiejesz, zgłoś się do mojego klucznika. Dziś nic mi po tobie.

Patrzyła na niego szyderczo, błękitnym spojrzeniem, kiedy powoli zbierała się do odejścia. Jej oczy paliły, strącały go w otchłań. Na zawsze.

*

Rankiem wywieźli go w ostatnią drogę na skrzypiącym dwukołowym wózku, który chyba tylko po pijanemu można było nazwać rydwanem. Koścista szkapa człapała wolno, mijając kolejne bramy strzelistego, najeżonego wieżami i sterczynami zamku. Jechali w miasto, do Budy. Przez ciasne uliczki między domami, przez plac z katedrą, aż do murów. Pod kościół Marii Magdaleny o potężnym korpusie z kamienia i cegły, ozdobionym wysoką białą wieżą. Dokoła był gąszcz ulic i uliczek, krzyżujących się i pozastawianych drewnianymi szopami. Przy jednej z nich był miejski szpital, ostatnia przystań, przytułek, śmierdzący grób. Gedeon nic nie mówił, nic nie pamiętał. Ani kiedy przynosili go

z wózka, ani gdy składali na brudnym sienniku, który miał dzielić z suchotniczym starcem. Jedno posłanie na dwóch. Miał tylko miecz, modlił się do niego i przyciskał do piersi. Nocami sprawdzał, schylał się, wymacując nogi. Szukał śladów zgnilizny, o której mówił Awicenna, początku rozkładu bezwładnych członków, ale nie znajdował go. Na szczęście, a może ku większemu cierpieniu, bo po co było przedłużać nieszczęsne życie?!

Potem, po kilku dniach, leżał już sam, bo starzec zmarł, zadławił się pewnej nocy. Zanim przybiegli pomocnicy magistra hospitalisa, było już po wszystkim, a Gedeon przejął w spadku całe wyrko. Lżej teraz było czekać na pierwsze oznaki gnicia i śmierci. Cóż innego mu pozostało?

A jednak następnego dnia do sali pełnej szarych ludzkich wraków – stękających, łąjących o kulach, potykających się o własne nogi i zawsze pierwszych z miskami do gara – wszedł gość do Borkowica. Stał nad posłaniem w kącie, gdzie leżał rycerz. Postać jak z innego świata. Wysoki, w szacie z futrzanym kołnierzem, w spiczastym, żółtym, pilśniowym kapeluszu. Był jak smutny świadek upadku rycerza, nie ruszał się, żółtymi oczyma spoglądając na mizerną postać kaleki.

– Mości panie Polaku, poznajecie mnie?

– Nazywacie się dług, na imię wam weksel, z nacji jesteście Żydem z Pragi. A mnie przedstawialiście się jako Kanaan.

– Boże Abrahama i Jakuba, który wyprowadziłeś naród mojżeszowy z niewoli egipskiej. Jakże przejmująca jest twoja mądrość, która wiodła mnie ścieżkami aż tutaj, abym odnalazł szlachetnego pana. A szlachetny pan to przecież moje zaległe pieniądze.

– Szlachetny pan to pusta kabza i kaleka, mój miły Kanaanie. Pożyczyłeś mi dziesięć węgierskich florenów na turniejową włoską zbroję i piękny armet. Mądrość Boża wszakże sprawiła, że zmarnowałem te pieniądze, przegrywając walkę. Mój rynsztunek zabrał zwycięzca, Zawisza Czarny, podobnie wziął mój poczet i konia. Ziemi nie posiadam, gotowizny też, jedyne, co zostało, to

miecz, którego nie oddam. Będziecie chcieli gwałtem, to was porąbię, a jeśli nawet uda wam się wyrwać go z ręki, uprzedzam, że jest pohańbiony, bo porąbano nim kata, żaden uczciwy rycerz nie weźmie go do ręki.

Kanaan milczał.

– Cóż więcej powiecie? Dajcie mi spokój.

– Nic nie powiem, panie. Patrzę i słucham.

– I rachuję.

– Tyś powiedział.

– Ciągłe możecie odzyskać pieniądze. Jest prosty sposób. Jeśli mnie uleczycie, pojedę na Wołoszczyznę, gdzie jest moja rota. Wtedy zwrócę wam dług z łupów i żołdu.

– To jednak... wymaga nowych wydatków. Do dziesięciu florenów musiałbym dorzucić kolejne. I nie wiem, czy to coś da.

– To już musicie przeliczyć.

Żyd milczał. Inaczej niż pozostali, po prostu stał, nie lamentował, nie awanturował się, nie krzyczał, nie rwał włosów z brody. Ciemne, prawie czarne w półmroku doły w miejscu oczu, krzaczaste, posiwiałe brwi. Cisza.

– Jahwe w swojej cierpliwości doświadcza mnie egipskimi plagami – powiedział w końcu. – Pan Matiasz Hussar, pożyczył trzydzieści florenów, poległ w walce z Prokopem z Moraw, majątność zastawił wcześniej. Nic nie odzyskałem. Pan Wilhelm z Rozenberku, schwytany i zamęczony przez husytów. Winien był dwadzieścia kop groszy praskich. Sándor Miklasz, poległ na wojnie z Turkami, trzydzieści dukatów, odzyskałem ledwie dziesięć. Karl von Ostritz ze Styrii, renegat, poturczeniec. Pięćdziesiąt florenów najczystszej próby. Zamknięty za pokutę, majątki zabrał król za zdradę i zmianę wiary. Nie mnie się kopać z Zygmuntem z Budy...

– Jak, jak powiedziałaś? Kto?!

– Ostritz.

– Co zrobił? Poturczył się? Mów, proszę!

– Odrzucił wasz Kościół i chrzest, przyjął wiarę w Proroka. Dlatego Luksemburczyk kazał go uwięzić, na pokutę do końca życia.

– Kłamiesz.

– Nie ja. To Ostritz skłamał.

– Ja się nie poturczę, Kanaanie. Uratuj moje nogi, a oddam cały dług. Z procentem. I podpiszę nowy weksel.

Kanaan stał i wpatrywał się w udręczone ciało. Milczał, przeliczał, zastanawiał się. Długo.

Wreszcie pokręcił głową. Odwrócił się i odszedł powoli w mrok, który go wypluł. Lecz wcześniej coś zabrzączało. Później, o północy, kiedy Gedeon wyciągnął rękę, znalazł na stołku przy posłaniu, obok swojej drewnianej miski, srebrnego grosza. Za dużo, jak na jałmużnę. Za mało, jak na zapłatę dla doktora.

*

– Wołosi idą! Jazda! Cała hordaaa!

Wracający z rozpoznania strzelcy nie żalowali koni. Pędzili do głównej bramy jak spłoszone ptaki, krzycząc, wymachując rękoma.

Zawisza poderwał się ze składanego siedziska przed namiotem. I wtedy zadęły rogi obozowych straży. Ze wszystkich stron biegli posłańcy, proporce podniosły się w górę.

Rotmagister wyszedł naprzeciwko nadciągających. Ci już ochłonęli, wstrzymywali konie, wjeżdżając do obozu, idąc ciężkim kłusem na majdan, przed namiot dowódcy. Wierzchowce mieli zmarnowane i Zawisza nie pierwszy raz przekonał się, że wysyłanie koni strzelczych i kopijniczych na zwiady to jak posłanie niedźwiedzia w pogoń za jeleniami. Zobaczył strzały sterczące z tarcz i kap okrywających zwierzęta.

Pierwszy z nadciągających zdjął łebkę, odsłaniając głowę okrytą miękkim, przepoconym czepcem.

– Spotkaliśmy Walachian, panie! Strzelali, siła ich.

– Bojarzy Dana – powiedział niepewnie Wolkenstein.

– Gdzie Zbylut? Gdzie wasz dowódca?

– Tam! – wycharczał strzelec, obracając się i pokazując za siebie, na północ, skąd przybyli.

I nagle, jak na zawołanie, okolica zaroiała się od ludzi i koni. Ogromna horda jeźdźców poczęła wyłaniać się zza chrustów i drzew, zza resztek rzymskich murów, potrzaskanych posągów, zwalonych łuków i tympanonów. Jak ich opisać, jak odmalować? Ogromna rzesza konnych wojowników, prawie bez zbroi, tylko niektórzy w kolczugach. Odzianych w płótno i sukna w ciemnych, brązowych i granatowych kolorach. Na głowach ostro zakończone czapki. Konie, małe, kosmate, ale wytrzymałe, pędziły prosto na obóz! Z krzykiem, z łoskotem jeźdźcy wpadli w rzymskie ruiny, pognali między stosami gładko obrobionych kamieni, wzdłuż niknących w trawie murków odgradzających dawne budowle – pomniki minionej chwały Rzymu.

– Trąbić wsiadanego! – krzyknął Zawisza do trębacza. – Do broni!

– Może to Dan – pociągnął go za rękaw Wolkenstein. – Jakieś nieporozu...

– Patrz tam! – wychrypiał Zawisza.

Do głównej, północnej bramy pędziła grupa jeźdźców – lepiej uzbrojonych, w kolczugach i tureckich zbrojach z okrągłymi płacami żelaza na piersiach. W szyszakach i kapturach kolczych. Ostrze włóczni unosiły się nad ich głowami, a w takt ostrego galopu kołysała się powycinana u dołu płachta gonfalonu. W białym polu czarna głowa żubra, z gwiazdą między rogami. W tej chwili i w tych okolicznościach zdała się capią głową diabła. Obok bowiem wołoski jeździec podnosił wysoko rohatynę, na którą nabita była głowa... Zbyluta Odyńca!

Piechurzy ze straży pędzili z łoskotem, zastawiając nadjeżdżającym drogę do wnętrza obozu, formując ścianę z ciężkich pawęży, zza których wystawiali tylko krótkie piki i groty kusz. Pochylały się nad nimi okrągłe hełmy i kapaliny. Ale Wołosi nie zamierzali atakować. Wstrzymali się przed zaporą, prawie w zasięgu ostrzału. Do przodu wysunął się wąsaty, dziki witeź na koniu okrytym skórami. Podniósł do ust róg. Jego głos boleśnie uderzył w uszy rycerzy.

– Panowie Polaki! – krzyczał, przykładając dłonie do ust. – Zdajta się! Odłóżcie broń, a będziecie żyli! Wypuścimy was. Wydajcie nam tylko waszego *steaguri*! Waszego Zawiszę Czornego!

Krzyk, ryk wściekłości. To krzyczał stary Dobrogost Odyniec, przytrzymywany przez Gamratnika Draba i Wolkensteina.

– Daaajcie nam Zawiszę! – krzyczał Wołoch. – A was odpuścimy. Pójdziecie precz do Siedmiogrodu.

Nikt się nie poruszył. Rotmagister popatrzył po swoich ludziach. Milczeli.

– Wal się w zad, kozojebie! – powiedział pan Czerniak.

Gamratnik Drab splunął, Lis i Szaro pokazali Wołochom figę, Braubach podkręcił wąsa.

Jeździec zawrócił, inny pochylił włócznię. Herold zdjął z niej głowę Zbyluta i... cisnął łukiem w stronę Polaków. Poleciała jak ochłap mięsa, ciężko wylądowała na ubłoconej trawie, przetoczyła się.

– Wszyscy zginiecie, panowie Polacy. Zawisza albo śmierć!

Cisza, długa cisza. Milczeli rycerze, strzelcy, pawężnicy dźwigający ogromne prostokątne tarcze, kusznicy mierzący w Wołochów zza muru tarcz, piesi kopijnicy, puszkarze, giermkowie, słudzy.

– Na koń! – krzyknął Sulimczyk. – Panie Junoszy, zbierz Morawian i naszykujcie się w linię przed tylną bramą. Panowie Ciołek, Wydźga, Odyniec, za mną, do przedniej bramy! *Herr Braubach*, niech strzelcy obsadzą obie ściany z wozów, ukryć się, ale nie strzelać. Czekać na mój sygnał! Czekaaaaać!

Dosiadł karego dextrariusza. Tuż obok ciemniały łby potężnych rycerskich ogierów, jedna za drugą podnosiły się kopie, łopotały proporce. Niżej między końmi przemykali strzelcy z ciężkimi kuszami i pawężnicy ciągnący do wozów. Obie strony obozu były już obsadzone. Piesi kryli się pod pojazdami, między końmi wprowadzonymi do środka, spętanymi razem, uspokajanymi przez ciurów. Rycerze z pocztami rozdzielili się na dwa znaczki: część z Zawiszą ruszyła do północnej bramy, pozostali z Junoszycem – do tylnej. Nie było dużo miejsca na szyki, więc stanęli płotem.

W pierwszej linii rycerze z kopiami, w drugiej i trzeciej giermkowie oraz strzelcy. Strzemię w strzemię, jeden obok drugiego z kopiami w dłoniach.

– Naprzód! Stępa! – zakomenderował Zawisza, który który zwyczajem polskim, litewskim i tatarskim stanął z boku, jak Jagiełło pod Grunwaldem.

– To Maur nikczemny, tchórz wiadomy, co widząc was, uciecze. Ale gdyby śmieli czoło stawić, z pomocną przyjdę dłonią. Walczyłem z nimi, nie umieją rycerską władać bronią! – mówił Wolkenstein, jeszcze nie opuściwszy zasłony basinetu.

Jazda wołoska otaczała ich jak falujące morze, którego nie ubywa ani nie przybywa. Chwila – wypadli z niego harcownicy w pikowanych płóciennych kaftanach napchanych wełną, w zwykłych świtach, skórach i futrzanych czapach. Pędzili jak zrosnięci z końmi, pochyleni, wyciągając w rękę krótkie łuki o zagiętych rogach. Z krzykiem i wrzaskiem dopadli taborowych ścian.

Świst!

Grad strzał uderzył w wozy, ludzi i koni. Ktoś jęknął, zwałił się jakiś woźnik od kolasy. Ostrza powbijają się w pawężę, w tarcze, odbiły od rycerskich zbroic...

– Stać w miejscu! – krzyczał Zawisza. – Żadnych harców, żadnych gier! Pierwszemu, co ruszy, łeb rozwałę! Za mną.

Witezie i drużynnicy przegalopowali wzdłuż murków, za którymi stały wozy. Wypuścili kilka strzał i zawrócili do swoich.

A wtedy podniosła się w górę ogromna chorągiew z łbem żubra, a potem pochyliła się, trzykrotnie. Zabiły bębny. I z licznej gromady jeźdźców zaczęły odrywać się pojedyncze oddziały, zwinne i lotne, zjeżone rohatynami i włóczniami. Szły do obozu, do północnej bramy, doborowe zastępy *curteni*, drużynników hospodara, na śmigłych koniach, w kaftanach i kolczugach, nieliczni mieli hełmy, szyszaki. Las ostrzy pochylił się, kiedy książęcy *steaguri* kazali przejść do szarży. Ruszyli, zerwali się do pędu, do galopu, do cwału. I poszli z łoskotem, z grzmotem, jak fala powodziowa.

Zawisza już wyprowadził jazdę kopijniczą z bramy. Wskazał mieczem nadciągającą nawałę, połyskującą iskrami żelaza i stali.

– Na nich, z boską pomocą! Bij!

Rycerskie poczty ruszyły z kopyta, nagle, jak stalowa lawina, wyrzucając spod podków grudy ziemi, rozpędzając się wolniej niż przeciwnicy, ale skuteczniej i w szyku!

– Infanci z sercem dobrej wiary do wrogów się zbliżają, a liczba ich rycerzy dwustu, ci przy nich straż trzymają... – powiedział bladymi ustami Wolkenstein.

Wyszli naprzeciwko; chwile tuż przed starciem zdawały się wiekami, krótkie, nerwowe podskoki wołoskich koni – trzęsieniem ziemi, a wolniejszy, łagodniejszy, potężny galop kopijnicznych dextrariusów – uderzeniami gromu.

Kopie opadły z furkotem proporców! Przez rozpędzoną, rozkołysaną falę zakutych w stal zbrojnych zobaczył Zawisza brodate, pochylone w cwał oblicza przeciwników. Ich rozwarte do krzyku usta, białe oczy jak u piekielnych strzyg, czapy pochylone w tył na głowach...

Z trzaskiem pękających kopii zderzyli się w pędzie! Polacy rozbili wołoskie szeregi jak skała sztorm, rozdarli, zrzucając z koni witeziów, bojarów, obalając ich razem z wierzchowcami. Chwila wrzasku, krzyku... Rotmagister ujrzał poprzez gęstwiny kopii, włócznie, proporców, rąk zaciśniętych na drzewcach plecy uciekających Wołochów, obracających w miejscu konie. I zaczął krzyczeć, uprzedzając to, co będzie!

– Stać w miejscu! To podstęp! Stój! Do mieczy!

Uciekający rozpierzchali się, znikali, jakby ich tu wcale nie było. Ale z za ich pleców wysuwały się kolejne szeregi zbrojnych. Od razu wchodzili w galop, rozpędzali się, konie podskakiwały na nierównościach gruntu, przeskakiwały całymi szeregami resztki rzymskich murów. Zawisza i jego ludzie nagle znaleźli się w kłębowisku. Nadciągający wrogowie wypuszczali im strzały prosto w twarze, rzucali oszczepami, a potem rąbali szablami,

toporami, młotami, które bezsilnie odbijały się od płyt zbroi, od jeździeckich pawęży, basinetów i szłomów.

Wołosi niewiele zrobili rycerzom. Mogli krążyć wokół nich, próbować zgnieść ich przewagą, ale złamać szeregów nie mogli. Miecze zaciężnych rycerzy żłobiły w nich bruzdy, rozwalaly w kawałki okryte surowymi skórami tarcze, przecinały przesywane kaftany, rąbały z siłą i zaciekłością ramion okrzepłych w bojach z Krzyżakami, Węgrami, Moskalami, przywykłych do wściekłej zwinności Tatarów. Kilka chwil ledwie i ława przeciwników rozpięzchła się, znikła; znów zobaczyli plecy osłaniane tarczami, pochylone karki i czapy uchodzących Wołochów. Zrobiło się pusto i cicho.

– Naprzód, pomału! – rozkazał Zawisza.

– Tam! – krzyczał Wolkenstein. – Tam jest proporzec spartara Radu, fałszywego księcia. Widziałem go w gęstwinie. To jego ludzie, nie Dana!

– Trzymać szyk!

Kolejni jeźdźcy dołączali do ataku, formowali gęstą ławę zjeżoną ostrzami. Dowódcy zagarniali ku Polakom coraz to nowe watahy. Podniosła się wrzawa i ryk bitewny, kiedy konnica przeciwnika dopadła do tylnej bramy. To była lekka, wołoska jazda: hinsari – konni chłopci, bojarscy i hospodarscy słudzy. Bez zbroi, w dębowych strzemionach, w drewnianych kulbakach nieobszytych skórą, ale z łukami, z szabłami, rohatynami. Jak wichher wpadli na pawężę przegradzającej im drogę piechoty, zderzyli się z nią, ale nie przełamali, choć konie wspinały się na zadach, stawały dęba, bijąc kopytami w powietrzu.

– Aaaaaa! Podeprzyjcie mnie! *Herr Gott!* – rozdarł się Braubach, całą siłą podtrzymujący razem z żołnierzem ogromną, pochyloną w tył pawęż piechoty, na którą wskoczył koń przednimi nogami.

Trzy pary rąk wyciągnęły się na pomoc, jeden z żołdaków wypadł z szydłem, wbijając długie ostrze w ciało jeźdźcy, zrzucając go, uwalniając konia od ciężaru. Wierzchowiec stanął dęba, obrócił się na zadnich nogach, wałąc kopytami dokoła; spłoszony – pognał

z powrotem. Tuż obok walili się z koni kolejni Wołosi, kłuci włócznikami, płatani gizarmami, a częściej wręcz odpędzani wystawianymi ostrzami pik.

Spoza pofalowanej linii pawęży wychynęły hełmy i kaptury strzelców. A razem z nimi szerokie, rozłożone jak rogi łączyska kusz. Chrobot zwalnianych mechanizmów spustowych; razem z nimi rozległ się świst lecących w stronę Wołochów bełtów.

Nie ponowili ataku. Przypadli znowu, zasypując ludzi Braubacha strzałami. Raz, drugi, trzeci. Czwartego wypadu już nie było. Konni zaczęli zawracać, przejeżdżać pomiędzy stosami kamieni. Szli na północ, do głównej bramy, gdzie toczył się najcięższy bój.

Rycerze Zawiszy dawali z siebie wszystko. Rąbali mieczami na prawo i lewo. Każdy w starciu z co najmniej dwoma przeciwnikami. Jednak wrogowie zmieniali się, a Polacy i Wolkenstein mogli polegać jedynie na tym, iż na chwilę osłoni ich strzelec albo giermek. Nie było czasu na wytchnienie.

Zawisza śledził ruch po stronie wroga. Widząc zwiększający się napór na północną bramę, położył dłoń na ramieniu giermka.

– Jedź do Braubacha. Niech piechota wychodzi. Za nią jazda. Ale nie wcześniej, niż nastąpi podwyższenie chorągwi. Ruszaj!

– Pawęże w górę i za mną! Dalej, ptaszki! – krzyczał Braubach. – Maszerować, a równo!

Zaterkotały windy kusz, skrzypnęły cięciwy. Ściana z zaokrąglonych na środku pawęży podniosła się. I zaczęła postępować, unosząc się, kiedy piechurzy przekraczali pokrwawione ciała ludzi i koni. Szli przez bramę na południe, rozwijając się w kierunku zachodnim, osłaniając lewe skrzydło jazdy.

Chorągiew z Sulimą podniosła się. A wtedy rycerskie poczty zaciężnych Morawian pod wodzą Junoszyca poczęły wychodzić przed obóz. Od razu skręcały w prawo, zawracając na północ, obchodząc róg obozu, postępując po kamieniach, po resztkach dawnych budowli przykrytych ziemią. Ze stukotem zawalił się ostatni ocalały, pionowy fragment łuku. Potoczyła się pod okute

żelazem kopyta pokaleczona, poplamiona głowa posągu, którego rzeźbiarz zaginął w pomroce dziejów.

Postępowali powoli, aby ruchem na tyłach odwrócić uwagę wroga. I stało się tak, jak zaplanował rotmagister. Wołosi spostrzegli zagrożenie, konnych, którzy mogli zaatakować walczących przy północnej bramie od tyłu. Nagle wszczął się gorączkowy ruch. Na głos trąb i krzywuł, na smutny głos piszczałek część witezów i bojarów poczęła obracać konie i ruszać – galopem wzdłuż zachodniej ściany obozu.

Nagle odrzucone zostały płócienne, nasączone tłuszczem pałuby! Pod wozami zaroilo się morze pieszych, jak w mrowisku. I spod drewnianych przesłon wyjrzały lufy hufnic i lżejszych taraśnic. Zza burt wysunęły się kusze i hakownice...

Huk, przerażający, rozrywający uszy! Rozpadła się w kawałki pozostałość posągu cesarza Trajana, padły i obaliły się zarośnięte mchem kolumny. Powietrze pełne kwaśnych prochowych dymów przeszywały mordercze bełty z kusz. Z tak bliskiej odległości zmiatały Wołochów z kulbak, przewracały wierzchowce, a hufnale, siekańce i kamienie wyrywały krwawe dziury w ciałach ludzi i zwierząt, przebijały się przez kaftany i kolczugi. W tej jednej chwili znaczna część konnicy wroga legła pokotem, a przerażone hukiem wierzchowce pędziły na zachód, potykając się i rozwalając sterty kamieni.

– Ruszać! – krzyczał Junoszcyc. – W skok! Kopie w dół!

I wtedy jazda rycerska, chociaż też zgłuszona i na przestraszonych, wyrywających się na boki koniach, ruszyła wzdłuż zachodniej ściany taboru. Idąc wzdłuż prostych linii rzymskich fundamentów, rozpędzając się na przestrzeni dwustu kroków, opuściła kopie.

I poszła skokiem, wydłużonym galopem, w którym konie wyciągają szyje, jeźdźcy pochylają się w siodłach, rwąc przed siebie, przesadzając lub obalając wszelkie przeszkody...

Chwila krótka jak błyskawica... Uderzyli na tyły wrogów nacierających na rycerzy Zawiszy. Nikt, żadna jazda nie

wytrzymałaby tego uderzenia! Przebili się przez szeregi Wołochów jak przez łąn zboża. I po skruszeniu drzewek wsiedli na karki niedobitków.

Krzyk, ryk rycerskich zawołań podniósł się po drugiej stronie. Jakby go słysząc, wrogowie zwątpili. Pękła ich obrona, rozsypała się w proch wola walki. Rzucili się do ucieczki, rozpraszając, rozchodząc we wszystkie strony, z taboru ścigały ich pojedyncze strzały z kusz.

– Gradyyyy! Odrzyj węża! Strzegooooomia! Ossoryja! Sulimaaaaa!

Wojownicy rzucili się w pościg na pokrwawionych, parujących wierzchowcach. Wsiedli prawie na karki uciekających. Zatrzymał ich Zawisza, w ostatniej chwili zaczął pracować po pancernych plecach, płazem miecza po tarczach i łbach.

– Stać! Stać! Ich są tysiące. A my mamy sto koni i piechurów. Stać, powiedziałem! To zasadzka.

Wracali do obozu zziądani, pokryci krwią. Przed bramą gromady jeźdźców rozstępowały się, rozjeżdżały, omijając i objeżdżając kłęczącego w błocie siwowłosego starca w pełnej zbroi. W rękach trzymał pokrwawioną, mało podobną do człowieczej głowę. To był Dobrogost z Odyńców. Nie płakał, nie krzyczał. Nie przeklinał. Po prostu patrzył w przestrzeń.

– Wody! – zawołał ktoś w obozie, pacholek od koni albo ciura.

– Wody, gdzie jest woda? – pytali inni.

Była, ale w strumieniu, daleko za bramą, odgrodzona wołoskimi zastępami, które wycofały się na strzał z kuszy, ale nie zamierzały odstępować.

– Nie mamy wody! – podnosiły się głosy. – Co robić?

Spojrzenia wolno, ale nieubłaganie kierowały się ku Zawiszy.

*

Polacy i ludzie północnych nacji Europy, jak Duńczycy, Moskwa, Szwedzi, nie znają pragnienia. Woda jest tutaj prawie wszędzie, trudno znaleźć pole, las, łąkę bez strumienia albo kałuży, a rzeki

toczą leniwie nurt w stronę Morza Scytyjskiego zwanego również Bałtykiem od jego słonych wód. Co roku w listopadowe Zaduszki spada pierwszy śnieg, zwany księżym lub pastuszym, i zdarza się, że utrzymuje się aż do Kwietnej Niedzieli. Prawda, że woda z miejskich studni jest niezdrowa, lepiej raczyć się piwem, podpiwkim albo kwasem. Jednak mieszkańiec tych krain z pragnienia nigdy nie umiera. Inaczej jest na południu. Już od gór Wołoszczyzny i Dunaju zaczynają się wielkie suche stepy serbskich despotii i Wielkiego Tyrnowa. Im dalej w stronę morza południowego, tym świat staje się bardziej gorący, a sama dawna Grecja to spalone słońcem skały zanurzone w odmętach słonego morza.

Pragnienie dopadło ludzi z rotty Zawiszy już pod wieczór. Szczęście, że był początek jesieni, słońce nie przygrzewało, a jednak dla umęczonych bojem okrążonych zaczynała się coraz groźniejsza tortura.

Wody nie było nigdzie w pobliżu – ciury próbowały kopać studnię, ale grunt był suchy i kamienisty, nawet na głębokości pięciu łokci nie wytrysnęło żadne źródło. Pić...

Czeladź zaczynała huczeć, konie, zwłaszcza kopijnicze, zmęczone po potyczce, zrobiły się narowiste, rzucały łbami, niektóre spoglądały smutnym i wyczekującym wzrokiem na właścicieli. Inne sprawiały kłopoty przy wsiadaniu – odsuwając się w bok, kiedy podnoszono nogę do strzemienia.

A wsiadać trzeba było często. Kilkakrotnie wołoscy jeźdźcy podpadali pod obóz, posyłając deszcz strzał. Ludzie kryli się za wozami, kusznicy odpowiadali – jednak mało skutecznie. Wrogowie strzelali z rozpędzonych koni, trafić ich to jak zestrzelić jaskółkę w locie z ciężkiej kuszy. Dwa razy jeszcze podjeżdżał herold z trąbą, wzywając do poddania się i wydania Zawiszy. Za pierwszym razem odpowiedziano mu z kuszy, za drugim wysłuchano w milczeniu. Pytający wzrok piechurów i sług kierował się w stronę rotmagistra. A ten siadł przed namiotem i milczał. Obwiedzione resztkami murów forum było twierdzą i pułapką zarazem. Nie sposób było nawet na piechotę sforsować linii wozów. Jednak woda była poza

obozem. Wyjście z bronionego kręgu wystawiało rotę i pieszych pod wołoskie łuki, sprawiało, że trzeba było mierzyć się z przeważającą liczebnie konnicą, która bez trudu osaczyłaby królewskie wojsko.

Przebijać się czy nie przebijać?

Na szczęście noc była chłodna. Zawisza spał mało, nie rozmawiał z nikim, odesłał precz nawet Wolkensteina. Z coraz większym niepokojem wyczuwał, że podjął złą decyzję, że wpadli w pułapkę zastawioną przez Radu Pustą Głowę. Bo przecież chyba nie ukartowaną przez doradców Zygmunta. Po co król Węgier pozbywać miał się rycerza, któremu mimo dworskich intryg i starć wierzył tyle lat.

W nocy kilku pachołków usiłowało przemknąć z wiadrami nad strumień. Wołosi wystrzelali ich z łuków koło pozostałości amfiteatru. Nie dali żadnej szansy, aby zawrócić biegiem. Piechota szemrała, kładąc się spać pomiędzy wozami. Zawisza nie wychodził z namiotu, by nie czuć tych spojrzeń. Postawił straż, aby nie dopuszczala nikogo.

Poranek wstawał pełen słońca, późno wznosiło się w górę, wyglądało spoza gór i grzało; po mglistym, chłodnym poranku robiło się coraz cieplej...

Zawisza musiał podjąć jakąś decyzję. Co robić? Wysłać posłańców, szukać Dana? Wystrzelają! Przebijać się? Otoczą i w końcu wybiją. Przebijać się taborem? Ale jak? Teraz żałował, jakże żałował, że nie ma z nim Gedeona Borkowica, który walcząc u boku husytów, widywał ich wagenburgi i sam przebijał się przez krzyżowców pod Kutną Horą. Poddać się? Jak Chrystus oddać w niewolę w zamian za życie innych zaciężnych? Dusza Zawiszy z Roźnowa w zamian za Gamratnika Draba, Wolkensteina, Junoszyca, Pietrzyka ze Skorzewa, Ciołka z Naborowa i innych wywołańców? Cóż, mógł tak zrobić, gdyby tylko można było ufać Wołochom. Gdyby to nie był podstęp, aby usunąć głowę – dowódcę, by potem tym łatwiej rozprawić się z ciałem i pozostałą częścią roty.

Wstawał właśnie, aby oznajmić wolę pozostałym, kiedy na zewnątrz zagrały trąby. Lecz nie w obozie Polaków i Niemców. To

grali na alarm Wołosi.

*

Zawisza wypadł z mieczem z namiotu, dopadł linii wozów, wspiął się na oś i ostrożnie wyjrzał. Tuż obok przypadł Braubach, który był na nogach od świtu.

– To nie atak – powiedział. – Coś tam się dzieje. Zamęt, walka, może... bunt?

Coś dziwnego działo się w wołoskich obozach. Za liniami drzew i krzaków widzieli pędzących jeźdźców, z których część podążała na północ i wschód. Grały tam rogi, dochodził stłumiony szcęk broni.

– Trąbić na alarm. Obsadzić wozy, ale nie wsiadać na konie. Są wyczerpane, nie chcę ich tracić. Poczekamy, co się stanie.

Ludzie niemrawo podchodzili do wozów, piechota wlokła tarcze, strzelcy dźwigali kusze pod pachami. Pragnienie dawało się we znaki; trudniejsze do ugaszenia niż głód, zwłaszcza że zapasy mięsa, krup i sadła były solone.

Na zewnątrz obozu trwało zamieszanie, słyszeli krzyki, wrzaski, po chwili było już pewne, że coś się działo, bo w stronę obozu pędził koń, wlokąc na strzemieniu bezwładne ciało wołoskiego witezia. Lecz nagle wszystko ucichło.

– Jadą ku nam, patrzcie! – krzyczał strażnik. – Siła sroga.

Do ściany wozów zbliżał się cały orszak konnych bojarów i witeziów. Zbrojnych o wiele lepiej niż ci, z którymi walczyli wcześniej. Ludzie okryci kolczugami, z tureckimi płytami na piersi, w szyszakach, w zdobnych kaftanach. Nad głowami powiewała chorągiew ze złotym ptakiem trzymającym w dziobie schizmatycki krzyż.

– Widział to kto? – podniosły się głosy.

I wtedy Wolkenstein wyprostował się.

– To godło Dana Basaraba, prawowitego hospodara Walachii! Może nawet on sam jedzie tu ku nam!

Zapadła cisza.

– Nie rozumiecie, to odsiecz! Jesteśmy wolni! Dan stawiał się, jak chcieliśmy.

Ujrzeni między zbrojnymi mężczyznę w pozłocistym szyszaku i nałożonych na kolczugę szmelcowanych blachach zbroi, które łączyły się wokół okręgu na piersi. Otaczali go rycerze w zbrojach, z węgierskimi herbami, o wiele bardziej pokomplikowanymi niż polskie, ze stojącymi dęba baranami, opancerzonymi ramionami, gryfami i liliami. Niechybnie zaciężni na służbie hospodara. Poprzedzał go witeź niosący białą chorągiew.

Okrzyk podnosił się wolno, przedzierał przez wypalone gardła, popękane usta. Okrzyk zwycięstwa, życia, wolności. Rycerze wiwatowali, potrząsali nagimi mieczami, piechota wspinała się na osie i burty wozów.

A Zawisza patrzył; wcale nie na wybawicieli. Spoglądał na kogoś, kto jechał nieco z tyłu, wśród zaciężnych, bez hełmu, z tarczą, na której widniała Napiwoń, to znaczy w złotym polu biała głowa jelenia i wilk między rogami. Tym kimś był.. Gedeon Borkowic. Swobodnie dosiadał konia.

To była niespodzianka wymagająca pilnego wyjaśnienia.

*

W półmroku i zaciszu namiotu Zawisza oglądał Gedeona ze wszystkich stron; jak włodarz taksujący konia albo wołu. Chudego i kościstego, zważywszy na chorobę i niedawne kalectwo rycerza.

– Nie chcę mówić, że to cud. A jednak nie wierzę własnym oczom.

– Cud to doprawdy, że napotkałem ludzi Dana. Wiernych ludzi, jego przybocznych Węgrów i Niemców, a nie Wołochów z gór. I dałem znać, że obozujecie pod Ulpia Traiana. Nic o tym nie wiedział, był zaskoczony, że król Węgier posłał mu posiłki. Ale ruszył z pomocą. To honorowy człowiek, rzadki wśród tutejszych ludzi.

– Cud, że chodzisz, dosiadasz konia. Bóg ci sprzyja, Gedeonie.

– Bóg albo... – nie dokończył. – Jak to się stało, że chodzę, sam nie wierzę. Uleczono mnie. Jakiś czas temu w Budzie. W miejskim

szpitalu, dokąd mnie przeniesiono, kiedy nie rokowałem już nadziei na wyzdrowienie.

Przymknął oczy i zaczął wracać myślami do tamtych okropnych dni...

*

Przyszli po niego w nocy, w milczeniu. Jęknął, kiedy dźwigali go z posłania, nieśli gdzieś na bok, do jednej z małych izb, w których zwykle dawano lewatywę i płukano żołądki pensjonariuszy. Tam było światło – płonąła lampka oliwna i woskowe świece.

Pachołkowie złożyli ciało na drewnianych narach, bez żadnego materaca, na twardych deskach pokrytych wieloletnimi plamami. Śladami po strach pomyśleć jakich wydzielinach ludzkiego organizmu. Gedeon zobaczył Żyda Kanaana z Pragi, któremu towarzyszył jeszcze jeden człowiek. Wysoki, potężny, w nogawicach i obcisłym czerwonym wamsie. Na głowie miał czarny kaptur opadający poniżej ramion i powycinany w ząbki. Oblicza nie było widać. Słyszał oddech tamtego, miarowy, ciężki, czuł jego przenikliwe oczy, już teraz wyobrażał sobie dotyk potężnych rąk, zadających ból, męki i cierpienie. Cóż to za człowiek? Skąd? Kat?

– Ryzykuję i stawiam znowu na was, panie rycerzu – powiedział lichwiarz. – Obym trafił na dobrego konia. Obejrzyjcie go, mistrzu, i oceńcie, czy jest wart dodatkowej fatygi.

– Twoja fatyga to nie wszystko. Potrzebuję jeszcze weksła. Sam wiesz jakiego – powiedział głęboki głos.

– Nie złość mnie... Ezekielu. Bierz się do roboty!

Gedeon nagle znalazł się w ciężkich łąpskach mężczyzny w kapturze. Ten obrócił go na bok jak słomianą lalkę, bezceremonialnie zdarł koszulę z pleców. Przez chwilę spoglądał, z prawa, z lewa. Wreszcie położył ręce na krzyżu. Położył? Wbił dosłownie paluchy między żebra, wymacał, potrząsnął, podczas gdy Gedeon mógł tylko jęczeć.

– Nie wyczuwam dobrze, ale tu jest wgłębienie. Nie wiem, jak duże. Jeśli przerwał spinę, niech się modli do Świętego Krzysztofa. Ja nie poradzę.

– Szanse, mistrzu?

– Pół na pół.

Kanaan uśmiechnął się, wyciągnął z sakiewki kości, zważył je w rękę, zagrzechotał.

– Sprawdźmy!

Rzucił je na wyrko, śledził ich lot. Gedeon obrócił głowę, też chciał widzieć wynik, ale nie mógł, leżąc na plecach, zobaczyć, co wyszło. Dwie kości... dwie wyrocznie.

Kanaan z Pragi uśmiechnął się. Położył na nich rękę.

– Bierz się do roboty!

– Najpierw weksel.

– Prawda. – Żyd wyciągnął zwitek papieru, przenośny kałamarz i przycięte pióro. Rozkręcił flaszeczkę, zanurzył tulejkę, wyciągnął.

– Ile w sumie będę wam winien? – zapytał Gedeon.

– Wszystko – powiedział Żyd, podsuwając mu dokument. – Tu na dole podpiszcie. I dajcie pierścień.

Gedeon ujrzał... nie to, czego się spodziewał. Nie weksel wcale, lecz czystą kartę papieru.

– Co to ma znaczyć?

– Chcecie żyć? Czy tu zgnić? Stawiam znowu na was, ryzykuję. Nie tylko pieniędzmi.

Gedeon ujął pióro, trzymał je w rękę, to przybliżał do papieru, to oddalał.

– Noc się kończy, a mój sługa ma służbę od świtu. – Kanaan zakręcił kałamarz. – Czas liczy się jak pieniądz, każda godzina, którą wybija zegar na wieży, to przynajmniej pół talara.

– Co mam zrobić? – wyjęczał Gedeon. – Mam wam ufać? Nigdy nikomu nie zaufałem poza Dorotą. O Boże!

Nabazgrał swój podpis, ale to było mało. Kanaan nakapał wosku na brzeg karty i Borkowic musiał przyłożyć tam pierścień, odciskając mocny, wyraźny znak Napiwoni. Lichwiarz natychmiast

posypał dokument piaskiem, strząsnął na podłogę, pochuchał na podpis.

– Dalej, nie mamy całej nocy.

I wtedy tajemniczy mistrz położył ręce na plecach Gedeona. Chwycił go za szyję, drugą rękę kładąc pomiędzy łopatkami. I szarpnął, podrywając głowę w górę.

Rycerz krzyknął, bo poczuł trzask, jakby właśnie łamały mu się pozostałe kości i żebra.

– Co robicie? Dość!

Uderzenia, szarpnięcia spadały na niego; czuł się jak bezwolna marionetka w rękach tamtego. Na chwilę wszystko ustało, bo mistrz schylił się i wydobył z worka drewniane dłuto i młotek.

– Przytrzymajcie go, niech się nie szarpie.

Kanaan złapał rycerza za ramiona, przycisnął do stołu.

Pierwsze uderzenie omal nie połamało Gedeonowi splotu słonecznego. Następne było jeszcze mocniejsze.

– Aaaaa! – zajęczał. – Zostawcie mnie!

Kanaan bez litości przycisnął jego głowę do desek, przytrzymał. Uderzenia spadały w dalszym ciągu – teraz już lżejsze, szybsze, coraz szybsze... Poddawał się im, zamierał, uderzał czołem i policzkiem o deski, nie wiedząc, kiedy będzie koniec.

A kiedy kres ten nastąpił, leżał długo w ciszy i milczeniu, słuchając skwierczenia lampki, kiedy wpadały w jej płomień nocne ćmy.

– Spróbuj poruszyć nogą, przynajmniej palcami – powiedział mistrz. – Śmiało, to twoja chwila odkupienia. Wóz albo przewóz, jak to mówicie wy, Polacy.

Gedeon nie miał siły się modlić. Spróbował i... o Gloriosa, mógł to zrobić! Miał trochę czucia w stopach, w nogach. Troszeczkę, ale zawsze.

– Powoli, powoli. Teraz leż, zginaj nogi, ale to od jutra. I pod żadnym pozorem nie wstawaj. Życie wróci w dolną połowę twojego ciała... Może... Może szybko, może wolno. Ale to wszystko, co mogłem uczynić. Miałeś szczęście, chyba jesteś w czepku urodzony.

Gedeon chyba płakał, dziś nie pamiętał już tej chwili.

*

– Cóż, widać nie uderzyłem celnie – powiedział Zawisza. – Chociaż mnie rozzłościłeś.

– Nie, to ja podniosłem kopię, aby ominęło was ostrze. Mój gniew jeszcze nie minął. Ale mam dla was nowinę. Karl von Ostritz, z którym mówiłeś na zamku w Muraniu, to renegat. Poturczeniec. Dlatego król kazał go uwięzić za pokutę, a przy okazji odebrał majątności, wtrącając rodzinę w nędzę.

– I co z tego wynika?

– Skoro zdradził wiarę chrześcijańską, zapewne kłamał w sprawie waszego ojca. I wcale nie widział go żywego po bitwie pod Nikopolis.

– To wszystko, co masz mi do powiedzenia? Ciesz się łaską Boską, bo mojej już nie odzyskasz. Nie oddam ci pocztu. I tak pewnie będę musiał znowu płacić twoje długi. Resztę swojej historii możesz sobie darować.

– Skoro nie chcecie wiedzieć, co było dalej. Zachowam to dla siebie...

*

Jakiś czas po nocnej męce Gedeon ubierał się powoli w szpitalnej celi w Budzie. Kanaan wystarał się dla niego o konia, znoszone szaty i brygantynę. Wszystko to leżało jak na strachu na wróble, ale rycerz nie wybrzydzał. Znowu mógł stać na nogach, chociaż ciało miał jak z drewna, sztywne, czasem niesłuchające poleceń, osłabłe od długiego leżenia.

– Jak widać, postawiłeś na dobrego konia, Kanaanie – powiedział, wciągając świeżą koszulę przez głowę. – Żyję i chodzę. Zdobędę łupy i spłacę wszystkie długi.

– Nie zrobiłem tego dla pieniędzy. Uzdrowiłem cię dla pamięci o Zawiszy Czarnym. Kiedyś w Budzie był pogrom. Wtedy twój pan rozbił pospólstwo, uratował moją żonę i wielu Żydów. Jedź więc do niego i pomagaj, jak możesz.

– Uleczyliście mnie niby dla Zawiszy, a jednak podsunęliście weksel do podpisu!

– To nie weksel i nie mój. Chcecie go zobaczyć?

– Pali mnie ciekawość, co tam dopisaliście.

Kanaan wydobyl złożoną kartę papieru i nie wypuszczając z ręki, podsunął Gedeonowi. Rycerz przebiegł wzrokiem tylko jedno zdanie, które było na papierze, po polsku. I zatrząsł się.

– To nie weksel... To... cyrograf! Kim wy jesteście?

Żyd uśmiechał się lekko, kiedy chował dokument w zanadrze.

Z łoskotem opadły boczne płachty rycerskiego namiotu Zawiszy. Jasne światło zalało postać Gedeona. Ale to tylko pacholkiwie zwijali obóz, siodłali i zaprzęgali konie. Ruszali na wschód, do stolicy Wołoszczyzny.

*

Zawisza pamiętał ciągle poprzedniego hospodara wołoskiego Mirczę Starego, potężnego, lecz spokojnego starca, który – nim wypowiedział – dziesięć razy ważył każde słowo. Dan nie miał brody, ale długie czarne włosy i równie obfite wąsy, nasączone tłustością. Jak widać, druga linia Basarabów poszła bardziej w żonę Mirczy, Marę, pochodzącą, jak powiadano, z siedmiogrodzkich Szeklerów. Zawiszę i Gedeona przyjął w namiocie, który tak jednak sterany był w bitwach i pochodach, zszywany i łatany tyle razy, że przystawałby bardziej do zaciężnego rycerza niż hospodara. Sam Dan ubrany był w kaftan – niegdyś karmazynowy, dziś spłowiały – i kołpak na głowie zamiast hospodarskiej mitry. Wyglądał jak kniaź z pasterskiej wioski, kiedy tak siedział na stolcu, mając przy boku swego najmłodszego syna, który w przeciwieństwie do ojca nosił się według niemieckiej mody – miał wams i powycinany kaptur.

– Nie sądziłem – mówił Dan, świdrując Zawiszę wzrokiem – że król Węgier wysłał mi posiłki. I to pod tak sławnym wojownikiem. Winnicie wdzięczność Gedeonowi Borkowicowi. Gdyby nie on, nic nie wiedziałbym o waszym przybyciu.

– To jakieś nieporozumienie – rzekł Sulimczyk. – Dostałem jasne rozkazy, aby oczekiwać na was w Ulpia Traiana. Tymczasem nadciągnęły siły, jak mniemam, waszego konkurenta, fałszywego hospodara Radu.

– Będzie się jeszcze wił na palu – powiedział Dan ze złym uśmiechem, który obnażył jego białe zęby. – Mój brat związał się z Turkami, porzucając prawo rodu Basarabów. Jego głowa jest tak pusta, że bił czołem sułtanowi.

– Wszystko to wygląda jak zdrada – rzekł Gedeon. – Kto was posłał na Wołoszczyznę? Od kogo dostaliście rozkaz?

– Ja tak surowo nie osądzam – powiedział Zawisza. – Sam król i jego doradca komes István Szatmár rozkazali mi połączyć się z wami. Może wasz rywal schwytał posłańców? W każdym razie służę pomocą, miłośnicy gospodarze. Zygmunt zapowiedział zaś, że sam, własną osobą ruszy za nami, wyegzekwować wasze prawa do hospodarskiego tronu.

– Ruszy, kiedy już głowa Radu sterczeć będzie przed świątynią w Argesz. Król Zygmunt jest pewny jak sama śmierć, szczęściem zbyt wolny, abyśmy zdołali umrzeć.

Uśmiechnął się nawet Zawisza.

– Rad przyjmuję twoją pomoc, panie starosto roznowski. Mam jednak pytanie: jakimi warunkami obwarował król Węgier wasz udział w walce? Czy mam w zamian za pomoc ukorzyć się przed jego majestatem? A może mam się zrzec Oltenii? Wszak prześwietny Zygmunt nie robi niczego za darmo.

– Na honor, nic takiego nie mówił. Król pragnie pozyskać was jako sojusznika w walce z Turkami, która rozpocznie się lada chwila. A w dowód dobrej woli posyła mnie i moich ludzi. Ręczę rycerskim słowem, że nie ma w tym żadnego podstępu. – Zawisza podniósł w górę dwa palce.

– Skoro wy tak mówicie, muszę wam wierzyć. Sława pogromcy z Budy dotarła nawet do naszej dzikiej krainy. Spadacie mi jak z nieba. Po klęsce wycofuję się w góry, bo wojewoda siedmiogrodzki János z Vajdahunyadu obiecał mi posiłki. Kiedy nadejdą, ruszymy zaraz na Argesz i Targowiszte, święte stolice Walachii.

– Czy nie za śmiały plan? Jeszcze przed chwilą byliśmy obleżeni, a wy pobici i wygnani.

– Mało znacie Multany, panie Zawiszko. Tu wszystko zmienia się z dnia na dzień. Dzisiejszy ścigany jutro jest ścigającym. Taki nasz los, górskiego narodu. Radu wypędził mnie z Argesz z pomocą Turków. Przyszło z nim pięciuset janczarów i tysiąc spahisów. Pusta Głowa wyrąbał ich szablami drogę do hospodarskiego stolca, ale wkrótce przekona się, że musi na tych ostrzach siedzieć. Sułtański wezyr odwołał Turków w związku z tym, że przejmuje naddunajski Golubacz, i nie wiadomo, czy twierdzy nie zajmą Węgrzy.

– Czy to pewne?

– Mija godzina, jak przybył mój sekretny posłaniec. Posiłki siedmiogrodzkie są w drodze, zaczekamy na nie i ruszamy prosto na stolicę. Radu ma tylko tych ludzi, którzy na was napadli... I których oszczędziłem. Została garść drużynników i bojarów. Jeśli staną do walki, zmieciemy ich szarżą waszej jazdy. A stanąć muszą, bo Argesz nie jest twierdzą, jakie znacie, i w dodatku brakuje mu zapasów.

– Zatem – odezwał się Gedeon – król Zygmunt przyjdzie na gotowe.

– Was – mruknął Zawisza – nikt o zdanie nie pyta.

– A ja się wstawię za waszym rycerzem – powiedział Dan. – Tak, pomoc króla nie będzie potrzebna. Co więcej, jeśli przybędzie, powitam go jako władca Oltenii i Muntenii, i całego kraju aż do Dobrudży. Docenię wasze poświęcenie i odwagę. I wynagrodzę godnie. – Zmrużył oko i zacisnął dłoń w pięść.

– Pokażmy więc, że jesteśmy rycerskimi ludźmi.

– Gedeeooooon! – krzyczał, wył raczej Dobrogost z Odyńców. – Bądź przeklęty! Przeklęty! Za to, że żyjesz, a mój syn, syyyyn! zabity! I to jak zabity. Przez Wołochów. Podstępnie. A ty chodzisz, robisz, żyjesz, jesz i śpisz na zdrowych nogach. Przeklęty bądź z Kainem mężobójcą, z Judaszem Iskariotą zdrajcą! Przeklęty z diabłem i anioły jego, z Baalem, z Lucyferem, z Molochem dzieciożercą, z Kozyrą, z Dusiołkiem, z Berutem, z Belzebubem antychrystem.

Trzymał w rękach krwawą głowę Zbyluta, całował sine usta, poznaczone już pierwszymi plamami rozkładu.

– Przysięgam i ślubuję, że zabiję cię! Nie schowasz się i w piekle, i na skraju świata. Przeklęty! Przeklęty Borkowicu, Napiwoniu ślepy na wiarę. Zabiję cię! Ślubuję i zapowiadam.

Złożył głowę do grobu, gdzie leżało w całunie ciało syna. Na ten znak pachołkowie poczęli rydlami spychać na niego grudy zimnej, mokrej wołoskiej ziemi.

Uczyń to, pomyślał Zawisza, słuchający go z oddali. Uczyń wreszcie.

I nagle zadrżał, przeżegnał się, bo uświadomił sobie, że właśnie popełnił ogromny grzech.

*

– Musicie wiedzieć, że mam na was oko. Ktoś wprowadził nas w pułapkę i nie mogę jasno wykluczyć, że to wy – powiedział Gedeon, celując palcem w stronę Oswalda Wolkensteina.

Minnesinger przymknął oczy. Siedział rozparty na siedzisku, a cyrulik oglądał jego głowę i wyrywał pojedyncze siwe włosy.

– Nic nowego dla mnie, mój Święty Tomaszu. Wyłumaczcie mi wszelako, dlaczego miałbym ściągnąć niebezpieczeństwo i na siebie samego? Wszak byłem z Zawiszą cały czas w obozie.

– Ktoś musiał donieść ludziom Radu, że obozujemy w ruinach Sarmizegetusy.

– Jakie masz dowody, mój biedny chłopcze?

– Na razie jeden. Wołosi chcieli mieć żywcem Zawiszę. Zależało im przede wszystkim na naszym dowódcy.

– Wiadomo, bez niego rota jest jak ciało bez głowy.

– Widziałem już podobne podstępny Krzyżaków. Na Żmudzi powiesili hańbiąco jego brata Kruka za pomoc poganom. A jego samego zwabili, aby uczynić to samo, pokazać, że oto sławny z Krakowa, Wiednia i Budy rycerz wspiera wyznawców antychrysta.

– Kiedy służyłem w wojskach basileusa Manuela, który niedawno oddał duszę Bogu, jego urzędnicy ciągle oskarżali mnie o zdradę, kiedy ja z narażeniem życia sprowadzałem posiłki z Włoch i Węgier. Pozwól, że przedstawię ci inną wersję tej historii. Otóż to ty zdradziłeś miejsce obozu wrogim Wołochom! Utraciłeś łaskę i opiekę starosty, więc chcesz go porwać, aby wydobyć okup. I spłacić długi, które ciągną cię na dno jak kamień u szyi. Jest też trzecia możliwość – tokował Niemiec, uprzedzając pytanie Gedeona. – Nasz złowrogi gospodar z Argesz, fałszywy niedowiarek Radu chciał schwytać żywcem największego z harcowników króla Zygmunta, aby rzucić na władcę postrach, aby go zaszantażować. Wszak władza Pustej Głowy chwieje się w posiadach. Czy Zygmunt zdecydowałby się na interwencję, kiedy gospodar miałby w ręku jego ulubieńca?

– Im dłużej cię słucham, tym mniej ufam. I jestem przekonany, że większość twoich opowieści i przechwałek jest kłamstwem. Bo jesteś zawodowym kłamcą, prawda?

– Jeśli nawet, to lepiej być kłamcą niż przeklętym na wieki i zastawić duszę diabłu, prawda? – wyszczał Wolkenstein. – A ty to uczyniłeś przynajmniej kilka razy!

Na zewnątrz trąby zagrały do wymarszu.




dy ifrit wystuchał tych wierszy, rzekł:
„Nie prosz, bo twoja śmierć jest postanowiona”.

Wtedy rybak rzekł do siebie: „To jest dzinn, ja zaś jestem człowiekiem, [...] postużę się więc swym umysłem i przebiegłością i obmyślę coś na jego zgubę”. [...] Zapytał tedy rybak: „Jakże mogłeś przebywać w tym dzbanie? Wszak nie zmieściłaby się w nim nawet twoja ręka ani noga, a cöz dopiero cała postać?”. [...] Wtedy ifrit zadrżał, zmienił się w dym [...], zgęstniał i powoli, powoli zaczął wchodzić do dzbana. A gdy go sobą wypełnił, rybak chwycił pospiesznie ołowiany korek opatrzony pieczęcią, zatkał nim szyjkę dzbana i zawołał do ifrita: „Wybieraj u mnie rodzaj śmierci, jaką chcesz umrzeć. Albo nie, lepiej wrzucę cię do morza i zbuduję sobie tu dom, a każdemu, kto tu przybędzie łowić, zabronię tego, mówiąc: »Tu jest ifrit, który temu, co go wyłowi, podaje różne rodzaje śmierci, pozwalając dokonać wśród nich wyboru«”.

„Księga tysiąca i jednej nocy”







Kiedy [...] czuje, że spada z konia z ciałem przeszłym czterema włóczyniami, szybko się prostuje, dzielny rycerz! Szuka spojrzeniem Rolanda, biegnie do niego i powiada tylko jedno słowo: „Nie jestem zwyciężony! Rycerz, póki żyje, nie poddaje się!”

„Pieśń o Rolandzie”



 *an mój, wielki książę litewski Aleksander Witold [...] nie pozostanie w przyjaźni i zawartym związku z tobą, który wcześniej zerwałeś przymierze i nie dochowałeś wierności. Ale zarówno tobie, jak każdemu innemu usiłującemu zagarnąć jego ziemie stawi opór aż do rozlewu krwi i śmierci i nie wątpi, że każdy jego następcą, wielki książę litewski, zajmie podobną postawę i usny w pomoc Bożą przepędzi łatwo wszelkich najeźdźców z ziem Litwy.*

Posel Mikołaj Cebulka
w imieniu księcia Witolda





Rozdział VII

Rycerski gniew

Do Argesz, dawnej stolicy Walachii, szli przez coraz większe góry. Droga to wiła się dolinami, to wspinała zakosami na strome stoki, czasem opadała w doliny rzek i potoków. Góry towarzyszyły im cały czas. Na północy były najwyższe, o skalistych szczytach pokrytych płachtami śniegu. Z opowieści węgierskich dworzan Luksemburczyka wiedzieli, że są barierą odgradzającą Siedmiogród od Walachii, ale zagubionym wśród szczytów trudno było rozpoznać graniczne wierchy. Odchodziły od nich ku południowi coraz to nowe, długie grzbiety, między którymi szedł trakt, formując na

południu nowy wał szczytów. Przełamujący się i opadający ostatecznie ku wielkiej, płaskiej jak stół naddunajskiej równinie Multanów.

Od Rîmnicy Vîlcea, gdzie przeprawili się przez rzekę Olt, droga prowadziła w górę, wspinając się wzdłuż pieniającego się wściekle po ostatnich deszczach potoku. Jesień była już na szczytach, deszcze siekły twarze i plecy, wysoko walił śnieg, sine chmury nadpływały z zachodu, zmieniając krajobraz w krainę szarych skał i brunatnych zboczy pokrytych żółtymi plamami bukowych górskich lasów.

Spotkanie z ludźmi wiernymi Radu było niespodziewane. Zaledwie przeprowadzili wozy taborowe przez rozłożysty, rozdzielony grzbiet górski i idąc doliną, obesli od południa kolejny, na przedzie kolumny zagrały rogi do walki.

– Roty do przodu! – nawoływali heroldowie galopujący wzdłuż wojska. – Szykować się do walki! Radu wyprowadził jazdę w pole!

Zawisza kazał zagrać własne hasło do potyczki. Giermkowie zaczęli zawracać do taborów, po kopie, niektórzy rycerze po zbroje i tarcze, które wieziono na wozach. Wyciągnięty wąż wojska rozpadał się na pojedyncze watahy. Wołoska jazda skręcała w pola z prawej i lewej strony traktu, docierając aż pod wzniesienia. Z tyłu napierali ludzie w zbrojach okrytych tunikami, zaciężne chorągwie z siedmiogrodzkich miast – Krunen, Nagyszeben, przysłane przez wojewodę siedmiogrodzkiego Jánosa z Vajdahunyadu. Ciężcy węgierscy i sascy zaciężni na potężnych koniach okrytych kapami i kropierzami.

– Jazda rycerska na środek!

W nozdrza uderzyła woń spalenizny. Paliły się dwie wioski nad potokiem; właściwie nad górską rzeczką nazywającą się tak samo jak gospodarskie miasto – Argesz.

Ujrzeni je wkrótce. Na wschodnim brzegu rzeki na wzniesieniu przy brodzie widniał okrąg szarawych murów, miasto lada jakie, słomiane, drewniane, nieobronne. Ale nad strzechami i krytymi gontem dachami wznosiły się mury dwóch cerkwi. Tę z lewej, pod wezwaniem Świętego Mikołaja, zbudował jeszcze Basarab,

a wzmocnił jego wnuk Vlaicu Samoderzca. Budowla jak pałac basileusa, z białego muru przekładanego kamieniami, o wyniosłej kopule z krzyżem, sama na kształt krzyża. Obok wznosiły się kamienne budynki starego gospodarskiego dworu. A na wschodzie widniała umocniona, postawiona na skarpie druga świątynia – San Nicoara, jeszcze starsza, może pamiętająca czasy wcześniejsze niż najdawniejsi gospodarowie Walachii. Pomiedzy nimi był bazar i skrzyżowanie górskich traktów z Konstancy nad dalekim morzem do Banatu, Siedmiogrodu, Serbii i Oltenii.

Pod miastem po tej samej stronie rzeki rozwijała się szeroka ława multańskiej jazdy. Białawe i szare *steaguri* i ciemniejsze od nich, przetykane żelazem szeregi drużynników i bojarów hospodara – *curteni*, zbrojnych w szable, tureckie proste miecze, w futrzanych i sukiennych czapach, z osękami i włóczniami.

– Nigdzie nie widzę pocztów i ludzi samego Radu – odezwał się Wolkenstein. – Nie ma tu hospodara ani jego gonfalonu.

Trąby wzywały ich na linię, gdzie Dan szykował do walki oddziały. Stanęli w hufie walnym, strzemię w strzemię z innymi zaciężnymi. Rycerze pobrali kopie, podnieśli do góry. Wyrównali szyk w kolumnę, na czele z przedchorągiewnymi, chroniącymi chorążego, z bocznymi liniami z kopijników i środkiem ze strzelców unoszących już naciągnięte kusze.

– *O viata avem valachi, si-o cinste! Desteptati-va ca am dormit destul!* – krzyczał Dan, pędząc w połączonym pancerzu i szyszaku wzdłuż szeregów. Dosiadał smukłego wierzchowca z małym łbem, siwego, okrytego kropierzem, a raczej czaprakiem wzorzystym jak turecka makata. – *Mai bine dusmani decat prieteni mincinosi!*

Machnął trzymaną w rękę krótką maczugą, wskazując wieże obu cerkwi w Argesz i obracając konia, poszedł, ruszył sam jeden na wprost wrogów.

Trąby poderwały rotę do marszu. Z drugiej strony, od miasta, zbliżała się już rozfalowana ćma Wołochów. Krzyk dobywał się z ich gardeł, wznosił pod szare niebo zacinające pole bitwy bryzgami dżdżu...

Znikł w ciężkim łośkocie setek kopyt niemieckich i polskich ogierów rycerskich, węgierskich lżejszych koni. W pierwszym szeregu jechał Zawisza Czarny, pan Kantak, Lewandowski, Gamratnik Drab i Pietrzyk ze Skorzewa, w drugim pięciu kopijników, rycerze, kopijnicy Matuszewski i Kędra. W tym w trzecim siedmiu, licząc giermków. W czwartym dziewięciu, w piątym jedenastu, wliczając chorążego. A dalej rozpędzali się w kolejnych równych jedenastokonnych szeregach kopijnicy po bokach osłaniający stłoczonych wewnątrz kolumny strzelców. Żelazny klin nie do rozerwania.

Wołosi mogli być tylko szybsi i zwrotniejsi. Pędzili przez pola poprzerywane resztkami płotów, tratując zagony pokryte zielonymi płatami oziminy, pastwiska, z których spędzono płowe i szare mołdawskie bydło z rozgałęzionymi jak u liry rogami. Znów konie jaśniepanów niszczyły dobytek podmiejskich biedaków i chłopów, zwyczajnych ofiar każdej wojny.

Rota już się rozpędziła, szła równym, rozkołysanym galopem. Kopijnicze konie idą inaczej niż wołoskie, bo statecznym pędem, nie rozpędzają się do ostatniego uderzenia furii jak lekkie wierzchowce Turków, tatarskie bachmaty i wołoskie sekiele. Wolniejsze, uderzają jednak równym szykiem, przełamując linie wroga ciężarem zakutyh w zbroje jeźdźców.

Wołosi sypnęli strzałami. Groty świsnęły jak posłańcy śmierci, wbijając się w tarcze, odbijając od ciężkich blach, hełmów, gdzieś z tyłu zraniły konia giermka. I w odpowiedzi strzelcy unieśli kusze, posyłając nad głowami panów morderczą salwę bełtów, strzelając nawiją bez celowania, ale dodając koński pęd do siły cięciwy popychającej bełt z rowka...

Żelazny grad spadł na drużynników Radu. I tak by nie wytrzymali; wystrzeliwszy z łuków, jak jeden mąż zawrócili konie i zaczęli uciekać w rozproszeniu.

Bojowy ryk ozwał się wśród ludzi Zawiszy. Dodali koniom długich ostróg, wyciągnęli się w biegu, rozluźniając szyk. Wołoska *steaguri* uciekała jak stado ptaków, niby górskie kozice przed niedźwiedziem.

W otwartym polu umknęłaby bez trudu. Ale nie w dolinie Argesz, pod miastem!

Uciekając, wołoskie konie wpadły na kamienisty bród, zatłoczony przez innych uchodzących z pola walki. Utknęły, zwolniły, choć jeźdźcy krzyczeli, bili nahajami, wymachiwali rękoma, przepychali się... Podniósł się lament, narastający krzyk strachu, kiedy od tyłu nadciągała rycerska nawałnica...

Kopie opadły jak las powalany wichurą i rozpędzony hufiec uderzył w tył stłoczonej na brodzie jazdy. W takich okolicznościach żaden grot nie chybił celu. Jazda zmiażdżyła Wołochów, obalając ludzi i konie, przez chwilę zrobiło się jedno kłębowisko ciał powalonych, czasem wijących się zwierząt, kopiących, gryzących, wstających na przednie nogi i wybijających się z tylnych. Ludzi tratowanych, miażdżonych, przygniecionych przez wierzchowce. Uderzenie było tak silne, a strach tak dodawał skrzydeł, że przednie szeregi Wołoszy w jednej chwili przeszły przez bród, wpadły na drugi brzeg i się rozproszyły. Część w prawo, prosto w góry, reszta w otwarte bramy Argesz i na północ – omijając parkany miasta – wzdłuż kamienistych brzegów rzeki. Owca

Wrogowie dali im trochę czasu. Ciężkie konie rycerskie chrapały, cofały się, nie mogąc przedrzeć się przez barierę, straszyla je woda zabarwiona ciemną krwią i trupy. I jeszcze nie dobiti Wołosi przygnieceni przez konie i topiący się w rzece.

Na koniec dextrariusy stratowały i tę przeszkodę, przeszły. Rycerze rzucili się w pogoń, w której pomieszały się szyki i porządki, kopie i roty, Polacy, Węgrzy, Niemcy, Wołosi Dana i jego siedmiogrodzcy najemnicy. Rycerze i giermkowie poczęli bóść konie ostrogami, pędzić do miasta, które bezbronnie otwierało drewniane bramy, by paść na kolana przed wyzwolicielami. Wołosi Radu przemknęli główną ulicą, mijając hospodarski dwór i cerkiew Świętego Mikołaja. Przelatując przez zrujnowany bazar. Sprytni byli – rzucali za sobą sakiewki, pierścienie, manele i błyskotki, zdobione tarcze tureckie i kalety ze srebrem. I rzeczywiście pogoń zwalniała, najpierw pachołkowie, strzelcy, a potem i rycerze kopijnicy

zatrzymywali się, aby zsiadać w poszukiwaniu bogactwa albo wskazywać kosztowności służbie. Tych jednak było mało. Nagle bowiem wojownicy rzucili się do domów i zagród miasta, aby rabować i palić, zwykłym obyczajem zaciężnego rycerza.

Zawisza usłyszał, że między kamiennymi i drewnianymi domostwami, otoczonymi płotami lub ogrodzeniami z plecionej łożyny, budzi się wrzask ograbianego, nieszczęsnego miasta i strzelają w górę płomienie. Błotnistymi uliczkami pędzili Węgrzy Dana, ostrzegając przed rabunkiem, zatrzymał zatem Junoszyca i wskazał domostwa po obu stronach drogi.

– Weźcie poczet i poszukajcie naszych ludzi. Każdemu przekazać, że zakazuję rabunków. Kto się nie posłucha, tego zabiję! Własną ręką! Kto gwałt uczyni, będzie ścięty!

Razem z giermkim i trzema strzelcami z własnej kopii ruszył przez miasto, oniemiałe, krzyczące, bo obrabowywane przez zwycięzców. Rycerze wpadali do domostw, wynosili skrzynie, sakwy, wyrzucali przez okna makaty, skóry, ubrania, a Węgrzy Dana, chroniący mieszkańców Argesz, napierali na nich, chłostali długimi batami. Zaraz wszczęły się bójkę, uśmierzane krzykiem dowódców, wrzaskiem Wołochów, płaczem bab i dzieci. Zawisza zatrzymał się przed kamiennym, piętrowym domem, podmurowanym dołem wysoko kamieniami, górą drewnianym. Ze skośnymi schodami, osłoniętymi drewnianym gankiem i wykuszem na rogu budowli, wysuniętym nad główną ulicę. W otwartych wrotach zadaszanej bramy stały dwa konie z kuszami przytroczonymi do siodeł i trzeci – roślejszy, kary, w kropierzu ze Śreniawą. Zobaczył pachołków w kapalinach wyprowadzających z obórki siwego wołu i połechtawszy rumaka ostrogami, wpadł między nich jak szalony.

– Co to ma być?! – zakrzyknął. – Za grabież, gwałty dacie gardło! Zostawić mi to!

– Pan kazał! – jęknął jeden ze strzelców, pokazując schody. – Kazał brać dobro!

Zawisza zobaczył schodzącego z góry Pietrzyka ze Skorzewa, bez hełmu, w zbroi; razem ze starym sługą dźwigali zawinięte w obrus

skarby – puchary, srebrzone półmiski i czary.

– Co to ma być, panie Pietrze?! Dan zakazał rabunków. I ja nie pozwalam! Zostawcie to!

– Pierwsze, to żołąd nie dochodzi, drugie, schizmatycy. – Pietrzyk ze Skorzewa łypnął na Zawiszę złym wzrokiem. – Schizmatycy, przecież mówię, multańscy synowie, jest rzeczą miłą Panu ich obłuskać.

– Zostawcie, bo jak Bóg miły, zabiję!

– Ślubowałem ojcom w Tyńcu! Gadaliście: można brać łupy!

– Rzuć mi to, drabie!

Pietrzyk pokręcił głową. Ruszył do koni, obok Zawiszy, potrącił jego wierzchowca, ciągnąc za sobą wypchany toból.

A wtedy starosta spiski chwycił za miecz! Wzniósł go i rąbnął; po prawdzie chciał płazem, ale coś się stało. Może koń przestąpił z nogi na nogę, może to ręka zahaczyła o napierśnik zbroi i przestawiła się... Kto wie.

Miecz uderzył jak żmija ostrzem. Skośnie w szyję, w miejsce, gdzie kończył się napierśnik, nad górną częścią źle dopasowanego naramiennika. Powinien być tam kołnierz kolczy albo folgowy. Przymocowany do hełmu lub osobny... Nie było! Pietrzyk wszak zdjął hełm, odsłaniając głowę.

Trysnęła krew, zabrzęczało żelazo. Rycerz zwalił się bez głosu, bez jęku, padł pod kopyta konia Zawiszy. I leżał, widzieli tryskającą krew, drgawki, nogi kopiące ziemię, ręce zaciskające się w pięści i rozwierające. Wypuszczony materiał, z którego wysypały się srebrne naczynia i puchary – dowód występku.

Wszystko w ciszy, bezgłośnie.

Zawisza widział, jak jeden z pacholków przypada do pana, dźwiga osłonięte blachami ciało, podnosi głowę, wpatrując się w krwawiącą pręgę między szyją i ramieniem. Jak wypowiada słowa drżącymi wargami.

– Nie żyje... Pan Skorzewski nie żyje! Co teraz, o Jezu...

Zawisza nie wiedział, co dalej. Z tyłu krzyczeli jacyś ludzie; tego było za dużo, jak na jego głowę.

– Zygmun! Król Zygmunt idzie!

*

Zygmunt Luksemburski podszedł pod miasto razem z pierwszymi mokrymi śniegami. A razem z nim ponad dwa tysiące niemieckiej zaciężnej jazdy i węgierskich rycerzy powołanych z przygranicznych komitatów. Podgoleni po burgundzku heroldowie we wzorzystych tunikach zapowiadali pod bramami jego przybycie długo i głośno. Nie pomijając przy tym rozbudowanej tytulatury króla Węgier, margrabiego brandenburskiego i księcia Luksemburga.

Usłyszawszy te zapowiedzi, Dan wezwał Zawiszę do drewnianej baszty, gdzie stał razem z dworem. Gdy rycerz pokłonił się przed hospodarem, ten rzekł:

– Król Zygmunt przyjeżdża tu z siłą za dużą, jak na braterską pomoc Walachii. Muszę wiedzieć, czy mam w nim przyjaciela, czy też przybywa jak jego poprzednicy, królowie Ludwik i Karol, którzy wymuszali na nas hołdy.

– Raz jeszcze powtarzam, co przekazał mi Jego Królewska Mość osobiście: przybywa zawrzeć sojusz przeciwko Turkom, a w zamian za to pomoże odzyskać resztę księstwa. Ręczę słowem rycerskim.

– Cóż, wojny z dwoma potęgami nie wytrzyma nawet legendarny Hercules. Otwórzcie bramy i powitajcie króla Węgier!

Sypał drobny śnieg, kiedy kolumny jeźdźców w zbrojach okrytych tunikami i kapami zaczęły podchodzić do Argesz. Wcześniej wpadła galopem chorągiew węgierskich Kumanów w łuskowych zbrojach. Zajęli posterunki na bramach i murach hospodarskiego dworu, zupełnie nie przejmując się strażami Dana. Rycerze z nadwornej chorągwi i piesi kusznicy weszli na główny plac miasta, obsadzili wyjścia i bramy, a nawet ganki okolicznych domostw. A potem rozładowali z wozów ogromny, wzorzysty namiot królewski w czerwono-białe pasy, wyszywany gryfami i dwugłowymi czarnymi orłami, jakie miał w herbie król Węgier. Rozstawili go przed cerkwią

Świętego Mikołaja, obok kamiennego dworu. Zapalili kosze z żagwiami i pochodnie. Rozłożyli skóry i opuścili boczne płachty. Dopiero wtedy w bramy Argesz wtoczyła się kolebka otoczona konną strażą – ponurymi Niemcami i Węgrami, którzy jechali z dobytymi mieczami, a obok kroczyli w dwóch rzędach kusznicy i miecznicy. Musieli rozpędzać i odpychać tłum, który napierał na wrota, gromadził się na dachach, za świątynią, obok dworu, nie chcąc uronić nic z niezwykłego widowiska.

Zygmunt wysiadł z kolebki, podtrzymywany przez Istvána Szatmára, komesa Nitry, a teraz nadwornego marszałka. W towarzystwie biskupa Egeru Pétera Rozgonyiego i wojewody siedmiogrodzkiego Vojka Serbiana przeszedł przez szpaler kuszników i wszedł do namiotu, gdzie wolno, z rozmysłem zajął miejsce na wysłanym skórą tronie, zawczasu ustawionym na podwyższeniu krytym kobiercami.

Zawisza był tu, u boku władcy, należał przecież do rycerzy dworu. Stał za plecami zgarbionego Zygmunta, przyodzianego w zieloną, długą robę, przepasaną pasem z karmazynowymi krzyżami, w płaszczu obszytym gronostajami, z zapinką z rubinów i szmaragdów.

Dan stawiał się w namiocie na powitanie na czele dworu – niskich, okrytych futrami i kaftanami Wołochów. Był wielki dwornik, postelnik, spartar i koniuszy.

Słudzy składali u stóp tronu Zygmunta dary: złotą szkatułę z węgierskimi dukatami, sznury pereł, złote kubki z klejnotami, pięknego nautilusa z rogu oprawionego w srebro.

Dan zaś pokłonił się i rzekł:

– Witam Waszą Królewską Mość, władcę Węgier, Niemiec, Czech, Dalmacji i wielu mnogich państw, na mojej ziemi wołoskiej. W podziękowaniu zaś za wsparcie i pomoc w osobie starosty Zawiszy Czarnego ofiarowuję dary i przymierze przeciwko poganom tureckim.

– Nie przybyliśmy tu tylko z pomocą – przemówił Zygmunt Luksemburski – lecz przede wszystkim aby ziemię wołoską, na

której oto stanęła dziś zwycięsko stopa moja i moich rycerzy, nadać wam w posiadanie, jeśli zgodzicie się złożyć mi przysięgę i wyznanie wiary.

Dan drgnął, rozejrzał się dokoła, zbity z tropu, ale jak każdy władca Walachii zachował jednak dobrą minę do brutalnej gry większych od niego.

– Myślałem, że mam w Waszej Królewskiej Mości dobrego przyjaciela. Nie takie warunki przekazywał mi starosta spiski Zawisza. I ręczył słowem rycerskim.

Zygmunt uśmiechnął się krzywo i usiadł na tronie. Zamiast niego przemówił marszałek Szatmár:

– Wspomniany przez was starosta, rycerz wielu zasług, jest wielkim wojownikiem, ale nie człowiekiem dyplomacji. Z woli władcy Węgier zmieniamy umowę. Złożysz hołd królowi, staniesz się jego lennikiem, w zamian za to nasz pan własną osobą ruszy na Targowiszte i inne grody, aby wypędzić z nich ludzi Radu Praznaglavy. Oltenia i Muntania będą oddane pod twoją władzę, gospodarze.

Dan milczał. Przez chwilę Zawisza poczuł na sobie jego gorący wzrok, kiedy książę wojewoda wyłuskał go z tłumu. Co sam czuł, tego nie mogło opisać w tej chwili żadne ludzkie i nieobelżywe słowo.

– Pochyl się z pokorą przed majestatem Boga i króla, wojewodo – przemówił rozedrganym głosem biskup Egeru. – Bez wsparcia króla Węgier niedługo będziesz władał Walachią, starczy, że sułtan wzmocni się na siłach i podeśle nowe wojska dla twojego stryjecznego brata. Oto proporzec, symbol gospodarskiej władzy, który przygotowaliśmy. Weź go, uklęknij i bądź wojewodą wołoskim raczej z woli Boga niż sułtana.

Do przodu wysunął się paż z proporcem wyobrażającym czarnego ptaka trzymającego w dziobie krzyż, na tle półksiężyca z gwiazdą.

Dan cofał się schylony, powoli, zdecydowanie, aż okryły go brody, czapy i futrzane szuby jego dworzan. Dalej wycofywać się nie miał gdzie, bo stojący przy wyjściu z namiotu rycerze skrzyżowali glewie.

– Wybieraj mądrze, mości gospodarze – powiedział Szatmár. – Nasze stráže są w mieście, węgierscy łucznicy obsadzili domy, a Radu ciągle siedzi w Targowiszte i zbiera siły, pisze też czołobitnie do przygranicznych perkułabów sułtana.

Wołosi naradzali się, szeptali do ucha swemu panu rady i obiekcje. Wyglądało, jakby zebrał się wokół niego rój natrętnych grubych bąków. Dan wyprostował się.

– Złożę hołd i ślubowanie – powiedział. – Jednak czynię to pod przymusem, a ty, marszałku, powinienesz wiedzieć, że niewielkie mogą być pożytki ze sługi zmuszonego siłą do posłuchu. Ja jednak dotrzymam hołdu, jeśli pomożecie mi wygnać z naszej ziemi przekłętą poturczeńca Radu.

– Zbliź się. – Zygmunt uśmiechnął się złośliwie i uczynił zachęcający gest.

Hospodar podchodził z wyprostowaną głową.

– Uklękniście – przemówił biskup. – Dalejże, okażcie pokorę, gospodarze.

Dan padł na kolana, ale głowy nie zgiął.

– My, Zygmunt król – powiedział Luksemburczyk – zgadzając się, mości księżę, na wasze i poddanych waszych prośby, nadajemy i odstępujemy waszej księżęcej mości w posiadanie ziemię, miasta i miasteczka oraz zamki Walachii, Muntenii i Oltenii. A przez oddanie tego oto proporca ustanawiamy i wprowadzamy ze szczodrobliwości naszej waszą inwestyturę nad wspomnianymi ziemiami.

Paź zniżył drzewce jeszcze bardziej, Dan przyjął proporzec – nie mógł go wyprostować, bo namiot był zbyt niski, więc klęczał, wyciągając go w stronę Zygmunta Luksemburczyka jak kopię.

– Teraz powtarzajcie za mną – wyszeptał marszałek Szatmár. A biskup podsunął do przysięgi ciężką, oprawną w skórę księgę Ewangelii.

Dan położył na niej rękę i mówił, wolno, jakby słowa z trudem przechodziły mu przez gardło:

– Ja Dan, syn Dana i wnuk Basaraba, księżę gospodar i najwyższy wojewoda Walachii, pan Muntanii i Oltenii, gór aż po Siedmiogród i ziemi aż po Dunaj, ślubuję i przysięgam Bogu wszechmogącemu, że od tej chwili aż po wieczne czasy będę wiernym, uległym, hołdownym i posłusznym ze wszystkimi swoimi poddanymi duchownymi i świeckimi najjaśniejszemu, miłościwemu panu Zygmuntovi, królowi Węgier, Niemiec, Czech, margrabiemu brandenburskiemu. W taki sposób, w jaki powinien czynić to księżę lenny i miłośnik pokoju. Tak mi, Boże, dopomóż!

Zygmunt pochylił się i wyciągnął rękę z pierścieniem. Dan ujął ją i prawie szarpnął, aby nie musiał zginać głowy. Ucałował, ledwie musnął wargami królewski znak.

Łoskot, łopot i trzask! To podniosły się boczne poły królewskiego namiotu, kiedy giermkowie i paziowie odpięli je i odsłoniли, ukazując zgromadzonym pod cerkwią tłumom Wołochów, jak ich gospodar korzy się przed królem Węgier. Krzyk, jęk zawodu wstrząsnął zimnym, wilgotnym powietrzem. Wciąż walił mokry śnieg, łatwo pokrywał koleiny odcisnięte w błocie, ślady końskich kopyt i stóp Luksemburczyka, ale nie uszczerbek na honorze Zawiszy.

*

Zawisza odbijał się od drzwi do kwater króla jak szmaciana piłka od ściany z tarcz. Zygmunt zatrzymał się w hospodarskim dworze; zarówno górne, jak i dolne drzwi strzeżone były przez przybocznych rycerzy, ponurych, ciężkich i małomównych Niemców. Starosta próbował choć na moment pomówić z Luksemburczykiem, prosił o chwilę rozmowy przez dowódcę straży, przez paza, przez nadwornego herolda... Bezskutecznie. Strażnicy krzyżowali przed nim krótkie glewie i gizarmy, ci z mieczami własną pierśią zagradzali drogę. Mógł tylko czekać, oparty o drewniane bale ganku, patrząc bezsilnie, jak Zygmunt konferuje z hospodarem i jego urzędnikami. Do króla mieli przystęp Wołosi – wielki dwornik, postelnik, na koniec wojewoda siedmiogrodzki. Wchodzili

i wychodzili różni ludzie, czasami nawet tacy, których konszachtów z Luksemburczykiem nigdy by nie podejrzewał. Lecz jemu, staroście spiskiemu i kruszwickiemu, rycerzowi należącemu do *aulici*, niegdyś przybocznemu króla, odmawiano wstępu. Zamiast żalu narastał w nim gniew, jak niegdyś w węgierskim wielmoży Felicjanie Zachu, który targnął się na życie króla Karola Roberta za znieważenie córki przez królewicza Kazimierza. Na szczęście nie odbierał mu zmysłów, może właśnie przez pamięć, jak marnie skończył rzeczony Zach i jego ród.

Sposobność trafiła się Zawiszy po południu. Drzwi otworzyły się i wyszedł przez nie István Szatmár, w węgierskiej szubie zapinanej na pętlice i wielkiej czapie. Nim zdołał dojść do schodów, stał już przed nim Zawisza, a marszałek drgnął, widząc jego zagniewane oblicze.

– Król nie ma czasu was widzieć – powiedział, uprzedzając pytanie. – Wezwie was w stosownym czasie, bo teraz przyjmuje hołdy Wołochów i ma naradę z wielebnym biskupem Egeru.

– Nie tylko do króla mam sprawę. Wy również jesteście w to wmieszani. Czuję się pohańbiony, bo poświadczyłem słowem wasze dobre intencje, a wy zmusiliście hospodara do złożenia hołdu poddańczego. Inaczej mówiliście w Budzie.

– Nie jesteś od polityki, mości starosto. Nie twoja rzecz mędrkować. Polityka bowiem ma wiele ust i nie zawsze przemawia głosem prawdy. Zapewne król wymyśli ci stosowną kompensację. A teraz dajcie mi, z łaski, przejść.

– Jedyłą kompensacją jest honorowy sąd Boży! – wypalił Zawisza. – Którego żądam od was tutaj, zaraz, bo to wy, jako główny doradca króla, wymyśliliście całą intrygę!

Nagle zdjął pancerną rękawicę i rzucił ją z rozmachem nic niespodziewającemu się Szatmárowi w... pierś. Nie w twarz, aż tak nie chciał go hańbić. Żelazo, ciśnięte z całą siłą, ugodziło w szubę boleśnie. Spadło w dół, na deski.

Podniósł się gwałt, krzyk, rwetes. Nagle Zawisza i Szatmár znaleźli się w gąszczu rąk, krótkich glewii straży. Przyboczni interweniowali

brutalnie – przytrzymując zarówno Zawiszę, jak i Szatmára. Nagle znieruchomieli.

– Co tu się wyprawia? – zagrzemiał jakiś głos. Głos dobrze znajomy Zawiszy. Przez zbrojnych przecisnął się potężny mężczyzna w zbroi, z mieczem przy boku, z rudawą brodą, szeroki w barach. Zawisza poznał Ścibora Ściborowica z Beckova, komesa marmaroskiego, dziś dowódcę straży Zygmunta. Jeszcze jednego Polaka na służbie Luksemburczyka.

– Pan starosta wyzwał na sąd pana marszałka dworu! – wyjaśnił jeden ze zbrojnych. – To gwałt, awantura pod bokiem króla!

– Zatem król będzie musiał ją rozsądzić. – Oczy Ścibora świdrowały to Zawiszę, to Szatmára. – Mości marszałku, proszę ze mną do komnat. A wy, Zawiszo, czekajcie. Nie odchodźcie!

To była groźba, bo rycerze przyboczni i ich pachołkowie otaczali Sulimczyka ze wszystkich stron. Nikt nie wyciągał ręki po jego miecz, ale spojrzenia były złowrogie.

Ścibor wskazał leżącą na ziemi rękawicę, którą natychmiast podał mu jeden z pachołków. Ujął pod rękę Szatmára i wszedł do komnat, do których od rana broniono wstępu Zawiszy.

Rycerz został sam w złowrogim kręgu. Pozostawało czekać, patrząc na padający śnieg, czując kwaśną woń dymu, którym czasem zawiewało z kominów. Zima się zbliżała. Serce podchodziło do gardła.

Za zamkniętych drzwi dobiegł odgłos ciężkich kroków. Drzwi otwarły się z łoskotem, obróciły na skrzypiących biegunach. Zawisza czekał zobojętniały, płatki śniegu osiadały na jego naramienniku, kiedy wiatr zawiewał je z boku na ganek.

Na progu stał Ścibor Ściborowic i... herold króla w jace z herbem Węgier. Patrzyli na Sulimczyka jakby rozbawieni.

– Mości Zawiszo – odezwał się herold – król patrzy łaskawie na twoją bojową ochotę, ale woli raczej wykorzystać ją do walki z niewiernymi niż do przelewania chrześcijańskiej krwi. Mocą swojej władzy suwerena uchyla twoje wyzwanie i zakazuje

pojedyńku z marszałkiem i komesem Nitry. Albowiem pojedynki wśród dworskich dostojników są niedozwolone.

Ścibor podszedł bliżej, wręczył Zawiszy jego własną rękawicę.

– Coś ty narobił? – zapytał cicho. – Utraciłeś łaskę Zygmunta, uderzając w jego ulubieńca. Król słucha go jak wyroczni. Idź. – Ujął go za ramię i podprowadził do schodów. – Nasz pan każe ci czekać na wezwanie. Wracaj do obozu czy na kwatery albo gdzie chcesz. Upij się, ale nie wszczynaj awantur.

– To sprawa honorowa.

– Czasy się zmieniły, Zawiszo. A ty jak zwykle do nich nie pasujesz. Idź już. – Poklepał go po plecach.

*

Zawisza postąpił tak, jak radził mu Ścibor. Upił się. W największej karczmie zajezdnej w Argesz, która cudem uniknęła rozdrapania i rabunku. Tego wieczora pełna była rozochoconych rycerzy i giermków. Pod drewnianymi sobotami, to jest podcieniami, czeladź i pachółkowie pili piwo czerpane wprost z beczek. W gorącym wnętrzu, ogrzewanym przez płonący pod ścianą ogień, jeszcze sto lat temu królowałyby rycerskie pieśni, truwerzy graliby i deklamowali „Opowieść o Róży”, powieści Chrétiena de Troyes i jego historie o Percewalu i Lancelocie, romanse o Yońcu i zaklętych kochankach. Dziś pili tu wino rycerze zaciężni. Zadziwiająca społeczność herbowych wojowników, którzy oddalili z serca miłość ku obronie chrześcijaństwa, a żyli z wojny – z żołądu i rabunku. Zaciężni rycerze, przestrzegający kodeksu, ale poza tym sprzedający za dukaty i grosze swoje usługi. Dlatego ściany trzęsły się od wojackiej muzyki. Pito tak, jakby jutro król miał podnieść podatek od beczki, śpiewano prostackie pieśni, dodając taktu i rytmu waleniem kuflami w stół, zataczano się, wadzono i przekrzykiwano. I zabawiano grą w karty, kości i klepaniem w chude zadki roznoszących trunki dziewczek, łapaniem ich za piersi, a czasem

nawet – co kończyło się krzykiem – przyciskaniem niewiasty do drewnianych bali ściany.

Zawisza odebrał dzban z winem i znalazł sobie z trudem miejsce na ławie, w kącie. Chciał być sam, przyszedł zresztą bez zbroi, ale z mieczem; jednak jego sława go wyprzedzała. Nagle ktoś przesłonił światło. Oswald von Wolkenstein.

– Nie jestem, broń Panie Boże, natrętny? – zapytał.

– Wiele ryzykujesz, minnesingerze. Przed chwilą wyzwałem na rycerski bój komesa Nitry i marszałka dworu, straciłem za to łaskę króla Zygmunta. Obcując ze mną, możesz podzielić ten los.

– Nie będzie gorszy niż niełaska, w jaką wtrąciła mnie harda odpowiedź, której udzieliłem kiedyś kaganowi Mongołów Mokgemu. Spytał mnie mianowicie, jaki jest najpotężniejszy pan w Europie. Kiedy odpowiedziałem, że cesarz, wpadł w gniew. „Mylisz się – odpowiedział – jest nim król francuski”. A kiedy podałem przykłady, jak tenże władca zmykał przed cesarskim majestatem, stało mi się gorąco i nieprzyjemnie. Ciesz się zatem, że nie masz do czynienia z barbarzyńcami.

Wyciągnął zza pasa róg ozdobiony srebrem i nalał sobie wina.

– Ci tutaj – Zawisza pokazał rozbawionych panów – zdają się podobni do twoich jeźdźców Tartaru.

*Rożży, panno, świeciczku,
Przysuczywa dratwiczku
Jako pirwe było.*

*Na pisane perzynie
Damy sobie do wole
Piwa i medu.*

*Rożży, panno, kahanec,
Ohledawa hned winec,
Jeszcze li je cał.*

– ryczała pijana kompania. Wędrowny kuglarz chodził na rękach po stole, omijając zręcznie kufle, kielichy i dzbany, a drugi zabawiał gości żonglowaniem kulami.

– Nie od dziś wiesz dobrze, że kończy się czas szlachetnych, a nastaje kupców i rzeźników. Co widzę i mówię jako *chevalier errant*, że się wyrażę w języku Marie de France. Świat się zmienia, na gorsze, niestety. Kiedy dawniej jeździłem do Burgundii, odwiedziłem dwory Nawarry, Kastylii, Aragonii i Szkocji, gdzie pokonałem jednego z Duglasów. Wszędzie spotykałem się z podziwem i gościna, podczas gdy dziś bierze się mnie za najemnika i pyta, za ile sprzedaję mój miecz. Nikogo nie obchodzi już, że w Portugalii obtańcowałem damy dworu, a królowa zaszczyliła mnie pocałunkiem. Liczy się pełna kabza i umiejętność mordowania. Nie ma znaczenia dworność, nie jestem znany z tego, że w Burgundii na dworze Cleve tak spodobałem się równocześnie księżnie Kalabrii i księżnie Marii de Cleve, że każda dała mi podarunek. Jedna welon wyszywany perłami, druga zaś bransoletę, o, to ta. – Wyciągnął spod rękawa cienką obrączkę. – Ważniejsze to, jak szybko rycerz rozłupuje czaszki wrogom.

– Król mnie pohańbił, złamałem słowo, które dałem gospodarowi. Niemczyku, wierszokleto, słuchaj! Nigdy przysięgi nie złamałem! Nawet tej danej Turkom czy Krzyżakom.

– Myślicie, że Luksemburczyk to dostrzega? To jest lekkoduch, zawsze wymówi się względami polityki. Wieki temu Étienne z Fourgères ostrzegał, że rycerzom tylko w głowie tańce, zabawa, polowania, kruszenie kopii i turnieje, podczas gdy wojny załatwiają za nich banici albo plebeje. Rycerze miecza dobywać winni w imię sprawiedliwości, a wszczynają wojny dla zysku, a kiedy przychodzi wezwanie do krucjaty, udają głuchych. Na szczęście są jeszcze ludzie honoru, wierzący w słowo i obronę maluczkich. Ty oczywiście, na drugim miejscu ja, ale uczciwość każe mi wymienić jeszcze dwóch spośród władców.

– Jakich?

– Król Władysław, wasz pan. Chociaż Litwin.

– Wy, Niemcy, ciągle zwiecie go poganinem.
– Poganin, ale słowniejszy od rycerzy Zakonu Maryi, co złamali zakon Boży niejeden raz. I poznali, co to gniew... pod Tannenbergiem.

Piosenka zmieniła treść, teraz pijane towarzystwo ryczało, aż trzęsły się ściany:

*Niedola była Jadwidze,
Poszła do lasu na rydze.
Takiego rydza znalazła,
Że ledwie spod niego wylazła!*

*Oj, rydzu mój,
Jakież to słodziutki korzeń twój.
Smażyłabych cię w smalcu,
Żebyś ty stęzał, malcu!*

– Jest jeszcze jeden władca, który dotrzymuje słowa. Cesarz turecki.

– Co ty opowiadasz? A może powiesz mi, że też go poznałeś?

– Nie, ale słyszałem historie. Czy gdyby kłamał, zdradzał, Bóg pozwoliłby, żeby odniósł tyle zwycięstw? Cesarz osmański ma uszy wszędzie. Pewnie wie nawet, że jesteśmy w Walachii. Usłużne języki już mu doniosły.

Zawisza pił wino prosto z dzbana. Podniósł się ciężko, cisnął naczynie, aż rozbiło się na ścianie.

– Bywaj – rzekł bełkotliwie. – Idę. Pora już, nie zaleję trosk wołoskim cienkuszem. Raczej spluczę je krwią...

Ruszył ciężko, zataczając się, do drzwi. Odrzucił jakiegoś pijaka, potknął się o pusty antałek po piwie. Kiedy wychodził, opierając się i otwierając ciężką połowę wrót, wiatr zachybotał płomieniami smolnych szczap i kaganków.

*Powrócił Jasio do dwora,
Dostał od Jagny bachora.
I teraz, Jasiu, co chcesz, rób,
Chyba już z Jagną weźmiesz szlub!*

*

Gedeon aż podskoczył, kiedy chybotące światło latarni wydobyło z mroku chudą postać siedzącą na ławie przy stole, w futrzanej szubie i żółtym pilśniowym kapeluszu. Porwał za miecz. I uświadomił sobie, że to jego wierzyciel. Kanaan z Pragi, Żyd, który uratował mu zdrowie i życie.

– Powoli, nie krzyczcie, bo jeszcze się załękniecie – powiedział gość, zasiadający bez światła w izbie, którą zajął dla siebie Gedeon w domu wołoskiego kupca w Argesz. – I jeszcze do poranionej spiny na grzbiecie dojdzie wam jakanina. Człowiek uczy się mówić wcześniej, milczeć późno, a wy w takim wieku jeszcze nie jesteście, abyście trzymali język za wrotami.

– Co tu robicie?

– Mistrz też tu jest – wskazał za siebie Żyd.

Kiedy Gedeon podniósł latarnię, zobaczył w ciemnym kącie izby zakapturzonego jegomościa, który uleczył go z bezwładu nóg. Zatrzął się.

– Czego chcecie?

– Przyjechaliśmy sprawdzić, jak idzie wam splata długu i gromadzenie aktywów, i porachować, co już mogę wpisać na tablicy w rubryce „ma” i „winien”.

– Tu jest wszystko. – Gedeon podszedł do okutej skrzyni, otworzył ją kluczem. – Futra kunie i rysie, dwa srebrne rogi od hospodara. Piękna nalewka z dzbanem. I jeszcze misa. Wszystko wasze.

– Dobrze, dobrze, staracie się, jak widzę. Ale wasze należności to nie tylko dukaty. Jesteście winni duszę...

– Która nie ma ceny – wycharczał mistrz. – I procenty od niej. Pamiętajcie wszak ostatni weksel, a?

Nagle drzwi otwarły się z hukiem, wpuszczając tuman śniegu. Od pochodni pojaśniało, rozległy się kroki, stuki. Do izby wszedł... Zawisza – bez zbroi, z mieczem przy boku. Z głową obwiązaną szarpami, posiniaczony, pokrwawiony, pokryty wysychającym błotem. Zataczał się i rozsiewał woń wina. Pijany? Gedeon pierwszy raz widział go w takim stanie.

Za nim weszli, stąpając ciężko... Żmudzini. Wizgird i Ursyn oraz dwóch pacholków, którzy nawet tutaj, w Walachii, wyglądali tak jak dzicy Litwini – zdradzały ich pogańskie, niesforne brody, podejrzliwy wzrok i niedźwiedzi chód.

Dźwigali coś, co budziło strach i zdumienie. Dwa ciała – dwa trupy pokryte ranami, krwią. Odziane w ciemne kaftany wypchane wełną, proste pasy, futrzane czapki z zaostrzonymi wierzchami.

– Co to ma być? – zapytał Gedeon. – Co się stało?

– A ci tutaj – Zawisza wskazał Żyda – kim są ci ludzie? Jeszcze chyba jestem twoim dowódcą. Muszę wiedzieć, kto kręci się wokół roty.

– To sławetny Kanaan, lichwiarz z Budy. Pożyczył mi pieniądze i uzdrowił. I jego sługa, mistrz...

– Poznają cię chyba. – Zawisza zmrużył oczy. – Widziałem cię...

– W Pradze, a później w Budzie, przy buncie plebsu – skłonił się Żyd. – Cała nasza gmina jest wam wdzięczna. Ocaliliście moją rodzinę, wpadając z Kumanami i nie pozwalając spalić domostw naszego kahału.

– Sam Bóg mi cię sprowadza. Wszak jako człowiek z plemienia mojżeszowego znasz się na medycynie?

– Mistrz wie wszystko, więcej, niż możecie sobie pomyśleć.

– Chcę wiedzieć, co to za ludzie. Skąd się wzięli! Komu służą?!

– To Wołosi – wtrącił Gedeon. – Widać już na pierwszy rzut oka.

– To już poznałem, głupcze! Ale czy mają jakieś znaki? Komu służą? Kto z nimi współdziałał?

– Nie wysmażysz tego z trupów.

– Za pozwoleniem – skłonił się Kanaan – wiele mogą nam podać wyniki autopsji, którą brzydzą się chrześcijańscy uczeni teologowie,

ale nas, Żydów, ich reguły nie obowiązują. Pozwól, żebym był lektorem, a mój sługa sectorem, jak na Uniwersytecie w Bolonii. Nie jesteśmy na szczęście w Rzymie i nie musimy wydobywać ciała z grobu.

– Czyń, co ci każe rozum. Bylebym tylko dowiedział się czegoś więcej o tych zbirach.

– Połóżcie, proszę, ciała na stole i zostawcie nas samych.

– Wykonać.

A kiedy Żmudzini kładli trochę już stężałe trupy na drewnianym stole, Gedeon obrócił się do Zawiszy.

– Wciąż nie wiem, co się stało.

– Zatem posłuchaj.

*

Po czym poznać dobrze zaplanowany zajazd, rapt i gwałt? Po tym, że zawsze okazuje się zaskoczeniem dla ofiary, zaczynając się w najmniej spodziewanej chwili. Tak było i w przypadku Zawiszy. Ledwie wyszedł za róg karczmy, na główną ulicę Argesz, przypominającą rozjeżdżone bagnisko, na które zacinał mokry śnieg, pokrywając koleiny, doły i ślady stóp miękką bielą, w mroku prawie potrafiła go kolasa. Pijany zatoczył się, obrócił w prawo, chcąc zwyzywać, a może nawet ściągnąć hardego woźnicę, kiedy dostał z tyłu cios w głowę. Nie padł od razu, łeb miał mocny, cóż z tego, kiedy zamoczony winem. Czapka z pękiem piór padła pod kolasę, a kolejne razy przyjął na gołą głowę. Złapał za miecz, ale nie zdołał go wydobyć. Pociemniało mu w oczach, padł, kiedy ktoś zdzielił go z tyłu w zgięcie kolana. Wypite świeżo wino pomagało dobrze napastnikom. Szamotał się, gdy wykręcali mu ręce w tył. A potem poderwali, rzucili na burtę przy przedniej hołobli, omal nie wybijając zębów. Dostał w szczękę od dołu, zemdliło go, z ust trysnęło ledwie przetrawione wino. Zobaczył odciąganą skórę, miejsce na wozie, gdzie chcieli... złożyć go, wrzucić. Po co...

– Pusszszszajcie! Do dydka!

– Ojciec was wzywa! – wykrzyczał mu do ucha jeden z tamtych. – Chodźcie z nami!

Ojciec, ojciec... jak to? – kołatało mu w głowie. Nie miał sił się bronić, nie miał szans, poobijany, skatowany. I wtedy stał się cud. Nagle rozległy się krzyki, błoto zmieszane ze śniegiem tryskało na wszystkie strony. Dławiący go ciężar, wykręcający ręce, zniknął, poczuł tylko raczej, niż zobaczył ciężkie ciosy, krzyk, charkot, łomotanie o burty i przedśmiertelne drgawki. Nagle zaczął trzeźwieć, osunął się w błoto, na kolanach zwrócił zawartość żołądka. Trwał w zimnie, we krwi, pobity. Zobaczył wokół siebie jeszcze mroczniejsze sylwety brodatych postaci z toporami i żelaznymi maczugami. Rozpoznał oczy Wizgirda. Podaną rękę zignorował i wstał sam, o własnych siłach, chociaż zaraz zatoczył się na burtę kolasy.

– Pewnie już o nas zapomnieliście? A my ciągle na służbie.

– Chcieli was porwać, zobaczyliśmy ich przed karczmą. Jeden czekał, drugi wszedł szpiegować. – Ursyn wskazał dwa ciała. – Jak wyszliście, drugi od razu zaciął konia batem, a ten pierwszy szedł za wami.

– Zdradliwa Wołosza! – krzyknął Wizgird. – Psy, diabli, czortki, biesy. Śmierdzą mi okrutnie, ale stawiam mój topór przeciwko starym łapciom, że mieliście wyjechać stąd żywi na tym oto wozie. – Ukazał odrzuconą skórę.

– Żyją? Podnieście ich.

Ciała były jeszcze ciepłe, jedno drgało, ale rany na głowach Wołoszynów, ich zdeformowane oblicza i połamane członki nie rokowały nadziei.

– Utłukliśmy kundle. Wybaczcie, nie było czasu.

– Winny jestem wam wdzięczność. I spłacę dług, nie martwcie się. Ale najpierw sprawdzimy tych ptaszków. Podnieście ciała. Wrzucie na wóz, jedziemy.

– Dokąd, panie?

– Do mnie, na kwaterę.

*

Zawisza, już umyty i odświeżony po kąpieli w parującej balii, wkładał od góry czystą koszulę, od dołu pludry, nogawice, giermek zawiązywał taśmy przesywanicy. Rycerz miał głowę obwiązaną szarpami, podsiniałe oko, chwiał się trochę na nogach.

– Szlachetny i wielmożny panie starosto – zaczął Kanaan – obejrzelśmy ciała twoich wrogów, nacięliśmy je i dotarliśmy do organów.

– Znaleźliście coś?

– Pierwsza rzecz, że to nie Wołosi.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Są... jak by tu rzec... obrzezani. Mają wycięty najmniejszy kawałek wstydliwego członka.

– A więc Saraceni.

– Nie muszą to być Turcy, panie. Tę małą rzecz tracą także dzieci rodu mojżeszowego, Karaimowie, Tatarzy. Ale nie to jest najdziwniejsze.

– Mów. – Zawisza usiadł przy stole, upił trochę wina i skrzywił się.

– Każdemu z nich brakuje kawałka ciała. Jednemu małego palca u prawej stopy, drugiemu... połowy lewego ucha.

– Najemni łotrzykowie, szelmy i bryganci. Karani cechowaniem.

– Nie mają żadnego piętna. Dziwne, ale nie znalazłem w ich żołądkach śladów mikstury, grzybów, ale to jeszcze nie wszystko. Są rzeczy, do których nie trzeba narzędzi, noży ani piły. Wystarczy szczypta rozumu i pomoc Boga. Dziwne, że żaden z nich nie miał przy sobie srebra ani złota.

– Nie rozumiem.

– Jeśli zostali wynajęci, żeby was porwać – odezwał się Gedeon – ktoś im musiał zapłacić. Więc gdzie schowali lafę?

– Ukryli albo... mieli odebrać dopiero po robocie. Nie uważacie?

– Natomiast przy jednym odkryliśmy to. – Żyd położył na stole małą skórzaną pochewkę, właściwie mieszek na rzemieniu. Powoli, starannymi ruchami odgiął górną część i wydobyl ze środka

świsstek papieru. Rozkładał go powoli, ukazując kartkę wielkości dłoni. A na niej...

Coś niezwykłego, rysunek jak obraz wijących się niczym węże linii, tworzących jakby powtórzoną literę D, a oprócz tego gąszcz splątanych, wijących się zawijasów. Zawisza przeżegnał się.

– Boże mój, cóż to jest?

– Tugra. Monogram Turków i innych ludów z Południa, z pustyni, z Azji, nawet z naszej Erec Jisrael.

– Ziemia Święta? Ale tam teraz panują Saraceni.

Zawisza ujął papier, gładził go, wodził palcami po splątanych liniach.

– Podobnie wygląda monogram sułtana. Ale to nie jest jego podpis. Tu nie ma słów: *Murad bin Mehmed han muzaffer*, czyli Murad syn Mehmeda, pan zwycięski. Wyczuwam inny sens tego znaku.

– Jaki?

– Nie wiem. Potrzebuję czasu, żeby go odczytać. Może w Budzie, kiedy już wrócę, zapytam rabina, choć pewnie trzeba będzie oprzeć się aż na głowie naszej jesziwy. Zobaczę, czy wspomocze mnie mój sługa.

– Wezwij go i niech czyta.

– Nie ma go tutaj.

– Jak to, był w mojej izbie! – mruknął Gedeon.

– O panie – uśmiechnął się Kanaan – to nie takie proste. Mój sługa przychodzi i odchodzi, ma swoje sprawy, czasem bardzo ważne. Ale pokażę mu tę tugrę i zapytam. Bądźcie pewni.

– Zrób, co w twojej mocy. Dobrze cię wynagrodzę.

Kanaan skłonił się, zabrał papier i zaczął wycofywać się tyłem.

Zawisza miał mętlik w głowie. „Ojciec cię wzywa! Chodź do ojca!” – szeptały głosy, powtarzały niewyraźne duchy napastników. Nie miał już sił.

– Nalejcie wina. Nie mam sił – powiedział.

– O, wasza miłość nie powinien pić – odparł Żyd. – Z winem przychodzą złe myśli.

– Wy, Żydzi, zawsze coś złego myślicie. Dla nas to napój mędrców.
I bogów.

– Jahwe by tego nie powiedział.

*

Na Targowiszte, prawdziwą stolicę Walachii, ruszyli po pierwszych śniegach. Wolno, grzęznąąc w błocie i zaspach, omijając od południa wysuwające się w stronę Dunaju ostatnie języki Karpat. Góry nie były już tak wysokie jak na północy, ale o tej porze roku nie do przejścia przez armię z taborami.

Miasto leżało już na bezkresnej równinie, przy pogórzach. Większe niż Argesz, otoczone murami, z kamiennym zamkiem gospodarów i konkurującymi z nim kopułami cerkwi błyszczącymi w zimowym słońcu.

Nie było szturmów, oblężenia ani walki. Władza Radu padła na samą wieść o zbliżaniu się armii, której towarzyszył król Zygmunt Luksemburski. Miasto otwarło bramy, biło w dzwony, których brzękliwy głos rozchodził się po równinie. Kiedy podeszli bliżej wychodzącej na południe Bramy Bukaresztańskiej, ceglanej, z hurdycjami, wysuniętej przed mury, we wrotach pojawiła się procesja – popi i diakoni z chorągwiami, krzyżami. A gdy Dan pod eskortą straży podjechał do nich na siwym koniu okrytym tureckim czaprakiem, rozległ się krzyk, jęk zachwytu. Poczet powitalny mieszczan i duchownych padł na kolana, witając władcę chlebem i solą; niektórzy leżeli plackiem w dobrze udawanym geście pokory. Ostatnimi czasy gospodarowie zmieniali się co trzy, cztery lata i lud Targowiszte miał czas, aby przeciwzyć hołdy i oznaki poddania.

Dan ucałował chleb, nie schodząc z konia, przywołał miejscowego kniazia i rzucił tylko jedno słowo:

– Radu?!

Ręce wyciągały się na północ, w stronę zamku. Dan strzelił koniowi nahajem przy uchu i popędził galopem przez bramę, ulicą na wprost, między drewnianymi domostwami i ścianami

otaczających ich parkanów. Wszystkie oblepione były szarą masą pospólstwa.

Pędził w kompanii doborowych rycerzy i bojarów, obryzgując plebs błotem, niewiele poświęcając mu uwagi. Prawda była bolesna i wołoska. Miasto witało go po raz piąty. Od siedmiu lat prowadził walkę z Radu, to zwyciężając, to upadając i uciekając, w zależności od tego, czy większej pomocy udzielił Radu sułtan turecki, czy jemu samemu Siedmiogród, Węgry lub gospodar Mołdawii.

Walachia była jak chorągiew na wietrze – skąd wiało, tam obracał się gonfalon z czarnym orłem. A że nie sposób było wojować z Turkami, mając pod bokiem księstwo z kilkoma tysiącami lekkiej jazdy, zatem wiatry te często zmieniały kierunek na węgierski.

Dan jechał prosto do rezydencji gospodarów poza miastem, na brzegu Jałomicy i jej rozlewisk. Przez bramę i puste, ośnieżone pole do twierdzy wymurowanej z kamienia i cegły. Zatrzymał się zaraz za bramą, bo szedł do niego poczet sług i dostojników, cały dwór poprzedniego hospodara – spartar, dwornik, perkułabowie, ihumeni klasztorów, bojarzy i kniaziowie. Poczet bogaty, w futrach, w karmazynowych szatach i płaszczach, w czapkach i szyszakach, które zdejmowali na widok nowego hospodara.

Był i Radu Praznaglawa, Pusta Głowa, jak przezywali go nie tyle z powodu łysiny, co faktu, iż łatwo otworzył duszę na fałszywego proroka Turków, zdradzając chrześcijaństwo. Zresztą nikt nie wiedział, jakiej naprawdę był wiary, bo chodził też do cerkwi i przyjmował komunię. Teraz już jednak nie mógł się odmienić. Leżał bowiem nagi, obdarty do koszuli, siny i martwy na marach, które służebnicy hospodarscy porzucili przed koniem Dana.

Hospodar zsiadł, przeżegnał się, pomodlił. Położył rękę na głowie stryjecznego brata, próbując zamknąć mu oczy, ale trup był zbyt sztywny.

– Rozkazuję przynieść najlepsze szaty i przyodziać Radu. Chciał być hospodarem, niech będzie nim i po śmierci.

Przynieśli długą, powłóczystą szubę z ciemnoczerwonego aksamitu, z żółtą podszewką, z ozdobnymi listwami. I na ramiona

zarzucili kapę wyszywaną perłami, z wizerunkami świętych tkanymi złotą nicią. I kosztowny czepiec skrzący się od klejnotów. I tureckie buty z zawijanymi noskami.

A kiedy wykonali rozkazy, Dan uczynił znak krzyża.

– A teraz weźcie go na plac i poćwiartujcie ciało. Każdy kawałek nabijcie na pal i ustawcie przed bramami Targowiszte. Chciał Radu panować nad stolicą, niechaj ją obejmie wszystkimi członkami...

Wszedł w tłum dostojników, wołając swoich ludzi i jak się okazało, katów. I tylko wskazywał: ten, tamten. Wielki dwornik, spartar, perkułaba Sylistrii, Buzau i Rimnicy. I zaraz strażnicy łapali wystraszonych, wlekli za mury twierdzy, gdzie już czekały świeżo obrobione pale i dziury wybite w ziemi, szczęściem nie tak jeszcze zamazanej. Podniosły się krzyki, wrzaski, błagania, szłochy, kiedy rozdzielali ich z szat, nacinali zady czekanami, a potem nawlekali na pale starym słowiańskim sposobem. Starczyło sześciu chłopów ciągnących dwie liny przywiązane do nóg skazanego, aby nawłóczyć go szybko i sprawnie, prosto lub krzywo, od czego zależała później jego dalsza męka.

Bojarzy i możni zdradzili Dana, wypędzając go i przywołując Radu. Gospodar więc wywyższył ich, sadzając zamiast na stolcach przybocznej rady na zaostrzonych palikach, na przestrozę innym. Natura ludzka wszakże nigdy nie uczy się z cudzego nieszczęścia.

– Radu zginął od trucizny – powiedział potem Gedeon, kiedy wrócił do roty Zawiszy z posłuchania u hospodara. – Nikt już nie dojdzie, kto dosypał mu albo dolał odpowiedniej tynktury.

– Szkoda, że nie widziałem ciała – mruknął Kanaan. – Czy miał wytrzeszczone oczy, ślinę i pianę na ustach? Czy męczył się przed śmiercią?

– Tego nie wiem, ale szlachetny Dan nie mógł zamknąć mu oczu.

– Być może *Cicuta virosa*. Jeśli nie cierpiał, to mogli też dodać opium, które łatwo rozpuszcza się w winie. Wstrzymuję się jednak z opinią, gdyż nie widziałem. Wszak głupi mówi, co wie, a mądry wie, co mówi.

– To już nie ma znaczenia – mruknął Gedeon. – Opuszczam rotę, gdyż gospodar raczył uczynić mnie jednym z *joldul*, to znaczy dowódcą przybocznych gwardzistów. Mam przewodzić dziesięciu pocztom zbrojnych, są wśród nich i Polacy.

– Pieniądz to błoto, ale błoto wcale nie jest pieniądzem. Twój preceptor nie będzie zadowolony.

– Ale za to twoje tablice napełnią się liczbami, a kabza złotem.

– Z pieniędzmi nie jest tak dobrze, jak źle jest bez nich.

*

Przez długie, ciemne dni po Bożym Narodzeniu śnieg walił dzień i noc, wiatr dał przez szczeliny w drzwiach, przeciskając przez nie płatki śniegu, porywając popiół i dym z paleniska. Wałać zamkniętymi okiennicami, zawałając drogi i trakty zaspami większymi niż człowiek. Dopiero po Trzech Królach wyrzało słońce, rozświetlając Walachię pokrytą bielą, jak odnowioną, czystą i piękną. Szaro-brązowe szczyty pięły się teraz ku górze jak rogi jednorożców, żyjących gdzieś w tych stronach. Niebo było czyste i piękne, świeciło słońce, krople skapywały z dachów, na krańcach okapów zaczęły tworzyć się świetliste sople.

W taki właśnie dzień, piękny i słoneczny, wezwano Zawiszę do kamiennego obronnego dworu kupieckiego, w którym stanął na kwaterę król Węgier. Dom był piętrowy, specjalnie dla Zygmunta przebito dziury w ścianach, powiększając komnaty i objając ściany kobiercami. Zawisza jechał tam zobojętniały, wchodził po schodach, oddawszy miecz przybocznym, i od razu wpadł w sam środek dworskiej awantury. Kiedy bowiem paż otworzył przed nim drzwi, król Węgier, siedzący przy stole, przy którym zasiadali i inni komesowie, wściekał się, bijąc pięścią w leżący na deskach rozpieczętowany list. Był w takiej furii, że na koniec porwał pismo z wściekłością i ciskał strzępami prosto w oblicza gnących się w ukłonach dostojników. A byli to: któż by inny, jak nie Szatmár,

ponadto komes Temeszwaru Stefan Rozgonyi i dwóch ludzi w niemieckich szatach – tych Zawisza nie znał.

– Dwanaście tysięcy węgierskich dukatów? Za co, ja się pytam? Za kawałek skały?! Ile są warte kamienie łupane w górach koło Temeszwaru? Po grzywnie od wozu? Powiedzcie, komesie!

– Kiedy mrozy, chłopci nie łupią głazów – rzekł Rozgonyi. – Od wiosny nie będzie nawet pół kopy groszy praskich za wóz.

Przerwał zasapany i chwycił za złoty, wygięty róg do picia.

– Niech zapłaci Jerzy Branković, pamiętając o mojej umowie! Miał mi przekazać zamek bez żadnych dodatkowych warunków. Przypomnijcie mu to i zaraz napiszcie, a potem wyprawiajcie posłańca! No, skończyłem.

Dopiero teraz dostrzegł Zawiszę stojącego spokojnie przy drzwiach – skinął na niego.

– *Komm!* – wykrztusił. – *Komm!*

Zawisza zbliżył się i skłonił sztywno, jakby w dzieciństwie połknął kij.

– Z czym przychodzisz?

– Zapewne nie po to, by poprawić humor Waszej Królewskiej Mości. Mam paskudną gębę, język jak kołek i nie nadaję się na dworaka. Zaraz też pewnie znowu dowiem się, że jestem w niełasce po wyzwaniu wielmożnego marszałka do walki.

Niespodziewanie Zygmunt podstawiał róg słudze, który wlał kolejną porcję jasnego wina z miodem i korzeniami. I uśmiechnął się.

– Wreszcie ktoś, kto nie boi się mówić prawdy. Wszyscy są tacy u was, w Polsce! I dlatego was cenię. Ciebie, Ścibora, jego syna, pana Balickiego, nieboszczyka. Nie gniewam się, sam byłbym zły, gdyby ktoś ze mną tak postąpił. Tylko że ja nie jestem maluczkiem. Jestem królem i stoję ponad gramatyką i polityką.

Zawisza milczał.

– Przeze mnie złamałeś słowo, mój grzech, biorę go na moje stare barki. Nie przejmuj się.

– Właśnie że się przejmuję, Wasza Wysokość. Nas, ludzi maluczkich, nie stać, żeby kupić szacunek złotem i nadaniami. Możemy zdobyć go wyłącznie poprzez rycerskie postępowanie. Dlatego podtrzymuję, zostałem znieważony i dotknięty.

– Jestem pewien, że mój spowiednik albo biskup Nitry powiedziały ci teraz, że słowa dane schizmatykom i zdracliwym Wołochom nie muszą być dotrzymanywane.

– Krzyżacy mówili tak samo. Dopóki nasze miecze nie zamknęły ich ust.

– Nie mogłem zostawić pod bokiem Walachii, która jest bardzo płocha, i samemu brać się za bary z sułtanem. Teraz mam hospodara w garści, jest moim lennikiem. A z tobą zrobimy tak – skinął palcem król. – Jak wrócę do Budy, co każdy poniedziałek benedyktyni z opactwa Świętego Marcina na Górze Panońskiej będą odmawiać przez dziewięć kolejnych poniedziałków modlitwę do Świętego Józefa w intencji zmazania twojego grzechu. Ojciec Hermann mówił mi, że nikt, kto ją usłyszy, nie umrze nagłą śmiercią ani nie utonie, nie podziała też na niego trucizna. I co, sprawa załatwiona?

– Za grzechy możnych nie da się płacić modlitwami maluczkich...

– Dobra, dorzucę ci jeszcze dwie zdrowaśki w tygodniu. Chyba starczy, co? Bo we wtorki i środy braciszkwowie uwalniają z kolei mnie od obmierzłych grzechów *adulterium*, a w pozostałe dni... cóż, mają sporo roboty przy wygładzaniu występków mojej... hm, królowej, sam wiesz, jak jest.

– Skazy na honorze nie można odkupić, Wasza Królewska Mość. Czy wasza miłość chce, aby dalej służył mu człowiek, który łatwiej łamie słowo niż trzcinkę?

– Oczywiście, że tak. Do diabła, Zawiszo, czasy się zmieniły, nie jesteśmy już na dworze króla Artura i Baldwina, obrońcy Grobu Świętego. Dziś mamy nowoczesną Europę i dobrze byłoby, gdyby ludzie tacy jak ty znaleźli się w niej bez... przesądów. Dlatego zbierzesz rotę i wrócisz jak najszybciej do Budy.

– Słucham, panie.

– Zbierają się tam wojska i zaciężni. Dopilnujesz, aby byli dobrze zaopatrzeni i przygotowani do wiosennej kampanii. Bo ledwie zejda śniegi, wyruszasz, tak, tak, nie musisz dziękować, na czele krucjaty. Bić Turków. Wszystko przygotowaliśmy z marszałkiem Szatmárem i ze Ściborem, kiedy ty zdobywałeś Argesz. Bądź więc wodzem krucjaty, poprowadź ją na naddunajskie grody, jak ci obiecałem. Bo ja przecież zawsze dotrzymuję słowa.

Nagle wstał i chwycił Zawiszę za ramię, obrócił go do zgromadzonych przy stole wielmożów.

– Mili moi panowie, komesi i rycerze królestwa Węgier i Rzeszy! Oto Zawisza Czarny z Rożnowa, starosta spiski i kruszwicki, którego postanowiliśmy mianować wodzem nowej wyprawy krzyżowej. Pijcie jego zdrowie i słuchajcie rozkazów!

Podniósł się gwar, krzyki, wiwaty. Swój róg uniósł nawet Szatmár.

*

Gdziekolwiek by spojrzeć na wschód Europy, bania zawsze była taka sama. Drewniana budowla z bali, w środku dwa przedsionki – dla niewiast i dla mężczyzn. I dalej komnatki o podłodze wykonanej ciesielską robotą z okrągłaków, z paleniskiem z kamieniami i ławami pod ścianami.

Kiedy łaźiebnicy lali wodę na rozgrzane kamienie, para waliła pod sufit, zmieniając izbę w królestwo białych oparów, jak cementarz pełen jest duchów w noc dziadów. Zasłona przesłaniała twarze, przekroczył ją tylko Gedeon, który przemykał z brzozową miotełką pomiędzy nagimi postaciami, czasami okładając się po plecach i szorując po rękach i nogach.

Rozglądał się dyskretnie, śledził majaczące w oparach postacie, lustrował je od stóp do głów, wreszcie, kiedy już dowiedział się tego, co chciał, usiadł na ławie, zamoczył witki w wodzie i od niechcienia zaczął okładać się po plecach, pochylony do przodu.

Z sykiem i szumem w powietrze uniosła się nowa porcja gorącej pary. Świat znikł, zrobiło się ciepło, mokro, wilgotno. W oparach

zamajaczył jakiś człowiek z przymkniętym, prawie ukrytym pod opadającą powieką prawym okiem. Usiadł, położył rękę na udzie Borkowica.

– Śledzisz mnie, chłopcze? A może chcesz mi sprawić taką łaźnię jak waszemu księciu Leszkowi w Gąsawie? Nie pozwolicie mi ukończyć ballady o waszym przybranym ojcu?

– Z tego, co mówicie, wnioskuję, że chyba śnię się wam po nocach. Za dużo poezji, za mało rozsądku, panie minnesinger. W Targowiszte jest tylko jedna bania, zły los sprawił, że obaj zapragnęliśmy w tym samym czasie kąpieli.

– A może to nie przypadkowe spotkanie, ale wola Boża. – Wolkenstein prawie załaskotał językiem ucho Gedeona, a ten zobaczył przebłysk błękitu w jego przymkniętym oku. – Mów, o co mnie podejrzewasz. Od samego początku, od spotkania w Krakowie, patrzysz jak wróg. A mnie, uważasz, całkiem się to podoba. Jestem jak myśliwy, którego łechce, że idzie jego tropem największy wilk z lasu. Nie wiedząc, że człowiek ma potężniejszą od niego broń.

– O nic was nie podejrzewam. Mogę powiedzieć pod przysięgą. Odsuńcie się jednak, z łaski swojej, trochę dalej, bo ja prostak z Polski i nie znam się na waszych cesarskich i frankońskich obyczajach.

Gedeon wstał powoli i odszedł, przedzierając się przez kłęby pary. Mówił prawdę, nie miał żadnych podejrzeń co do minnesingera. Wolkenstein miał wszystkie członki w porządku. I żadnych pogańskich amuletów na szyi czy ręce. W łaźni obejrzał go bowiem dokładnie: od stóp do głów.

*

W czasie kiedy Gedeon pocił się w łaźni, król Zygmunt Luksemburski wyrwał z ręki sekretarza list, który właśnie nadszedł, przeczytał go sam, do końca; przebiegł wzrokiem łacińskie wersy i zgniótł papier w garści. A zaciśniętą pięścią uderzył się w czoło.

– Słuchać mnie wszyscy! – krzyczał. – Wstawać, głupcy, kapuściane głąby! Do mnie! Do mnie!

Przestraszeni dworacy klękali, pochylali się, pędzili do króla, do tronu i stołu, kulili się bezradni, a Zygmunt szedł obok nich, roztrącał, przewracał. Ich oczy były puste, przerażone jak wzrok bezrozumnego cielęcia. Strach, pokora, oczekiwanie. Jakże żałował w tej chwili, że odesłał Zawiszę do Budy. On jeden mógł wesprzeć jego serce odwagą.

– Wołajcie Ścibora Ściborowica – rozkazał marszałkowi. – I przynieście wina. A potem posłuchajcie. Golubac... – zajęczał, łapiąc się za głowę. – Mój Golubac! Stało się!



Bóg Wszechmocny powiada: mam armię, której dałem imię „Turcy”; kiedy ludzie budzą mój gniew, zsyłam na nich moich Turków.

Powiedzenie arabskie



Tureckie rozmnożenie podobne jest morzu, którego nigdy nie przybywa ani ubywa [...]. A także poga- nie pokoju nigdy nie mają, zawsze się burzą a kole- bia. Albowiem aczkolwiek się w jednej krainie uciszy, a wszakoż się w drugiej o brzegi tłucze. [...] Turcy też to podobieństwo mają: nigdy w pokoju nie są, zawsze walkę wiodą rok od roku, z jednych ziem do drugich, a jeśli gdzie przymierze uczynią, toć przez swój pożytek, a w drugich krainach wszystko złe czynią.

Konstanty z Ostrowicy, „Kronika turecka”





Rozdział VIII

Ja gorę!

Pod koniec zimy Buda, a przede wszystkim położony na lewym brzegu rzeki Peszt stały się jednym wielkim obozem wojskowym. Pokrytymi śniegiem, zamarzniętymi traktami ciągnęły tutaj roty i banderie, maszerowały oddziały piechoty i zaciężni kusznicy. Kiedy nadchodziła odwilż, ruch zamierał, wozy grzęzły w błocie, konie okulawiały się, wyciągając ciężkie zaprzęgi. Zbrojni zatrzymywali się wtedy w miasteczkach i wioskach, wznawiając marsz, dopiero kiedy północny wiatr mroził ziemię lodowatym

oddechem, pozwalając śmiało iść po grudzie i przechodzić rzeki po lodzie.

Polskie rotę zaciężną Jana Nieziorowskiego i Piotra Wody ze Szczekocin były już od jesieni na miejscu, rycerze rozbili obóz pod zamkiem, na zimę przenieśli się do Budy, pozostawiając tabory. Przyjeżdżali kolejni ochotnicy i zaciężni, do rotę Zawiszy dołączyli panowie Tokaj i Szaro z rycerskimi pocztami spod Sanoka, oprócz nich bracia Krzeszewscy, Bujnowicz i Stańczyk. Przybyli brandenburscy zbrojni Zygmunta i najemnicy wystawieni przez miasta Pomorza Tylnego. Dotarła rota krzyżowców z Bawarii pod wodzą młodego księcia Ludwika, syna Henryka zwanego Bogatym. Zjeżdżali się gromadami niemieccy rycerze wystawiani przez biskupstwa. Zwykle jednotarczowi, zbyt biedni, by wyłożyć gotowiznę na cały poczet kopijniczy, składający się po kilku na jeden wóz. Przybywali na chudych koniach, okrytych kapami i pancerzami zamiast ladrów. W nieosłoniętych kirysach albo w starych, czarnych zbrojach okrytych po dawnemu tunikami i prostych hełmach – łębkach bez zasłony.

Nie żył już ulubiony kondotier Zygmunta Luksemburczyka Pippo Spano, ale maszerowały z Italii nieliczne zaciężne kompanie piechoty i zbrojnych. Za nimi szła bośniacka lekka jazda – w półokrągłych, lekkich hełmach, w brygantynach, białych tunikach i przesywanicach. Ciągnęły znad położonych na południu komitatów węgierskie wyprawy biskupie. Banderie składające się z ubogich rycerzy, dzierżawców ziemi, prowadzone przez wyznaczonych hauptmanów. Lżej zbrojni niż rycerze, zwykle w płatach nałożonych na kolczugę, rzadko który paradował w kirysie, pełnej zbroi. Zwykle przewijały się kolczugi, proste szłomy lub kapaliny. Do ich oddziałów dołączali nieliczni chłopscy łucznicy w kosmatych czapach, kaftanach ze wschodnimi łukami, jakich używali Turcy i Tatarzy. Wbrew pozorom było to wojsko wyćwiczone w walkach z zagończykami tureckimi i obronie granic. Czasem przypominające ludzi sułtana, bo na lekkich koniach,

z buńczukami zawieszonymi na szyjach wierzchowców i we wzorzystych czaprakach zakończonych frędzlami.

Na koniec działa. Zygmunt zawczasu kazał odlać w Wenecji, w Grazu i Salzburgu ciężką artylerię oblężniczą, jakiej nie widziano jeszcze nigdy w królestwie. Pościągał z górnych Węgier i Austrii hufnice z zamków i miejskich cekhauzów. Teraz wieziono puszki pod Budę, co kosztowało więcej niż odlanie. Jechały umieszczone troskliwie na wozach, ciągniętych nawet przez sześć par koni. Długie taraśnice zdjęte z obsady. Ciężkie moździerze zakopywane w ziemi dla oddania strzału. Bombardy z krótką lufą, ustawiane do walki na drewnianych łożach zaopatrzonych w koła, z pierścieniem w miejscu, gdzie lufa przechodziła w komorę prochową. Ładowane odtylcowo oblężnicze foglerze o długich lufach, wzmocnionych pierścieniami przypominającymi wielkie gąsienice.

Zawisza zwijał się jak w ukropie. Wyznaczał stancje, rozwadzał zaciężnych, nie raz i nie dwa musiał pacyfikować głowy rozgrzane węgierskim winem i niemieckim, ciężkim słodowym piwem. Przyjmował skargi mieszczan o skrzywdzone cnoty córek i zrabowane beczki z trunkiem, a nawet chłopskie lamenty o wyniesione z komory korce ziarna, kury, kaczki, gęsi, kończące żywot w obozach i na kwaterach zaciężnej piechoty króla. Ściągał z pomocą burgrabiego i komesów beczki słoniny, żyta i krupy Dunajem z Górnych Węgier i kraju przed Anizą. Nie było tego wiele, bo w Czechach ciągle buchał ogień, trwała wojna husycka, chodziły słuchy, że taborcy zamierzają wyprawić się na Śląsk, a nawet – wspomóc sułtana w walce z królem Węgier. Dlatego ze Śląska, Saksonii i części Rzeszy nie przybyły żadne posiłki.

A kiedy to wszystko zaczynało się już układać i uspokajać, pewnego wietrznego dnia zagrzmiały trąby, załopotwały chorągwie. Wracał z Walachii król Zygmunt, z dworem, nadwornymi rotami i banderiami, z zastępami darmozjadów, dworzan, pochlebców i doradców o jadowitych językach. Zawisza patrzył na to wszystko jak na kłębowisko żmij. Zygmunt od razu zwołał wojskową naradę,

chciał już planować marsze i podboje, chociaż dopiero zbliżały się święta Wielkiejnocy.

*

Na naradę zeszli się w Wieży Stefana, na dolnym piętrze; gdzie i tak słychać było wściekle zawrodozenie i podmuchy wiosennego wiatru, który przynosił odwilż, strącał z dachów płaty mokrego śniegu i z łoskotem szarpał okiennicami. Duł też w szczeliny okien tak mocno, że chygotały płomienie pochodni i świec.

Byli wszyscy uczestnicy krucjaty, którzy zdołali dotrzeć do Budy. Poza samym królem palatyn Węgier Mikołaj Garai, ponadto ban Słowenii i Chorwacji Ścibor Ściborowic, z pozoru cichy i pokorny marszałek István Szatmár, Jan Maroti, nowy ban Mačvy, komesowie Stefan Rozgonyi z Temeszwaru, odpowiedzialny za przygotowanie wymarszu, i pozostali zarządcy przygranicznych komitatów: Torontál, Szerém, Bács-Bodrog, Pozsega, wojewoda siedmiogrodzki Wojko Serbian, Ludwik Bawarski, Włosi i niemieccy rotmagistrowie, biskup Egeru Peter, polscy dowódcy i postać, na której widok podniosły się wąsate i brodate gęby, oczy i usta otwierały się ze zdumienia. Niewiasta; w obszytym futrem houppelande, w czepcu siatkowym z bocznymi poduszkami. Spoglądała bystro i ciekawie na zgromadzenie, wszelakie wątpliwości rozwiał zaś sam król, który ujął ją za rękę, złożył na niej pocałunek, po czym powiedział:

– Wielmożni panowie, oto przedstawiam wam Cecylię Rozgonyi, małżonkę naszego zacnego komesa Temeszwaru, która z własnego wiana ufundowała nam piękną flotę na Dunaju. Jej statki przewiozą działa, proch i wiwendę, kiedy będziemy odbijać tureckie fortece.

Podniósł się gwar, mężczyźni zaczęli się kłaniać, uchylać czapek, kołpaków i kapeluszy.

– Jak ja mam zwać wielmożną panią komesową? – zamruczał Braubach. – Żołnierką nie śmiem, bo takowe moje ptaszki pytlują aż do zdercia za każdym postojem w wiosce. Żołnierzycą? Hetmanową po czesku? Hetmanką?

Zygmunt skinął na pazia, który otworzył skórzane puzdro i wyjął z niego szachowe figury oprawione w kość. Zygmunt rozstawiał je osobiście na leżącym na stole aksamicie, na którym naszyte kawałki sukna przedstawiały Dunaj, Widyń, Walachię i dolne Węgry.

– Przyjechałem do was wzburzony i pełen obaw – powiedział – albowiem sytuacja zmieniła się od lata zeszłego roku, kiedy rozważaliśmy niespodziewane uderzenie w serce włości sułtana – na dawne carstwo Bułgarii, a nawet na Adrianopol.

Wskazał czarnego króla i damę ustawione daleko na południu.

– Pomocą przy tym był układ z serbskim despotą Stefanem Lazareviciem, jaki zawarłem w Tata dwa lata temu. Choć bowiem książę walczył przeciwko nam w bitwie pod Nikopolis, przez całe życie chciał uwolnić się od ciężkiej ręki Osmanów. Zgodziłem się więc udzielić jemu i jego następcom pomocy. W zamian za dwa zamki: Belgrad i Golubac, a także krainę Mačwę na Posawiu. Zatwierdziłem też, że jego następcą będzie Jerzy z Brankoviciów. I tu zaczęły się perturbacje i impertynencje.

Wszyscy milczeli, czekali, aż król ustawił dalsze figury na mapie, na pograniczu Walachii, Węgier oraz dwóch zadunajskich carstw: Widynia i Tyrnowa, podbitych lata temu przez Turków.

– Kiedy w zeszłym roku zmarł Stefan Lazarević, Branković oddał nam bez żalu Mačwę, a także Belgrad, którego nie byłoby w stanie obronić. Kłopot w tym, że wojewoda Jeremija, który rządził w Golubacu, zdradził i przekazał zamek Turkom, wpuścił tam bisurmańską załogę. A kiedy nowy despota chciał go upomnieć i odzyskać twierdzę, obiecując nawet łaskę dla Jeremii, ten urządził na niego zasadzkę i omal nie zabił.

– Wasza Wysokość, a nie można było próbować udobruchać go złotem? Wykupić twierdzę, względnie dać mu w zamian jakiś zamek w Styrii albo w Siedmiogrodzie? – zapytał komes Szerému.

Na ustach Ścibora Ściborowica i Szatmára pojawiły się na chwilę uśmieški.

– Nie było takiej możliwości! – zagrzemiał król. – Jeremija jest przeklętym poturczeńcem, sługą samego Belzebuba i szatańskiego

proroka. Oddając Golubac Turkom, obraził mnie, króla Węgier, rzucił rękawicę, jak nasz drogi Zawisza ciska ją w twarze naszych wrogów. I ja ją podejmę. Zdobędziemy Golubac, zanim ruszymy na posiadłości sułtana.

– Wasza Królewska Mość, niełatwe zadanie – odezwał się Braubach. – Golubac to orle gniazdo, przyklejone do skał Dunaju. Ptak tam przeleci, ale nie człowiek.

– Rozpocznijmy długie oblężenie, a moi ludzie spragnieni są rycerskiej sławy – prychnął Ludwik Bawarski. – Wasza Królewska Mość nie obawia się powtórki Nikopolis? My zajmiemy się zamkiem, a tymczasem nadejdzie sułtan z całą armią?

Zygmunt położył rękę na ramieniu Szatmára.

– Golubac jest jak rana w naszym boku – powiedział marszałek. – Tam mamy dogodny bród i drogę obok gór na Temeszwar, Segedyn i inne nasze miasta. Przez tę szczelinę Turcy mogą łatwo wejść do królestwa, jak wąż, który wślizguje się do domu przez zapomniany otwór.

– A co, jeśli w czasie oblężenia nadejdzie armia sułtana? – rzucił ktoś. – Będziemy walczyć z Osmanem z twierdzą za plecami?

– Nie będzie długiego oblężenia! – zagrzemiał król. – Wszystkie papieskie dziesięciny, cła targowe, opłaty od koni i bydła obróciłem na artylerię, zostając prawie żebrakiem, a nie królem! Ku chwale Pana, oczywiście. – Przeżegnał się. – Mamy już prawie dwieście puszek, część z Italii, od naszych przyjaciół z Wenecji. Resztę odlanych w Austrii i zabranych z całego kraju. Z taką artylerią mury Golubaca pójdą w gruzy w ciągu ledwie kilku dni. Załatamy tę wyrwę i wyruszymy na Adrianopol!

– Jak Wasza Królewska Mość zamierza użyć artylerii w tak górzystym terenie? – zapytał Helmold, jeden z hauptmanów. – Znam bardzo dobrze to miejsce, Golubac jest na stromych skałach, mury schodzą do rzeki, która jest bardzo szeroko rozlana.

– I na to znajdzie się sposób – mruknął Szatmár – dzięki naszej drogiej pani Cecylii, która w nieskończonej łaskawości oddała na usługi naszego króla swoją liczną flotę. Przeniesiemy lżejsze działa

na statki i ostrzelamy zamek z wody tam, gdzie mury muszą być cieńsze.

– Poza tym – odezwał się mistrz Urban Hossbach, starszy nad królewską armatą – ciężką artylerię rozłożymy na równinie ponad zamkiem, na południe od niego. Będziemy bić z moździerzy i bombard ustawionych pod dużym kątem, dopóki nie rozkurzimy w proch tureckiego szmatławstwa.

Zapanowała konsternacja. Książęta, rotmagistrowie, komesi patrzyli jeden na drugiego, niektórzy kręcili głowami.

– Cóż to, nie chcecie pomścić zniewagi własnego króla i arcychrześcijańskiego władcy?! – wybuchnął Zygmunt. – Mnie tutaj znieważono, odbierając dziedzictwo i zamek. Spodziewałem się większej chrobrości po narodach węgierskim i niemieckim. Co najmniej takiej jak po Polakach!

– Pozwólcie, aby zabrał głos dowódca wyprawy, starosta Zawisza z Rożnowa. Pod jego imieniem zgromadziły się tutaj hufce pańskich wojowników – odezwał się książę Ludwik.

– Niech mówi!

– Pewnie, mości Zawiszko, słuchamy.

– Ja sam stanę na czele krucjaty! – wypalił Zygmunt. – Z całym szacunkiem, mnie tutaj obrażono, więc nasz zacny Zawisza z pewnością ustąpi mi miejsca. Mnie pytajcie.

– Dajcie jednak głos staroście! – prawie krzyczał Ludwik. – Albo my stąd pójdziemy. Mówcie, proszę!

Zawisza wystąpił, poblady. Zgryzł złość jak orzech, zniewaga spłynęła po zbroi, pozostawiając jednak wżery na sercu.

– Szlachetny królu, książęta i wy, panowie Rzeszy i Węgier. Przybyłem tutaj z rotą dzielnych ludzi z Królestwa Polskiego, aby walczyć z Turkami. Nie zmienię tego, bo jakiś psiarczyk odebrał nam pograniczny zamek, gdyż nie boję się ani diabła, ani sułtana. I pójdę walczyć pod Golubac i gdziekolwiek jeszcze, gdyż taka jest moja powinność jako chrześcijańskiego rycerza polskiego.

Zygmunt słuchał tego i uśmiechał się, zaraz jednak zamarł.

– Mam jednak nadzieję, że w zamian za moje poświęcenie nasz najjaśniejszy pan, król Węgier, będzie ślubował nam, że jako wódz krucjaty nie opuści nas nawet w najgorszej godzinie, nie zostawi pola z chrześcijańskimi wojownikami i będzie z nami do samego końca w walce. Nasz pan z pewnością złoży taką przysięgę, podobnie jak ja ustępuję mu miejsca, jako godniejszemu.

Luksemburczyk patrzył na Zawiszę. Nic nie powiedział, ale z kolei wzrok obecnych spoczął na jego postaci, ciążył, przeszywał, gniótł niemiłosiernie, jak spojrzenie kamiennych posągów dawnych wojowników.

– Przysięgam – wykrztusił Luksemburczyk. Podniósł dwa palce w górę. – Ślubuję wam monarszym słowem, że do końca nie opuszczę pola chwały i zmyję hańbę Nikopolis. Cóż jeszcze?

Nie było entuzjazmu. Dowódcy mruździ, rozglądali się, podniósł się gwar rozmów.

– Nie na takich warunkach mieliśmy walczyć – mruździł Ludwik. – Ale pozwólcie, miłościwy królu i nasz suwerenie, abyśmy zwołali rady naszych dworzan i rozważyli wasze słowa w spokoju.

– Czyńcie, co uważacie. Ja zamykam radę.

Rozchodzili się powoli, rozmawiając podniesionymi głosami, drapiąc się po głowach, bijąc w piersi.

– Zawiszo – powiedział król – wynagrodzę ci to.

– Waszej Królewskiej Mości prawo rozkazywać, a moje słuchać albo... wypowiedzieć służbę.

– Nie będziesz już sługą. – Zygmunt ważył coś w głowie. – Będziesz mi bratem. Zaufaj mi, mości starosto. Nagrodzę cię, sam nawet nie wiesz jeszcze, jak bardzo!

*

W podziemnej sali w zachodnim skrzydle zamku królewskiego w Budzie, pod kaplicą trwała ceremonia. Było zimno, aż z ostrołukowych sklepień skapywały krople wody. Na zewnątrz świat zrzucił okowy zimy, rynsztokami płynęły całe rzeki wody,

kawały roztopionego śniegu spadały na głowy przechodniów, Dunajem spływały gęste kry.

W kręgu wielkich woskowych świec trwała ceremonia. W zbrojach, w pancerzach, w obszytych futrem szatach stali wybrani dostojnicy, komesi i banowie królestwa. Stefan Batory – ciemny i nieodgadniony sędzia dworski i podskarbi. Potężny, zgięty nieco ze starości palatyn Węgier Mikołaj Garai, może zbroja ciągnęła go do grobu; przyjaciel nieboszczyka królewskiego faworyta Ścibora ze Ściborzyc, którego miejsce zajął komes Nitry Istvan Szatmár. Jego tu jednak nie było. Stał za to uśmiechnięty Mikołaj Csaki, komes Bekiesz, Bihar i Szolnoka. Młody Emeryk Perényi, sekretarz królewski. I dalej kilku panów, wśród nich, w białej zbroi minnesinger, rycerz *errant*, podróżnik, pieczeniarsz prawie nigdy nieprzyłapany na kłamstwie – Oswald von Wolkenstein.

Był też, co oczywiste, król Zygmunt.

Mikołaj Garai szedł, a raczej posuwał się; w rękach trzymał łańcuch, na nim zaś order przedstawiający smoka pożerającego własny ogon. Przed nim klęczał w pełnej zbroi Zawisza Czarny, bez hełmu, z obojętnym wzrokiem.

– Dziś dołączasz do bractwa, *Fraternitas Draconum* – mówił Stefan Batory – do grona prałatów, komesów i możnych. Których zaprosiliśmy do zgromadzenia przez wzgląd na ich szczerą chęć zmiążdżenia podstępного nieprzyjaciela, zmiecienia czcicieli pradawnego smoka, pogańskich rycerzy, schizmatyków oraz ich popleczników. A także ich szczerą i gorącą wiarę i chęć służby pod sztandarami tryumfującego Chrystusa.

– Jak Święty Jerzy pokonał smoka, tak ty zwyciężysz nieprzyjaciół. Oto order bractwa, dziedziczny, noś go w chwale i zawsze zwyciężaj – dodał Mikołaj Garai, wkładając na szyję rycerza łańcuch ze smokiem i ledwie widocznym łacińskim napisem: *O Quam Misericors est Deus, Pius et Iustus*.

– Jesteś naszym bratem razem z Henrykiem, zwycięskim królem Anglii, Władysławem, władcą Polski, Alfonsem Aragońskim, królem Neapolu, Krzysztofem, księciem Bawarii, Ernestem Żelaznym,

królem Danii, i innymi książętami i panami. Witaj w godnej kompanii, panie Zawiszo z Rożnowa – powiedział Emeryk Perényi.

Król Zygmunt uderzył Zawiszę w policzek ceremonialnym mieczem o szerokim ostrzu, z jelcem ukształtowanym na podobieństwo wijącego się smoka, a raczej biblijnego węża; ze złotym krzyżem na płazie. Uścisnął, ale nie ucałował.

Zawisza wstawał powoli, a wkoło rozlegały się krzyki, świst mieczy wyciąganych z pochew...

Podobne krzyki rozlegały się w obozach wojskowych pod Budą, na rycerskich kwaterach w mieście. Ciury siodłały konie, giermkowie i pachołkowie sprawdzali popręgi i puśliska, paski i siodła. Całe oddziały wsiadały na koń i opuszczały stolicę, na czele z ludźmi księcia Ludwika z Bawarii.

– Zygmunt dowodzi! – szła wieść między piechurami i niemieckimi zaciężnymi. – Odebrał godność Zawiszy. To zły znak!

– Mieliśmy walczyć pod Zawiszą! – krzyczeli niemieccy zaciężni, brodaci i wąsaci, że gdyby nie pomorskie gryfy na jakach, można by ich wziąć za Krzyżaków.

– Zygmunt robi nowe Nikopolis! Nie takie były warunki!

– Luksemburczyk na czele! Nie będzie wesele! – śpiewano po piwnicach z winem. Kłopoty się zbliżały.

*

– Cóż ustaliliście na radzie na zamku poza tym, że król odebrał ci godność wodza krucjaty? – zapytał Wolkenstein Zawiszy, kiedy wieczorem siedzieli przy winie zaprawionym korzeniami.

– A po cóż chcesz to wiedzieć? Rada miała być sekretna.

– Wszyscy gadają, że mamy iść pomścić zniewagi Luksemburczyka. Poza tym skoro piszę pieśń o twoich czynach, powinienem znać nawet niektóre tajemnice, o których przekupki w Budzie będą gadać już jutro.

– Nic ci nie powiem. Módl się jednak, aby rozprawa z Turkami znów nie rozbiła się o niezgodę i właśnie w obozie chrześcijan.

Wtedy utoniemy w morzu muzułmanów.

– A ty sam nie chcesz odejść? Umyć ręk, jak Piłat? Po cóż służyć Zygmunтови, który cię tak potraktował. I to po raz drugi!

– Ja w przeciwieństwie do króla dotrzymuję ślubów. A przysięgałem przyprowadzić mu rotę do walki.

– Wiesz, że gdybyś chciał, każdy z obecnych tu książąt przyjmie twoje usługi z pocałowaniem. Sam Ludwik z Bawarii pytał mnie, czy nie masz dość służby. A jego, choć ma ledwie siedemnaście wiosen, już nazywają Bogatym, jak jego ojca. Powiedział: dwór u mnie wprawdzie nie królewski, ale zasługi są w czystym złocie, którego tak brakuje królom i diukom”. Sam wiesz, kopalnie w Rattenbergu i Kitzbühel warte są więcej niż osobiste klejnoty króla Węgier.

– Przekaż mu wyrazy uszanowania, ale mogę odejść od Zygmunta, dopiero gdy skończy mi się czas służby.

– Podziwiam twój honor i upór. I za ten pierwszy się napiję!

*

Zaraz po Wielkiejnocy dwie fale, dwie rzeki zbrojnych rozeszły się spod Budy w różne strony. Niedoszli bawarscy krzyżowcy, ochotnicy z Rzeszy, część posiłków przysłanych przez książąt, ruszyli w drogę powrotną do domu. Polacy, Węgrzy i zaciężne rotę królewskie na południe, drogami na Kecskemét i Segedyn, prosto do granicy. Rycerska jazda wyszła dzień wcześniej niż piechota i mimo roztopów zostawiła ją daleko w tyle. W pierwszym rzucie lekka węgierska konnica i łucznicy, potem Bośniacy, wreszcie nadworna rota Ścibora Ściborowica, zaciężne polskie i morawskie – Zawiszy, Nieziorowskiego i Wody, niemieckie ciężkozbrojne, konne. Kopijnicy z pocztami, za nimi węgierskie pograniczne banderie. A dalej rycerstwo zwołane w ramach lennych powinności, gorzej zbrojne, lżejsze, lecz przecież w zbrojach i na koniach okrytych kapami i czaprakami zamiast ladrów.

Najlepszą drogę ze wszystkich wojsk miały działa. Te bowiem załadowano na galery i szkuty, a potem spławiano w dół Dunaju,

który pozbył się już kry, a po odwilżach wezbrał, czyniąc żeglugę łatwiejszą.

Dzień drogi po jeździe wyruszył dwór Zygmunta i jego goście. A potem – rotty piesze i kusznicze. Te miały najgorzej. Odwilż zmieniała drogi w trzęsawisko, w którym ludzie grzęzli po kolana, wozy zagrzebywały się wyżej osi, a muły i konie mogły się łatwo utopić, jeśli przypadkiem potknęły się w zaprzęgu albo zaplątały w szorach. Po czterech dniach rycerstwo i zabłocone tabory były już w Segedynie, próbując młodego wina, a artyleria stała w porcie razem z zapasami prochu, podczas gdy piechota dotarła ledwie pięć mil od stolicy. Zygmunt nie chciał czekać – poderwał wojsko do dalszego marszu przez wysychające pola komitatu Torontál do Belgradu, który świeżo objął w posiadanie. Tu doczekali się wreszcie pieszych rot, które Braubach i Cecilia Rozgonyi zaokrętowali na skonfiskowanych kupcom statkach i tratwach, po czym spławili w trzy dni aż do Smedereva, które Jerzy Branković uczynił swoją stolicą po zrzeczeniu się Belgradu i wzniósł tam ogromny trójkątny zamek z szarego kamienia. Jego proste wieże zwieńczone zębatymi blankami budziły podziw i respekt, kiedy konna armia Zygmunta dotarła tam cztery dni później. Teraz ruszyli szybciej. Był początek kwietnia, trakty wysychały. Słońce przygrzewało, roztapiając resztki śniegu. W mieście czekał na nich sam despota Serbii z obiecaną pomocą trzech tysięcy rycerzy. Trzydzieści i dwa lata wcześniej ich ojcowie pogromili pod Nikopolis wojska węgierskie króla Zygmunta. Dziś woleli służyć chrześcijańskiemu monarsze, niż czuć na grzbiecie turecki korbacz.

Świeża zieleń zaczęła pojawiać się na drzewach i krzakach, młoda trawa przebijać przez wyschnięte, zeszłoroczne badyle. Konie rzucały się na nią jak wściekłe, zajadle walcząc i wyrywając każde źdźbło.

Szli dalej, tym razem wolniej niż statki, bo na ich drodze znowu pojawiły się góry, wykręcające ku południu, odchodzące od Karpat i przez Żelazne Wrota Dunaju łączące się z Bałkanami. Te były bardziej skaliste, ale mniej strome. Ogromna rzeka przebijała się

przez nie gwałtownymi skrętami i zawojami. Zataczając półkola i tworząc bagniska, jeziora i trzęsawiska. I wreszcie w dzień Świętego Wojciecha męczennika, patrona Polski, którego na Węgrzech nie obchodzono, dwudziestego trzeciego kwietnia, roku Pańskiego tysiąc czterysta dwudziestego ósmego ujrzeli przed sobą góry i spalone miasteczko Golubac. Cwierć mili dalej był zamek. Dunaj skręcał tutaj na wschód, tworząc ogromną wyspę na środku nurtu, a potem zwęzał się, płynąc między ogromnymi górami i skałami. Zygmunt Luksemburski zebrał przybocznych i dowódców, wyjechał konno na górę na tureckim brzegu rzeki, skąd widać było zamek.

Ujrzeli przed sobą orle gniazdo – białą twierdzę zbudowaną na tak stromej skale przyklejonej do gór, że nie zdołałby wspiąć się na nią człowiek, nawet nieobciążony wojennym rynsztunkiem. Od brzegu rzeki wznosiły się i wchodziły na strzelistą górę dwie linie murów przetykane prostokątnymi lub kanciastymi wieżami. Schodziły się, tworząc niższą część twierdzy. Ale była jeszcze wyższa – z podmurowaną jak donżon wieżą strażniczą, dającą widok i panowanie nad całą doliną Dunaju. Mur miała tylko od wschodu; służył wyłącznie do wejścia, znacznie skutecznie chroniły ją bowiem ogromne przepaście i ostre skały, opadające pionowo w dół aż do samego lustra wody.

Wjazd był od zachodu, główna brama tylko jedna, w cieniu niższej baszty. Druga wychodziła na wschód z wykutego w skałach korytarza, osłonięta skałami. Pomędzy lewym murem a przepaściami wzniesione były – niczym stopnie wyrąbane w górze – kolejne budynki, służące jako mieszkanie załodze. Najniżej zaś za nadrzecznym murem widniał kryty czerwonawą dachówką dach mieszkania komendanta twierdzy.

Wysokość i to, że umocnienia zawijały się pod kątem, myliły wzrok. Nie sposób było od razu rozpoznać, którądy podejść do twierdzy i czy w ogóle poza wąskim pasem łąk pomiędzy Dunajem a górami jest jakaś inna droga do zamku.

Zapadła cisza. Nawet Zygmunt Luksemburski nie rzucał jak zwykle słów na wiatr ani nie przechwalał się mądrościami.

– Panie wszechmocny! – odezwał się w końcu Braubach. – Myślałem, że jest niższy.

– Mówiłem Waszej Królewskiej Mości – odezwał się hauptmann Helmold. – Golubac tłumaczy się gołąb, ale i ten nie wleci na mury. Tu trzeba mieć siłę skrzydeł orła.

– Przynajmniej jeden jest z nami – powiedział Zygmunt, patrząc na Zawiszę. – A wy też macie je na herbach. Dalej, rozkładamy obóz, piechota już jest, musimy jak najszybciej zablokować ten kurnik. I rozstawić działa.

– Ale gdzie? – zapytał bezradnie mistrz Urban. – Chyba na górach? Nie pod samą twierdzą.

– Wydajcie rozkazy. Panie Zawiszo, jesteście odpowiedzialni za założenie obozu. Panie Ściborze, proszę wysłać patrole po okolicy. A wy, mistrzu, bierzcie się do tyczek, cyrkli i rydlów. Chcę, żeby głowa tego zdrajcy Jeremii jak najszybciej spadła na dziedzińcu zamku. Niech wie, że nie obraża się bezkarnie króla trzech nacji i elektora Brandenburgii.

*

Siedem długich dni minęło, zanim oblężenie zaczęło się na dobre... Najwięcej krwawej roboty było z ustawianiem dział, które należało rozładować ze statków, przeciągnąć lub przewieźć na wozach na wkopane w ziemię stanowiska, przesłonięte zasłonami z grubych bali. Zaklinować pod odpowiednim kątem, wymierzyć i przygotować do strzału. Mistrz Urban Hossbach ustawił zwykłe bombardy i foglerze na zachód od zamku, na błoniach o tysiąc pięćset stóp reńskich od bramy wjazdowej. Lżejsze targańce pozostawił na statkach. Natomiast prawdziwa męka była z wciągnięciem trzech wielkich moździerzy na górę. Tak bowiem chciał król Zygmunt! Wyładowano je ze statków w wiosce Golubac, a potem, załadowane na wozy, każdy ciągnięty przez dziesięć par koni, przewieziono krętą

drogą na górę nad zamkiem. „Przewieziono” nie było odpowiednim słowem. Puszkarze cechowi, piechota i czeladź po prostu pchali pojazdy razem z końmi, w najbardziej stromych miejscach wspomagając się linami przywiązanyymi do drzew.

Nieopodal, na drugiej górze, Zawisza kazał rozłożyć obóz, otaczając go pierścieniem z wozów. Z górującego nad taborem szczytu twierdza w Golubacu wyglądała jak dziecinna zabawka. W dół, do przeprawy na Dunaju, były stąd dwie drogi – kręta wzdłuż strumienia i szersza, ale stroma, między grzbietami gór, opuszczająca się do spalonej wioski nad Dunajem.

W wigilię Świętego Macieja Apostoła – był trzynasty dzień maja, słoneczny i ciepły – przemówiły armaty. Wcześniej Zygmunt nakazał wysłać do zamku list przytwierdzony do strzały. Obiecywał w nim warunki poddania wprost nieznane w wojnach z pohańcami. Wolne wyjście dla całej załogi z bronią pod warunkiem wydania twierdzy i wojewody Jeremii. Odpowiedzi nie było.

Grzmot dział był tak wielki, że drżała ziemia, ludzie tracili słuch, a oszalałe z przerażenia konie zrywały się z uwiązów, tratowały ludzi, zrzucały jeźdźców i uciekały w góry. Ogień bombard i foglerzy skierowany był na mur przy rzece i prostą kurtynę obok bramy wjazdowej. Tam był wprawdzie najgrubszy, ale i najłatwiejszy do ostrzelania. Mistrz Urban po cichu liczył, że nie wznoszono go, aby przeciwstawić się artylerii. Jak było naprawdę, mieli się dopiero przekonać.

Moździerze nie strzelały do takich celów. Kamienne kule szły stromym torem i opadały na zamek z góry. Pierwsze były niecelne, ale puszkarze szybko skrócili odległość i uderzenia zaczęły spadać na międzymurze, na baszty oraz budynki. Z przerażającym skutkiem. Pociski przebijały dachy i belkowania, zabijając Turków w środku, a jeśli zderzały się ze skałą, rozpadały się na tysiące ostrych odłamków zasypujących obrońców gradem śmierci. W tym jednym przypadku sama natura okazała się wrogiem fortecy. Gdyby Golubac znajdował się na równinach, gdzie kule grzęzłyby w ziemi, działanie moździerzy byłoby o wiele słabsze. Tu wszędzie była

twarda skała, a każda kamienna kula, choćby chybiła, rozpadała się po uderzeniu.

Najcięższe działa nie mogły bić cały czas. Na początku mistrz Urban zezwolił tylko na trzy strzały dziennie. Potem lufy rozgrzewały się od ogromnych ładunków prochowych; nie można było chłodzić ich wodą, gdyż mogły pęknąć i rozlecieć się przy kolejnym załadowaniu. Po każdym strzale przedmuchiwano ładowane odtylcowo foglerze miechem, bombarde próbowano chłodzić ziemią i skórami nasączonymi octem. Moździerze pozostawiano do ostygnięcia.

Trzeciego dnia ostrzału do akcji weszła flota pani komesowej. Statki poczęły podpływać pod twierdzę, zataczać koła i bić z taraśnic w odcinek muru nad rzeką. Był słabszy i posypał się pierwszy. Ujrzeni pęknięcia, rozbite blanki między wieżą koło pałacu, słyszeli wrzawę i krzyki, kiedy dobrze wymierzone strzały zmiatały z murów tureckich żołnierzy. Załoga na razie nie przejawiała dużego oporu. Widzieli na wieżach turbany, odbłaski światła na szyszakach, postacie przesuwające się po murach i na najwyższej wieży – sygnały nadawane wielkim zwierciadłem gdzieś na drugą stronę Dunaju. Oblężenie trwało.

*

Minęły ponad dwa tygodnie, nim mur między bramą a półokrągłą, potężną wieżą, wzniesioną na skałach za Stefana Lazarevicia, zaczął pękać, walić się. Każdy kolejny strzał odrywał nowe odłamy sklejonych zaprawą kamieni. Kurtyna od strony Dunaju była już tylko rumowiskiem, z którego sterczały w górę – jak ostatnie zęby w szczęce żebraka, nieliczne ocalałe kamienne blanki.

Załoga robiła, co mogła, aby przeszkodzić w zagładzie twierdzy. Tureccy łucznicy strzelali cały czas, niebezpiecznie wychylali się spoza krenelaży, jakby spodziewając się osiągnąć lepszy zasięg. Na nic. Strzały odbijały się od drewnianych zasłon taraśnic, a jeśli

nawet godziły w ludzi, było zbyt daleko, aby przebić pancierz lub kolczugę.

Były i straty – pękły dwie bombardy, kilka targańców trzeba było wysłać do Budy, dla przelania na nowo. Moździerze rozgrzewały się tak bardzo, że mistrz Urban nakazał strzelać tylko raz dziennie, bo wiosna była już późna i zaczynały się upały, jeszcze nie tak dokuczliwe, ale zapowiadające skwarne i słoneczne lato.

Choć był już dostęp do Golubaca, Zygmunt wstrzymywał szturm. Opóźniał, pomimo iż parli do niego dowódcy. Jednak zamek zbudowany na stromej górze stanowił prawdziwy labirynt zabudowań, składów i pomieszczeń połączonych murami, wąskimi przejściami i pomostami. Łatwo było urządzić w nim zasadzkę, a nawet bronić się w strażnicach, wieżach, do których artyleria nie miała przystępu, a mury były grube i wysokie. Król czekał, choć wojsko rwało się do boju, wysyłał kolejne pisma, ale jedyną odpowiedzią były strzały i obelgi. Golubac trwał pomimo miesięcznego oblężenia.

Był początek czerwca, kiedy do obozu zwała się cała masa koni. To przybył gospodar Dan Basarab z ponad sześcioma tysiącami konnych *curteni* i pospolitym ruszeniem *hinsari*, konnymi łucznikami. Ta jazda dobrze nadawała się do pościgów i uganiania za Turkami po rumelijskich stepach.

Razem z Wołochami przybył i główny perkułaba, dowódca zaciężnych gospodarów, Gedeon Borkowic. Zawisza prawie go nie poznał, gdy wkroczył do namiotu. Nie był już w zbroi, ale w pancierzu kolczym, z tureckim kirysem, który tworzyły okrągłe, połączone na piersi blachy. Na głowie miał futrzaną czapkę, miecz przy boku, wysokie skórzane buty zamiast trzewików, pod pancierzem zaś przeszywany i pikowany gęsto karmazynowy kaftan. A jego koń wywołałby pewnie zbiegowisko w Krakowie czy Wilnie. Zamiast na ciężkim, krągłym kopijniczym dextrariusie przyjechał na tureckim rumaku bojowym. Mniejszym, krótszym, ale przepięknie zbudowanym, jakby uformowała go sama grecka Artemida, tworząc zwierzę prawie doskonałe, lotne jak ptak, mocne niczym gibka

miedź i łagodne jak niebiańska gołębica. To nie był koń pod ciężkiego kopijnika. Miał charakterystyczny krótki i kształtny łeb, duże, jakby przerażone oczy. Zawisza od razu poznał, że wierzchowiec idzie ostro do przodu, a przełamuje szyki wrogów raczej szybkością niż ciężarem swoim i zakutego w blachy jeźdźca.

– Widzę, że się poturczyłeś, a raczej zwołoszałeś – powiedział na powitanie Sulimczyk. – Lepiej powodzi ci się na służbie u hospodara niż u mnie w rocie. Pamiętaj jednak, że władcy Mołdawii i Wołoszczyzny zmieniają się szybciej niż sułtan i król Węgier koszule.

– Myślałem, że się ucieszycie. Cóż, zbroje i kopie nie nadają się do pościgów po skałach i górach. Przywiozłem wam też niezwykle nowiny.

– Jakie nowiny?

– Sławetny Kanaan, pokażcie swoje oblicze.

Zza koni pachółków Gedeona wyszedł Żyd z Budy, który prowadził dla Zawiszy oględziny ciał dwóch porywaczy z Argesz. Skłonił się i stał, czekając na słowa rycerza.

– Chodźcie do namiotu, co będziemy tak stali, zapraszam.

W środku było duszno i gorąco, a jednak Gedeon opuścił płachtę, zasnurował starannie, wcześniej sprawdzając, czy w pobliżu nie ma obcych.

– Odczytaliśmy czarną tugrę z Wołoszy.

– Wolałbym, aby pan szlachcic mówił precyzyjniej: nasz wierny sługa Kanaan odczytał – odezwał się Żyd. – Ale tak, to prawda.

– Mów wszystko, słucham. Wynagrodzę za dobre wieści.

– Nie są to wieści, jakich wielmożny pan się spodziewa. – Kanaan rozłożył na stole kartę ze znakiem nakreślonym czarnym tuszem. – Tak jak mówiłem, tugra to znak, jak podpis, herbowa albo królewska pieczęć. Tureckie należą zwykle do sułtana i jego dworu. Ale ta jest dziwna.

– To znaczy?

– Spójrzcie, panowie, na ten zawijas na dole znaku. To całe słowo: *szejch*. A tutaj znowu, ten duży znak wpisany w całość oznacza *eabd*.

Dalej jest prosto, widzicie to słowo, znaczy ono *Murad*, a ten ogromny zawijas: *han*. Ostatnia część górna napisu to *muzaffer daima*. Co brzmi: *Szejch eabd Murad han muzaffer daima*. Tłumacząc na waszą łacinę, znaczy to: „Szejch, niewolnik sułtana Murada, zawsze zwycięskiego”.

Zawisza i Gedeon popatrzyli na siebie, ale niewiele z tego rozumieli.

– Kim jest ten szejch? To syn sułtana, jakiś dostojnik?

– Boże Izaaka i Jakuba, ja już z góry wiem, że odpowiedź nie zadowoli szlachetnego pana Zawiszy. To jest tytuł imamów i duchownych, którzy wyznają wiarę w Proroka.

– A więc to jakiś... mułła? Jak z ich świątyni w tatarskim kącie w Trokach?

– Nie tylko, szlachetny panie. Mułła to ichniejszy ksiądz, powiedzmy... taki proboszcz. A szejch to także przywódca tureckiego bractwa. A tych jest kilka.

– Jakich? – zainteresował się Gedeon.

– Ot, choćby kadiryci, którzy nawracają Żydów i chrześcijan. Rifaici, ci z kolei stąpają po węglach, połykają węże, przebijają różne części ciała, a ślina ich szejcha powoduje zamknięcie ran. Są też kalendaryci, wędrowni, bosonodzy pielgrzymi, niemający niczego na własność. Mewlewici, wpadający w szaleństwo podczas tańca przy dźwiękach piszczałek i bębnów. Których wybierasz?

– Imputujecie, że chcieli mnie porwać jacyś... mnisi? Derwisze? Co obracają się w kółko, wykrzykując imię ich fałszywego proroka? Po co? Nie jestem ani świętym, ani królem, wolę zginąć, niż się poturczyć. Co z tego wynika? Nic.

– Właśnie – zagadał Żyd – ja wiedziałem, że moja odpowiedź nie zadowoli szlachetnych. I ja sobie pomyślałem: „Kanaan, za takie wieści ty na żadną nagrodę nie możesz liczyć”.

– Skąd wiesz, że cię nie nagrodzę? W końcu jednak przetłumaczyłeś ten znak. Masz! – Zawisza rzucił mu wypchaną sakiewkę. – Nic to jednak nie zmienia.

– Szlachetny panie, ja jestem od myślenia, a wy od cięższej pracy, więc będę myślał – skłonił się Żyd. – To trudniejsze, niż odnaleźć w kabale prawdziwe imię Mesjasza i cel istnienia świata.

Zawisza usiadł, położył rękę na tuzgrze, jakby chciał coś wskazać, i nic nie powiedział.

Wszystko po prostu nie mieściło się w głowie.

– Chcieli okupu, to proste – podsumował wszystko Gedeon. – Tylko głuchy i ślepy nie wie, że jesteście ulubionym harcerzem króla Zygmunta. A król dobrze zapłaci za zdrowie ulubionego sługi. Chcieli was porwać dla okupu. Nie ma co drążyć skały.

*

W środku nocy, jednej z pierwszych, które Zawisza miał nadzieję przespać do końca, zbudził go giermek szarpiący za ramię.

– Wasza miłość, wstawajcie. Posłańcy od króla Zygmunta czekają.

Zawisza poruszył się, usiadł na posłaniu ze skór, sługa pośpiesznie wzuwał mu trzewiki, podawał pas z mieczem.

Dwaj posłańcy króla już czekali, zgięci.

– Panie, król prosi o niezwłoczne przybycie, bez konia, bez zbroi, bez szat. Każda chwila się liczy.

– Co się stało? Alarm?

– Jesteśmy tylko posłańcami. Wszelako... gdyby był alarm, toby trąbili, biłyby bębny. A jest cicho.

– Jestem gotowy, prowadźcie.

Szli przez uśpiony obóz gorącą czerwcową nocą. Daleko nawoływali się strażnicy. Niebo było tak jasne, że nie widziało się gwiazd. Tylko wysoko, w zenicie, stał wąski sierp księżycy i jasna gwiazda. Jutrzenka nadziei – Wenus. Na wschodzie szybko rodził się dzień, widzieli nad górami jasną smugę brzasku. Wszystko było tak ciche i spokojne, że nie sposób było uwierzyć, że właśnie toczy się wojna.

Ogromny namiot Zygmunta był cichy i prawie ciemny. Blask światła kolebał się tylko w głównym pawilonie – otoczonym

parawanami i mniejszymi namiotami, jak małe wieżyczki. Zawisza oddał miecz i wszedł na dziedziniec. Sługa odchylił przed nim płachtę. Rycerz wszedł do wnętrza i zdrętwiał.

Król Zygmunt wyglądał jak trup. Niczym z kościelnego malowidła przedstawiającego *dies irae*, dzień sądu, taniec zmarłych. Błede oblicze, ogromne, wystraszone oczy, włosy przyklejone do czoła. Sługa podawał mu zioła w czarce, ale król wyrwał mu ją i popędził precz. Pił mieszaninę, rozlewając z powodu drżących rąk.

Oprócz niego w namiocie był tylko marszałek Szatmár – w niedopiętym kaftanie, chyba jak Zawisza wyrwany ze snu. I palatyn Węgier Mikołaj Garai, którego głowa opuszczała się coraz niżej; podrzemywał, dopóki Szatmár nie trącił go łokciem.

– Mości Zawiszo – wydusił z siebie król – Turcy! Godzinę temu przybył bośniacki zwiad. Idzie na nas ogromna armia sułtana. Dzień drogi stąd. Skąd się wzięli?!

Zawisza nawet nie mrugnął okiem. Po prostu stał, jakby go to wcale nie obchodziło.

– Przed świtem dowie się o tym cały obóz. Wybuchnie strach i panika. Radźcie.

– Za pozwoleniem Waszej Królewskiej Mości, czy to na pewno jest sułtan? Pomiedzy nami a Adrianopolem jest wiele garnizonów i miast, których bejowie dysponują siłami większymi niż tysiąc zbrojnych. Może to zatem wielka chorągiew spahisów albo janczarów?

– To cała armia, Zawiszo. Mają konie, te... te dwugarbne bestie...

– Wielbłądy?

– I inne jeszcze instrumenta prowadzenia wojny.

– Pozwólcie mi przesłuchać Bośniaków, którzy byli na zwiadzie. Jeśli jest tam sułtan, to powinna być z nim jego gwardia, silahdarowie, ciężkozbrojni jeźdźcy. Muszą być przynajmniej janczarzy dworscy uzbrojeni w ogromne łuki. I powinni zobaczyć znaki sułtana i jego wezyra: długie włócznie z końskimi ogonami.

– Już to uczyniliśmy – mruknął Szatmár. – Ujrzeli trzy włócznie z kitami, znaki sułtana Murada, jego wezyra i pewnie następcy tronu

albo jakiegoś nadętego beja. To są Bośniacy, mości Zawiszo, a nie Niemcy. Znają się lepiej z Turkami niż ty ze swoją służbą.

– Do rana musimy trzymać rzecz w tajemnicy, choć będą szeptać – powiedział król. – Szeptać, potem gadać, schodzić się do kupy i rozprawiać. A potem starczy jedna głupia bździna, a pokażą sułtanowi plecy!

– Wasza Królewska Mość nie musi się go obawiać, mając dwadzieścia tysięcy kopijników, piechoty i jazdy z węgierskich banderii. Nie licząc dwustu dział i sześciu tysięcy Wołochów.

– Przychodząc tutaj, liczyliśmy się z tym, że prędzej czy później dojdzie do walki – odezwał się Mikołaj Garai. – Więc zamiast lamentować, spytajmy, gdzie są, i poluźnijmy miecze w pochwach.

– Będziemy się bić. Jeśli przewaga okaże się wielka, możemy oprzeć się o obóz, który natychmiast trzeba okopać.

– Na wszystko potrzebujemy czasu. I wy macie go kupić – powiedział król. – Pojedziecie jako poselstwo, moi wysłannicy. Kazałem już przygotować listy. I wynegocjujecie chociaż dzień rozejmu. Nie pokój, nie traktat wieczysty, ale krótką przerwę. Przez ten czas przygotowujemy się do obrony, umocnimy obóz. A może nawet z pomocą Bożą weźmiemy szturmem Golubac.

– Kto ma jechać? – zapytał Zawisza. – Czy to w ogóle ma sens? Miłościwy panie, paktowanie to jak przyznanie się do słabości. Ledwie zaczęliśmy wojnę, już prosimy o pokój. Nie widzę dużych szans tej misji.

– Nie będę powtarzał drugi raz, jedziecie nie po to, żeby zawierać jakiś traktat, ale żeby negocjować i kupić czas jakimś krótkim armistycjum. Przy okazji sprawdźcie, jak duże są siły Turków.

– Kto pojedzie? – powtórzył pytanie Zawisza.

– Ty oczywiście, jako dowódca straży. I wy, panie marszałku, i wy, palatynie. Zebrałem specjalnie was, moich braci w Zakonie Smoka, abyśmy wspólnymi siłami chronili monarchię przed największym wrogiem. Dodam wam jeszcze młodego Emeryka, on sprawnie negocjuje.

– Tak czy owak, trzeba ogłosić alarm. Zatrąbić przez munsztuk, abyśmy w każdej chwili byli gotowi na atak.

– Stać! Zabraniam! – krzyknął Zygmunt. W tej chwili wyglądał po prostu strasznie, jakby nie spał, jakby całe noce dławiły go zmy. – Nie chcę żadnej paniki. Dopiero po waszym powrocie poderwiemy rotę i banderę na koń.

– A jeśli z poselstwa powrócą tylko nasze głowy?

– Wypluń taką myśl, panie starosto! Będę czekał... do południa. Potem zacznę odwrót.

– Wtedy może być za późno, to szaleństwo, proszę Waszej Królewskiej Mości...

– Milcz, Zawiszo. Nie jesteś od gadania, ale od walki. Weź najlepszych swoich ludzi i jedź. Przyglądaj się wszystkiemu i zdaj relację, jak wrócisz. Ja już z wami skończyłem!

Kiedy wychodzili, król rozdygotanymi rękoma pił wystygłe zioła z czarki. Połowę rozlewał. Nie było miło na niego spoglądać. Król miał prawie sześćdziesiąt wiosen i był blisko, bardzo blisko tamtej mrocznej strony żywota.

*

Jadąc do Turków, Zawisza miał wrażenie, że tanio sprzedali własne głowy, tyle że zamiast w workach wiozł je na swoich własnych szyjach wprost do obozu największego wroga chrześcijaństwa. Podążali pod białą chorągwią na koniach, ze sługami i giermkami, a dodatkowo broniło ich jeszcze pięć kopii z chorągwi nadwornej Luksemburczyka. Od skał pod Golubacem jechali pagórkowatą, zdziczałą okolicą. Ciemnoniebieski wał poszarpanych gór mieli po lewej ręce, przed sobą równiny, a czasem pagóry, wznoszące się zwłaszcza tam, gdzie na południu był monaster Bradača, spustoszony i spalony przez Turków, a ufundowany jeszcze przez Vuka Brankovicia, który na Kosowym Polu walczył po stronie serbskiego cara.

– Patrzcie, już jest! – powiedział nagle jeden z rycerzy. – Tam, na wzgórzu.

– Machajcie białą flagą! – krzyczał Szatmár. – Niech nas widzą z daleka!

Na pagórze stał koń, z daleka podobny do drewnianego posążka. Dosiadał go jeździec z długą włócznią, w białym zawoju na głowie. Nagle zawrócił i począł gnać na południe. Zatrzymał się, dołączyło do niego trzech innych.

I nagle zrobiło się tłoczno. Tureccy jeźdźcy na lekkich koniach, ze spisami, włóczniami, ze skórami dzikich zwierząt pojawiali się nie wiadomo skąd. Łączyli się w watahy jak wilki, zbliżali, otaczali posłów i w końcu, kiedy zebrali się w oddziały, ruszyli skokiem.

– Spokojnie! Spokojnie! – ostrzegał Mikołaj Garai. – Widzieli białą barwę. Nie łapcie za miecze. Musimy żywi dotrzeć do obozu.

Nagle znaleźli się otoczeni przez konnych. Wszyscy na lekkich, lotnych koniach, okrytych czaprakami zamiast ladrów, kapy czy kropierza. Wierzchowce ostre, rzadko który ustał w miejscu nieruchomo, zresztą jeźdźcy sami ściągali wodze, kłuli je ostrogami, więc obracały się, kręciły, stawały dęba w miejscu. Jeźdźcy byli nie do opisania. Wszyscy w tureckich kaftanach zapinanych na guzy, w skórach wilczych, niedźwiedzich i lamparcich narzuconych na ramiona, rzadko który w kolczudze albo szyszaku z drucianym czepcem podchodzącym aż pod oczy. Większość w turbanach, niektóre zawinięte na żelaznych hełmach.

Tłumacz – suchy starzec z bródką i długimi włosami – co sam wyglądał jak Turek, coś krzyczał, tłumaczył, rozkładając ręce. Dołączył do niego palatyn Węgier, pokazywał listy siedzącemu na koniu dowódcy, spalonemu słońcem, z długą, pokreconą brodą. Nagle zrobiło się gorąco. I tłoczno. Turcy krzyczeli, napierali na nich końmi, świdrowali ciemnymi oczyma.

– Akindzi – mruknął Szatmár – łupieżcy i zagończycy, derwisze. Żyją z łupów, chętnie poćwiartowaliby nas żywcem, a głowy cisnęli na stos.

– Szlachetni panowie – odezwał się Junoszyca – popatrzcie na krótkie włócznie, niektórzy wożą je w kołczanach jak wielkie strzały. Pod Argesz wyrzadziły nam wiele przykrości.

– To dziiryty, diabelstwo z piekła rodem. Przebijają zbroje, czego strzała rzadko kiedy dokona. I jeśli nawet nie zranią, krępują ruchy. Jedź potem, człowieku, z takimi sterczącymi drzewcami, które wyciągnąć możesz tylko w obozie.

Dowódca łupieżców powiedział coś ostro i wykrzyknął. Nagle opadły wzniesione szable, podniosły się pochylone włócznie. Turcy pokazywali kierunek – na wzgórze.

I tak wyruszyli pod eskortą, która z każdą chwilą robiła się coraz większa i większa. Wcześniej kilku jeźdźców odłączyło się od watahy, popędziło przed siebie.

– Zapowiedzą nasze przybycie Sinan bejowi.

– A nie sułtanowi?

– Sinan, bej Widynia, to cesarski seraskier. Najpierw on będzie z nami gadał.

Jechali przez bukowe lasy, zarośla. Wokół nich robiło się górzysto. Wciąż przybywali nowi Turcy – niektórzy wręcz budzący grozę. Ujrzeni ludzi półnagich albo tylko okrytych narzuconymi z wierzchu skórą, bez czapek i hełmów, z wygolonymi głowami, na których pozostawiali jedynie długi kosmyk włosów. Niektórzy paradowali tylko w koszulach i mieli przerzucone przez pierś albo na szyi amulety oraz skórzane futerały na wersety ze świętej księgi Al-Koran. Ich nagie ciała szpeciły rytualne blizny i okaleczenia ku chwale Proroka, przebite strzałami i kindzałami części skóry.

– Nie noszą zbroi, twierdząc, że wiara Mahometa ich ochroni – powiedział Mikołaj Garai. – Ale przecież z łaską Bożą nie raz wygoliliśmy tałatajstwo w przygranicznych bitwach.

– Wydają się duzi przez te turbany – odezwał się Ciołek z Naborowa. Ale starczyłoby ze stu naszych hożych junaków, a spraliby to szmatławstwo do cna. Jakby każdemu zdjąć ze łba zawoje, to chłop jak trznadel. Jeden Mazur bał się Turka, ale

uderzywszy na niego z kopią, zabił i rzekł: „Nie ciebiem się bał, panie kudła, jeno twego pudła”.

Turecki obóz leżał w polu, na wielkiej równinie, nieopodal potoku i maleńkiej wioski – spalonej do fundamentów i rozgrabionej. Rozłożony bardzo porządnie – z przodu bieleły namioty janczarów, z boków chruściane szałasy lekkiej piechoty piyade i azabów. Dalej majdan, przy nim namioty dowódców, z prawej i lewej strony jazda – labirynt wzorzystych kotar, latryn, kotłów dla strawy i stajni dla koni.

Kiedy podjeżdżali, i tutaj wszczął się ruch. Piesze ciury, niewolnicy i słudzy, wojownicy zbrojni ledwie w łuki i zakrzywione szable pędzili zdjęci ciekawością do szerokiego przejścia między namiotami. Wykrzywione wściekłością gęby wykrzykiwały obelgi, Turcy wygrażali rycerzom pięściami, na koniec zaczęli rzucać kawałami ziemi, końskiego i wielbłądziego nawozu. Wtedy na znak setnika konni akindzi rozdzielili się, roztrącając pospólstwo, szczerze smagając je nahajami i korbaczami.

– Patrzcie, szlachetni, nigdzie nie widać gamratek – odezwał się zdumiony Gamratnik Drab.

– Nie ma też karczmy ani markietanów z piwem i winem – uzupełnił Ciołek z Naborowa. – Jak oni prowadzą wojny, tfu, obraza boska!

– Pewnie dlatego tak często wygrywają – mruknął palatyn Węgier.

Prowadzili ich do ogromnego namiotu, rozbitego chyba specjalnie dla rozmów – bo na samym początku obozowego placu. Był wzorzysty, wart może więcej niż wieża obronna, bo wyszywany w kwiaty i arabeski tak misterne, że oko gubiło się w zaplątanych girlandach i wieńcach. Otaczały go zwarte szeregi janczarów, rozpoznawanych dzięki wysokim czapkom, z tyłu których opadały długie, białe yatarmy, przypominające odcięte rękawy sukni. Obok stali gwardziści z wielkimi toporami jak półksiężyce. Warowali konni spahisi z włóczniami i cała rzesza służby – kolorowej i barwnej jak mozaika.

Wewnątrz był inny świat. Podłoga wyłożona dywanami i poduszkami, siedzieli na nich tureccy dostojnicy w ogromnych turbanach, brodaci, w długich, obszywanych futrem szatach i kaftanach z charakterystycznym zapięciem. Na nich mieli płaszcze bez rękawów. Przepasani pasami z gładkiego, wzorzystego jedwabiu, pod nimi nosili wąskie jak rzemyki skórzane pasy, a na nich krzywe szable albo proste, zdobione saraceńskie miecze. Słudzy roznosili worki z sorbetem i wodę do umycia rąk, z czego posłowie: marszałek Szatmár, palatyn Węgier i sekretarz Emeryk Perényi natychmiast skorzystali.

Odezwał się Turek w wielkim turbanie, o bystrych czarnych oczach, z białą, przyszczyżoną brodą. Jego słowa przetłumaczył dragoman.

– Chwała Allachowi, który muzułmanów godnością pokory zaszczyił. Giaurzy, niewolnicy króla Zygmunta, cóż robicie w obozie wiernych wojowników spadkobiercy łaskawego Mahometa, pana trzeciej części świata?

– Przysłał nas król Zygmunt Luksemburski po wieki August, król Węgier, Czech, Niemiec, Dalmacji, Ramy, Chorwacji, Serbii, Galicji i mnogich państw wielu – powiedział Szatmár. – Z zapytaniem, cóż robią wojska prześwietnego sułtana na ziemi, która należała do carstwa Serbii, a teraz stała się podległa królowi Zygmuntowni.

– Ja, seraskier Sinan bej, bejlerbej Widynia, z woli Allacha i jego namiestnika sułtana jestem prawym ramieniem gniewu bożego. Powiedział prorok: czyż nie będziecie walczyć z ludem, który złamał dane słowo i który knował, żeby wygnać Posłańca, a pierwszy był tym, który rozpoczął wrogość wobec was? Złamaliście układy, wchodząc w przymierze z księciem Serbii Jerzym Brankoviciem, który winien jest przyrodzony hołd Wielkiej Porcie, i oblegając zamek w Golubacu. Oto powód naszej obecności. Teraz czekam, jakie zjadliwe kłamstwa przejdą przez wasze gardła, o niewierni.

Przez chwilę panowała cisza. Posłowie stali, Turcy siedzieli. To był afront, jednak kiedy palatyn zrobił gest, aby jednak przysiąc – Szatmár powstrzymał go ruchem ręki.

– Despota Serbii przekazał twierdzę naszemu królowi. Jednak wojewoda Jeremija zdradził i wydał wam zamek, który należy do mojego króla. Z tego powodu go oblegamy. Nie jest naszym zamiarem prowadzić wojnę z sułtanem. Gdy zdobędziemy fortecę, wrócimy na Węgry.

– Wojewoda Jeremija przyjął łaskę padyszacha i został jego poddanym. Jak mówi Prorok: pochylonej głowy nie zetniesz. Ktokolwiek podniósłby na niego rękę, to tak jakby obraził sułtana, pana wszystkich panów, który roztacza wokół siebie woń szafranu i rozkwitłej róży, a kiedy niewolnicy całują jego błogosławioną rękę, to ta święta ręka jest niby puch kwiatu bawełny! Nie dopuścimy do odbicia twierdzy, tylko uderzymy na was jak najszybciej.

– Jeśli zdążycie, seraskierze – zabrał głos palatyn Węgier. – Mamy w obozie dwieście dział, mury już są zdruzgotane. Starczy jeden szturm, waszym wojownikom będzie kęsim, a głowa Jeremija potoczy się do stóp króla Zygmunta. Dlatego najroztropniej będzie dla was poniechać odsieczy i zostawić zamek naszemu królowi. Razem z głową jego dowódcy upadnie bowiem jedyny powód wojny.

– Dlatego zamiast teraz przepychać się słowami, pójdźmy po rozum do głowy – kontynuował Szatmár. – Wstrzymajmy się od walki przez kilka dni. Wy od atakowania nas, a my od zdobywania i ostrzału Golubaca. Przez ten czas wasz przeświecny sułtan rozważy nasze słowa i przyśle wysłanników, którzy będą mogli spotkać się z naszym kolejnym, już znacznie wyżej postawionym poselstwem i rozmawiać o przeszłości Golubaca w spokoju.

Sinan bej roześmiał się chrapliwie. Zły i paskudny był ten Turek. Podstępny jak cała jego nacja, a jak pokazały następne chwile, bezwzględny wobec słabszych i celnie wyszukujący szczeliny w ich pancerzach wiary.

– Miłosierny Allah nałożył pieczęć na wasze serca i uszy, a na oczy zasłonę – powiedział. – Po cóż mam wstrzymywać się z atakiem, jeśli mam wielkie zastępy wojowników, a wy garść zbrojnych i twierdzę za plecami? Zostawcie zamek i przyjdźcie prosić na kolanach o łaskę, a może zostanie wam udzielona. Król

Zygmunt może się wycofać, jeśli odda nam Belgrad, poniecha Golubaca i wyśle do nas Jerzego Brankovicia, aby ten bił czołem padyszachowi.

– Mamy pod twierdzą liczne zastępy rycerstwa. Ludzi z dalekiej Północy, z Lechistanu, z którymi jeszcze nie braliście się za bary. Takich jak nasz przyjaciel Zawisza Czarny.

Podniósł się szmer, kiedy oczy wszystkich Turków spoczęły na posągowej postaci rycerza. Sulimczyk skłonił się i rzekł:

– Wielmożny serdarze, wojowaliście z Anglikami i Frankami, z Burgundczykami i zbieraniną narodów, którzy tchórzliwie pod Nikopolis podali tyły. My, Polacy, nie uciekniemy, a od jedwabi wolimy żelazo, bo żelazem walczymy. Ponadto, czcigodny serdarze, mamy w obozie ponad dwieście puszek, które właśnie nasi ludzie ustawiają w polu. Nigdy armia sułtana nie walczyła z taką nawałą ognia. Jak zatem wytłumaczysz się padyszachowi z krwi wojowników i płaczu ich dzieci, podczas gdy mogłeś więcej ugrać układami?

Sinan bej uśmiechnął się i pochylił do ucha najbliższego Turka. Rozmawiali po cichu, potem dołączył się drugi, trzeci, czwarty. To zgromadzenie przypominało trochę sejmik żydowski w Kazimierzu.

I wreszcie skończyli naradę. Sinan bej pokazał ręką, aby posłowie usiedli. Wtedy zabrał głos inny Turek – młodszy, z jasną brodą; w ogóle Zawisza uświadomił sobie, że niektórzy z obecnych dostojników mieli jasne włosy, a któryś nawet niebieskie oczy.

– W imię Allacha miłościwego, zgadzamy się na trzy dni przerwy w walce, licząc od teraz, od południa. Sułtan rozważy, czy zechce spotkać się z poselstwem waszego króla i porozmawiać o losie Golubaca. Przez ten czas jednak także i wy powstrzymacie się od ataków. Co więcej, przepuścicie naszego posłańca do wojewody Jeremii, aby sprawdził, jak wygląda położenie zamku.

– Armistycjum uważam za zawarte – ucieszył się Szatmár. – Zaprzysięgnijmy się i rozstańmy. Jest czas wojny, nie gadania.

– W imię Allacha, tak.

*

– To wszystko kłamstwo. W obozie nie ma sułtana, który przebywa Bóg wie gdzie, jest tylko Sinan bej i wojsko z przygranicznych elajetów! Nie dadzą nam rady w polu, jeśli wyślemy do walki całą armię krzyżowców!

– Nie będę ryzykował walki z całą Portą o jeden zamek – uciął dyskusję Luksemburczyk. – Proszę, mości palatynie, ogłosić odwrót. Zaczynamy od moich taborów, potem pójdą banderie nadworne, straż i banderie węgierskie. Na końcu zaciężni polscy i niemieccy.

– Co z artylerią?

– Wycofać na końcu. Nie rozgłaszać tej wieści, choć już się rozniosła. Zdradzać wiadomości o odwrocie po kolei, tylko tym oddziałom, które mają wyjść z obozu. Przeprowadzamy się przez Dunaj na północny brzeg. Do Lászlóváry i dalej.

– Miłościwy panie, musimy postawić na nogi wojsko, niech czeka w polu i osłania tabory!

– Mamy trzy dni, słyszałeś, Zawiszo – uciął wywody rycerza Szatmár. – Wszyscy zdążą odejść spod twierdzy. Oczywiście tobie pozostawiamy honor obrony naszych tyłów.

– Przyjmuję z pokorą za grzechy. Ale Turcy kłamią, złamią rozejm i zaatakują przed upłynięciem armistycjum.

– Nie wierzę, Zawiszo – powiedział Zygmunt. – Mianuję cię dowódcą straży tylnej. Weź swoją rotę i zaciężnych Niemców, pilnuj, żeby nie wybuchła panika i nikt nie opuszczał obozu bez rozkazu. Ufam, że temu podołasz, to trudne zadanie, a ty jak zwykle jesteś niezastąpiony.

Zwycięstwo zawsze ma ten zwyczaj,
że zdobywa je niewielu ludzi, a przede
wszystkim ludzie odważni.

Wegecjusz, „Epitoma rei militaris”

Rozbrajając Piotra, Pan rozbroił wszystkich żołnie-
rzy. Żaden stan nie jest dla nas dozwolony, jeśli na-
raza na niegodziwe czyny.

Tertulian, „De idolatria”

*Virtus nobilitat hominem, virtute relictā
Migrat in exilium nobilitatis honor.
Cnota czyni szlachcica; gdy cnotę porzuci,
Na wygnanie iść musi i szlactwa honor.*

Gajusz Mariusz
(jeśli wierzyć słowom Salustiusza)





Rozdział IX

Pohańbiony

Zygmunta Luksemburskiego, a raczej jego doradcy znów popełnili błędy. Wbrew zdaniu Zawiszy i palatyna Garaia już w nocy z jedenastego na dwunastego czerwca kazali wyprowadzić na przystań królewskie tabory. Namioty z wykwintnymi łóżkami wysłanymi puchowymi materacami zamiast sienników, zwierciadła, stoły i stoliki, relikwiarze i rozkładane pulpity do pisania, miedziane wanny i nalewaki, skrzynie z zastawą, komody, setki kobierców i futer, stroje na każdy dzień oblężenia i kosztowności upakowane w sepetach i szkatułach. Wszystko to pacholki i paziowie zaczęli

nagle upychać na wozach, a potem wywozić do spalonej wsi Golubac, gdzie skierowały się baty i szkuty Cecylii Rozgonyi. Wtedy obudził się obóz, a przez namioty, kotary, szałas i szopy przeleciała zatrważająca wieść:

– Król uchodzi! Uchodzi!

– Ratujcie się!

Zygmunt, jak dobry wódz, powinien był zostać do końca, by nie rozsiewać paniki, najpierw wyprawić tabor, potem kolejno piechotę i jazdę. Tak jednak nie zrobił. O świcie królewski orszak ruszył do przystani. Widzieli to wszyscy – niemieckich, polskich i węgierskich rycerzy przybocznej straży zjeżdżających pod zwiniętymi chorągwiami nad Dunaj, ich skrzypiące wozy i rydwany. Strach uderzył we wszystkich jak furia, natychmiast zgasił rozum pod żelaznymi czerepami hełmów, zdusił w żelaznym uścisku rozsądek i wszelaką myśl inną niż ucieczka.

Uciekali wszyscy. Najpierw szare ciury i czeladź, potem piechota zaczęła wymykać się do przystani. Wreszcie panika udzieliła się rycerskiej czeladzi i ich panom, nagle ci, którzy co dzień krzatali się jak mrówki wokół rynsztunku i wierzchowców, zaczęli uchodzić, chwytając z pańskiego dobytku, co tylko było pod ręką. Bardziej śmiali odcinali konie z szorów i jechali do rzeki, a najbardziej spanikowani rzucili się nawet do wozów, wyprowadzając je z szyku, wyrzucając skrzynie i beczki z żywnością, pędząc w dół na złamanie karku i osi.

Golubac zapchał się wkrótce uciekającymi. Podniósł się krzyk, wrzask, trzask batów, którymi królewscy Węgrzy i Kumani rozstawieni na nabrzeżu próbowali przywrócić porządek. Ze wszystkich stron napierało na nich morze głów – gołych i w kapturach, w filcowych czapkach i kapeluszach. Wyło, krzyczało, spychało do wody. W ten zamęt wjeżdżały kolejne konne banderie i rotty, pozostawiając wierzchowce w wiosce, porzucając wozy i tabory, tratując, rozpychając tłuszczę, za wszelką cenę usiłującą dostać się do statków, które odbijały i tak obciążone ponad miarę.

Ta poranna panika byłaby jeszcze do opanowania, gdyby nie wydarzyło się coś, co było wiadome od wczoraj. Co nadciągało, zbierało się jak chmura burzowa nad krzyżowcami.

– Turcy! Turcyyy nadchodzą! Ratujcie się!

Straże bośniackie cofały się ze wszystkich stron, dążąc do obozu, nawoływały piechotę przy wozach, dowódców i rotmagistrów. Zawisza wstał z okrytego skórą siedziska, na którym czekał w pełnej zbroi i przy mieczu. Rota nie uległa panice, giermkowie trzymali osiodłane konie, rycerze stali gotowi do boju, czekając tylko na znak.

– Stało się, jak powiedziałem. Czemu, ach, czemu mnie nie słuchali! – wybuchnął starosta. I był w tych słowach cały żal, smutek i gniew. Na króla, na jego doradców, a może także na samego siebie.

– Trąbić wsiadanego – rozkazał pachołkom. – Wyślijcie umyślnego do pana Wody i Nieziorowskiego, do dowódców i chorążych niemieckich rot i banderii, jeśli jakaś jeszcze została. Niech wychodzą przed obóz i formują hufiec. Zatrzymamy ich, inaczej będzie rzeź!

Konie były gotowe, starczyło podciągnąć popręgi, sprawdzić puśliska i pasy. Podnieść kopie z wozów. Rycerze siadali na siodła z chrzęstem i brzękiem zbroi. A potem wychodzili na obozowe ulice. Szli tam, gdzie pokazywał Zawisza, do obozowych bram w pierścieniu wozów.

Od razu uderzyły w nich pierwsze podmuchy paniki. Strzelcy, kusznicy, ciury w koszulinach, słomianych kapeluszach pędzili przemieszani, przewracając się i depcząc, wpadając między namioty, kiedy kopijnicze poczty spychały ich z głównej obozowej ulicy. Niektórym wypadały worki i sakwy z dobrem, w błoto i kurz leciały szczerozłote puchary, pierścienie, manele, złote i srebrne monety, łańcuchy, kubki, futra...

Polacy jechali do bram, rozganiając szarą ćmę, rozpędzając ją i tratując. Obóz podzielił się bowiem na dwie gromady, z których jedna uparcie podążała w pole, a druga – jak ogarnięte strachem stado – umykała w drugą stronę, na północ, do zbawczej przystani, gdzie zbrojni rohatynami i glewiami spychali ludzi czepiających się

statków w głąbinę. Odrąbывali palce i ręce chwytające się burt, walili morgensternami i nadziakami po upartych łbach, smagali batogami, otwierając przejście dla rycerzy i ich giermków.

Na koniec zbrojni zaczęli wychodzić w pole, rozciągając szyki, rozpraszając się na gromady, strzelcy galopowali przy boku kopijników, szukając swojego miejsca. Powoli formując granitowy huf – kolumnę z klinem na początku, podobną do żelaznego dłuta, która z ogromną furią rozszczepiała podobne formacje nieprzyjaciół.

Słońce schowało się za chmurami, dzień, nawet jak na czerwiec, był słoneczny i pełen blasku; chwały czy śmierci? – o tym mieli się dopiero przekonać.

Kolejne rotы nieustępliwie dołączały do oddziału Zawiszy – rozwijając się z prawej i lewej strony. Dwie polskie, dwie niemieckie zaciężnych.

Zawisza wyjechał przed front rotы, był bez hełmu, który zawiesił na rzemieniu przy siodle. Popatrzył na swoich rycerzy, na ludzi, którzy kosztowali go tyle wysiłków, złości, gniewu i krwi. Oglądał szeregi zbrojnych w wydłużonych hełmach zwanych psimi pyskami, z podniesionymi zasłonami, w wysłużonych i zakończonych spiczasto basinetach, starszych szłomach z kolczymi czepcami; dostrzegał czujne oczy strzelców i giermków w kapalinach, czyli polskich kłobukach. Zasłony były podniesione, widział brodate i wąsate, poznaczone bliznami, stwardniałe od walki oblicza.

Żelazna nawała lśniła od stali, bo rzadko kto miał na sobie starą, czarną zbroję okrytą tuniką. Przeważały krakowskie lub włoskie płyty, kirysy wykute z jednego kawałka stali. I czasem futra wilcze i rysie, bo przebywając w Budzie, rycerze zaczęli przejmować zwyczaje węgierskiej konnicy banderyjnej i tureckich zagończyków, okrywających żelazo skórą dzikich zwierząt.

Czekali w milczeniu, kopie mieli w rękach, miecze, topory i buzdygany pod ręką. Konie gryzły wędzidła, grzebały kopytami, czasem potrząsały głowami, niecierpliwiąc się przeciągającą się bezczynnością.

– Rodząc się w stanie polskim, rycerskim, nie spodziewaliście się długiego życia! – zakrzyknął Zawisza. – I tego, że umrzecie w łóżu ze starości. Słuchaliście mnie ze strachu, z gniewem spełnialiście rozkazy! Wielu z was ma pewnie do mnie utajony żal. Ale Bóg już to rozsądzi, wezwałem was bowiem, abyście ostatni raz spełnili swoją powinność. Możemy jak tchórze zmykać za Zygmuntem albo walczyć tutaj, wiedząc, że każdy cios, każde uderzenie kopii odsuwa od naszej ziemi, naszych dzieci, naszych żon, naszych ojców i matek straszliwą nawałę turecką. Jeśli dziś zejdziecie z tego pola, nasze dzieci, wnuki będą musiały zmierzyć się z jeszcze większą pogańską siłą. Turcy nie zatrzymają się i lepiej dziś zginąć na obcej ziemi, niż za lat dwadzieścia oglądać własną zniewoloną. Dalej, do walki! Bij zabij! Sulimaaaaaaa!

Zapadła cisza, konie strzygły uszami, rzucały łbami, aż brzęczały cicho blachy nagłóweków.

– Niech żyje nam Zawisza! – wykrzyczał przez zaciśnięte zęby Gamratnik Drab. – Niech żyje rotmistrz!

– Niech żyje! – podjęli pozostali gromowym głosem. – Wiwaaaat! Bij zabij!

– Ciołeeek! Graaaady!

– Nałęcz! Odyńceeee – zabrzmiały głosy gromowym chórem. – Strzegomiaaaa!

– Gdzie Turcy?! – ryczał Gamratnik Drab. – Dajcie ich! Chodźcie, poganie! Dawajcie tu swojego chędożonego proroka!

Krzyczeli wszyscy – najgłośniej ci, którzy dotarli do rotty już w obozie pod Golubacem, panowie Walczak i rycerz Pietraś z Pietraszowic. Turków nie było widać. Owszem, daleko, na linii podnoszących się wzgórz pokrytych zaroślami, widzieli od dłuższego czasu kręcących się jeźdźców, ich wielkie od turbanów głowy chwiały się, znikwały, to pojawiały na tle nieba.

– Każda chwila, każda godzina to ratunek dla naszych! – zagrzmiął Zawisza. – Czekajcie w pokorze, mówcie modlitwy.

Na to Turcy już nie pozwolili. Nagle na szczytach wzniesień pojawiły się tyczki, włócznie zakończone okrągłymi kształtami. Szły

wyżej i wyżej, podnosiły się, ale i kolebały, aż w jednej chwili zza wzgórza wypadła gromada wyciągniętych w galopie jeźdźców. To była jednak tylko pierwsza fala. Pędziła z krzykiem wprost na ciężkozbrojną jazdę i nagle zatrzymała się w połowie drogi, osadzając włócznie w ziemi. Wtedy zbrojni poznali, co na nich było. Kule z bliska okazywały się ludzkimi głowami. Były tam podgolone po rycersku szczątki dumnych panów, jak i brodate oblicza czerńców z monasterów w Bradaczu i Tumanie, ogarniętych i złupionych przez Turków za sprzyjanie krzyżowcom. Pohańscy akindzi bili głowy batami, policzkowali, pluli, wreszcie zdjąwszy kilka – rzucali w stronę chrześcijan.

– Niech nikt się nie rusza – uprzedził Zawisza. – To zasadzka. Chcą, żebyśmy złamali szyk.

– Nie uda im się! – powiedział Ciołek z Naborowa. – Kto się ruszy, temu sam roztrzaskam łeb!

– Panie! – podniósł się krzyk. – Turcy z lewej! Obchodzą nas! Boże, bądź nam miłościw!

– Stać w miejscu! – Zawisza rozejrzał się. – Gdzie?

– Tam – wskazał giermek.

Od strony zamku Golubac szła ku nim szaro-zielonkawa ćma jeźdźców. Bez zbroi, rzadko gdzie pojawiała się jaśniejsza smuga pancerza, szyszak albo hełm. Szli szybko, bezładnie, zachodząc ich z lewej.

– To nie Turcy! – krzyczał ktoś. – Wołosza!

– Zdradzili!

Wataha zaczęła zwalniać, na jej czoło wysforowała się grupa jeźdźców w pięknych rzędach, zdobionych uździenicach, w żelaznych nagłówkach na końskich łbach. Na przedzie jechał ktoś w pancerzu i tureckich, okrągłych blachach na piersi. Ktoś, kogo Zawisza poznałby z zamkniętymi oczami. Po samym chodzie. Po chrapliwej mowie, po gestach.

Gedeon!

Zwolnił, podjechał kłusem do rotmistrza. Ściągnął czapkę.

– Przyjechaliśmy się bić! – wydyszał. – Król Zygmunt uznał, że jesteście za mało szlachetni, aby znalazło się dla nas miejsce w łodziach na przeprawie. Dlatego gospodar Dan przysłał mnie do pomocy.

– Rozdziel ludzi i stańcie z tyłu, chronić prawy i lewy róg. Gotować się! Turcy zaraz ruszą!

I rzeczywiście, nadejście niespodziewanych posiłków sprawiło, że jeźdźcy, dotąd zabawiający się bezczeszczeniem chrześcijańskich szczątków, teraz zaczęli zawracać ku swoim.

Na wzgórze wstąpiła wielka ława jazdy, powiększająca się z każdą chwilą, potężniejsza, kolorowa jak saraceński kobierzec, przetykana złotem końskich rzędów, broni, pancerzy, zwieńczona bielą turbanów. Nagle podniosły się ich diabelskie znaki – włócznie z ogromnymi kitami z końskich ogonów, a na ich tle pierwsze białawe chorągwie pokryte pokręconymi napisami.

– Sandzaki! – powiedział ktoś. – Osiem, dziesięć, piętnaście... Siła ich.

– Ciągłe nie widać znaków sułtana! Zebrali pograniczną konnicę i zagończyków! Niech grom spadnie na doradców króla. Uciekają przed równymi sobie siłami!

– A nam każą walczyć!

Wołoska jazda rozpadła się na dwie gromady, chroniąc skrzydła rycerskich chorągwi. A turecka ława potężniała, przechodząc w nawałę, w ogromną falę. Szli na nich sami jeźdźcy – lekkozbrojni akindzi z łukami i włóczniami, zbrojni spahisi w kolczugach i silahdarowie w zbrojach z płytek, chroniących konia i jeźdźca, w szyszakach z otworami na oczy, przydających im pozoru saraceńskich zjaw i demonów.

Nagle doszedł do nich przyśpieszający łoskot bębnow. Po nim głos piszczalek i fletów. Narastający łoskot końskich kopyt, krzyk, świst powietrza ciętego ostrzami!

Rycerskie rotty ruszyły z miejsca rysią, poczęły nabierać pędu, przechodzić płynnie w galop, w którym koń kołysze szeregi zbrojnych, nabiera pędu, szybkości.

Ryk chrześcijan wzniósł się ku górze, zmieszał z wrzaskiem Turków. Przez chwilę pędzili na siebie, a jednocześnie jakby stali w miejscu. Zawisza, który jechał w trzecim szeregu, zobaczył przed sobą pochylone postacie islamskich wojowników, na rozpędzonych w szale koniach, jak biesy, z wyciągniętymi wątlymi ostrzami włócznie, z napiętymi łukami, oczami zwężonymi w wąskie szparki...

Szli na siebie całym pędem... Nagle jęknęły zwalniane cięciwy kusz.

– *Allach akbaaaaar!*

– Bij zabij!

Zderzyli się. Żelazny klin z przodu rozszczepił szeregi atakujących lekkobrojnych, powalił ich w chrzeście kopii razem z lekkimi końmi, zrzucił z kulbak, stratował. Ale turecka nawała wbiła się między kolumny rycerzy i strzelców, wpadła między ściany najeżone kopiami. Strzelając z łuków, rzucając dziiryty, włócznie i atakując szablami zza okrągłych, wzorzystych tarcz. Z bliska ich broń miała mordercze działanie. Ostrza przebijały pancerze i blachy, wbijały się w ciała koni, dziiryty przechodziły przez kirysy, naramienniki.

Z przodu wrzask wycinanych i brzęk jakby młotów – rycerze sięgnęli po miecze, z boków i z tyłu kwik koni, łoskot padających zwierząt, bój strzelców i pachołków z tureckimi pachołkami. Z przodu wyrąbywanie drogi, aż wreszcie pokazały się pierzchające w grozie zady koni akindżich. Jednak w ich miejsce wpadali okryci kolczugami spahisi, ciężkobrojni wywijający toporami i ciężkimi żelaznymi maczugami.

Lecz trwało to krótko... Rycerze bili, by zabić, przeciwnicy wprawdzie mogli ich okrążyć, godzić w konie, wyszarpywać na arkanach pojedynczych jeźdźców, ale złamać szyków nie byli w stanie. Zwierzęta padały najszybciej – choć okryte ladrami, ich blachy przebijały pohańskie włócznie i strzały. Jednak coraz więcej miejsca robiło się wokół Polaków i Niemców. Nagle wróg zaczął uciekać – już nie pojedynczy walczący, ale całe gromady, setki, sandzaki. Ława popędziła ku wzgórzom.

– Stać! Stać! – krzyczeli dowódcy, chorążowie pochylali chorągwie w tył.

– Nie gonić ich! To pułapka! Pomnijcie Nikopolis!

Nikt już nie miał sił, aby pędzić za uchodzącymi. Zawisza widział, jak lekka jazda i spahisi dopadają wzgórz, zatrzymują się bez trudu, zawracają, formując nową ławę. Jak z tyłu pojawiają się pancerne zastępy ciężkozbrojnych silahdarów, między którymi widać było i pełne zbroje chrześcijańskich lenników sułtana, pewnie Bułgarów albo Greków.

Oglądał, jak spoza ciężkozbrojnych wysuwają się konni łucznicy z wykrzywionymi, odwróconymi łukami. Setki, tysiące. Cóż mógł im przeciwstawić? Dwustu strzelców, którzy pozostali jeszcze we wszystkich rotach?

Spojrzał na swoich ludzi. Kilku zabitych, jęczący ranni, lecz jeszcze więcej okulawionych, rannych albo miotających się z bólu koni. Niektóre najeżone krwawymi strzałami. Przewaga już wcześniej była ogromna. A teraz jeszcze większa.

– Trąbić odwrót – wycharczał Zawisza, bo brakło mu tchu. – Albo nas wystrzelają! Idziemy za obóz, do przystani. Tam zbierzemy pozostałych.

– Nie zabijać Lechitów – powiedział Sinan bej do sandzaka Dobrudży. – Są wiele warci. Ten pies Zygmunt zapłaci za każdą głowę górę złota.

*

Wracali mdlejący od ran, pozostawiając ciężej rannych kompanów, smugi krwi na drodze pokrytej porzuconym rynsztunkiem, zatarasowanej przez przewrócone wozy, pobrużdżonej przez koła ciężkich kolebek. Padające konie i umierających. Aby do brzegu, do zbawczej przystani!

Turcy podjeżdżali do nich skokami, wypuszczali deszcz strzał, który dziesiątkował uciekających; zwykle tych, co pozostali bez koni.

W odwrocie, który coraz bardziej przypominał ucieczkę, pomieszały się szyki i rotty, ludzie, kopijnicy, strzelcy i konni słudzy.

Byli już na ostatnim stoku przed spalonymi parkanami osady, kiedy koń Ciołka z Naborowa potknął się, zatrzymał, a potem powoli położył na lewym boku, przyciskając rycerza. Ten krzyknął, ale nie zostawili go. Giermek i strzelec wyszarpnęli go spod rumaka. Dopiero teraz zobaczyli, jak ciężko ranne było zwierzę. W prawym boku, na dwie dłonie od końskiej słabizny, tkwiła wbita strzała. Druga sterczała z piersi, przechodząc między folgami napiersienia. Koniec.

– Szybciej, nie ma czasu! – krzyczeli rycerze.

– Nie zostawiajcie!

– Łap za strzemień, próbuj biec! – rzucił Junoszyca. – Trzymaj mocno, odbijaj się od ziemi, potrafisz!

Kłusując, czasem podgalopowując, dotarli wreszcie do zbawczej przystani. Nie było żadnej nadziei... Obciążone uciekinierami łodzie, obwieszane jak topielcami tymi, dla których zabrakło miejsca, odbijały właśnie od brzegu. Płonęły drewniane zabudowania, paliły się pomosty podpalone przez uchodzących piechurów króla Zygmunta, zasnuwając okolicę dymem i oparami. A tłum wył, krzyczał, modlił się i wygrażał pięściami. Jeszcze o świcie był dumną armią krzyżowców, kopijnikami zaciężnymi, pasowanymi rycerzami lub giermkami, strzelcami, kusznikami, stajennymi, ciurami, koniowodnymi, woźnicami i pacholkami. Teraz tworzyli pstrokatą zbieraninę, oglądającą się w trwodze na skaliste, górskie brzegi Dunaju, to rozpraszającą się, to schodzącą do kupy, kiedy widzieli nadzieję, że któryś z batów jednak skieruje się w stronę południowego brzegu.

I rzeczywiście, jedna łódź, mała, wiosłowa, *kaik*, jak mówili Turcy, wracała przez dymy i opary, płynąc wolno. Gedeon, który miał sokoli wzrok, wskazał ją od razu.

– Patrzcie! Płynie... Może do nas?

– Idźmy na brzeg.

Przebijając się do Dunaju, widzieli sceny jak z sądu ostatecznego. Szlochających, krzyczących ze strachu możnych, ponurych obszarpańców rabujących trupy, rannych stratowanych kopytami, tarzających się we krwi w przybrzeżnym błocie. I uciekające spłoszone konie z rzędami wartymi fortunę, które pędziły, obalając ludzi, prosto na zachód.

Zawisza dopiero teraz poczuł, że jego własny dextrarius idzie sztywnym chodem, utyka. Ale ponaglał go, kłuł ostrogą, czując, jak w końcu nawet w nim narasta rozpacz. Nic już nie mógł zrobić, tylko zginąć.

Łódź była coraz bliżej – a oni właśnie wyszli na brzeg. Ktoś stał na niej – wyniosła postać w kobiecej sukni, w futrzanym kołpaczku, z czarnymi warkoczami upiętymi wokół. Wyglądała jak... z baśni, jak legendarna Vivianna, która przychodzi po umierającego króla Artura, lub dumna Świętosława przybywająca sprawdzić, który z konkurentów wygrał pojedynek na skale o jej rękę.

Dwóch łuczników szyło z łuków zza jej pleców, prosto w tych, którzy rzucali się w wodę i płynęli, chcąc chociaż przytrzymać się łodzi.

Zawisza poczuł, że koń pod nim ustaje, chce się położyć. Podciągnął łeb na munsztuku, zmusił go z trudem do wejścia do wody.

– Ona nas woła! – krzyczał Gedeon.

Cokolwiek mówiła niewiasta, ginęło w gromadnym ryku strachu i trwogi, który wstał na brzegu. Niedaleko bowiem na szczytach gór zagrały bębny, wybijając powolny, równy rytm. Wielki to musiał być bęben.

Wtedy Zawisza poznał postać. To była Cecilia Rozgonyi, żona komesa Temeszwaru, ta, której flota ratowała w pocie i trudzie armię krzyżowców od zagłady.

– Mości Zawiszo! Tutaj! Król Zygmunt przysłał łódź. Tylko po ciebie. Nie możesz zginąć, jesteś symbolem, pomnikiem. Wsiadaj i uchodź z nami.

Sulimczyk obejrzał się na kompanów. Na Gedeona przytrzymującego tureckiego wierzchowca. Na Gamratnika Draba, który chwiał się z ran. Na Ciołka z Naborowa i strzałę sterczącą z jego prawego naramiennika. Oblicza pokryte krwią, brudem, na których bruzdy bólu i pragnienia wycisnął morderczy bój do utraty sił. Na Junoszyca, strzelców, pachółków, Wizgirda, który podtrzymywał rannego, ledwie stojącego Ursyna.

I nagle uświadomił sobie, że wszystko, co przeszli, teraz, za chwilę się skończy. Że on sam przetnie ich los własnym mieczem. Uśmiechnął się gorzko. Nie!

Obrócił się do Cecylii i powiedział:

– Popłynę tylko z moimi ludźmi. Przyślij mi większą łódź.

– Nie bądź głupcem! Potopimy się. Nie będzie innych batów. Wsiadaj. Rozkaz króla.

– Powiedz Zygmuntovi, że mój honor nie zmieści się do tej łodzi! Płyn, piękna pani!

Obrócił z wysiłkiem konia, wjechał na brzeg, ale to okazało się ostatnim, na co było stać jego karosza. Dextrarius stanął na rozkraczonych nogach i powoli, jakby nie chciał urazić pana, zaczął się kłaść. Nie padł na wznak, spoczął jak posąg końskiej chwały na podwiniętych z przodu kopytach. Zawisza zszedł z siodła, spojrzał na niego z rozpaczą. Zobaczył rany na boku, złamaną strzałę w szyi, ciemną krew ściekającą na naddunajski piach. To był koniec.

Gedeon podjechał na swoim wierzchowcu, zeskoczył na ziemię, podał rycerzowi wodze.

– Bierzcie mojego, ja mogę trochę... pochodzić.

– Janczary! – podniósł się wrzask. – Janczary... Zmiłuj się, Święty Florianie, i ochroń, Święty Marcinie!

Tłum rzucił się do rzeki, potracając, tratując. Łucznicy i piechurzy w skórzanych czepcach rzucali się w fale Dunaju, chwyтали za nadpalone deski, bale, zrzucali zbroje i płaty, aby uciekać wpław.

– Pomóż mi! – Zawisza szarpał się z ostrym koniem, ledwie dawał radę włożyć nogę w wąskie wołoskie strzemię. Gedeon podźwignął go, wsadził z trudem w kulbakę, Zawisza ściągnął wodze za mocno,

koń przysiadł na zadzie, mało nie stanął dęba; rycerz przytrzymał się przedniej kuli na łąku.

– Zwalniam was z przysięgi! – krzyczał. – Kto chce, niechaj się ratuje. A komu miłsza chwała, za mną!

Wyszarpnął miecz z pochwy, odrzucił tarczę i obrócił się do Gedeona. Tylko na chwilę.

– Weź mój szczyt. Uciekaj, zabierz go do królestwa.

Borkowic patrzył, jak jego przybrany ojciec, jego wróg, jego mistrz, zawraca narowistego tureckiego konia, jak wyciąga miecz i rusza stępem w stronę gór.

– Kto dzielny za mną! Na śmierć!

Stanęli z nim ramię w ramię wszyscy – Gamratnik Drab, Ciołek z Naborowa, Junoszcyc, choć chwiejący się z ran. Konno i pieszo, zdrowsi podtrzymujący rannych, jak Wizgird Ursyna. Zawisza dał koniowi ostróg, znów, jak całe życie, ruszył pod prąd – wbrew uciekającemu i walącemu się w fale Dunaju tłumowi.

Gedeon patrzył za nim. Dojrzał, jak z chmury dymu i pyłu wyłania się rozpędzona ława spahisów. Jak Zawisza wpada w nich, czyniąc zamęt i mir mieczem. Jak zamęt ten powiększają jego zaciężni rycerze. I wreszcie – jak mrowie napastników pokrywa ich niczym złociste osy.

Wtedy odwrócił się, zrzucił napierśnik i pancerz, a potem pogrążył się w falach rzeki.

*

Nie wiedział, gdzie uciekać: płynąć na drugi brzeg czy szukać jakiejś łodzi, może uciekać brzegiem? Dokąd? Chyba tylko prosto w ręce pohańców!

Brnął rozpaczliwie przed siebie, ciągle czując grunt pod nogami. Bał się odbić od dna, tarcza Zawiszy ciągnęła go w głębinę.

I nagle stał się cud: wiatr rozwiął oponę dymu i oparów, Borkowic zobaczył łódkę, dłubankę, w niej dwie postacie, jedną w kapturze, jakby znajomą.

Już go widzieli, płynęli w jego stronę, wąską, wywrotną łódeczką. Gedeon chciał rzucić tarczę. Na szczęście jednak tego nie uczynił.

Nagle ktoś z wrzaskiem, z pluskiem skoczył na niego z uniesionym mieczem. Ciął w łeb. Borkowic osłonił się, ostrze zarysowało mocną szczelinę na herbowym polu z Sulimą, na połowie czarnego orła wyłaniającego się zza muru.

To nie był Turek. Dobrogost! Rozszalały, krzyczący. Uderzał raz za razem! Walił jak w tura, z wściekłości, nienawiści. Że też musiał przeżyć bitwę. I nie odpuścił.

Gedeon odbijał ciosy raz za razem tarczą Zawiszy. Sięgnął po miecz, ale pod wodą nie mógł go znaleźć, wymacać, wyszarpać...

Jeszcze jeden cios! I jeszcze. Nagle Borkowic potknął się, stracił grunt pod nogami, pogrążył się w wodzie. Zobaczył mętny, szary świat pod powierzchnią. Trupy unoszące się w zawieszynie krwi. I przebijające ją raz za razem ostrze miecza Odyńca...

Rzuczał się jak topielec, chcąc na chwilę wynurzyć głowę z odmętów, zaczerpnąć powietrza. Ale przeciwnik nie pozwalał na to. Uderzał jeszcze i jeszcze!

I wreszcie Gedeon poddał się, już nie miał siły, pozwolił unosić się falom.

Wtedy jak na zawołanie ktoś złapał go za włosy, wyciągnął głowę nad fale Dunaju. Gedeon zakrztusił się, zaczerpnął powietrza. Mocna, żelazna łapa poderwała go w górę. Ujrzał brzeg łodzi, potężna ręka chwyciła go za pas i wciągnęła do wnętrza. Stateczek zakołysał się niebezpiecznie, nabierając wody.

– Uważaj – wycharczał twardy głos. – Nie cierpię wody jak cienkiego wina.

Gedeon patrzył za burtę, zobaczył kołyszącego się, unoszonego na wodzie trupa Dobrogosta. Nic nie czuł, oddychał, charczał, wypluwał wodę, smakując życie, które było lepsze niż klaret pity za pieniądze lichwiarza Kanaana. Tego samego, który spoglądał nań smutnym wzrokiem z końca łodzi, podczas gdy jego mistrz napierał na wiosła.

– Rzuć to – rzekł Żyd, widząc, iż Borkowic trzyma poszczerbioną tarczę Zawiszy. – Rzuć, bo utoniemy!

– Jeśli mam rzucić, to tylko razem ze mną. On tam został! Po co mnie ratowaliście, i tak jestem wasz po śmierci.

– Zapisaleś mi duszę, ale będziesz bardziej potrzebny żywy – powiedział mistrz. – W Polsce niedługo zaczną się dziać wielkie rzeczy. Za twoją sprawą.

– Pozwalasz słudze mówić przed sobą? – zapytał Gedeon do Kanaana.

Mistrz roześmiał się chrapliwie.

– Naiwny jesteś, jak cała wasza nacja. To ja jestem panem, a ów zacny Kanaan moim sługą.

– Bo ty musisz trzymać się w cieniu.

– Żeby nie okazało się, że jestem znacznie miłszy niż na tych bohomazach w kościołach – powiedział diabeł. – Płynmy, a ja wyznaczę ci zadanie. Polska to dzielny kraj. Ale nie będzie wielka, póki rządzona jest przez klechów!

Płynęli w mgłę i dym.

*

Było już po bitwie i pogromie resztek armii Zygmunta – ostatniego krzyżowca, z których część wycięli Turcy na przeprawach, reszta potopiła się w Dunaju, który w tym miejscu rozlewał się przynajmniej na dwadzieścia stajań. Nieliczne niedobitki, w tym Wołosi i Serbowie, umknęły brzegiem do Smederova, staczając po drodze boje ze strzegącymi tej drogi spahisami.

Jeńców, w ich liczbie Zawiszę i kto tam jeszcze przeżył z jego rot, pognano między końmi do twierdzy Golubac, obłuskawszy ich wcześniej ze zbroi i zabrawszy miecze. Szli, potykając się, czasami biegli otoczeni przez smukłe tureckie konie, jeźdźców w turbanach, szyszakach, mając przy twarzach ostrza włóczni, a za plecami wyciągnięte nahaje.

Twierdza rosła w oczach, szeroka, sześcioboczna wieża poznaczona przez kule, po jej prawej stronie ukryty otwór bramy

i rozwalony mur wiodący do kolejnej baszty na skałach – po miesiącu ostrzału był już tylko rumowiskiem.

Po wejściu Turcy rozdzielili ich. Zawiszę przejął śniady, chudy spahis, ten sam, który powalił go w gęstwinie szabel i mieczy, jeden na dziesięciu. Nie był sam, na koniach warowało przy nim jeszcze dwóch Turków – śniadolicych, wąsatych, gorzej uzbrojonych, bo tylko w łuki i szable, nie mieli pancerzy ani szyszaków. Zawisza poznał, że był to cały bisurmański gonder, odpowiednik kopii w chrześcijańskich chorągwiach zaciężnych.

Zanim pochłonęła ich mroczna brama, pozostawili konie na zewnątrz. Dalej szli pieszo, pilnując rycerza. Weszli do środka, mijając z prawej potrzaskaną, walącą się od ostrzału strażnicę, z której wydobywał się słodkawy, trupi zapach.

Dziedziniec między skałami a zniszczonym murem od strony Dunaju był na szczęście przewiewny, choć pełen gruzu, potrzaskanych kamieni wyrwanych ze ścian twierdzy przez kule. Było tu źródło wody sączącej się po skałach i Zawisza wskazał je ręką. Turcy nie oponowali. Nabrał wody w ręce, przemył pokrwawione oblicze, bolące oczy, napił się. Spahis położył mu rękę na ramieniu i coś powiedział. Sulimczyk nic nie rozumiał, pokręcił głową. Tamten rozglądał się po dziedzińcu, na którym kręcili się żołnierze sułtana, zaczepił któregoś, złapał za rękaw, przyprowadził. Ten znał niemiecką mowę.

– Wiem, że jesteś znamienitym rycerzem. Widziałem w bitwie twoją tarczę z czarnym orłem.

– Jestem Zawisza Czarny z Rożnowa, polski rycerz nadworny, starosta, ban. Król Zygmunt mnie wykupi.

– *Allach akbar!* Tak myślałem. *Allach kurtulur seni!*

Kiwnął na Zawiszę palcem, pozostali Turcy otoczyli go i poprowadzili dalej, przez następną bramę na jeszcze mniejszy dziedziniec, z prawej strony ograniczony przez potężne skały, na których szczycie widać było kolejną, czworoboczną wieżę i dochodzący do niej mur z blankami. Z lewej rozciągał się

dobudowany do muru piętrowy dom komendanta, a teraz – zapewne paszy.

Doszliby do kolejnego otworu w skałach, z którego pewnie schody prowadziły do okrągłej baszty powyżej. Jednak nagle ze stopni prowadzących do górnych sal domu komendanta zeskoczył żwawo rześki, białobrody Turek w kosztownym kaftanie obszytym futrem, z jeszcze droższym pasem zawiniętym wokół sporej wielkości brzucha. Strzegło go czterech potężnych, wąsatych strażników w kolczugach, szyszakach i kolczych czepcach.

Zagadał coś do spahisa, który pojmał Zawiszę, wskazał rycerza, potem dźgnął go w pierś, a zapytany odpowiedział ostro. Nagle wybuchła sprzeczka, głosy spahisa i możnego Turka, który wyglądał na mirzę, wznosiły się, przeradzając w krzyki. Wreszcie białobrody rozkazał coś strażnikom, ci chwycili rycerza pod ramiona, szarpnęli ku schodom, próbując odebrać go wojownikowi.

Na ten znak spahis chwycił za szablę. Rozległ się krzyk, sandżak złapał za swoją, ale nim zdołał ją wydobyć, jego przeciwnik wziął zamach i ciął... Nie, wcale nie w niego! W Zawiszę, który stał ze spuszczoną głową. Chciał ją odrąbać, ostrym cięciem z zamachu, na odlew z prawej, w lewy dół. Starosta nawet nie krzyknął, ranny, poobijany, nie wiedział już, co się dzieje...

Straciłby głowę w jednej chwili, gdyby nie błysk z boku. Ostrze szabli natrafiło na opór, na miecz, który przyjął cios i odbił zakrzywione ostrze!

Miecz był w ręku człowieka w turbanie, w kaftanie. Bez brody, jedno oko miał prawie przymknięte. Zimny uśmiech przyklejony do warg. Wolkenstein!

Sandżak i spahis rzucili się na niego; nie bronił się żelazem, ale papierem. Wyrwał z zanadrza świstek, kartę z czarnym bisurmańskim zawijasem, który Zawisza już znał.

Czarna tugra szejcha! W ręku minnesingera. Jak to?

W Turków jakby piorun strzelił. Patrzyli ze złością na Niemca. A ten odsunął bezceremonialnie strażników w kolczugach,

przekazując Zawiszę w ręce trzech swoich ludzi – śniadych, prawie czarnych, we wzorzystych szatach tureckich.

– Za mną! – rozkazał, a zaskoczony rycerz dał się prowadzić jak baran na rzeź. W tej chwili nie rozumiał nic, wydarzenia przerosły nawet jego. Przeskoczyły na rączym koniu umysł, mógł tylko iść w towarzystwie trzech rosłych Turków i minnesingera, który grał w tym wszystkim jakąś złowrogą rolę.

Dołączył do nich brodaty aga i cichy, spokojny mężczyzna w czarnych szatach. W rękach trzymał skórzaną sakwę ozdobioną tureckimi zawijaszami.

Weszli do środkowej baszty, przez wąskie przejście pomiędzy przejmującymi chłodem murami. Wolkenstein wprowadził ich do ciemnej komnaty, rozświetlanej tylko przez smugi blasku wpadające jedną jedyną wychodzącą na północ strzelnicą. Kiedyś to miejsce musiało być kaplicą, Zawisza widział na ścianach łuszczące się resztki malowideł, jak w cerkwiach w Polsce. Brodaci święci, aniołowie, biblijne sceny z prorokami. Wszyscy mieli wydłubane oczy, Turcy wierzyli bowiem, iż chrześcijańscy święci mogą rzucać klątwy swoim karcącym wzrokiem.

– W samą porę zdążyłem – odezwał się Wolkenstein. – Mirza i ten spahis, który wziął cię do niewoli, pokłócili się o twoją głowę, bo jest wiele warta. Na to wierny pies proroka stwierdził, że nie dostanie jej nikt. Dobrze, że zdążyłem, a janczarzy widzieli wcześniej, jak cię prowadzili do zamku. Uratowałem ci życie, ale niestety, nie duszę.

Dał znak i jeden z Turków wydobył z chrzęstem miecz z pochwy. Miecz długi, wschodni, nieprzypominający krzyża, z jelcem wygiętym jak diabelskie rogi – w stronę ostrza.

– Chwila jeszcze, a cały mój plan i starania wzięłyby w łeb. Tyle pracy, chodzenia, próśb, gróźb, gadania z tobą, prowadzenia cię. Na koniec tu jesteś. Cieszę się. Cóż, Zawiszko, nie będę owijał w bawełnę, musisz się poturczyć, jeśli chcesz dalej żyć. Poturczyć się i dołączyć do mnie i moich braci.

– Oszalałeś, Wolkenstein! – wykrzyknął, a raczej wycharczał rycerz. – Byłem ślepy i głuchy, że nie wyczułem w tobie zdrady. Taki

jestem wybaczący jak prostak. Stałeś się... bisurmaninem, zdradziłeś wiarę, chrześcijaństwo, rycerskie prawa. Zdradziłeś pana i króla Zygmunta, zdradziłeś własną żonę i dzieci. Czy powiesz im kiedyś, że bijesz czołem fałszywemu prorokowi? Że popełniasz krzywoprzysięstwo, klękając przed krzyżem w kościele?

– Wiara to rzecz rozumu, Zawiszo. Wszystkie są takie same: aby cię zniewolić, zmusić do ślepego wykonywania rozkazów różnych mułłów i klechów. Jak... jak bezwolny zwierz. Dopiero po śmierci okaże się, która jest prawdziwa.

– Nie zagadasz mnie.

– Nie robię tego dla siebie, ani nawet dla sułtana. Zasmucasz kogoś, kto cię bardzo miłuje, kto wysłał mnie do Polski, dla którego przekonałem króla Zygmunta, aby powierzył ci formowanie zaciężnej roty zbrojnych. To twój ojciec Mikołaj. On żyje, jest teraz bliski śmierci, chce cię zobaczyć. Przyjmij prawdziwą wiarę, a staniesz przed nim osobiście.

– Oszalałeś, Wolkenstein! Mój ojciec żywy? Po tylu latach? Choćby nawet, nie stanę przed nim jako poturczeniec!

– Twój ojciec nie popełnił tego błędu. Dawno temu na krwawym polu pod Nikopolis sam złożył wyznanie wiary... Posłuchaj.

Nikopolis, 32 lata wcześniej

Opowieść Wolkensteina

– Któż to? – zapytał dragoman.

– Polak. Mikołaj Zawisza.

– Dzielny rycerz – zacmokał wezyr. – Jak dzielny, to może... przyjmie wiarę Proroka.

– Pomilujcie go, sułtanie – odezwał się młody syn padyszacha Mehmed. – Dołączy do reszty.

– Prosisz o zbyt wiele. Nasza odpowiedź brzmi: nie. Rozzłościł mnie, a sam odwiedzę cię w pałacu w Amasyi. I wtedy zostaniesz

bez niewolników...

Mikołaj Zawisza milczał, ale się nie szarpał. Złożył ręce jak do modlitwy. Przeżegnał się i przymknął oczy.

– Mikołaju Polaku – odezwał się dragoman – czy chcesz przyjąć prawdziwą wiarę? Chcesz uczynić jej wyznanie i oznajmić nam, że nie ma Boga nad Allacha, a Mahomet jest jego prorokiem? Uczyń to, ocalisz głowę i spotka cię łaska!

Mikołaj Zawisza milczał, nic nie mówił, jakby niewiele go to wszystko obchodziło.

– To możny pan, da dobry okup, bo ze sławnego rodu – wstawiał się za więźniem serbski despota Lazarević. – Król Zygmunt dobrze płaci za swoich przybocznych.

– Czy uczynisz wyznanie wiary?

Zawisza milczał, opuszczał głowę coraz niżej. Czy w tej ostatniej chwili myślał o synach? Czy żałował za grzechy? Nie wiadomo...

A może próbował się modlić?

Turek podniósł szablę. Wziął zamach.

– *La Illa-ha, illah, Muhammad rasullach!* – wykrzyczał Mikołaj.

Dwa strumienie łez pociekły po jego obliczu.

– Dla ciebie... – wyszeptał bez słów. – Dla ciebie, synu... Tak! Chcę cię jeszcze zobaczyć.

*

Zawisza rzucił się na Wolkensteina! Zdołał pchnąć go na ścianę, z takim rozmachem, że z malowideł poleciał kurz. Złapał za gardło, ścisnął...

Więcej już nie zdołał uczynić. Strażnicy minnesingera oderwali go, obalili w jednej chwili, chwycili, unieruchomili, potem przydusili do ziemi, przykładając ostrze kindżału do gardła.

– Boli? – wycharczał Wolkenstein. – Twojego ojca też bolało... całe życie. Ocalił mnie, przekonał, żebym poszedł w jego ślady. Tak bardzo chciał zobaczyć ciebie i twoich braci, rodzinę. Ale to okazało

się niemożliwe. Kto raz przyjmie wiarę proroka, staje się niewolnikiem sułtana i jego życie już nie należy do niego.

– Kłamiesz! Cały czas łągałeś, na kłamstwie zbudowałeś życie. Sam diabeł nie pozna, co w twoich słowach jest fałszem, a co prawdą.

– Twój ojciec prosił mnie, abym cię odnalazł. I sprowadził. On stworzył nasze bractwo, to szejch, jego tugerę widziałeś w Argesz, kiedy próbowaliśmy cię schwytać.

– A ja nawet nie domyśliłem się, że ty stałeś za tym atakiem. Kłamco! Zdrajco! Wszystko na nic, nie wierzę ci.

– Będzie to straszne dla Siyahy agi szejcha, to znaczy dla twojego ojca, kiedy na łożu śmierci przyniosę mu głowę jego ukochanego syna.

– Nie zgub jej, jest wiele warta. A jeśli naprawdę dasz ją mojemu ojcu, on cię zabije, choćby umierał. Inaczej nie jest moim rodzicem!

– Zatem odmawiasz?

– Nie porzucę chrześcijańskiej wiary!

– Po szyi go! Dalej. *Pregidi anasem sigligum irlasen!* – wrzasnął Wolkenstein. Wyglądał teraz podle. Krew sączyła mu się z nosa, na szyi widniał jeszcze odcisk palców Zawiszy.

Sulimczyk już tego nie widział. Zamknął oczy, zaczął szeptać modlitwę, ale...

Cios nie spadł. Zamiast tego usłyszał złośliwy śmiech, kroki, szuranie stóp na kamienistej podłodze. Do starej kaplicy wchodzili kolejni zbrojni. Zawisza jęknął, poznawał ich wszystkich, chociaż byli w tureckich szatach, głowy kryli w turbanach. Szatmár, marszałek dworu i główny animator i doradca króla Zygmunta. Jego sekretarz Emeryk Perényi i... co było najstraszniejsze: ksiądz Matthias Lohe, jeden ze spowiedników króla Węgier, a przy okazji doradca i przyjaciel kardynała Giuliana Cesariniego, który nie raz bywał w Budzie. Żaden z nich nie wyglądał na jeńca zastraszonego przez Turków. Żaden nie był pod strażą.

– Zawisza? – zawołał z udawanym zdziwieniem Szatmár. – Mój wróg, przeciwnik, czułem, jak dusi w sobie gniew, ilekroć przechodził koło mojej osoby.

– Odpuszczam wam, panie komesie, bo znacznie większe męki czekają na was w piekle za zdradę i zaprzędanie duszy.

– Możliwe, ale ty przekonasz się o tym wcześniej. Bo jak sądzę, nasz złotousty poeta i wędrowiec nie zdołał przekonać cię do złożenia wyznania wiary?

– Uparty jak reszta tego przeklętego narodu. Nic z nich nie będzie, z tych przeklętych Polaków!

Zawisza spoglądał na coraz to nowe oblicza. Był jak obłąkany, widząc kolejnych członków, doradców, dygnitarzy z dworu Zygmunta. Wprost nie mieściło się w głowie, ilu ich było i jak możliwych. Jak wielu zdradziło!

– Grozisz mi piekłem – uśmiechnął się okrutnym uśmiechem Szatmár – więc ja ci pokażę przed śmiercią przedsiónek twojego. Marzyłeś o sławie krzyżowca, ty nędzny Polaczku, o zwycięstwie nad sułtanem. A tymczasem twoje nadzieje legły w gruzach, nie ze złej woli króla, ale przez nas, bo wszystko było z góry ukartowane. Wyprawa, zły rząd w obozie. Prowadziliśmy twojego króla Zygmunta jak ślepcę na powrozie.

– Zdradźcie mi przed śmiercią: czym was kupił sułtan? Mielicie złoto, tytuły, wolność. To jakieś szaleństwo, ja już jestem w piekle, ale jestem prostym człowiekiem, wiernym chrześcijaninem. Zrozumiałbym sługę, chłopca umierającego z głodu na przednówku, który ukorzy się przed Mahometem z bólu, ze strachu. Ale wy... nigdy nie głodowaliście. Co takiego dał wam sułtan? I tak zaraz umrę, zdradźcie ten jeden wielki sekret.

– Są przyjemności, których nie da ci i nie zaakceptuje chrześcijańska wspólnota – powiedział Wolkenstein. – Padyszach jest wielki, bo daje nam wolność rzeczy, które w krajach królów Zachodu zasługują na potępienie, podczas gdy Turcy uznają je za zwykłe igraszki. Ja taję w sobie grzeszną chęć posiadania męskiego ciała, imć komes Szatmár uwielbia młode ciała dziewczątek i chłopców. Emeryk uwielbia krzyk torturowanej niewiasty, ale ileż czasu można to robić tylko z chłopkami z własnych włości i jakież mimo wszystko konsekwencje to niesie.

– Jutro wieczorem mamy dywan, spotkanie naszego *tekke*, bractwa. Zawieziemy tam twoją głowę i będziemy się bawić, igrać wyzwoleni. Pić wino, które dozwala nam sułtan, planować nasze posunięcia i czekać, aż król Zygmunt, ten pocziwy głupiec, wykupi nas z niewoli. Bo w niej niby jesteśmy.

– A ty będziesz spoglądał na to martwymi oczyma, głupcze – podjął pater Lohe – nie wiedząc, jaką łaźnię sprawimy jeszcze w tym roku chrześcijańskim rycerzom, Polakom, Niemcom, Czechom, którzy tu przyjdą wspierać Zygmunta Luksemburskiego. Ot, wspomozemy husytów w walce z królem, a kiedy padną Węgry, oni też będą musieli zgiąć karki. Szkoda, że tego wszystkiego nie obejrzysz. Tak samo jak nie zobaczysz umierającego ojca.

– Po szyi go. Szkoda czasu!

Miecz podniósł się w tej krótkiej, lecz jakże długiej chwili życia, którego obrazy przelatowały przez głowę rycerza. Zatrzymując się na jednym: wspomnieniu ojca żegnającego się z nim przed wyruszeniem na wyprawę na Węgry. „Strzeż honoru” – powiedział, przytulając syna. „Jedyne, co masz, czego nie możesz kupić ani sprzedać”.

– *La Illa-ha, illah, Muhammad rasullach!* – wykrzyczał, zaskrzeczał nieswoim głosem. – Macie, przekłęci, co chcecie. Jeszcze nie czas umierać.

Kto to powiedział? Wolkenstein? Marszałek dworu? Ksiądz Lohe?

Nie... Zawisza!

– Za późno – pokręcił głową Szatmár. – Dalej, ścinać!

– Nie! – wykrzyknął turecki imam i gołą ręką chwycił za miecz. O dziwo, strażnik nie zadał ciosu, zgiął się w pokorze.

– Powiada sura An-Nisa: a jeśli przyjdzie do ciebie nieznajomy i poprosi, abyś go przyjął pod swój dach, ugość go, a znajdziesz łaskę w oczach Allacha.

– *Herkim fena gawur olmusztu, hicz iji miisliiman olur*^[3] – odezwał się ksiądz renegat. – Chyba nie muszę akurat wam o tym przypominać.

– To jest wielki wojownik, nawet jeśli nie przystąpi do waszego *tekke*, może stać się dobrym muzułmaninem i ponieść na ostrzu słowo Mahometa.

– Zostawcie go – wstawił się niespodziewanie Wolkenstein. – To jednak Zawisza, symbol chwały. Wypowiedział świętą szahadę, Prorok go chroni.

– Potrzebujemy kogoś z Polski – mruknął Emeryk. – Mieszkańcy tego kraju dziwnie oporni są w przyjmowaniu prawdziwej wiary.

– Jest nasz. Podnieście go.

– Zabierzcie mnie do ojca – wycharczał Zawisza. – Chcę go zobaczyć, jeśli umiera.

– Spełnimy twoje życzenie. Jutro zaczyna się nasz dywan. Jednak dopóki nie złożysz ślubów i nie dopełnisz ceremonii, będziesz traktowany jak niewolnik. Bez broni.

– Przecież i tak nie mam miecza. Ani zbroi.

*

Kiedy następnego dnia jechali przez góry na południe, otoczeni strażą Turków, zniecka usłyszeli za sobą łoskot podków i chrapanie strudzonych koni. Strażnicy obrócili się, wyjechali za poturczeńców, wyciągając łuki. Z drugiej strony nadciągał poczet zbrojnych rycerzy oraz strzelców na smukłych koniach, wszyscy w pancerzach i zbrojach okrytych tunikami, w prostych szłomach. Pod chorągwią ze złotym dwugłowym orłem w krasnym polu jechał postawny, czarnowłosy mężczyzna w kosztownej tunice na kolczudze.

– Stójcie, nie bójcie się! – okrzyknął Turków jego giermek. – Oto sam despota Serbii Jerzy Branković!

– Jesteśmy sługami sułtana. Prowadzimy jeńców. Czego chce od nas nowy lennik Porty?

– Podobno jest wśród was jeniec, rycerz Zawisza z Rożnowa?

– Nie z nami będziecie traktować o wykupie.

– Nasz pan chce tylko zamienić kilka słów z więźniem. Osobiście.

Szatmár i Wolkenstein wymienili zdumione spojrzenia.

– Szlachetny despota prosi. Nie, to sam weźmie.

– Co, do jasnej i niespotykanej cholery? – mruknął ksiądz Lohe. – To jakiś spisek? Zawiszo, chcą cię uwolnić?

– Nigdy nie widziałem ani nie spotkałem Jerzego Brankovicia. Czyńcie, co chcecie. Jak sami mówiliście, jestem niewolnikiem.

– Nie wzbudzałbym podejrzeń. Niech pogadają – wyszeptał Wolkenstein. – Despota złożył hołd sułtanowi. Ale my się nie pokazujemy!

– Jest ich więcej. Nie ryzykujemy. Niech pogadają.

– Dobrze, damy im chwilę. Zawiszo, jedź – rozkazał Szatmár. – Ale wcześniej przysięgnij, że szczerze przedstawisz wszystko, co powiedział ci despota.

– Przysięgam. Rycerskie słowo honoru.

Spahisi rozstąpili się i Zawisza ruszył do Serbów. O dziwo, Jerzy Branković sam ruszył na spotkanie w towarzystwie giermka. Zawisza skłonił się, głowę miał odkrytą, więc nie musiał uchylać czapki. Despota czekał. Syn Vuka Brankovicia, którego potomkowie rywalizowali od lat o władzę nad resztkami Serbii z carskim rodem Lazareviciów.

– Nie spotkaliśmy się jeszcze, rycerzu – powiedział despota. – Ale ja cię znam z opowieści króla Zygmunta. Ponoć wysadził cię kiedyś z siodła na turnieju, ale ty nie chowałeś urazy, więc uczynił cię przybocznym. Szukałem cię wiele lat, zawsze jednak przeszkadzała wojna. Nie w tym jednak rzecz. Mam coś dla ciebie.

Skinął na giermka, a ten wyciągnął długi przedmiot owinięty w aksamit. To był miecz, prosty, z okrągłą głowicą, z lekko zaokrąglonym jelcem. Bez pochwy. Podał go Sulimczykowi, a ten przyjął broń z pewnym zdumieniem. Spojrzał na ostrze pełne wżerów i zobaczył wyryty napis: „Nicolae de Garbow”. Coś w nim pękło.

– Ten miecz dostałem od mojego stryja Stefana. On zaś zdobył go pod Nikopolis, gdzie wasz ojciec Mikołaj zwałił go z konia.

– Nie chcę tego miecza, szlachetny panie. Mój ojciec... był złym człowiekiem. Niegodnym stanu rycerskiego.

– Co ty powiadasz? – Jerzy Branković prawie stanął w strzemionach. – Ale ja też tam byłem jako młodzieniaszek. Nie kalajcie imienia Mikołaja de Garbow. Zginął jak mąż, z rąk Turków, po bitwie. Cześć mu i chwała.

– Nie... niemożliwe.

– A jednak... – uśmiechnął się despota. – Posłuchajcie.

Nikopolis, 32 lata wcześniej

Opowieść Jerzego Brankovicia

– Mikołaju Polaku – odezwał się dragoman – czy chcesz przyjąć prawdziwą wiarę? Chcesz uczynić jej wyznanie i oznajmić nam, że nie ma Boga nad Allacha, a Mahomet jest jego prorokiem? Uczyń to, a ocalisz głowę i spotka cię łaska!

Mikołaj Zawisza milczał, nic nie mówił, jakby niewiele go to wszystko obchodziło.

– To możny pan, da dobry okup, bo ze sławnego rodu – wstawiał się za więźniem Stefan Lazarević. – Król Zygmunt dobrze płaci za swoich przybocznych.

– Czy uczynisz wyznanie wiary?

Zawisza milczał, opuszczał głowę coraz niżej. Czy w tej ostatniej chwili myślał o synach? Czy żałował za grzechy? Nie wiadomo...

A może próbował się modlić?

Turek podniósł szablę. Wziął zamach.

– Oto ostatnia chwila, giaurze. Wybieraj, życie w chwale albo śmierć.

– Tnij dobrze, kacie! – wykrzyknął Mikołaj, zbierając dłonie w pięści. – Bo jeśli chybisz, to cię zadławię. Wiara to nie stara czapka, że można ją odmieniać za garść brabantkich srebrników wybijanych w Brukseli. Tnij mnie, nie chybiaj, bo jeśli przeżyję, do

końca życia bić będę Turków. Niech moja krew będzie ofiarą i przestrogą dla tych, co przyjęli władzę sułtana, niech będzie światłem i latarnią, aby zawrócili ze złej drogi.

– Po szyi go!

– Zawiszo! Farureju! Kruczku! Pomścijcie...

Błysk, głowa Mikołaja spadła w strumieniu krwi. Potoczyła się i znieruchomiała, spokojna, z zamkniętymi oczyma, jak czerep świętego.

Zdrętwiały Jerzy Branković spoglądał na to wszystko znad ramienia stryja. A jego stryj, despota Serbii, ścisnął w rękę miecz wielkiego Mikołaja.

*

Zawisza Czarny z Roźnowa obracał w rękę tę samą broń. Szczerby i wżery na płazie zdawały się uczynione przez krew jego ojca. A dokoła świat walił się w gruzy.

– Cóż to, słabujecie? – zapytał despota. – Co wam? Medyka trzeba?

– Nie bądźcie źli, panie, ale źle was zrozumiałem. Nie jestem rycerzem Zawiszą, ale jego giermkim i towarzyszem. Sam zaś Zawisza oddał życie w Golubacu z ręki spahisa, który pokłócił się ze swoim setnikiem o możnego jeńca. Tak rozgłaszajcie. Tak rozpowiadajcie, proszę, błagam was. A miecz, jeśli pozwolicie, zatrzymam. Oddam go po powrocie z niewoli Farurejowi, bratu Zawiszy.

– Cóż, nie wybieram się do Polski, a mój stryj zobowiązał mnie do oddania tej broni.

– Wypełniście misję z honorem, panie. Dziękuję!

Uklonił się i oddalił jak błędny. Szatmár i Wolkenstein wyskoczyli na jego spotkanie.

– Cóż to, broń? – Węgier chwycił za miecz i szarpnął.

– Dziwna rzecz, to miecz Mikołaja. Jerzy Branković znalazł go na poboju pod Nikopolis. Dziwnie się składa, ale wezmę go i oddam Mikołajowi, kiedy się dzisiaj spotkamy.

– Na razie ja go przechowam. Nie ufam ci.

*

Był wieczór, kiedy dotarli do zrujnowanego, spalonego monasteru, z którego ostał się tylko kościół, niski, z kopułą i prawosławnym krzyżem, zbudowany na planie równoramiennej krzyża. Za wąskimi okienkami pojawiały się światła.

Zeszli z koni, pozostawiając je eskortie, tureccy strażnicy rozeszli się wokół budowli, wymieniając porozumiewawcze uśmiechy.

Tak samo uśmiechał się Wolkenstein, puszczał oko do Zawiszy, kiedy otwierał drzwi i wprowadzał go do środka.

A tutaj był przedsionek piekła. Dosłownie. Cerkiew, jak i cały monaster zbezczęścili Turcy. Ogromne połączenie ścian pokrytych błogosławionymi wizerunkami świętych z aureolami nad głowami były połupane, okopcone, pokryte koślawymi, wybitymi w miękkim tynku napisami. Oczy postaci jak zwykle wydłubano, a ikonostas na wprost pozbawiony był obrazów i figur. Płonęły na stosie przed carskimi wrotami, płomienie rzucały krwawy blask na ściany, dym ulatywał przez wytłuczone witraże kopuły. Przez tańczące smugi ognia Zawisza widział wielki krzyż o ośmiu ramionach, przechylony, zrzucony z ołtarza i zaklinowany z nieruszoną figurą ukrzyżowanego Chrystusa. Na ikonostasie Pantokrator i Hotegetria także przetrwali – porąbani, poznaczeni śladami szabel, z wykłutymi oczyma...

A na środku przy ogniu leżały rozłożone dywany, na których stały misy i półmiski z suszonymi migdałami, rodzynkami, bakławą, daktylami i figami. W dzbanach i nalewakach czekało wino, półnagie służebnice dolewały trunku do kielichów biesiadników, pijanych, bezwstydnie rozwalonych lub wkładających do ust przedziwne miedziane lub drewniane rurki prowadzące do okrągłych baniek, jak alchemiczne alembiki. Bulgotała w nich jakaś zawartość, a z krótkich rurek unosił się dym o niezwykłym wprost, uwodzicielskim zapachu.

Boczne kaplice przegrodzone były makatami, a raczej zasłonami, na wpół przezroczystymi, lekkimi jak płatki kwiatów. Trochę było widać, co się w nich działo, a można by to śmiało określić mianem nowej Sodomy. Splecione w uścisku ciała mężczyzn, niewiast oddających się dużej liczbie miłośników. I znacznie gorsze – krew tryskająca na zasłony, krzyki i świst batów. Wynoszone pokrwawione ciało chłopaka, pozostawiające na dywanach smugę krwi.

Zawisza nic nie mówił. Wiedział, że nie żyje i to jest śmierć, początek czyśćca. Cóż, musiał odbyć pokutę do końca.

– Chodź! – Minnesinger ujął go za rękę i poprowadził, gładząc drugą dłonią w okolicach łokcia, zupełnie jakby wiódł dziewczkę, a nie męża. Szli przez raj Wolkensteinów i piekło Zawiszów. Mijali mężczyzn umalowanych jak ładacznicę z Budy, wymazanych barwicznymi, rozchichotanych, zalecających się do niewiast albo chłopców. Jednego w sukni uwydatniającej piersi, biodra, brzuch. Zawisza zamarł na chwilę, kiedy uświadomił sobie, że dziwnie znajoma, brązowo-żółta barwa brała się z... ludzkiej skóry, z której uczyniona była szata. Przez rozdartą zasłonę w niszy ujrzął powieszoną za nogi niewiastę, drgającą, pewnie i krzyczącą, gdyby nie drewniany knebel w ustach. Ponacinaną, aż krew spływała do miedzianej rynki, w której zagłębiał ręce... Emeryk Perényi, uśmiechający się miło, kiedy odwrócił głowę na widok Zawiszy.

– Tu jest wolność – powiedział Wolkenstein, otwierając diakońskie wrota. – Niedługo dołączysz do nas. Do prawdziwie wolnych ludzi tego świata.

– Dlaczego bawicie się razem, zamiast czynić występki w odosobnieniu?

– Dzięki temu każdy zna słabe strony każdego. Jak w bractwie, w klasztorze. Dlatego żaden z nas nie zdradzi, bo inni go znają, a za takie namiętności tam, po drugiej stronie Dunaju, jest żelazo, szafot, a może nawet rozpalony stos.

– Kiedy zobaczę ojca?

– Najpierw pokażę ci coś ważniejszego. – Wolkenstein poprowadził go na lewo, do stojącej pod ścianą ogromnej armarii, skrzyni postawionej pionowo. Kiedy odemknął wieko, Zawisza zobaczył w niej wiele otwartych przegródek, a w nich, jak by powiedzieć... leżały jakieś zasuszone kawałki korzeni, paznokcie, płytki... Boże, kawałki ludzkiego ciała. – Sułtan w swojej przewspaniałej wielkości pozwolił nam uniknąć ceremonii obrzezania wstydliwego członka, zbyt łatwo bowiem byłoby wówczas nas rozpoznać. Lecz wielki mufti w swojej mądrości kazał, aby każdy z nas ofiarował zamiast tego inną część ciała. Palec, ucho, kawałek wargi, kawałek skóry, mały palec u nogi. Zastanów się, co chcesz oddać na chwałę Allacha, choć zdarzają się i tacy, co poza utratą kawałka ciała decydują się dodatkowo na ceremonię przycięcia członka. Ci najwierniejsi, jak moi słudzy zabici w Argesz.

– A ty sam... co ofiarowałeś? Chyba ciało masz w całości.

Wolkenstein podniósł rękę do głowy. Powoli podsunął do góry prawą powiekę, ukazując, nie, wcale nie pusty oczodół! Wprawiono w niego bowiem błękitny kamień. Po rozwarciu sprawiało to przerażające wrażenie.

– Mój Boże! – rzekł rozdygotany Zawisza. – Jesteś kłamcą i upiorem.

– Jeszcze nie wiesz, co naprawdę potrafię. Turcy twierdzili, że mam uroczone oczy!

– Do ojca. Prowadź! Dalejże!

I zaprowadził go tam, gdzie w półkolistej niszy stało posłanie wymoszczone skórą tygrysów i wilków. Był tam Szatmár i kilku innych poturczeńców. Widząc wzrok Zawiszy, pokręcił głową.

– Spóźniliśmy się, opuściła go dusza. Oddaj mu ostatnie pożegnanie.

Na posłaniu leżał zgrzybiały starzec w turbanie i z rzadką brodą. Wiekowy, pokrzywiony. I martwy – kiedy Zawisza dotknął jego czoła, było chłodne, nie wyczuwał oddechu, pierś się nie unosiła. W ustach miał kartkę, zapewne z wersetami Al-Qurana.

Rycerz stanął nad nim i nic nie poczuł. To nie był jego ojciec. Nie mógł być, Mikołaj przecież zginął lata temu pod Nikopolis. Osłaniając odwrót króla Zygmunta, wtedy jeszcze niedoświadczonego młodzieniaszka, dziś prawie starca opętanego przez doradców, którzy zapredali dusze przeklętym wrogom – Turkom.

– Dajcie miecz od Brankovicia, to jego broń, niechaj spoczywa z panem i po śmierci.

– Masz mnie za głupca, że dam ci miecz do ręki tutaj?! – prychnął Szatmár. – Sami zostawiliśmy broń po drugiej stronie drzwi.

– Przecież i tak zapredałem duszę waszemu prorokowi. Jestem potępiony i pohańbiony. Pozwólcie zatem chociaż oddać cześć ojcu.

– Ja to uczynię – rzekł Wolkenstein. – Kazałem go wziąć. – Skinął na sługę, który podał mu zawiniątko. Wyciągnął z niego miecz i wtedy spojrzenia jego i Zawiszy spotkały się na chwilę.

I rzecz niespodziewana – zamiast położyć broń obok martwego starca, który nie był Mikołajem z Garbowa, wyciągnął ją rękojeścią w stronę rycerza.

– Kłamco! – ryknął Szatmár.

Miecz przylgnął do dłoni Zawiszy miękko i szybko. Jak znoszony płaszcz okrywający dobrze znajome ciało.

I wtedy rycerz ruszył. Bez ostrzeżenia, bez krzyków. Bez słowa.

Zabijać!

Pchnięcie! Sztych wbija się w pierś giermka Szatmára, przebija na wylot i wychodzi z przodu, tak szybko, że wyraz zdumienia nie znika z oblicza młodzieńca! Zawisza odpycha go, wyrывая broń, tnie z góry, z postawy wiszącego sztychu, na odlew, rozwalając bark, pierś i odwalając od ciała łopatkę kolejnego poturczeńca.

– Zdrada! – rozdarł się Szatmár i rzucił się do ucieczki. Wolno, za wolno, wszyscy dokoła byli za wolni, bo zaskoczenie jakby przykuło im nogi do posadzki dziesięciofuntowymi ciężarami!

Zawisza szedł, pędził, biegł. Oni pełzli. Zabijał. Po kolei, bez litości.

Skoczył w rozwalone carskie wrota, wparował do głównej nawy przez ogień, aż posypały się iskry, jak anioł zemsty. Podniósł się

wrzask i wycie. Jak cofająca się fala, tak poturczeni uciekali przed nim do zbezczeszczonych kaplic, pozostawiając po sobie przewracające się puchary i dzbany z winem i krwią. Depcząc misy owoców, fig i daktyli. Potykając się na dywanach, rozgniatając ciasta oraz wielkie kiście winogron.

Na Zawiszę skoczył pierwszy z przeciwników – z bastardem trzymanym oburącz. Ciął z prawej, potem z lewej, zasypując gradem ciosów rycerza, lecz zanim rozgrzał się walką, Zawisza zablokował ostrze górą, chwycił miecz oburącz i puszczając rękojeść, obrócił w rękach, waląc głowicą w oblicze, rozwalając nos, usta, twarz jak dojrzałego melona. Ostrze drugiego wroga zbił w bok i pozbył się go jednym prostym pchnięciem w szyję, rozpruwając tętnice i gardło, śląc strugi czerwonej krwi na atlasowe poduchy, na kobierce.

I szedł, potem biegł jak śmierć, zadając ciosy, sam dostając, lecz nie zwracał na to uwagi. Wrzask mordowanych zdawał się rozwalać nadwątlone mury świątyni.

Oto dwóch leci na Zawiszę z mieczami, drąc się pomalowanymi ustami... Polak przyjmuje cios na przeszywanicę, czerwoną już od krwi, i zmiata pierwsze ostrze, rozwala bok i brzuch wroga. Z drugim krzyżuje ostrza, zbija wroga w górę i przechwytyjąc uzbrojoną prawicę przeciwnika lewą ręką, z prawej wyprowadza morderczy, pochyły sztych w dół, w brzuch.

Jęki i krzyki, tupot stóp. Uciekają przed nim, a on ich goni, biegnie, zabija krótkimi, oszczędnymi zamachami rąk.

– Otoczyć go! Od tyłu – drze się Szatmár, już uzbrojony w miecz.

– Straż! Straż! – wrzeszczą inni.

Szatmár sam rusza, wściekły, poraniony. Chwyta ostrze w pozycji półmiecza, to jest łapiąc lewą ręką w połowie sztychu. Kiedy Zawisza go dopada, podnosi broń wysoko, grożąc pchnięciem w głowę. Atakujący zbija cios trzymanym pionowo mieczem, a wtedy Szatmár, puszczając uchwyt, zadaje płaski cios z prawej, nie ostrzem, lecz rękojeścią – jelcem w głowę, chcąc zdruzgotać kości!

Ale Zawisza znika, unika podstępного uderzenia, kuląc się. I sam uderza z prawej, z dołu półkolem, podcinając Szatmára. Węgierski

komes pada na wznak, próbuje się bronić, ale trzyma miecz za ostrze, nie za rękojeść... To błąd!

Sulimczyk tnie go z góry, z zamachem, rozrąbując pierś, rozwalając żebra i obojczyk. Węgier rzuca się, krew wypływa mu z ust szerokimi strugami. Jego życie kończy się w drgawkach na pozwijanych dywanach, wśród rozlanego wina, jak po bójce w zamtuzie.

– Murwy won! – krzyczy Zawisza. – Gachy precz! Nie po was idę, ale po waszych panów.

Trzask wrót, wpadają tureccy strażnicy, na chwilę zatrzymują się, chcąc rozpoznać przeciwnika. To błąd! Rycerz wpada między nich, tnie, wali, obala, rąbie. Nie patrzy na nic, w szale, w obłędzie...

Zabijał dalej. Zabijał, nie patrząc na nic, nie zwracając uwagi na rany. Wpadał do kaplic, zrywając krwawe zasłony, przebijając splecione ciała mężczyzn, dobijając umierających torturowanych, przecinając łańcuch szlochającej niewolnicy. I sprawnie, prawie ćwiartując żywcem, zamordował przerażonego, szlochającego na kolanach Emeryka Perényiego...

Z wrzaskiem, z rozwartymi, zakrwawionymi ustami wpadł na niego ksiądz Matthias Lohe, z mieczem i sztyletem uformowanym w kształcie szponów, osadzonym w płytowej rękawicy lewej ręki. Ciął półokrągłym uderzeniem w głowę, ale to był podstęp, to ostrza miały załatwić główną robotę. Misterna rękawica nadawała się tylko do kaleczenia i torturowania dziewczek. Zawisza uniknął cięcia, usuwając się z drogi rozpędzonego ostrza. Szpony podrzucił do góry kopnięciem. I jednym ruchem odciął uzbrojoną lewą rękę królewskiego spowiednika. A kiedy tamten padał z wrzaskiem, przebił mu szyję sztychem i wyszarpał na bok miecz, rozrywając żyły i tętnice.

Nagle wrzaski, płacze, jęki ucichły. Ktoś rzeził jeszcze, inny szlochał. Zawisza odnalazł ich wśród trupów i uciszył dwoma szybkimi sztychami.

Pozostał tylko jeden wróg, ostatni, odziany w piękny węgierski dołoman z pętlicami, bez czapki, z długimi, trefionymi włosami. Bez

broni, z przymrużonym prawym okiem, spod którego szedł błękitnawy poblask. Wolkenstein! Rycerz i chrześcijanin błędzący.

Bardzo poblądził, strasznie, okropnie. Cóż można było powiedzieć – w tym miejscu i tego czasu Zawisza nie był od rozgrzeszania, ale od pokuty.

– Zabiłem wszystkich. Chyba – powiedział, stając z mieczem nad minnesingerem. Grube czerwone krople skapywały na i tak już zakrwawioną podłogę. – Nie zaszkoździe nikomu. Oto przetrącony wasz grzbiet jest i odcięta ręka prawa.

Milczeli. Świt budził się daleko za górami Bałkanu. Schodził w doliny, cichy i spokojny, zwiastując pogodny dzień i nadchodzące skwarne lato.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Świat to jedno wielkie theatrum. A ludzie to tylko komedianti. Czas zejść ze sceny. Całe życie było jednym wielkim kłamstwem. Wyjąwszy moje grzeszne uczucie do ciebie, Zawiszo. Oto koniec, finis. Finis wszystkich moich historii. Nie opowiedziałem nawet połowy tego, co widziałem, a kończę w zbezczeszczonej cerkwi. Dalej, nie chcę cierpieć. Zrób to szybko.

– Wyciągnij głowę i zmów modlitwę.

– Nie mogę. Słowa nie przechodzą przez gardło.

– Więc ja ją zmówię za ciebie.

Wziął zamach... I zaczął mówić:

Requiem æternam dona ei, Domine,

Et lux perpetua luceat ei.

Requiescat in pace.

Amen

Miecz opadł na kark Wolkensteina. Głowa spadła, zatrzymała się między trupami i srebrnymi misami a workiem na sorbet. Kap, kap, powoli wyciekały z kikuta szyi ciężkie krople.

Zawisza odwrócił się do ikonostasu. Podeszedł do obalonego na bok krzyża, wpatrzył się w oblicze Chrystusa.

– Zdradziłem cię i wyparłem się ciebie, Panie – powiedział. – Nie jestem godny nosić pas i miecz. Straciłem wszystko: imię, sławę, znaczenie, na koniec honor. Nie będę prosił cię o łaskę, ale zrobiłem, co trzeba było wykonać. Nie mogę odrzucić twojego największego daru, więc odchodzę. Zawisza *obit in Golubac*. Niech tak zostanie!

W żalości, w żalu, w furii uderzył mieczem o kamienną podstawę ikonostasu. Walił raz za razem, całą siłą, jaka mu jeszcze została. I wreszcie miecz jego ojca pękł, rozleciał się na dwie połowy. Zawisza odrzucił rękojeść jak ogromny ciężar. Przeżegnał się i wyszedł.

To znaczy chciał wyjść z cerkwi, ale usłyszał jakiś szmer, płacz. Zamarł, rozglądał się, wreszcie zobaczył w przedsionku wielką, okutą skrzynię. Była zamknięta na zamek, ale klucz w nim tkwił. Przekręcił go i odrzucił wieko. Rozległ się chóralny pisk. W środku były dzieci. Małe, przerażone, powiązane, brudne i płaczące.

Odszukał na posadzce porzucony sztylet, przeciął im więzy wrzynające się do krwi w ciało. Przerażone uciekały, uchodziły przed nim jak małe zbite zwierzątka. Uwalniał je po kolei, brał na rękę i wystawiał ze skrzyni.

– Uciekajcie! – mówił. – Uciekajcie jak najdalej.

Spoglądał za nimi, dopóki nie ucichł tupot małych stóp. A potem wyszedł na świat, który wczesny świt pomalował zgodnie z Bożą wolą. Wedle jego sekretnego planu, niepojętego dla zwykłych śmiertelników, na biało, niebiesko, zielono, szaro i krwawo. Anioły spoglądały za Zawiszą wyłupionymi przez Turków oczyma. A on szedł, pokrwawiony, pocięty, pozostawiając za sobą ślady czerwonej posoki. Szedł przez gęstą, pokrytą rosą trawę, obmywając rany i szramy. Szedł przez bezkresne przestrzenie pól, ku odległym górcom Południa. Bez broni, bez miecza, bez ostrza. Bez konia, bez kopii. I z każdym krokiem czuł się bardziej wolny i lekki, jakby u ramion wyrosły mu skrzydła. Jak gdyby wiedział, że jeszcze powróci...

Świat przed nim rozkładał się, roztaczał coraz szerzej, poranek uderzał wonią kwiatów i mokrej ziemi. A Zawisza szedł wytrwale

i uparcie, jak przez całe życie, dopóki nie zniknął, nie rozwiął się jak cień w blaskach zarania...

I być może kiedyś jeszcze miał powrócić.

Koniec



‹ 3 › Tur. Ktokolwiek był złym giaurem (tj. chrześcijaninem), nie będzie nigdy dobrym muzułmaninem.



Jeśli donżon jest pozbawiony umocnień, jest równie trudny do obrony jak łatwy do wzięcia szturmem. Klasztor bez biblioteki jest jak zamek bez arsenatu, a arsenatem jest nasza biblioteka. Stamtąd wydobywamy sentencje prawa Bożego niczym porządne strzały dla odparcia szturmów nieprzyjaciela. Tam idziemy szukać kolczugi sprawiedliwości, hełmu zbawienia, tarczy wiary, miecza ducha, którym jest Słowo Boże.

Godfryd z Bretuil





Przypisy

Rozdział I

Wyniosłe wieże nakryte były bulwiastymi kopułami, wysmukłe dzięki podtrzymującym je ostrym łukom z czarnego kamienia osadzonym w ścianach fortecy. Zamek był tajemniczy i obcy dla przybysza z kraju Franków – do dziś nie wiadomo, jak naprawdę wyglądał zamek w obecnym, bułgarskim Nikopolu. Wielokrotnie zdobywany, przebudowywany – ostatni raz w XIX wieku – obecnie jest ruiną uwiecznioną na dawnych malowidłach. Jednak bardziej przypomina na nich budowle obronne Francji i Niemiec niż turecką twierdzę rozbudowaną przez bułgarskiego cara. Historia tego

miejsca jest burzliwa. Miasto, założone przez cesarza Trajana, było niegdyś przygraniczną fortecą rzymską. Cesarz Decjusz w 250 roku pokonał tutaj Gotów, z kolei w 447 roku Nikopol został zdobyty i zniszczony przez Hunów. Zamek rozbudował ostatni car Bułgarii Iwan Szyszman, który schronił się tutaj przed Turkami w 1388 roku. W rok przed krucjatą Zygmunta Luksemburczyka stracono go zresztą niedaleko od twierdzy. Turcy utrzymywali tutaj silny garnizon, a sam zamek z miastem wydawał się nie do zdobycia dzięki ogromnej długości murów. Mur z wieżami chronił miasto rozciągające się w dolinie pomiędzy dwoma wzgórzami, na wyższym, zachodnim, zbudowano twierdzę, od której do Dunaju schodziły dwa mury z wieżami. Od strony rzeki Nikopol osłonięty był palisadą.

Na tarczy zawieszonej przed wejściem widniał pięciodzielny herb, mający w centralnej, sercowej części stojącego na tylnych łapach czarnego lwa w złotym polu – to oczywiście herb Jana bez Trwogi, znanego w czasach krucjaty jako Jan hrabia de Nevers, który w 1404 roku, po śmierci ojca, Filipa Śmiałego, został władcą Burgundii.

Na nich zasiadał tłum panów i rycerzy, w fantazyjnych kapturach, w czapach, giermkowie zaś z odkrytymi głowami, jedni podgoleni *en écuelle* – podgalać głowę znane było już u Normanów, a do Europy powróciło w XIV wieku jako moda... niemiecka! Pierwsza wspomina o takiej fryzurze *Kronika limburska* pod rokiem 1384, pisząc, że rozpowszechniła się fryzura „obcięta powyżej uszu, podobna do fryzury mnichów”. We Francji, gdzie stała się modna wśród arystokracji, znana była jako *en écuelle* – co można tłumaczyć jako „na misę” lub „na donicę” – rycerze golili bowiem skronie po bokach i cały kark. Widać to na portretach księcia Burgundii Filipa Dobrego i na wizerunku Henryka V, króla Anglii – kto nie wierzy, niechaj sprawdzi choćby w Wikipedii. Na Zachodzie fryzura zanikła po 1450 roku, została zapomniana razem

z rycerskimi cnotami tak dalece, że już w 1575 roku wysłannik Wenecji Hieronim Lippomano dziwił się, że Polacy na wzór Węgrów lub Tatarów podgalaają sobie głowy.

Z Francji i Burgundii ten styl przeszedł na Węgry, o czym świadczą nieliczne zachowane obrazy i ryciny. Najprawdopodobniej stało się to za panowania Macieja Korwina. Podgolone na rycerski sposób włosy miał na przykład poseł węgierski na dworze cesarza Maksymiliana w 1515 roku. Równocześnie Węgrzy przejęli od Turków drugi sposób podgalaania – wysoki, z pozostawieniem nad czołem dłuższego kosmyka włosów – zwanego potem w Polsce czubem lub czupryną. Oba te sposoby strzyżenia głowy przysły do naszego kraju w XVI wieku.

...zanim strażnicy skrzyżowali przed nim drzewca morderczych polaksów – polaksy albo poleaxy to późnośredniowieczna broń do walki z ciężko opancerzonymi przeciwnikami. Był to toporek osadzony na drzewcu długości około 1,5 metra i zaopatrzony z drugiej strony w obuch młota, na szczycie zaś – grot jak u włóczni. Używany przez rycerzy i strażę, nadawał się świetnie do pieszej walki i często bywa mylony z halabardą, która wszakże osadzona jest na o wiele dłuższym drzewcu, ma też większe żeleźce bojowego topora na końcu.

...zakrzyknął Ludwik de Giac, pan na Chateaugay, jeden z czterech ewangelistów krucjaty – ewangelistami zwano zagorzałych propagatorów krucjaty z ramienia Filipa de Mézières – sławnego rycerza i niestrudzonego herolda wzywającego Europę do walki z niewiernymi. Dwóch z nich znalazło się w szeregach krzyżowców pod Nikopolem. Byli to Jan de Blaisy oraz wspomniany Ludwik de Giac.

...bracia zakonni Mowbray i Ingilby wkładali na żelazne płyty okrywające ciała czerwone tuniki z białym krzyżem, zmieniając

skromną czerń na złowrogą barwę walki, rzezi i krwi – joannici mieli w zwyczaju zmieniać strój przed walką, czarny płaszcz zastępując czerwoną tuniką z białym krzyżem.

...chwycił jego miecz, wyciągnął stopę w *poulaine* – trzewiku z modnym ostatnio długim noskiem. Jednym cięciem odciął i skrócił czubek buta, zawadzający przy jeździe konnej – chodzi tutaj o modne pod koniec XIV wieku obuwie z niesamowicie wydłużonym noskiem, zwane *poulaine*, co jakoby sugeruje, że wywodziło się ono z Polski, na co jednak dowodów nie ma. Trzewiki takie modne były przez ponad pół wieku, bo do połowy XV stulecia.

***Montjoie Saint Denis!* – zakrzyknął** – jest to sławny okrzyk bojowy Karola Wielkiego, a później królów i rycerzy Francji. *Montjoie* znaczy „góra chwały”, *Saint Denis* – „św. Dionizego”. Górą chwały nazywano proporzec bojowy Karola, który otrzymał około 800 roku od papieża Leona. Jego kolejną wersją, także związaną z kultem św. Dionizego, był Oriflamme, francuski proporzec królewski rozwijany w czasie walki, który zaginął po bitwie pod Azincourt w 1415 roku.

***Ic houd!* – grzmiał Jean de Nevers. – Za mną!** – to osobiste zawołanie bojowe Jana bez Trwogi.

Jean de Nevers, rozparty w siodle swojego ukochanego karego Papillona, bojowego dextrariusza, podjechał klusem do hufca burgundzkiego rycerstwa – dextrariuszem nazywano konia rycerskiego służącego wyłącznie do walki. Był to wierzchowiec, którego prowadził giermek lub pacholek. Jego nazwa wzięła się właśnie od łaciny – *dextra* to po prostu prawica. Dextrarius szedł w pochodzie nieobciążony, należało go bowiem oszczędzać do wielkiej bitwy, nie narażając na zmęczenie i kontuzje. Dokładne omówienie tych wierzchowców podane jest w poprzedniej książce: *Zawisza. Czarne krzyże*.

Otaczało go sześciu zaufanych rycerzy, w tym Helion de Naillac, rodzony brat Filiberta, od niedawna wielkiego mistrza Zakonu Szpitalników Świętego Jana – Zakon Szpitalników, zwany później Maltańskim, założony został jeszcze przed pierwszą krucjatą i toczył liczne boje z Saracenami. Jego założycielem był na wpół legendarny Gérard Tonque, który podczas pobytu w Jerozolimie znalazł się chory w Szpitalu św. Jana Jałmużnika, stworzonym przez włoskich kupców. Kiedy wyzdrowiał, wstąpił do działającego tam bractwa i wkrótce został jego zwierzchnikiem. Kiedy w 1097 roku Jerozolima została oblężona przez krzyżowców, pozostał w mieście i pomagał oblegającym, za co został uwięziony i męczony przez Arabów. Po upadku miasta przekształcił bractwo w zakon rycerski, który został zaakceptowany przez papieża w 1113 roku. Ponieważ szpitalnicy byli zakonem międzynarodowym, nigdy nie stali się tak nikczemni jak Krzyżacy.

Francuska chorągiew już szykowała się do boju. Dalej na zachód piętnastu rycerzy i ponad siedemdziesięciu giermków we wszystkich kopiach – kopią nazywano pod koniec XIV wieku rycerski poczet, najmniejszą jednostkę, z której składała się chorągiew. Była ona złożona z rycerza, giermka i przynajmniej dwóch konnych pachołków. Już w czasach Grunwaldu stawali się nimi dosiadający wierzchowców kusznicy. Kopia, zwana poczem, stała się podstawową jednostką późniejszej polskiej jazdy zaciężnej, aż do... upadku I Rzeczypospolitej i powstania kościuszkowskiego w 1794 roku. W XVII wieku chorągwie husarskie i kozackie, a potem też pancerne składały się bowiem z towarzysza, odpowiednika rycerza, i zwykle dwóch, a czasem nawet większej liczby pocztowych. W boju towarzysze ustawiali się w pierwszym szeregu, a pocztowi za nimi, w dwóch kolejnych. System ten nie był jednak anachronizmem, gdyż do końca XVII stulecia funkcjonował w zachodnioeuropejskiej jeździe zaciężnej. Wolny rajtar czy kirasjer też był towarzyszem, a dodatkowo miał pod sobą jednego lub dwóch knechtów.

Sejm 1776 roku, który zlikwidował chorągwie husarskie i pancerne, powołując w ich miejsce kawalerię narodową, pozostawił, o dziwo, podział na towarzyszy i pocztowych, czyniąc z tych drugich szeregowych żołnierzy. Była zatem jazda polska ostatnią kawalerią na świecie, w której przechowały się resztki rycerskiej organizacji dawnych chorągwi ziemskich i rodowych.

Zagarnął łupy z Widynia i Orjachowa, teraz pożąda naszej rycerskiej sławy! – przed bitwą pod Nikopolem armia krzyżowców podeszła pod Widyń, stolicę resztek carstwa Bułgarii, którą władał Iwan Stracimir, jeden z dwóch pretendentów do tronu, starszy brat wspomnianego już Iwana Szyszmana. Car, będący lennikiem sułtana, otworzył bramy, wydał też przebywających w mieście Turków. Tym samym poddał się Zygmuntovi Luksemburczykowi, który wszakże zachował odrębność Widynia. Kolejnym celem krucjaty stało się obsadzone przez żołnierzy sułtana Orjachowo. Zdobyte zostało dzięki zdradzie ludności bułgarskiej, która wydała załogę oblegającym. Krzyżowcy na rozkaz króla Zygmunta natychmiast większość Turków wymordowali, co sprawiło, że kolejne zamki osmańskie nie zamierzały się poddawać, widząc, co ich czeka, jeśli dostaną się żywcem w ręce króla Węgier.

Kolcze kołnierze, szorce, naramienniki, zarękawia, zasłony hełmów niczym psie pyski, nieliczne haki na piersi – oglądając dzisiejsze zachowane egzemplarze zbroi, można dojść do niesłusznego wniosku, że są one efektem pojawiających się raz na jakiś czas epokowych wynalazków i każdy wiek epoki średniowiecza miał własne, неповtarzalne egzemplarze uzbrojenia ochronnego. W rzeczywistości mieliśmy do czynienia ze stałą ewolucją zbroi rycerskich od prymitywnych kolczug X wieku do doskonałych zbroi renesansowych z początków XVI wieku. Średnio co dziesięć, dwadzieścia lat płatnerze europejscy dodawali kolejne elementy płyt i pancerzy, stosowali wynalazki i usprawnienia, które przyjmowały się lub nie. Rozwój zbroi w pewnym sensie przebiegał zatem

podobnie do mody – bo też były one podstawowym elementem rycerskiego stylu życia. Dlatego uzbrojenie ochronne z czasów bitwy pod Nikopolem było inne niż naszych pod Grunwaldem. Z kolei czarne zbroje wojowników Władysława Jagiełły okazały się przestarzałe w latach 30. i 40. XV wieku. W czasach krucjaty króla Zygmunta noszono zbroje wykonywane z kawałków blach i płytowych napierśników na kolczugach. Wszystko okryte materiałem. Stosowano kołnierze kolczy lub osobno dopinane kołnierze z folg, na dole zbroi umieszczano szorcę – fartuch z płytek, kolczugi lub łusek. Czasami pojawiały się już zbroje białe – z większych blach, nieokrytych materiałem. Wyszły z mody przestarzałe hełmy garnczkowe, zamiast nich używano wczesnej włoskiej cellaty, basinetów z ruchomą zasłoną i czepecem, a przede wszystkim psich pysków. Zbroja łączona była już paskami – elementy przypinano do innych, rzadko spotykało się te wiązane do przeszywanicy. Na kirysie pojawiały się haki do wsparcia kopii.

Le Roy Louis a convoqué... – jest to sławna francuska pieśń rycerska pochodząca z czasów siódmej krucjaty, popularna jednak i później, bo w XVII wieku, kiedy już Francuzi i Turcy byli wielkimi sojusznikami i przyjaciółmi. W swobodnym przekładzie tekst brzmi:

*Król Ludwik zebrał
Wszystkich swoich baronów i rycerzy.
Król Ludwik zapytał:
Któż pójdzie za mną tam, dokąd idę?*

*Najżarliwsi byli przygotowani,
Przysięgali na wiarę i wierność.
Ci rozsądniejsi domyślili się,
Dokąd król chciał ich zaprowadzić.*

Rozdział II

Gońcy ruszyli wzdłuż banderii, okrzykując przedchorągiewnych rycerzy i chorążych – banderie to odpowiednik polskich i niemieckich chorągwi rycerskich, zaciężnych lub ziemskich. Natomiast przedchorągiewni rycerze byli w późnośredniowiecznych bitwach jednymi z najważniejszych wojowników w szyku oddziału. Chorągiew w Polsce, Rzeszy czy na Węgrzech formowała się bowiem w szyk kolumnowo-klinowy, a na szczycie owego płytkiego klina stawali zawsze najlepsi, najdzielniejsi i najlepiej uzbrojeni rycerze. Zwano ich przedchorągiewnymi, gdyż za nimi podążał wojownik trzymający chorągiew. Czasem powoływano na tę godność rycerzy z całej Polski. Na przykład w wielkiej chorągwi ziemskiej krakowskiej walczyli jako przedchorągiewni Zawisza Czarny i jego brat Farurej, choć posiadali dobra w województwie sandomierskim. Byli jednak tak znamienitymi wojownikami, że powołano ich do strzeżenia chorągwi Królestwa Polskiego.

Widzę chorągiew, piękny, krasny gonfanon. Nad nim złocisty ptak, dwugłowy orzeł z dwoma trąbami. Szlachetny władco, to Serbowie – skąd wzięli się w armii sułtana Serbowie, którzy zadali krzyżowcom ostateczny cios? Byli to rycerze despoty serbskiego Stefana Lazarevicia, który jako syn cara Lazara, zabitego w bitwie na Kosowym Polu w 1389 roku, został wasalem sułtana. Stało się tak dzięki zabiegom jego matki Milicy, której udało się skłonić Bajazyda do pozostawienia małoletniego Stefana u władzy, a także uczynienia z Serbii lenna, a nie wchłonięcia jej jak Bułgarii. Lazarević, chociaż nie uzyskał tytułu cara, był jednak wybitnym władcą Serbii i póki żył, próbował dogadać się z Zygmuntem Luksemburskim poza plecami sułtana. Dzięki wstawiennictwu matki i siostry – którą Milica posłała do haremu Bajazyda – zachował nie tylko władzę, ale i głowę.

Wbrew przewisku, które nosił od czasu bitwy pod Konyą, sułtan i padyszach, słońce i księżyc islamu – Bajazyd zwany był Błyskawicą ze względu na swoje talenty dowódcze, które po raz pierwszy pokazał, rozprawiając się bardzo szybko z władcą Karamanu pod Konyą w 1386 roku. Trzy lata później, kiedy jego ojciec Murad I zginął na Kosowym Polu, Bajazyd nie tylko uratował Turków przed klęską, ale błyskawicznie zapewnił sobie sukcesję, mordując na polu bitwy brata – Yakuba Celebiego. Następnie kazał ściąć lub jak podają niektóre przekazy, zgładził własną ręką cara Serbii Lazara. W polityce był władcą wielkim, w niektórych zachowaniach przypominał Europejczyka, pił bowiem wino i zażywał w haremie rozkoszy z chłopcami.

Ostrożnie zsiadł z siwego, pięknego konia zdobnego w buńczuki, kity i pióra i ciężko opadł w ramiona sług – solaków – solakami nazywano żołnierzy gwardii przybocznej sułtana, którzy zwyczajowo ochraniali lewą stronę władcy podczas bitew. Być może w ich szeregi dobierano mańkutów. Sułtan utrzymywał ponoć dwa takie oddziały – żołnierzy broniących jego prawego strzemiesienia zwano pajukami. Termin ten przeszedł zresztą później do Polski i stał się synonimem służącego. Jak pisze Adam Czartoryski: „Gdy dawniej należało to do okazałej wystawy możnowładców w Polsce, aby ich osoby otaczała i dwory napełniała liczna zgraja służalców, wtedy zwyczaj wymagał, aby w tem mnóstwie wystawa była rozmaitych narodów, a gdy mieć właściwie takich nie mogli, brany do usług poddanym dawali imiona i stroje z tych krajów, z których mieć chcieli. Odźwierny pajuk Hauryło, ubrany bogato po turecku w zawoju, stawał się Turczynem i brał nazwę Hadży, Kiaja, Aga itp.”.

Bi-ismi Allāhi Ar-Raḥmāni Ar-Raḥīm... – jest to wielka, otwierająca Koran sura, święta modlitwa muzułmańska, bez której dawni Osmanowie nie śmieli zaczynać żadnego poważniejszego przedsięwzięcia, w tym bitwy, wojny, oblężenia czy uduszenia brata. Jej przekład brzmi:

*W Imię Boga miłosiernego, litościwego,
Chwała Bogu, Panu światów.*

Ave Maria, gratia plena, Dominus tecum, benedicta tu in mulieribus – zaczął nieszczęśliwy rycerz – to oczywiście pospolita polska „zdrowaśka”, z którą na ustach szło w bój rycerstwo, a znachorka wkładała do pieca Rozalkę, siostrę głównego bohatera noweli Bolesława Prusa *Antek*, znanej lektury szkolnej w dawnych czasach. Oto przekład:

*Zdrowaś Maryjo, łaskiś pełna, Pan z Tobą,
błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławiony owoc
żywota Twojego, Jezus.
Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi, teraz
i w godzinę śmierci naszej.
Amen.*

La Illa-ha, illah, Muhammad rasullach! – to oczywiście szahada, czyli muzułmańskie wyznanie wiary, może nie w wersji doskonale kanonicznej, ale musimy pamiętać, że chrześcijańscy rycerze rzadko byli znawcami Koranu, a wyznanie wiary składali, kiedy ich życie wisiało na włosku.

Z tylnych rzędów wystąpił jakiś suchy Turek w czapce zwieńczonej czarnym pióropuszem corbaciego janczarów, pochylił się do ucha wielkiego wezyra – był to oficer, starszy nad tureckimi janczarami.

Galera płynęła wartko z prądem, mijając Sylistrę, miasto położone na szerokich, płaskich polach nad rzeką – Sylistra położona jest nad Dunajem, w Dobrudży. Jest to miasto liczące sobie dwa tysiące lat, bo jego początkiem był rzymski obóz wojskowy przekształcony w miasto przez cesarza Marka Aureliusza. Pod

koniec VII wieku została zdobyta przez Bułgarów, później przez księcia ruskiego Światosława, od 1185 roku zajęli ją powtórnie Bułgarzy, a w 1388 roku Turcy.

Zdarzenie opisywane przeze mnie jest jak najbardziej prawdziwe, tyle że wydarzyło się w listopadzie 1396 roku w Gallipoli, kiedy Zygmunt Luksemburski płynął z Konstantynopola do Raguzy, przez Dardanele i Morze Adriatyckie. Turcy wyprowadzili wówczas na brzeg jeńców, szydząc z upokorzenia władcy Węgier.

Rozdział III

Jechał na otwartym wozie zaprzężonym w parę karych koni, chronionym przez miejskich cepaków – cepacy, circultores, custodes, kustos, cuzarze, czeladź miejska – tak zwano w dawnych czasach strażników miejskich w Krakowie, Lwowie i innych miastach Korony Polskiej. Podlegali oni urzędnikowi miejskiemu – hutmanowi – i byli hurtowo znienawidzeni przez żaków, którzy obrażali ich, określając mianem śledzi. Studenci prowokowali liczne burdy i krwawe awantury, można się jednak spodziewać, że i w dawnych czasach straż składała się z równie tępych i przygłupich indywiduów co dzisiaj. W 1689 roku żacy poturbowali sierżanta na rynku, a strażnicy, pochwyciwszy najbliższego scholara, powlekli go do ratusza. Doszło do rozruchów i rabowania sklepów, piechota miejska dała ognia. Ktoś krzyczał: „nie strzelaj, bo ja nie student!”.

W 1753 roku jeden z żaków krzyknął do miejskiego żołnierza: „ty śledziu”, za co został pobity. Kiedy cepacy schwytali starszego żaka występującego w obronie kolegi, pozostali wyszli na ulice, urządzając tumult. Żacy opanowali bramy, na ulicę Świętej Anny wytoczono działa i zaczęto ostrzeliwać ratusz na rynku, dodatkowo obrzucając go kamieniami. Magistrat musiał dogadać się ze studentami, zwolnić aresztowanego i ukarać żołnierzy. Żacy byli

górami, przynajmniej dopóki do miasta nie przysłano wojska koronnego jako garnizonu.

Prosto pod ratusz, zdobiony wysoką białą wieżą, odgradzony od placu rynkowego podłużną ścianą spichlerzy miejskich i przylegającym do niej domem panów rajców, gdzie mieściły się izby – krakowski ratusz stał na rynku, przy sukiennicach, dziś zachowała się tylko jego wieża. Była to budowla przypominająca trochę zamek, bo składała się z dziedzińca otoczonego murami i gmachów, w których znajdowały się: izba sądowa Pańska, egzekutorska, prowentowego, kancelaria miejska, kaplica, mieszkanie hutmana, arsenał miejski, kabaty, czyli więzienie, sklepy, więzienia nad Pańską Izbą, tortornia, kordegarda, pięć spichlerzy, izba wójtowska i cztery piwnice, w tym Świdnicka, gdzie mieściła się gospoda. Z ciekawości można dodać, że w sieni przed Izbą Pańską był otwór, przez który wyciągano obwinionych wprost przed oblicze sprawiedliwości. W podziemiach był zwykły areszt, karcer, czyli dłużnica, a także podziemia dla złoczyńców. Zwykle egzekucje odbywały się na dziedzińcu ratusza.

...kiedy ścinali Spytkę z Dytrychowa, szelmę i złodzieja, lepsze były korowody – Spytek z Dytrychowa, sędzia grodzki, miał to nieszczęście, że urodził się w wieku XIV, a nie w czasach współczesnych. Dziś mógłby spokojnie nadużywać władzy, kręcić afery i molestować sekretarki. W XIV wieku poszedł pod miecz za niesprawiedliwe wyroki i gwałt, a jego ścięcie jest pierwszą egzekucją w Krakowie, którą zanotowały księgi miejskie.

Ledwo cepy i okręcone sznurami nasieki strażników miejskich uspokoily tłum i oczyściły ulice Krakowa z rozszalałego pospólstwa – nasiekiem nazywano w dawnych czasach ciekawą i zapomnianą już broń plebejską. Była to maczuga przygotowywana w taki sposób, że wybierano drzewko, np. brzozę lub dąb, po czym

nacinano korę i wkładano w nią drobne kamyczki lub kawałki krzemienia. W miarę upływu czasu wrastały w drzewo, które później ścinano i otrzymywano doskonałą niebezpieczną pałkę. Była to broń chłopów i pospólstwa, pospolicie używana aż do XVIII wieku. Jak pisze Jakub Kazimierz Haur: „Zakazano, aby chłopci na targi z nasiekami, z pałkami, z maczugami nie chodzili”.

Poszli do Piwnicy Świdnickiej na opustoszałym rynku, w podziemiach pod spichlerzami miejskimi – Piwnica Świdnicka, zwana także Indią lub Indiami, to najstarsza z krakowskich gospód. Mieściła się ona w północno-zachodniej części piwnic nieistniejącego dziś ratusza miejskiego. Cóż to było za miejsce! Działało prawie czterysta lat, oferując nie tylko wyszynk dobrego piwa i gorzałki, lecz także tańce, hulanki, nierząd i swawole. W roku 1717 nazwano je „jaskinią łotrowską”, można było tutaj bowiem nie tylko zażyć zabawy i pozbyć się wypchanego mieszka, ale i przenocować, przechować się wraz z łupami, jak w złodziejskiej dziupli. Tak uczynił na przykład w 1757 roku niejaki Maciej Głogowski, który oskarżony o kradzież wyznał, iż mieszkał w Piwnicy Świdnickiej przez pięć niedziel. Gospoda była też miejscem uprawiania nierządu: tu „niecne białogłowy, wiedząc, że mężczyźni podochoceni z piwnicy wychodzą, sidła na nich nastawiały przy wejściu, które Indiami zowią” – pisał w XIX wieku Józef Louis. Andrzej Frycz Modrzewski zaś biadał: „ludzie próżnujący cały dzień tam przeleżą, piją a żywią się z nierządnicami bardzo rozpustnie; dziewczeczek i niewiast uczciwych pod zasłoną tańca albo jakiej innej gry do siebie proszą, a w ten czas o ich stateczność pilnie starają”.

Uważne studiowanie dawnych planów ratusza, rozebranego w 1820 roku, pokazuje, że Indie sąsiadowały przez ścianę z więzieniem miejskim – kabatami, gdzie wsadzano dłużników i pomniejszych przestępców, a także męczennicą, czyli salą tortur. W istocie trudno wyobrazić sobie lepsze miejsce do ukrywania się, gdyż wszem wobec jest wiadomo, że najciemniej jest pod latarnią.

Na piętrze nad piwnicą mieściły się spichlerze miejskie, a na południe od niej – reprezentacyjne sale krakowskiego ratusza.

Piwnica miała od zachodu cztery, a od północy trzy okna, wchodziło się do niej po schodach, z których jedne prowadziły od strony dzisiejszej ulicy Szewskiej, a drugie – od północy, wprost z Rynku Głównego. Ambroży Grabowski pozostawił nam zresztą obraz Piwnicy, którą pamiętał z wczesnych lat młodości, z przełomu XVIII i XIX wieku. „Była to izba podziemna, właściwiej piwnica z większymi oknami, które były równo z poziomem rynku krakowskiego pod gmachem dawnego ratusza krakowskiego, zburzonego już za istnienia Rzeczypospolitej Krakowskiej. W tej izbie był szynk wódek i piwa wielce odwiedzany, bo na dobrym miejscu wśród rynku, gdzie stek ludzi. Zwykle w niedziele i święta grywała tam muzyka i odbywały się tańce, gdzie hulało pospólstwo, parobki, dziewczki, lokaje, kucharki i tym podobna hołota. Zabawnie to było, przechodząc około ratusza tą stroną od szewskich jatek, słyszeć głos skrzypców, cymbałów i basów, wychodzący spod ziemi, i widzieć, jak wesołe i wódką ożywione biesiadników pary kręcąc się wybijały hołubce. Nieraz w porze lata, przechodząc wieczorem, stawałem nad oknem i nachyliwszy się słuchałem rubasznych śpiewek, krakowiaków i przypatrywałem się wesołej drużynie. Lud prosty mówił zwykle: »Pójdźmy do Indyi na wódkę, na piwo«, »Tańcowałem w Indyi« itp., a położenie podziemne tego miejsca dało początek nazwaniu; do Indyi wchodziło się po schodkach z rynku krakowskiego”.

Skąd wzięła się jednak pierwotna nazwa „Piwnica Świdnicka”? Od podawanego tutaj piwa ze Świdnicy, które już w XV wieku stało się takim rarytasem, że przyćmiło rodzime produkty krakowskich piwowarów. Znacznie starsza i także podająca wspomniane piwo ze Świdnicy jest Piwnica Świdnicka we Wrocławiu, która prawdopodobnie działała już od 1273 roku.

Biada grzesznikom w tej godzinie! Chrześcijanie, poganie, Żydzi... – jest to *Palästinalied*, jedna ze starych pieśni krucjatowych,

autora sławnego barda średniowiecza Walthera von der Vogelweide; jej tekst i zapis muzyczny ocalały i dotrwały do dzisiejszych czasów. Autor był znanym błędnym rycerzem i oczywiście poza poezją uprawiał politykę, stając po stronie cesarza Ottona IV, ekskomunikowanego przez papieża. Brał udział w piątej krucjacie, cieszył się też poparciem cesarza Fryderyka II, który podarował mu wieś w Bawarii. Tam też umarł, pozostawiając po sobie sławę wielkiego poety.

Nie mów tego, kralu węgierski. A lepiej ci było w Konstancy słowiki prządaci niżli prażan mieczem dobywaci! – pochodząca ze Śląska pieśń husycka opisująca tchórzostwa króla Węgier Zygmunta Luksemburczyka, napisana przez Krystiana z Góry, mnicha z Żagania. Dobry przykład antyniemieckiej propagandy z XV wieku i przy okazji wielki zabytek języka polskiego i czeskiego.

Jeden z herbem Śreniawa z dwoma krzyżami, inne zadziwiające, choć znajome. W krasnym polu podwójny, rozdarty krzyż. W błękitnym polu, pod złotym krzyżem półksiężyc z sześciopromienną gwiazdą między rogami. Kolumna z krzywym bułatem. I jakby tego jeszcze było mało – na innym mogiła z trzema krzyżami, z kłamrą srebrną z krzyżem i kwiatem poniżej – wymienione tutaj herby to litewskie odmiany polskich znaków, które zostały nadane w czasie unii w Horodle w 1413 roku przedstawicielom czterdziestu siedmiu rodów możnowładczych z Wielkiego Księstwa wybranym przez księcia Witolda. Powstał wówczas bezprecedensowy w dziejach akt zrównania w prawach przedstawicieli dwóch, a faktycznie trzech narodów – polskiego, litewskiego i ruskiego. Rycerskie herby powędrowały pod strzechy litewskich gródków, dając początek możliwym rodom – Gasztołdom, Radziwiłłom, Moniwidom, Giedrojcjom, Sakowiczom, Sapiehom, Niemiryczom, Wołowiczom i innym. Dokument unii jest piękny i wzruszający, jak na burzliwy i brutalny wiek XV. „Nie doznać nikomu łaski zbawienia – czytamy

w nim – kogo nie wesprze miłość, gdyż ona jedna nie działa marnie, lecz sama sobą świecąc, kładzie koniec niezgodom, uśmierza swary, ukróca nienawiści, łagodzi waśnie, używa wszystkim pokoju, skupia, co się rozpiezchło, podźwiga, co upadło, wygładza rzeczy szorstkie, prostuje krzywe, wszystkim pomaga, nikogo nie obraża, kocha każdego, a ktokolwiek schroni się pod jej skrzydła, ten znajdzie bezpieczeństwo i nie ulęknie się grózb niczych. Miłość to tworzy prawa, włada państwami, urządza miasta, wiedzie stany Rzeczypospolitej ku najlepszemu końcowi [...]. Dlatego my prałaci, rycerstwo i szlachta Korony Polskiej [...] dokumentem niniejszym zespalamy i jednoczymy nasze domy, pokolenia, rody, herby i klejnoty herbowe z wszystką szlachtą i bojarstwem litewskich ziem”. Dzisiaj dalekim, oby szczęśliwym powtórzeniem zapisów unii horodelskiej stały się ustawy uchwalone przez parlament Ukrainy o specjalnym statusie Polaków i nasze wcześniejsze akty prawne o pomocy uchodźcom z Ukrainy.

A mnogi idzie za stoł... – jest to fragment świetnego wiersza Przeclawa Słoty, burgrabiego poznańskiego, *O zachowaniu się przy stole* lub *O chlebowym stole*, który powstał około 1400 roku.

Zatem – Wolkenstein aż klasnął w ręce – słyszeliście, a może nawet widzieliście jego sławny skarb, który sławny rycerz domu niemieckiego Walther i Hildegunda porwali, kiedy uciekali do domu? – Walther o silnej ręce i Hildegunda to bohaterowie średniowiecznej legendy, której najstarszym znanym zabytkiem jest poemat łaciński *Waltharius*. Wspomina o nich także *Pieśń o Nibelungach* i *Kronika wielkopolska* w spolszczonej wersji opowieści o Walgierzu Wdałym. Walther i Hildegunda byli zakładnikami na dworze króla Hunów Attyli, po czym uciekli, kradnąc mu jego skarb. Z czego wynikło potem spore zamieszanie, a w walce ze swym przyjacielem Haganem Walther stracił prawą rękę. W przeciwieństwie do fantastycznych pierdół z eposu rycerskiego polska wersja jest przaśna i podpiwkowo lniana. Nie

chodzi w niej o żadne tam skarby Attyli, ale o fakt, iż Walgierz Wdały miał żonę Helgundę, która zdradzała go z jeńcem Wisławem i kiedy wrócił z wyprawy wojennej, zastawiła pułapkę i zakuła Walgierza w łańcuchy. Walgierz wszakże dzięki pomocy siostry Wisława uwolnił się, po czym wymierzył słuszną sprawiedliwość kochankom.

I Oliwier jedzie przez ciżbę wojenną... – fragmentu tego przedstawiać nie trzeba, to *Pieśń o Rolandzie*, najstarszy i największy średniowieczny epos rycerski, napisany w XI wieku. Najstarszy jego odpis pochodzi z Anglii z Oxfordu i powstał około 1170 roku.

Pamiętasz sprawę Falkenberga? Jego „Satirę contra hereses et cetera nephanda Polonorum”? – Johannes Falkenberg to dominikanin, inkwizytor i jeden z pierwszych znanych polonofobów. A przy tym awanturnik uwikłany w liczne spory i procesy sądowe z dostojnikami Kościoła. Około 1409 roku napisał traktat podważający tezy Stanisława ze Skarbimierza o wojnach sprawiedliwych i niesprawiedliwych. Po 1410 roku napisał zaś *Satira contra hereses et cetera nephanda Polonorum et eorum regis Jaghel*, czyli *Satyre przeciw herezji i innym nikczemnościom Polaków i ich króla Jagielły*, w której oskarżał naszego władcę o sprzyjanie poganom, a Polskę przedstawiał jako pogański kraj. Delegacja nasza ostro zaprotestowała przeciwko niemu na soborze w Konstancji, wygrała spór, na skutek czego *Satyra* została potępiona, ale nie spalona, a Falkenberga wsadzono do więzienia w Zamku św. Anioła w Rzymie, skąd wyszedł po latach, po publicznym odwołaniu też zawartych w swoim dziele. Do dziś trwają spory, czy *Satyra* była napisana na zlecenie Krzyżaków. Ci wszakże odzegnawali się od niej, choć Falkenberg nawet po opuszczeniu więzienia bronił zakonu i wściekle atakował Polskę.

Pamiętam, że dzięki wam musiał odszczekać ją spod ławy jak pies albo... podkomorzy Gniewosz, co spotwarzył królową Jadwigę – Gniewosz z Dalewic to sławny warchoł i potwarca, który oskarżał królową Jadwigę o złe prowadzenie się. Jednak przyparty do muru, kiedy za królową stanęło dwunastu rycerzy, grożąc wyzwaniem na pojedynek, zgodził się na wykonanie kary, którą nałożył na niego sąd. Była ona wesoła i hańbiąca. Podkomorzy musiał wejść pod ławę: zeznać, że wszystko, co mówił przeciwko królowej, było potwarzą, a następnie głośno zaszczekać. Gniewosz wyrok ten wykonał, przechodząc w ten sposób do historii.

...a Święta Kinga zapadłaby się pod ziemię, przez co może nie wygasłby ród Bolesława księcia krakowskiego – mowa o Świętej Kindze, żonie Bolesława Wstydliwego, ostatniego potomka małopolskiej linii Piastów, która złożyła śluby czystości przed biskupem krakowskim Janem Prandotą i do końca życia pozostała w dziewictwie.

Zaciągacie się sami z poczem. Inaczej nasz rotmagister powiesi waszą czeladź, gdy tylko zjedziecie do obozu. Jak wybieracie? – rotmagister to średniowieczny tytuł dowódcy rotacji zaciężnej, od którego pochodzi późniejsze słowo rotmistrz, oznaczające dowódcę chorągwi zaciężnej jazdy w Królestwie Polskim i później w Rzeczypospolitej. Jednym z pierwszych naszych rotmistrzów zaciężnych był właśnie Zawisza Czarny z Garbowa, który wielokrotnie formował zaciężne rotacje kopijnicze dla króla Jagiełły i Zygmunta Luksemburczyka.

Rozdział IV

Zbroję i cały poczet wysłał już na wiosnę na Węgry – jak podaje Dariusz Piwowarczyk, Zawisza już od jesieni 1426 roku

przygotowywał się do wyprawy na Turków i wysłał najpierw na Węgry swoich pachołków i najlepszą zbroję.

Natomiast prawdopodobnie w maju lub czerwcu 1427 roku przekroczył Karpaty, prowadząc królowi Węgier zwerbowaną w Polsce i na Morawach rotę kopijniczą.

Szli szybko, robiąc dziennie nawet po trzy mile – Edward Stamm w dawnym opracowaniu *Staropolskie miary* pisze: „Jeżeli zechcemy sobie zdać sprawę z długości dawnych mil polskich, to staniemy przed tym zagadnieniem dość bezradni. W tym wypadku, o ile jakiś autor kogoś ze swych poprzedników niewolniczo nie naśladuje, nie znajdziemy dwu, którzy by z zadowalającym przybliżeniem podawali wartości mili jednakie”.

Pierwsze dane, na szczęście stosunkowo dość pewne, znajdujemy dopiero w pracach Kazimierza Siemienowicza z połowy XVII wieku. Podaje on po przeliczeniu, że mila polska miała około 6230 metrów. Kłopot jednak w tym, że już wtedy mówiono o trzech rodzajach mil polskich, z których jedna równała się 4, druga 4,5, a trzecia 5 milom włoskim. Daje to odpowiednio wartości: 6277, 7062, 7846 metrów. Średnio przyjmuje się, że mała mila polska miała 6250 metrów, a wielka do 7800 metrów. Czy tak liczone odległości w XV wieku, niestety, nie wiadomo.

Drogi wznosiły się stopniowo, znikając w lasach, znad których były ku niebu smugi dymu z karczowisk i wkopanych w ziemię mielerzy, gdzie wypalano węgiel, smołę i dziegieć – tak w XV, jak i w XVII wieku lasy dymiły za sprawą rozwiniętej gospodarki przemysłowo-wypaleniskowej. Poza drewnem spławianym do Gdańska i innych portów pozyskiwano z nich surowce na sprzedaż, jak potaż, czyli zanieczyszczony węgiel potasu, używany w dawnych wiekach do wyrobu mydła, szkła, bielenia tkanin, farb i innych dóbr. A także smołę, dziegieć, maź, terpentynę i węgiel drzewny, który wszakże wypalano w mielerzach, a nie w retortach jak dzisiaj.

Wjeżdżając do lasu, zwykle czuło się swąd dymu albo widziało jego słupy unoszące się nad zieloną gęstwiną, przy nich krzątała się zaś cała społeczność ludzi trudniących się wspomnianym wyżej przemysłem. W zależności od regionu i wyrabianych substancji zwano ich: budnikami, smolakami, harnikami, dziegciarzami lub maziarzami.

W ziemi halickiej, Karpatach i na pogórzach pod toporami padały całe lasy, z których najlepsze drzewa spławiano rzekami, a pozostałe palono, przerabiając na popiół i surowce. Z ludzi zatrudnionych przy wyrębach i wypalaniu powstała specyficzna społeczność harników i smolaków, pierwowzór dzisiejszych węglarzy z Bieszczadów. Wkrótce na Rusi Czerwonej utworzono z nich straż służącą do tropienia i zwalczania rozbójników – a w pierwszej połowie XVII wieku starostowie przemyscy i sanoccy zorganizowali z nich własną milicję wojskową.

Jak wyglądał proces wytwarzania potażu i innych surowców leśnych? Smołę pozyskiwano z żywicznych pniaków sosnowych zwanych karpiną – często przechowywano je w ziemi przez kilka lat, aby podeszły żywicą. Następnie pniaki owe podgrzewano w wykopanym w ziemi piecu, gdzie znajdowały się dwie komory – niższa, z otworami, przez które ściekał surowiec, i wyższa, do której wkładano pniaki, obklejano gliną i rozpalano ognisko dokoła, aby podnieść temperaturę kawałków drzewa. Kiedy osiągała ona około 700 stopni, po całych godzinach albo dniach, do dolnego naczynia zaczynały spływać produkty suchej destylacji – terpentyna, dziegieć, maź lub smoła, w zależności od tego, jakie drewno załadowano do górnego. Na smołę przeznaczano smolne pniaki, na dziegieć pnie brzożowe i sproszkowaną korę dębową. Natomiast węgiel drzewny wypalano z dobrego dębu, sosny czy świerku. Tę procedurę przeprowadzano jednak w mielerzach – ogromnych stosach poukładanych w okrąg i nakrytych darnią, ziemią lub gliną. Na środku pozostawiano duszę – czyli słupek, który po ukończeniu pracy usuwano, a w jego miejsce wsuwano pochodnię na tyczce, aby podpalić stos od środka. Wówczas następował powolny proces

zwęglania się drewna. Na koniec rozbijano lub rozkopywano zewnętrzną powłokę i wydobywano węgiel drzewny.

Proces pozyskiwania potażu wyglądał inaczej, gdyż najpierw ługowano popiół drzewny wodą. Najlepszy był z twardego drewna liściastego – dębu, brzozy, buczyny. Następnie popiół podgrzewano w wielkich kadziach, w których pozostawały potem kawałki tej substancji, pakowane do beczek i przetaczane na szkuty i dubasy.

Każdy zatem, kto czterysta lat temu zapuszczał się w leśne ostępy, czuł swąd smolnego dymu i widział mniejsze lub większe dymiące doły albo pagórki – mielerze. Cóż pozostało po tym obrazie do naszych czasów? Przede wszystkim nazwy miejscowości. Budnicy przemieszczali się bowiem z miejsca na miejsce, a ich prymitywnie sklecone osady zwano Budami. I te wszystkie dzisiejsze Budy – Polskie, Ruskie, Pietrzykowskie, Małe i Duże – są pamiątkami po dawnych czasach. Teraz często leżą w szczerym polu, co daje pojęcie, jak wielkie bory i puszcze zarastały dawną Rzeczpospolitą. Kolejna pamiątka to miejscowości trudniące się wyrobem potażu, a więc wszelakie Potasznie, Potaszniki, Potasze i inne miejsca, skąd wyprawiano na handel dobro cenne prawie jak złoto.

Credo in unum Deum, patrem omnitem, faktor caeli i terra, visiblium i nievisiblium. Unum Deum Jezus Chrystus – to oczywiście chrześcijańskie wyznanie wiary, stare jak świat i nieśmiertelne jak Jezus. Brzmi ono: „Wierzę w jednego Boga, Ojca Wszchemogącego, Stworzyciela nieba i ziemi, wszystkich rzeczy widzialnych i niewidzialnych. I w jednego Pana Jezusa Chrystusa, Syna Bożego Jednorodzonego, który z Ojca jest zrodzony przed wszystkimi wiekami. Bóg z Boga, światłość ze światłości, Bóg prawdziwy z Boga prawdziwego. Zrodzony, a nie stworzony, współistotny Ojcu, a przez Niego wszystko się stało”.

Coraz bliżej były Górne Węgry, Felvidék, Wysoki Kraj, majątki Berzeviczych. Na razie jednak to był jeszcze Zastaw Spiski – to terytorium części Spiszu, który do 1412 roku należał do Węgier.

W tym bowiem znamienitym roku 8 listopada Zygmunt Luksemburski spotkał się w Lubowli z królem Władysławem Jagiełłą i zawarł pokój. Był to sukces dyplomatyczny, ponieważ Luksemburczyk, dotąd gorliwie, choć nieszczercze wspierający zakon krzyżacki, stał się teraz przedstawicielem Polski i Litwy w dalszych z nim sporach. Jednocześnie Zygmunt uznał polskie prawa do Rusi Czerwonej, Podola i Mołdawii, obiecał pomoc w odzyskaniu Pomorza Gdańskiego, Ziemi Chełmińskiej i Michałowskiej. W zamian za to Polska przyrzekała pomoc przeciwko Turkom, najważniejszym jednak punktem dla wiecznie tonącego w długach Luksemburczyka była pożyczka w wysokości 37 tysięcy kóp groszy czeskich, która wypłacona miała być z odszkodowania uzyskanego od zakonu na mocy pokoju toruńskiego. W zamian król Węgier przekazywał zastaw – część terytorium Spiszu, znanego od teraz jako Zastaw Spiski. Były to: Lubowla razem z zamkiem, Podoliniec, Gniazda oraz innych trzynaście miast, jak Biała Spiska, Nowa Wieś Spiska, Poprad, Spiskie Podgrodzie i Włochy, oraz leżące przy tych miasteczkach piętnaście wsi. Zastaw miał być zwrócony po oddaniu pożyczki, jednak ani Zygmunt Luksemburski, ani jego następcy pieniędzy owych nie oddali, nie określili też terminu, pozostał zatem przy Polsce do XVIII wieku.

Korona utworzyła tutaj starostwo spiskie, którego pierwszym starostą został Paweł Gładysz; powierzono mu je „dla znajomości języka węgierskiego”. Kolejnym, od 1422 roku, był sławny Zawisza Czarny z Rożnowa, rycerz, dyplomata i pośrednik pomiędzy Jagiełłą a Zygmuntem Luksemburskim. Po jego śmierci w 1428 roku otrzymał je Piotr Szafraniec, od 1440 zaś oddano je w dzierżawę biskupowi Zbigniewowi Oleśnickiemu. Starostwo spiskie było łakomym kąskiem, gdyż bogate miasta zapewniały dobre dochody, nie było przy tym narażone na najazdy Tatarów i Kozaków. Od 1596 roku znajdowało się w rękach Lubomirskich, z których najbardziej sławny okazał się Jerzy Sebastian, marszałek wielki koronny, najpierw bohater z czasów potopu, potem zdrajca i rokoszanin. W 1655 roku, w czasie najazdu Szwedów, ukrył na zamku w Lubowli

skarbu i klejnoty koronacyjne królów polskich. Proponował też gościnę uciekającemu z kraju królowi Janowi Kazimierzowi, który wszakże udał się na Śląsk, zatrzymał się jednak tutaj rok później, kiedy wrócił do kraju, aby walczyć ze Szwedami.

Nie był to jedyny król, który przebywał w starych murach. W 1683 roku bawił tutaj wracający spod Wiednia król Jan III Sobieski; niestety, na zamku zmarł 15 grudnia schorowany hetman polny Mikołaj Sieniawski. Polskie starostwo spiskie wielokrotnie stawało się przedmiotem sporów, gdyż Węgrzy podejmowali próby jego odzyskania. Próbował tego na przykład król Maciej Korwin, jednak w traktacie w spiskiej Starej Wsi z 1474 roku tereny te pozostały przy Koronie. Najciekawsze, że ponieważ był to zastaw, król polski nie wymieniał w swojej oficjalnej tytulaturze miast spiskich. Od 1567 roku sejm postanowił, że w Lubowli stacjonować będzie stała załoga; w 1609 roku Lubomirscy utrzymywali stu żołnierzy, od 1658 roku podniesiono jej liczebność do stu dwudziestu piechurów, a Lubowla policzona została pomiędzy najważniejsze pograniczne fortece Rzeczypospolitej razem z Lwowem, Kamieńcem i Krakowem.

Położenie Spiszu, a przede wszystkim fakt, iż tylko dominium lubowlańsko-podolińskie graniczyło bezpośrednio z Koroną, sprawiały, że było to bezpieczne schronienie dla wszelakich konfederatów i buntowników; Szwedzi w 1656 roku tutaj nie weszli, obawiając się naruszyć granicę z Węgrami. Później chronili się tu konfederaci walczący po stronie Stanisława Leszczyńskiego. Niestety, podobne wypadki stały się przyczyną zagarnięcia Spiszu przez Austriaków. W czasie konfederacji barskiej Józef Bierzyński zaatakował przebywającego tutaj Kazimierza Poniatowskiego, brata króla. Uderzył na Lubowlę, został jednak odparty. Poniatowski zaś poprosił o obsadzenie zamku wojskiem austriackim, nie spodziewając się w swojej naiwności, że Austriacy raz zagrabionych włości już nie oddadzą. I rzeczywiście Maria Teresa nakazała rozciągnąć kordon wojsk wzdłuż granicy – rzekomo aby chronić miejscową ludność. Jednak zagarniętych terenów starostwa Austria nie oddała już nigdy.

Tatarzy sprzedali mnie na bezestanie w Adrianopolu – bezestaniem nazywali Turcy główny bazar niewolniczy, najpierw w Adrianopolu, a potem w zdobytym Konstantynopolu. Jak podaje Leszek Podhorodecki w *Chanacie Krymskim*, handlowano tu przede wszystkim mężczyznami, natomiast kobiety sprzedawano na Avret Bazaar (Kobięcym Targu). Zbigniew Lubieniecki, towarzysząc w 1640 roku polskiemu posłowi do Sambułu, był świadkiem, jak przywożono tutaj niewolników. „Pan poseł jeździł do bezestanu samotrzeć tylko. Był i na bazarze ludzkim, gdzie widział do kilku tysięcy ludu różnego narodu na sprzedaż, ale największa część chrześcijan”.

Przeciętny niewolnik kosztował zwykle około 200 złotych, co odpowiadało w Rzeczypospolitej cenie najtańszego wojskowego konia używanego w husarii. Jednak wyjątkowo urodziwe niewolnice i niewolnicy warci byli nawet do kilku tysięcy. Spośród kobiet najbardziej ceniono Czerkieski – ich ceny były zwykle większe niż pospolitych niewolników, podczas gdy chłopca z Moskwy sprzedawano za 70 złotych.

Nie wszyscy jeńcy trafiali od razu na bazyry niewolnicze. Szlachtę, magnatów i najzamożniejszych spośród jasyru Tatarzy uwalniali za wykupem. Bardzo często już w trakcie drogi na Krym rozpoczynano targi, które kończyły się potem w Oczakowie lub Kaffie. Najzamożniejszych jeńców umieszczano w Czufut Kale na Krymie – twierdzy położonej tuż obok Bakczysaraju – którą zwano także Gródkiem Karaimskim, ze względu na fakt, iż jej okolicę zamieszkiwali Karaimi, będący jednocześnie częstymi pośrednikami pomiędzy jeńcami a ich rodzinami. U Karaima można było uzyskać pożyczkę na wykup z niewoli i oddać ją w Rzeczypospolitej, już po powrocie.

Trafiłem do chorągwi ić oğlan, paziów dworskich, gdyż byłem gładki – jak podaje Andrzej Dziubiński w *Poturczeńcach polskich*: system *dewszirme*, czyli pozyskiwania z jeńców i brańców do służby sułtana, polegał na selekcji, w której „kryterium wstępnym była

uroda, dobra budowa fizyczna i inteligencja”. Piękny i mądry chłopak trafił do korpusu iç oğlan – „paziów dworskich, kandydatów do pełnienia w przyszłości służby wewnętrznej w seraju sułtańskim i w administracji centralnej (*enderun*) oraz do służby zewnętrznej (*birun*), czyli administracji prowincjonalnej”. Edukacja taka pod kierunkiem eunuchów „trwała 14 lat, podczas których paziowie przechodzili do kolejnych klas. Po obrzezaniu i przyjęciu islamu przez sześć lat uczyli się języka tureckiego i religii, czytania i pisania. W drugiej klasie, gdzie pogłębiali zdobytą już wiedzę, uczyli się nadto jazdy konnej i fechtunku. Tylko połowa, około 200 z nich, przechodziła do trzeciej klasy, gdzie uczono różnych zajęć manualnych, np. sztuki haftowania lub gry na instrumentach muzycznych, i przygotowywano do służby w komnatach dworskich. Czterdziestu najlepszych zostawało absolwentami szkoły iç oğlan”, z płacą odpowiadającą lennom spahisów. „Z tej grupy rekrutowali się sekretarze i intendenci skarbowi diwanu, wezyrowie i namiestnicy prowincji oraz różni urzędnicy Wysokiej Porty. Młodzi brańcy chrześcijańscy, którzy posiadali odpowiednie warunki fizyczne, lecz nie spełniali kryteriów selekcji do szkoły paziów, trafiali do szeregów janczarskich lub sipahów nadwornych, przechodząc szkolenie i islamizację w specjalnym korpusie *adżemi oğlan*”.

Mówiąc po polsku, pół żony, pół murwy – powiedział tak 22 kwietnia 1640 roku pan Królikowski, poturczeniec mieszkający w Stambule, na pytanie Zbigniewa Lubienieckiego, czy ma żonę.

Rozdział V

Gdzie by kto takowy znaleziony był, żeby albo z bydlęciami, albo chłop z chłopem przeciw przyrodzeniu sprawę miał, takowi mają być na gardle karani, a wedle obyczaju ogniem mają być

spaleni, bez wszelakiego zmiłowania i łaski, ponieważ to haniebny i sromotny grzech jest – taki oto prosty sposób powstrzymania sodomii, przez którą rozumiano zarówno zoofilię, jak i homoseksualizm, podawała konstytucja kryminalna cesarza Karola V, wydana w roku 1532 i oparta na jeszcze starszym kodeksie – zwanym Saxonem, a pochodzącym z około 1257 roku. Zwana była Caroliną (*Constitutia Criminalis Carolina*), a w Polsce przetłumaczył ją w XVI wieku Bartłomiej Groicki, pisarz w Sądzie Wyższym Prawa Magdeburgskiego na zamku w Krakowie. Opublikował on zarówno *Artykuły prawa magdeburgskiego, które zowią Speculam Saxoman*, w Krakowie w 1558 roku, jak również *Porządek sądów i spraw miejskich prawa magdeburgskiego*, Kraków 1559. Oba stanowiły od tej pory podstawę prawa miejskiego w całej Koronie Polskiej.

Baaaszoom!* – zawył Węgier. – *A fene vigye el! – przekleństwo węgierskie znaczące tyle co: Do diabła! Szlag was trafił!

Diu zit fint wūneklich fwāne aberelle gegē dē meien alfe wūnekliche strebet so hebt zefroidē sich – Ostritz mówi tutaj wysokim średniowiecznym niemieckim, który przytaczam w oryginalnej wersji, aby pokazać, jakże różnił się od współczesnego języka niemieckiego, który został raczej źle zapamiętany przez większość Polaków od czasów drugiej wojny światowej. Są to fragmenty poematów Gottfrieda von Straßburga, poety żyjącego na przełomie XII i XIII wieku, znanego z licznych wierszy i romansów rycerskich. W XIX wieku były one inspiracją dla Richarda Wagnera do napisania opery *Tristan i Izolda* w 1865 roku.

Krucjata kruczata, ale dwór i polityka muszą się toczyć swoim zwykłym rytmem, a tjest, który urządzam, będzie oczywiście dobrym tłem dla knowań, o których nie masz bladego pojęcia – tjest to popularna forma średniowiecznego turnieju rycerskiego, polegająca na starciu dwóch konnych rycerzy, którzy po strzaskaniu

kopii walczyli bronią białą aż do pokonania przeciwnika. Była to inna forma zmagania niż melee, polegająca na walce dwóch drużyn na wyznaczonym obszarze.

Jeśli nawet nie jesteś mistrzem w *spintriae*, zawsze możesz zostać pod nią koniem Hektora – chodzi tutaj o specyficzne określenia pozycji erotycznych, które w dawnych czasach często opisywano po łacinie; bo też i wiele z nich wywodziło się z antycznych źródeł. *Spintriae* to miłosny trójkąt trzech osób, który według Swetoniusza miał wymyślić cesarz Tyberiusz oddający się miłosnym igraszkom na wyspie Capri. Z kolei „koń Hektora” wywodzi się prawdopodobnie z Kamasutry, która w najróżniejszych odpisach, a czasem nawet w oryginalnych wydaniach docierała do Europy gdzieś od XIV wieku. W wieku XVIII Hieronim Florian Radziwiłł posiadał w swoim gabinecie osobliwości rzecz, którą opisał tak: „Biblia chińska we dwunastu częściach z kamienia tamecznego szpekstejnu w różnych kolorach wyrabianych. Ta, lubo jest ciekawa, żonatym jednak ludziom pokazana być może i powinna”. Historycy długo zastanawiali się, co kryje się pod tą nazwą i dlaczego można ją pokazywać tylko żonatym. Wyjaśnienie przychodzi na myśl tylko jedno – była to po prostu Kamasutra albo jakaś księga erotyczna, zapewne ciężka i dostojna – dlatego sarmacka poczciwość odmieniła ją w rodzaj „chińskiej biblii”.

Bądźcie tak mili i wyślijcie pachołka do króla herbowego – herbowym królem nazywano, jak podaje Anna Lachowska w pracy *Przebieg turniejów rycerskich w Polsce XV wieku*, głównego herolda czuwającego nad przebiegiem imprezy. Zwykle miał on do pomocy całą rzeszę persewantów, czyli heroldów mniejszych. Nie posługiwali się oni własnym imieniem, nazywano ich od kraju, z którego pochodzili. Z czasów Władysława Jagiełły pochodzą pierwsze wzmianki o królu zwanym Polland.

Zadania heroldów polegały przede wszystkim na selekcji uczestników – klasyfikowali i przedstawiali oni rycerzy na

podstawie ich herbów i ich odmian. Ich rolą było także wykluczanie ludzi, którzy podszywali się pod stan rycerski i nie byli uprawnieni do udziału w turnieju. Dlatego herold zobowiązany był pod przysięgą do uzupełniania wiedzy w zakresie znajomości herbów rodzimych i zagranicznych oraz zawołań rodowych; musiał też posługiwać się kilkoma językami. W trakcie walk pełnił w pewnym sensie rolę dzisiejszego komentatora sportowego i zapowiadacza.

Prawie wszystkie zbroje białe, nieosłonięte tunikami, nieobszyte materiałem. Tarcze już prawie zniknęły, ale w turniejach ciągle były używane. Na głowach poza zwykłymi basinetami zjawiały się już podobne do kapeluszy kapaliny, wcześniej używane przez piechotę i strzelców. Te najnowsze, z opuszczonymi rondami, z wizurami na oczach, nadawały obliczom złowrogi wygląd. Nieliczni mieli też pierwsze salady, potężne hełmy z szerokimi jak okapy nakarczkami z tyłu – powyższy fragment pokazuje zmiany, jakie zaszły przez ponad trzydzieści lat od bitwy pod Nikopolem aż po rok 1427 w uzbrojeniu i rynsztunku rycerstwa europejskiego. Basinety odchodziły powoli do lamusa, a ich miejsce zajmowały kapaliny, teraz używane nawet przez jazdę, czyli szerokie hełmy przypominające kapelusze. Wchodziły do użytku pierwsze salady – ciężkie hełmy z długim nakarczkiem w typie niemieckim, oraz ich odmiany włoskie – barbuty i celaty, te ostatnie przypominające dawne hełmy greckie. Z użycia wychodziły tarcze, gdyż białe zbroje wykonane z dużych metalowych blach stały się tak potężne, że wytrzymywały największe ciosy. Zbroja biała różniła się zaś tym od czarnej, że nie była już osłonięta z wierzchu tuniką rycerską z herbem.

Rozdział VI

Dwóch gospodarów, braci stryjecznych, wzięło się tam za łby, a my musimy rozegrać to starcie, aby wypadło po naszej korzyści. Dan stracił władzę na rzecz Radu zwanego Praznaglava – mowa tu o konflikcie dwóch gałęzi rodu Basarabów, stryjecznych braci, którzy – jak to na Wołoszczyźnie – co chwila odbierali sobie tron gospodarski w zależności od tego, kto z sąsiadów popierał danego władcę i kto zebrał więcej wojska. Radu Praznaglava tłumaczony jest na polski jako Radu Łysy, ale powinien być raczej: Radu Pusta Głowa (Goła Głowa), co bierze się stąd, iż stał po stronie Osmanów i pozostawał całe życie wiernym tureckim lennikiem. Z kolei jego przeciwnik – Dan – stawiał na Węgry i im złożył z kolei hołd lenny. Odparł zresztą w 1423 roku dwa najazdy tureckie, zginął też, walcząc z Imperium Osmańskim w 1431 roku.

Kiedy zgromadzą się wszystkie siły, główna armia wyruszy waszym śladem nad Dunaj, na Argesz, Cimpulung i Targowiszte – Cimpulung i Argesz to jedne z pierwszych wołoskich osad targowych, wzmiankowane w 1300 i 1330 roku, gdzie rządził wojewoda Tihomir, a po nim jego syn Basarab.

Oba miasta były na początku stolicami Księstwa Wołoskiego, rządzonego przez Basaraba, który w 1344 roku uznał zwierzchnictwo Węgier. Jego syn Mikołaj Aleksander rezydował w Cimpulung, natomiast Curtea de Argesz przeżyło rozwój po tym, kiedy założono tutaj pierwszą metropolię prawosławną w 1359 roku. Kolejną osadą, która rozwinęła się mocno na przełomie XIV i XV wieku, było Targowiszte (rum. Târgoviște), które wkrótce stało się nieformalną stolicą Walachii.

Bo, co tu dużo gadać, poniechaliśmy wróżdy – wróżdą nazywano w czasach słowiańskich i w średniowieczu prawo rodowej zemsty za zabójstwo lub znieważenie. W prawie polskim została ona zakazana w prawie lokalnym mazowieckim i chełmińskim, jednak przetrwała jako tzw. odpowiedź, będąca zwykłą groźbą pozbawienia życia; co ciekawe, usankcjonowaną ówczesnym prawem, wysyланą przez

woźnych i wpisywaną do akt. Stanisław Stadnicki zwany „Diabłem” przesyła swemu wrogowi Łukaszowi Opalińskiemu pismo, w którym po wyliczeniu wielu słusznych w jego mniemaniu krzywd zapowiada: „abyś mię się strzegł na wszelakim miejscu, chodząc, śpiąc, w kościele, w łaźni, bo się na twym gardle mścić będę, gdyż już nazbyt cierpliwościami zażywał”. W odpowiedziach znajdowały się obelgi i połajanki, jak w tej, którą przesłał Stanisław Malawski Stanisławowi Chinowskiemu za to, że strzelił do niego w czasie polowania: „siła takich rycerzy, co z krzaków strzelają, poćwiartowano, ciebie to nie minie. A kiedy żeś Turczyzna, Tatarczyzna, Moskwiczyna w polu do boju stojącego widział? Cóżże ty za rycerz, żeś rok, albo dwa, żołniersko służąc, kokosze dławiał?!”. Czasem zamiast odpowiedzi wysyłano kartusze. Stanisław Żółkiewski, zanim został hetmanem koronnym, wyzwiał na pojedynek Jana Herburta, śląc mu pismo, a potem podjechał pod dwór, ale adwersarz nie wyszedł. Wyzywano też przez znajomych – posyłając przyjaciół z ustnym posłaniem – jak Stefan Strzemeski, wyjeżdżając w większym towarzystwie do Adama Kuczyńskiego i oznajmiając wyzwanie pod groźbą pistoletów. Bardzo często jednak osobiście, wymawiając uświęconą zwyczajem formułkę: „bij się ze mną!”. Wróżda obecna jest jeszcze w XVII wieku jako tzw. przysięga, kiedy jakaś rodzina, będąc obrażoną na honorze, nie tylko wysyłała przeciwnikom odpowiedź, ale też przysięgała, że ich zabije. „Przysięgali zabić go” – czytamy w *Liber chamorum*, kiedy nieszlachcic albo bękart pojął podstępem córkę ze szlacheckiego rodu. Przysięgała na przykład rodzina Komorowskich, kiedy Bohdan Zenobi Chmielnicki, przyszły wódz Kozaków, żył bez ślubu z niejaką Heleną, wywodzącą się ze wspomnianego rodu.

Oto jest – powiedział Wolkenstein – Ulpia Traiana, czyli Sarmizegetusa – mowa jest tak naprawdę o dwóch różnych miejscach znajdujących się dziś w południowej Rumunii, a w 101 roku naszej ery w granicach państwa Daków, a potem – prowincji rzymskiej Dacji. Sarmizegetusa była stolicą państwa plemiennego

Decebala, który przez wiele lat walczył z Rzymianami, wreszcie pobity pod Tapae, po serii wojen, stracił ją w 106 roku. Stolica została splądrowana, Rzymianie zdobyli legendarne skarby królów dackich. Część ludności wypędzono, niszcząc twierdzę, aby nigdy już nie stała się ogniskiem oporu. Jednak kiedy na podbitych terenach utworzono prowincję Dacia Romana, Rzymianie zbudowali nową stolicę – zwaną Ulpia Traiana, na cześć cesarza. Chociaż także nazywano ją Sarmizegetusa, było to osiedle romańskie, wzniesione w zupełnie innym miejscu, bo na zachód od dawnej stolicy Daków. Dziś ruiny obu miast można podziwiać w południowych Karpatach, w prostej linii dzieli je około 50 kilometrów.

To Maur nikczemny, tchórz wiadomy, co widząc was, uciecze. Ale gdyby śmieli czoło stawić, z pomocną przyjdę dłonią. Walczyłem z nimi, nie umieją rycerską władać bronią! – mówił Wolkenstein, jeszcze nie opuściwszy zasłony basinetu – Wolkenstein deklamuje oczywiście rycerski epos *Pieśń o Rolandzie*, który zagrzewał do boju niezliczone zastępy wojowników chrześcijańskich.

Szły do obozu, do północnej bramy, doborowe zastępy *curteni*, drużynników hospodara, na śmigłych koniach, w kaftanach i kolczugach, nieliczni mieli hełmy, szyszaki – wojskowość Księstwa Wołoskiego i Mołdawskiego to do dzisiejszych czasów temat mało zbadany. Lepiej znamy ją z XVI wieku z wojen toczonych z Mołdawią niż z ostatnich wypraw na Turków sto lat wcześniej. Organizacyjnie armia wołoska składała się z pospolitego ruszenia oraz kilku formacji wojsk stałych (zaciężnych) i półstałych – ludzi zobowiązanych do służby wojskowej w zamian za posiadaną ziemię. Najważniejszą formacją byli drużynnicy – *curteni*, tworzący drużynę hospodarską (*curteni domnului*) i drużyny najwyższych dostojników. Zwykle rekrutowali się oni z bojarów i chłopów, wszyscy służyli konno jako jazda, używając tylko podstawowego uzbrojenia ochronnego – kolczug, kaftanów, zbroi zwierciadlanych, bechterów itd. Drugim rodzajem wojska byli *hinsari* – tworzący oddziały

lekkobroejnej konnicy i rekrutujący się z chłopów. Utrzymywali się wyłącznie z łupów i byli powoływani doraźnie, w zależności od potrzeb, podobnie jak turecka formacja akindzi. Oprócz tego gospodarowie utrzymywali regularne rotacje ciężkiej jazdy kopijniczej, w których służyli Węgrzy, Niemcy, Polacy, Serbowie, Bułgarzy i Szeklerzy. Wojsko konne dzieliło się na chorągwie zwane *steaguri*, przy czym podobnie nazywano również ich dowódców – odpowiednikiem ich w Polsce było stanowisko rotmagistra, a później rotmistrza. Jednostkami wyższego rzędu były tzw. *palcuri*, zwykle złożone z tysiąca żołnierzy. Istniały też formacje milicyjne – tzw. *slujitori* – powoływane z chłopów.

Głównymi urzędami na Wołoszczyźnie były, jak podaje Juliusz Demel w *Historii Rumunii*: *vornic* – marszałek dworu, *palatínus*; *vistier* – skarbnik, *thesaurarius*; *logofăt* – kanclerz, *cancellarius*; ponadto *spătar* – miecznik; *gladifer/stolnic* – podstoli; *dapifer/paharnic* – podczasz, *pincerna*; *comis* – koniuszy, *comes stabuli*; *postelnic* lub *stratornic* – czuwający nad sypialnią hospodara. Administracyjnie kraj dzielił się na okręgi (powiaty), jednostkę taką zwano na Wołoszczyźnie *județ*, w Mołdawii *ținut* (stara nazwa: *derżawa*). Na jej czele stał na Wołoszczyźnie *sudeț* (sędzia), w Mołdawii natomiast *pîrcălab*, w okręgach czysto wiejskich także *sudeț*, a w nadgranicznych starosta. Oltenia posiadała osobnego zarządcę z tytułem bana. Wymienione urzędy dworskie i terytorialne nie były płatne, ale sprawowali je ludzie zamożni, a ponadto niektóre z tych godności uprawniały do udziału w daninach i karach sądowych.

Jak widać, druga linia Basarabów poszła bardziej w żonę Mirczy, Marę, pochodzącą, jak powiadano, z siedmiogrodzkich Szeklerów – Szeklerzy to dziś węgierskojęzyczna mniejszość zamieszkująca Siedmiogród, nie wiadomo jednak, czy pochodzą od Węgrów, czy też od Hunów, Awarów, Gepidów albo Wołochów. Królowie węgierscy osadzali ich na granicach Siedmiogrodu. Naród był bardzo bitny, bogaty, często wywołujący powstania. W dawnej

Polsce zwano ich sabatami i chętnie zaciągano do służby na dworach magnackich – jako żołnierzy nadwornych, a także – kawalerzystów.

Po klęsce wycofuję się w góry, bo wojewoda siedmiogrodzki Janós z Vajdahunyadu obiecał mi posiłki – Janós z Vajdahunyadu, a tak naprawdę z Hunedoary to oczywiście nikt inny, tylko Janós Hunyady, wojewoda siedmiogrodzki i węgierski bohater narodowy, późniejszy dowódca w bitwie pod Warną w 1444 roku, przegranej za przyczyną Władysława Warneńczyka. Janós odparł turecki atak na Belgrad, był znany jako doskonały dowódca i organizator, wielokrotnie odpierał najazdy tureckie. Jego synem był Maciej Korwin, jeden z najwybitniejszych, ale niestety, również ostatni z wielkich królów Węgier.

Rozdział VII

Tę z lewej, pod wezwaniem Świętego Mikołaja, zbudował jeszcze Basarab, a wzmocnił jego wnuk Vlaicu Samoderżca. Budowla jak pałac basileusa, z białego muru przekładanego kamieniami, o wyniosłej kopule z krzyżem, sama na kształt krzyża – jest to jedna z najpiękniejszych i dostępnych dziś do zwiedzania cerkwi w Curtea de Argesz, zbudowana około 1352 roku w kształcie krzyża, w typie bizantyjskim. Razem z nieistniejącą dziś świątynią San Nicoara na wschód od niej pozwala domyślić się, jak wyglądała kiedyś pradawna stolica Wołoszczyzny, będąca miastem pomiędzy dwoma wyniosłymi świątyniami. Tuż obok cerkwi znajdują się pozostałości dawnego dworu gospodarskiego – w postaci kamiennych fundamentów i piwnic budowli, a także resztki fortyfikacji miejskich. Niestety, Curtea de Argesz zaczęło podupadać pod koniec XIV wieku, gdy gospodar Michał Basarab przeniósł stolicę do Targowiszte. Ostateczny cios zadały miastu walki

z Michałem Walecznym na początku XVII stulecia, kiedy Argesz zostało zdobyte i złupione przez wojska węgierskie Gabriela Batorego.

I w odpowiedzi strzelcy unieśli kusze, posyłając nad głowami panów morderczą salwę bełtów, strzelając nawiją bez celowania, ale dodając koński pęd do siły cięciwy popychającej bełt z rowka – strzelanie tak zwaną nawiją było powszechnie stosowane w bitwach XV-wiecznego rycerstwa. Prowadzili je konni kusznicy, którzy w ugrupowaniu kolumnowo-klinowym stanowili środek kolumny rycerskiej, otoczeni i chronieni z boków przez ciężkozbrojne rycerstwo. Oznaczało ono oddanie salwy z kusz ponad głowami idących w pierwszym szeregu rycerzy przedchorągiewnych. Kiedy później dochodziło do starcia wręcz, strzelcy włączali się do walki i starali się pomóc rycerzom, używając mieczy, kordów i toporów.

...pisze też czołobitnie do przygranicznych perkułabów sułtana – perkułabstwa były w dawnej Mołdawii i Wołoszczyźnie odpowiednikiem polskich powiatów. Władzę dzierżyli w nich wspomniani perkułabowie, zwani też pyrkułabami bądź – w źródłach polskich – burkułabami. Odpowiednik naszych starostów, mający władzę wojskową i sądowniczą na podległych im terenach. W przeciwieństwie do Korony Polskiej każde perkułabstwo miało dwóch takich urzędników, a nie jednego. Wśród powiatów też była hierarchia – za najbardziej prestiżowe uchodziły suczawski, nadawany hetmanowi, a także chocimski i Neamt. Często przygranicznymi perkułabami bywali Turcy.

Ja Dan, syn Dana i wnuk Basaraba, książę gospodar i najwyższy wojewoda Walachii, pan Muntanii i Oltenii, gór aż po Siedmiogród i ziemi aż po Dunaj, ślubuję i przysięgam Bogu wszechmogącemu, że od tej chwili aż po wieczne czasy będę

wiernym, uległym, hołdownym i posłusznym ze wszystkimi swoimi poddanymi duchownymi i świeckimi najjaśniejszemu, miłościwemu panu Zygmuntowi – nie zachowały się do dzisiaj żadne teksty przysięgi lennej sąsiadów Królestwa Polskiego z czasów średniowiecza. Ten, który zaprzysięga Dan, jest przerobioną wersją hołdu lennego, który złożył w Krakowie królowi Zygmuntowi Staremu Albrecht Hohenzollern, wielki mistrz krzyżacki, który po sekularyzacji zakonu stał się księciem pruskim.

Zamiast żalu narastał w nim gniew, jak niegdyś w węgierskim wielmoży Felicjanie Zachu, który targnął się na życie króla Karola Roberta za znieważenie córki przez królewicza Kazimierza – mowa o skandalu, który wywołał w Budzie królewicz Kazimierz, syn Łokietka, późniejszy król Polski Kazimierz Wielki. Przebywając w 1330 roku na zamku w Wyszehradzie, zapalał uczuciem do jednej z dwórek jego siostry Elżbiety, królowej węgierskiej, żony króla Karola Roberta. Elżbieta zwabiła ową dwórkę, Klarę Zach, do rzekomo chorego królewicza, umożliwiając mu jej brutalne uwiedzenie lub wręcz zgwałcenie. Kiedy nieszczęsna powiedziała o tym ojcu, ten postanowił zemścić się na królu Węgier, Kazimierz bowiem wrócił już do kraju. 17 września 1330 roku Zach rzucił się z mieczem na władcę, został jednak zabity przez strażę. Elżbieta zaś straciła cztery palce, stanęła bowiem w obronie męża i być może próbowała zatrzymać miecz wiszący nad głową Karola Roberta. Kara króla była okrutna – ród Zachów został wyklęty, a samą Klarę okaleczono, obcinając jej nos, wargi i palce, po czym obwożono ją w klatce po kraju, pokazując pospólstwu.

W gorącym wnętrzu, ogrzewanym przez płonący pod ścianą ogień, jeszcze sto lat temu królowałyby rycerskie pieśni, truwerzy graliby i deklamowali „Opowieść o Róży”, powieści Chrétiena de Troyes i jego historie o Percewalu i Lancelocie, romanse o Yońcu i zaklętych kochankach – Chrétien de Troyes to

kolejny legendarny autor romansów rycerskich, poeta tworzący pod koniec XII wieku, bywalec dworów Szampanii i Flandrii. Swoje utwory podpisywał jako Crestiens, a sławny był jako twórca dzieł takich jak *Percewal*, *Lancelot*, *Erek i Enida* i innych. Być może zmarł w 1195 roku, aczkolwiek nie wiadomo o tym nic pewnego; prawdopodobnie był heroldem, chociaż są i takie przypuszczenia, że duchownym – kanonikiem z katedry w Beauvais.

Rożży, panno, świeciczku... – jest to *Cantilena inhonesta* (Piosnka nieprzystojna), erotyk z XV wieku, anonimowy jak większość tego typu utworów, którego pochodzenie jest niejasne. Został bowiem zapisany przez Mikołaja z Koźła podczas pobytu w Ołomuńcu, co pozwala sądzić, że jest to raczej czeski tekst, jednak zapisany przez Polaka. Co ciekawe, wiersz spisany został na pergaminie, na którym Mikołaj dokonywał notatek, i jako sprośny, został później zamazany atramentem. Zamazujący wszakże nie wiedział, że po wiekach dwa różne rodzaje atramentu zmieniają kolor, tak że możliwe stanie się odczytanie pierwotnego tekstu. Błąd ten popełniło w historii wielu skrybów i gorliwych cenzorów, nie spodziewając się, że całkowite zamazanie już wpisanego i wysuszonego tekstu jest niemożliwe i zaciemniony zapis wypłynie po latach na wierzch jak oliwa.

Co widzę i mówię jako *chevalier errant*, że się wyrażę w języku Marie de France – *chevalier errant* to rycerz błędzący lub jak kto woli: błędny rycerz. A zatem konny wojownik podróżujący po świecie w poszukiwaniu przygód. Pierwszymi błędnymi rycerzami byli towarzysze Okrągłego Stołu z legend arturiańskich. Gawain, Lancelot, Percival. Wykpionym i wyśmianym ostatnim z błędnych rycerzy był Don Kichot Miguela Cervantesa, co jednak nie przeszkodziło, aby w następnych wiekach pojawili się różni awanturnicy przemierzający Europę w poszukiwaniu sławy i przygód, jak John Smith, założyciel pierwszej kolonii w Ameryce Północnej, czy nasz Krzysztof Arciszewski.

Niedola była Jadwidze... – sprośna przyśpiewka, anachroniczna, bo pochodząca być może z końca XIX wieku, jednak na pewno mająca swoje odpowiedniki w XV wieku i pasująca jak ulał do klimatu obozowiska dawnych najemników.

Być może *Cicuta virosa*. Jeśli nie cierpiał, to mogli też dodać opium, które łatwo rozpuszcza się w winie – łacińska nazwa szaleju jadowitego, powszechnie używanego w Europie i na Wschodzie do sporządzania trucizn. Znanego przede wszystkim jako „cykuta”. To właśnie wywar z niej wypił skazany na wygnanie z Aten Sokrates.

Jestem królem i stoję ponad gramatyką i polityką – jedno z nielicznych sławnych powiedzeń króla Zygmunta Luksemburczyka, które przeszło do historii. Prawdopodobnie wygłosił je na soborze w Konstancji na uwagę pewnego prałata, iż popełnił błąd.

Ocena postaci króla Węgier zależy od punktu siedzenia. Dla historyków niemieckich był zręcznym dyplomatą, usiłującym pogodzić sprzeczności rozlicznych królestw i krajów, którymi władał. Nie sposób odmówić mu talentów, za jego czasów kwitł handel, bogaciły się miasta, powstawały nowe szlaki handlowe. A jednocześnie z punktu widzenia rycerskiej cnoty polskiej był tchórzem i kłamcą. Człowiekiem, którego nikczemność oddaje najlepiej jego imaginacyjny portret autorstwa Albrechta Dürera. Człowiekiem, który całe życie knuł spiski i intrygi, jednak był zbyt chwiejny, aby doprowadzić je do końca. Gdyby nie fakt, iż wielokrotnie zdradzał sojuszników, byłby śmiertelnym wrogiem Królestwa Polskiego i Litwy. To właśnie Luksemburczyk sprzymierzony z Krzyżakami od 1392 roku był współtwórcą pierwszej koncepcji rozbioru Polski. Przed Wielką Wojną wymusił na Krzyżakach ogromną daninę w wysokości 340 tysięcy dukatów, obiecując uderzyć od południa na Królestwo Polskie. Jednak znając jego charakter, Jagiełło mógł spokojnie pomaszerować na Malbork.

Zygmunt bowiem okpił Krzyżaków, zagarnął ich pieniądze i nic nie zrobił, dopiero pod koniec 1410 roku urządził napad na Stary Sącz.

Luksemburczyk uciekł z bitwy pod Nikopolem, w 1415 roku zgodził się na spalenie na stosie Jana Husa, któremu wcześniej udzielił gwarancji bezpieczeństwa i wystawił list żelazny. W późniejszych latach walczył z husytami w Czechach i odniósł serię kompromitujących porażek. Powstańcy czescy złożyli mu tęgo rzyć pod Witkową Górą, Wyszehradem, Kutną Horą i Niemieckim Brodem. Jednocześnie ten rozpustnik, zdradzający namiętnie swoją żonę Marię Andegaweńską, po niej mąż równie wyuzdanej Barbary Cylejskiej, utrzymującej prawdziwy harem kochanków, był człowiekiem pełnym zadziwiających sprzeczności. Ten tchórz i kłamca uwielbiał Zawiszę Czarnego i innych rycerzy polskich – jak Ścibora ze Ściborzyc, Andrzeja Balickiego i innych. Być może podziwiał ich za cechy, których brakowało u niego samego – męstwo i honor. Dariusz Piwowarczyk podaje, że Zawisza otrzymał rycerski pas i ostrogi właśnie z rąk króla Zygmunta Luksemburskiego.

Teraz mam hospodara w garści, jest moim lennikiem. A z tobą zrobimy tak – skinął palcem król. – Jak wrócę do Budy, co każdy poniedziałek benedyktyni z opactwa Świętego Marcina na Górze Panońskiej będą odmawiać przez dziewięć kolejnych poniedziałków modlitwę do Świętego Józefa w intencji zmazania twojego grzechu – opactwo benedyktyńskie pod miastem Pannonhalma na Węgrzech jest jednym z najstarszych w Europie Wschodniej. Ufundowane w 996 roku na szczycie góry zwanej Pannonią przez księcia Gejzę miało ogromny udział w chrystianizacji Węgier. Konsekrowane w 1002 roku, ma znajdować się w miejscu, gdzie poić miał konie wódz plemion węgierskich Arpad, który przybył na te ziemie w IX wieku. Było to miejsce, w którym często przebywali królowie, w hierarchii kościelnej podlegało bezpośrednio kardynałowi Węgier.

Klasztor dzielił los królestwa. Wkrótce po tym, kiedy w 1541 roku uzyskał status arcyopactwa, zniszczył go pożar. W 1594 roku zajęli

go Turcy, dopiero w 1638 wznowił działalność. Przebudowany w stylu barokowym, został w 1786 roku rozwiązany przez cesarza w ramach kasaty klasztorów i otwarty ponownie dopiero w 1802 roku.

Rozdział VIII

Dziś dołączasz do bractwa, *Fraternitas Draconum* – mówił Stefan Batory – do grona prałatów, komesów i możnych. Których zaprosiliśmy do zgromadzenia przez wzgląd na ich szczerą chęć zmiążdżenia podstępnego nieprzyjaciela, zmiecienia czcicieli pradawnego smoka, pogańskich rycerzy, schizmatyków oraz ich popleczników. A także ich szczerą i gorącą wiarę i chęć służby pod sztandarami tryumfującego Chrystusa – na temat Orderu Smoka ustanowionego przez Zygmunta Luksemburczyka po bitwie pod Nikopolem zapisano już tony papieru, w większości popkulturowych bzdur. Odznaczenie oznaczające zarazem członkostwo w świeckim zakonie rycerskim powołanym dla walki z Turkami było wyrazem mody ogarniającej Europę, w której w XIV wieku powstawały licznie podobne stowarzyszenia. Kiedy Zygmunt go powoływał, istniał już Order Najwyższy Świętego Zwiastowania Zakonu Łańcucha, portugalski Order Chrystusa, hiszpański order rycerski Kalatrawy i wiele, wiele innych. Była to tendencja, aby po upadku Ziemi Świętej i zakonów rycerskich dźwigających na swoich barkach brzemień wojny z muzułmanami zastąpić je świeckimi stowarzyszeniami, w których wyróżnieni królowie, książęta i znamienici rycerze deklarowaliby wolę powstrzymania muzułmanów. Zakon Smoka był dokładnie tego typu stowarzyszeniem; jego order otrzymał m.in. król Władysław Jagiełło. Nie był to zatem żaden ezoteryczny Kościół templariuszy, wampirów czy nieumarłych władców świata. Nazwa i forma Orderu Smoka, a zwłaszcza fakt, iż otrzymał go Wład Tepes zwany Palownikiem,

pierwowzór wszystkich wampirów, nieumarłych pijawek ludzkiej krwi, nie znaczy, że miał on jakieś nadnaturalne znaczenie. Zakon funkcjonował zresztą i później, bo w XVII i XVIII wieku, a tak naprawdę od początku kontynuował działalność Zakonu Świętego Jerzego, założonego jeszcze przez króla Karola Roberta.

Tylko głuchy i ślepy nie wie, że jesteście ulubionym harcerzem króla Zygmunta. A król dobrze zapłaci za zdrowie ulubionego sługi – nie chodzi tu oczywiście o dzisiejszych harcerzy, ale o formacje, od których wzięli swoją nazwę. Mianem harcerzy określano bowiem pod koniec średniowiecza rycerzy staczających przed bitwą pojedynki, których wyniki podnosiły lub osłabiały morale wojsk. Obyczaj ten znali nie tylko Niemcy, Polacy, Litwini i Wołosi, ale także Hiszpanie, a przede wszystkim – Turcy, Tatarzy, Arabowie i Maurowie. Jak pisze Zygmunt Gloger: „zdarzało się, że najdzielniejsi z rycerstwa, przepasawszy się przez piersi na ukos czerwonymi nałęczami (ręcznikami), przed bitwą rzucali się w kilkadziesiąt koni w środek obozu nieprzyjacielskiego i sprawiali popłoch w tysiącach”.

Jedne z pierwszych harców opisane są przed bitwą pod Koronowem w październiku 1410 roku, kiedy do Polaków przybył herold, oznajmiając, że Ślązak Konrad von Niemcz, rycerz z dworu króla Zygmunta Luksemburczyka, wyzywa na pojedynek tego z polskich rycerzy, który odważy się z nim zmierzyć. Jego rękawicę podjął Jan Szczycki herbu Doliwa, który wysadził wroga kopią z siodła i – jak podaje Długosz – stratował, dając znak, jak potoczą się losy obu wojsk. I rzeczywiście bitwa skończyła się zwycięstwem Polaków.

Nie wszyscy przeciwnicy Rzeczypospolitej znali ten obyczaj. Na harce nie wychodzili Moskale. Kiedy Jan Tarnowski, przyszły hetman, przed bitwą pod Orszą w 1514 roku chciał wyjechać z szeregów, wyzywając któregoś z nieprzyjaciół na pojedynek, został powstrzymany przez księcia Konstantego Ostrojskiego. Hetman powiedział wówczas: „ani rozumiej, żeby Moskale byli toż samo, co

twoi Maurowie. Inna jest karność wojskowa w Luzytanii, a inna – w Polsce”. Być może pamiętając o tych słowach, sam Tarnowski zabronił żołnierzom wychodzić „na harc” w bitwie pod Obertynem w 1531 roku. A kiedy gospodar Piotr Raresz wysłał własnych, którzy „krzykiem, drwinami i łajaniem wywabiali” naszych, i jeden z nich podjechał na koniu blisko obozu, łząc hetmana i nazywając go tchórzem, został po prostu zastrzelony.

Z biegiem czasu utrzymywanie własnych harcowników stało się tak popularne, że władcy, a nawet książęta zaczęli zaciągać drużyny konnych i zbrojnych „sportowców”, którzy na polach bitew i na turniejach prezentowali siłę i moc suwerena. Król Stefan Batory utrzymywał ich kilku, a z nazwisk znamy z 1585 roku Szwarackiego i Goreczkowskiego. Zygmunt III Waza utrzymywał w 1590 roku na dworze aż trzydziestu pięciu „harcerzy” – m.in. Żółtowskiego, Łopackiego, Chomentowskiego, Stockiego, Ćwiklińskiego, Skrzetuskiego, Płońskiego i wielu innych. Każdy miał dwa wierzchowce, pobierał 120 dukatów zasług rocznych, a tygodniowo na strawę otrzymywał 1 złoty i 20 srebrnych groszy. Przełożonym harcerzy był Jerzy Kretkowski, który służył na sześć koni i pobierał 400 dukatów rocznej pensji. Ich jedynym zadaniem było wygrywać dla monarchy potyczki i pojedynki przed bitwą.

W 1588 roku pod Byczyną Jan Zamoyski wystawił przed szykami polskimi siedemdziesięciu najdzielniejszych i najlepiej wyćwiczonych harcowników, pod dowództwem Andrzeja Karchowskiego. Starli się z oddziałem około trzydziestu węgierskich harcerzy, których utrzymywał z kolei arcyksiążę Maksymilian Habsburg, pretendent do polskiego tronu. Polacy zmieszali przeciwnika, a Węgom przyszli z pomocą arkebuzery cesarscy – postrzelono wówczas Chrzastowskiego, Baranowskiego i Strusia. Jednak atak naszych harcowników skłonił arcyksięcia do sprowadzenia jazdy ze wzgórz przed szyk polski, gdzie została zaatakowana przez husarię i kozaków Zamoyskiego. W bitwie tej zginął też Hawryło Hołubek, sławny kozak, harcownik i zagończyk, postrzelony w głowę lub prosto w oko z arkebuza.

Ciemnoniebieski wał poszarpanych gór mieli po lewej ręce, przed sobą równiny, a czasem pagóry, wznoszące się zwłaszcza tam, gdzie na południu był monaster Bradača, spustoszony i spalony przez Turków, a ufundowany jeszcze przez Vuka Brankovicia, który na Kosowym Polu walczył po stronie serbskiego cara – monaster Bradača, leżący na południowy zachód od Golubaca, założony został według legendy przez Vuka Brankovicia, choć pierwsze wzmianki o nim pochodzą dopiero z połowy XV wieku. Niestety, w wiekach późniejszych został zrujnowany, pod koniec XVII wieku został opuszczony, odnowiony dopiero w latach 90. zeszłego stulecia, dziś stanowi ciekawy obiekt turystyczny.

Sinan, bej Widynia, to cesarski seraskier. Najpierw on będzie z nami gadał – seraskier był w dawnej Turcji tytułem wojskowym i oznaczał wodza potężnego zgrupowania wojowników, aczkolwiek ustępował godnością serdarowi, którym zwykle bywał wielki wezyr. Seraskier był zazwyczaj dowódcą wydzielonej grupy wojsk zebranych na pograniczu dla odparcia wrogów. W późniejszych czasach tytuł ten oznaczał naczelnego wodza armii tureckiej.

Ale starczyłoby ze stu naszych hoźych junaków, a spraliby to szmatławstwo do cna. Jakby każdemu zdjąć ze łba zawoje, to chłop jak trznadel. Jeden Mazur bał się Turka, ale uderzywszy na niego z kopią, zabił i rzekł: „Nie ciebiem się bał, panie kudła, jeno twego pudła” – taką opinię o Turkach wyraził Zbigniew Lubieniecki oglądający wojsko osmańskie rozłożone na leżach późną wiosną 1640 roku nad brzegami Morza Czarnego. Można spodziewać się, że i jego dziadowie byli podobnego mniemania o niewolnikach sułtana.

Rozdział IX

...jak legendarna Vivianna, która przychodzi po umierającego króla Artura, lub dumna Świętosława przybywająca sprawdzić, który z konkurentów wygrał pojedynek na skale o jej rękę – chodzi oczywiście o Sygrydę Storrådę, córkę Mieszka I i siostrę Bolesława Chrobrego, która wydana została za Eryka Zwycięskiego, króla Szwecji, a potem za Swena Widłobrodego, króla Danii i Norwegii. Z tego związku narodził się m.in. Kanut Wielki, który podbił Anglię. Była kobietą dumną i hardą, co w tamtych czasach znaczyło, że niebezpieczną. Kochała się ponoć w Olafie Tryggvasonie, który odtrącił ją, a wówczas przyczyniła się do jego śmierci. Spaliła zaś żywcem króla Haralda Grenskega, który proponował jej małżeństwo.

...pijanych, bezwstydnie rozwalonych lub wkładających do ust przedziwne miedziane lub drewniane rurki prowadzące do okrągłych baniek, jak alchemiczne alembiki. Bulgotała w nich jakaś zawartość, a z krótkich rurek unosił się dym o niezwykłym wprost, uwodzicielskim zapachu – chodzi oczywiście o haszysz, który znany był na Bliskim Wschodzie i w Ziemi Świętej już we wczesnym średniowieczu. W Egipcie był używany aż do czasów podbicia przez Imperium Osmańskie i później, stanowiąc takie zagrożenie, że już w 1378 roku Soudoun Sheikhouni, osmański emir, zakazał jego używania i uprawy konopi. Głównym jego producentem stało się później Maroko, skąd rozchodził się po całym wybrzeżu Morza Śródziemnego.

Requiem æternam dona ei, Domine... – jest to oczywiście łacińska modlitwa za umarłych, którą odmawia się i dziś. Po polsku brzmi ona:

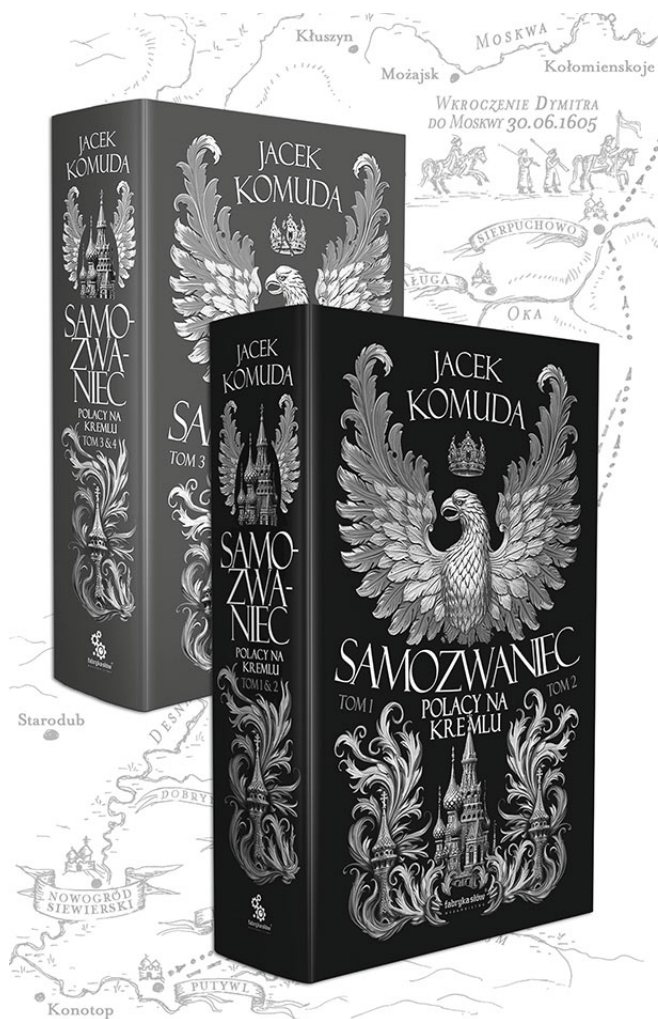
*Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie,
a światłość wiekuista niechaj im świeci.
Niech odpoczywają w pokoju. Amen.*



WYPRAWA ZAWISZY

W 1427 ROKU

- trasa wyprawy
- granice
- rzeki
- Księstwo Halicko-Włodzimierskie



ROK 1605.

POLSKIE WOJSKA WKRACAJĄ DO MOSKWI.

O to historia strażników, którzy wrogów liczyli dopiero po bitwie. Zabitych.

O to historia ludzi tak szalonych, że poszli w tany z samą Śmiercią. Tak zuchwałych, że uwiedli Fortunę. Tak dumnych, że diabłu plunęli w twarz. I tak hojnych, że za przyjaciół płacili tylko krwią i życiem.

O to historia awanturników i husarzy, którzy wstrząsnęli murami Moskwy i sięgnęli po koronę carów.

Cykl „Orły na Kremlu” to opowieść o zderzeniu dwóch światów – wyrosłej na gruncie wolności szlacheckiej Rzeczypospolitej i ksenofobicznej Moskwy, odgródzonej od Europy murem prawosławia. Opowieść o fenomenie husarii i wojska polskiego, zwyciężających na mroźnych stepach i lodowych pustkowiach Rosji, gdzie wieki później klęskę poniosły armie Napoleona i III Rzeszy.



KSIĘGA CAŁOŚCI W CAŁOŚCI



1. Północna Granica
2. Król Bezmiarów
3. Grombelardzka legenda. Serce Gór
4. Grombelardzka legenda. Wstęgi Aleru
5. Pani Dobrego Znak. Wieczny pokój
6. Pani Dobrego Znak. Wieczne Cesarstwo
7. Porzucone królestwo
8. Żeglarze i jeźdźcy
9. Tarcza Szerni
10. Najstarsza z Potęg
11. Szern i Szerer: Zima przed burzą

COPYRIGHT © BY Jacek Komuda
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2023

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-978-5

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA

Eryk Górski
Robert Łakuta

PROJEKT OKŁADKI
Piotr Cieśliński

OPRACOWANIE OKŁADKI
Konrad Kućmiński

MAPY
Paweł Zaręba

W KSIĄŻCE WYKORZYSTANO FRAGMENTY ILUSTRACJI

Albrechta Dürera; Erharda Schöna; Erharda Reuwicha; Michela Wolgemuta & Wilhelma Pleydenwurffa; Hansa Baldunga / domena publiczna

REDAKCJA
Dorota Pacyńska

KOREKTA
Magdalena Byrska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ
pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



swiatksiazki.pl



Zamówienia hurtowe
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91
05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
www.dressler.com.pl
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl



fabryka słów
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO
Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka
instagram.com/fabrykaslow/



JACEK KOMUDA

Zawodowy pisarz i historyk. Autor licznych powieści historycznych. Specjalizuje się w dziejach Rzeczypospolitej szlacheckiej. Otrzymał stypendium Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego przyznawane w ramach konkursu na scenariusz filmu historycznego.

Wierny prawdzie, nie stroni od brutalnych, mocnych kart historii. Wskrzesza dawne obyczaje, postaci, zapomniane miejsca. Najważniejszym celem, jaki sobie stawia, jest przybliżenie i spopularyzowanie wśród czytelników historii Polski.

Jeden z nielicznych ludzi pióra, który uczestniczy w rekonstrukcjach historycznych jako siedemnastowieczny polski husarz, pancerny i lisowczyk, poznając w ten sposób realia dawnego pola walki. Na własnym koniu przejechał pół Polski, spory kawałek Ukrainy i jeszcze większy Karpát Wschodnich.

ZAWISZA

ZŁAMANY PÓŁKSIĘŻYC

TYLKO ZJEDNOCZENI
ZWYCIĘŻĄ.
PODZIELONYCH ROZDZIOBIĄ KRUKI,
A POPĘDLIWYCH ROZSZARPIĄ PSY SUŁTANA.

. . .

TURECKA NAWAŁA PRZETACZA SIĘ PRZEZ EUROPE.
ZAJĘTY WIDYŃ, BAŁKANY, SUŁTAŃSKIE WOJSKA STOJĄ NA GRANICY WĘGIER.
ŚWIAT CHRZEŚCIJAŃSKI OCZEKUJE, BY MIECZ, KTÓRY NIEGDYŚ
PORAZIŁ KRZYŻAKÓW, TERAZ WALCZYŁ W OBRONIE WIARY.

NA WEZWANIE ZYGMUNTA LUKSEMBURCZYKA
ODPOWIADA WIELU – JEDNI Z ŻĄDZY ŁUPÓW,
INNI ZWABIENI WIDMEM WOJENNEJ CHWAŁY,
JESZCZE INNI DLA POKUTY.

POD SZTANDAREM ZAWISZY CZARNEGO MIEJSCE ZNAJDZIE
KAŻDY, KTO SERCE MA MĘŻNE, A RAMIĘ SILNE.

NIEUCHRONNIE JEDNAK JAKAŚ DŁOŃ
ZBLIŻA SIĘ DO SZTYLETU I MA TYLKO JEDEN CEL:
DOKONAĆ ZEMSTY.



fabryka słów®
WYDAWNICTWO



/fabryka



/fabrykaslow

fabrykaslow.com.pl